

Jerzy Andrzejewski

Popiół i diament

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej,
Wokoło lecą szmaty zapalone,
Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny,
Czy to, co twoje, ma być zatracone?
Czy popiół tylko zostanie i zamęt,
Co idzie w przepaść z burzą? - czy zostanie
Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,
Wiekuistego zwycięstwa zaranie...

Norwid: Za kulisami

Spostrzegłszy kobietę, która schodziła ulicą w kierunku mostu na Śreniawie, Podgórski skrzył w bok ku trotuarowi i wóz gwałtownie zatrzymał. Dwaj młodzi, w automaty uzbrojeni milicjanci poruszyli się natychmiast czujnie w tyle wozu. Natomiast siedzący przy Podgórskim sekretarz wojewódzkiego komitetu Partii Robotniczej, Szczuka, wyprostował się i podniósł na kierowcę ciężkie, z niewyspania opuchnięte powieki.

- Defekt?

- Nie. Jedna minuta, towarzyszu, i wracam.

Nie wyłączwszy motoru wyskoczył z otwartego jeepa i głośno stukając po kamieniach podkutymi butami, bieć zaczął w dół. Kobieta, którą chciał dogonić, zbliżała się do mostu. Chodnik, jeszcze nie naprawiony, w tym miejscu potrzaskany był pociskami artyleryjskimi, musiała więc zejść na jezdnię. Szła wolno, z głową pochyloną, w ramionach także trochę przygarbiona, w lewej ręce dźwigając dużą i wyładowaną torbę.

- Pani Alicjo! - zawołał.

Kossecka była tak zamyślona, że gdy się odwróciła i ujrzała przed sobą młodego mężczyznę ubranego w długie buty, spodnie wojskowe i ciemny sweter pod rozpiętą skózaną kurtką, w pierwszej chwili nie poznała w nim dawnego aplikanta męża. Ale Podgórski zbyt się śpieszył i zbyt był ucieszony niespodziewanym spotkaniem, aby spostrzec w oczach pani Alicji wahanie.

- Dzień dobry! - pocałował ją w rękę. - Jak to dobrze, że panią zobaczyłem z auta...

Teraz go dopiero poznała po głosie nieco chropawym i po charakterystycznym pochyleniu wydłużonej, zbyt wąskiej w skroniach głowy. Musiał się być od kilku co najmniej dni nie golić i cień zarostu przyściemniał jego chudą twarz.

Postawiwszy ciężką jej torbę na ziemi, życzliwie się uśmiechnęła. Mimo siwych włosów, licznych bruzd na czole i wielkiego znużenia w oczach uśmiech miała zupełnie jeszcze młody.

- To pan, panie Franku! Jak się pan miewa?

- Ja? Doskonale!

Ostatni raz widziała Podgórskiego przed kilku miesiącami, zimą, natychmiast prawie po szybkim, lecz gwałtownym przesunięciu się frontu przez Ostrowiec. Wpadł do niej wówczas któregoś wieczoru, dosłownie na kilka minut i w takim samym pośpiechu, w jakim odwiedzał ją był kilkakrotnie jeszcze za czasów okupacji, gdy musiał się ukrywać. Od tego czasu nie spotkała go więcej, wiedziała jednak, że wrócił do Ostrowca i od niedawna pełnił funkcję sekretarza Komitetu Powiatowego.

Mimo ożywienia wydał się jej mizerny i zmęczony.

- Nie wygląda pan dobrze, panie Franku. Machnął lekceważąco ręką. Stojący nie opodal jeep huczał nie wyłączonym motorem. Nagle zatrąbił dwukrotnie klakson.

- To na pana, zdaje się?

Podgórski odwrócił się z gestem zniecierpliwienia. Duży i ciężki Szczuka, wychyliwszy się z auta, przyzywał go nagłym ruchem. Jeden z milicjantów stał z automatem przy wozie.

- Idę! Idę! - krzyknął w ich stronę. I zaczął wyjaśniać Kosseckiej:

- Śpieszymy się bardzo. Czekają na nas w cementowni w Białej, mamy tam przemawiać na zebraniu. Ale jedno tylko słowo, po to właśnie wysiadłem... to prawda, sędzia rzeczywiście wrócił?

Skinęła głową.

- Kiedy?

- Przedwczoraj. Podgórski ucieszył się.

- I co, zdrowy? Jak się czuje, bardzo wyczerpany? W jakim jest nastroju?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy znowu zatrzął klakson. Podgórski spojrzął na zegarek. Dwadzieścia po piątej. Zebranie robotnicze w Białej wyznaczone było na piątą.

- Proszę mi wybaczyć, ale mój towarzysz słusznie się niecierpliwi... Już, już! - krzyknął w jego stronę. I znowu się zwrócił do Kosseckiej:

- Wpadnę do państwa jeszcze dzisiaj, pozwoli pani? Za dwie godziny najdalej, dobrze?

Podniósł rękę pani Alicji do ust i powiedział serdecznie:

- Tak się cieszę, że pan Kossecki żyje i wrócił... Szczuka przyjął Podgórskiego bez słowa wyrzutu, tylko w milczeniu pokazał mu zegarek. Podgórski ruszył na pełnym gazie.

- Przepraszam was - powiedział po chwili - ale to była ważna dla mnie sprawa. Najdalej za kwadrans jesteśmy na miejscu.

Szczuka oparł swoje ciężkie dłonie o kolana i spod spuszczonej powiek uważnie patrzył na wślizgującą się pod jeepa drogę. Jechali na razie bocznymi ulicami Ostrowca, więc mimo złej, bardzo wyboistej jezdni mogli rozwinąć znacznie większą szybkość.

Po obu stronach wznoszącej się nieco ku górze ulicy ciągnęły się nieduże domki, piętrowe przeważnie i ubogie, poznaczone licznymi śladami niedawnej wojny. Ściany prawie wszystkich kamieniczek poryte były ostrzałem artyleryjskim, tu i ówdzie rozsunięte i w nieładzie porozrzucane dachówki odsłaniały mroczne wnętrza strychów, liczne okna pozabijane były dyktą i deskami, inne, bez szyb i framug, martwo tkwiły wśród poszarpanych murów. W kilku miejscach bombami rozdarte ściany samotnie się wznosiły ponad szarymi gruzami. Pusto było w tej stronie miasta, cicho i bezludnie. Żadnych przechodniów. Tylko drobna, przygarbiona staruszka pchała przed sobą ogromne taczki od wapna, wyładowane ziemniakami. Gdzieniedzie czerniały pucinanane gałęzie uschniętych akacji.

- Co to za kobieta, z którą rozmawialiście? - spytał Szczuka. Podgórski skręcał w przecznicę. Naprzeciw jechała ogromna, brezentem kryta ciężarówka.

- Kossecka - odpowiedział mijając ciężarówkę. - Żona sędziego.

- Z Ostrowca?

- Znaliście go może?

- Nie. Uważajcie...

Wjeżdżali akurat na rynek, w sam środek ścisku i gwaru. Pełno było tu ludzi: cywilów pomieszanych z żołnierzami polskimi i rosyjskimi. Na rozległym placu, pomiędzy prowizorycznymi straganami i dokoła drewnianej, na biało-czerwony kolor pomalowanej

10

trybuny, z której zapewne niedawno przyjmowano defiladę, tłoczyły się wojskowe wozy, ogromne ciężarówki i platformy z beczkami benzyny. Chociaż front jeszcze w styczniu przeszedł był przez te strony i teraz dogorywał w ostatnich walkach o dobrych kilkaset kilometrów na zachód, całość do złudzenia przypominała nastrój miasta przyfrontowego.

W głębi rynku, na tle wiosennej niebieskości nieba, czerniały zarysy wypalonych kamienic. Nad jezdnią czerwieniały w kilku miejscach ogromne transparenty. Głośnik radiowy huczał ponad placem donośnym, męskim głosem:

Wczoraj, 4 maja, o godzinie 6 rano w kwaterze bojowej marszałka Montgomery'ego zawarto układ o kapitulacji, który postanawia...

Podgórski musiał zwolnić i raz po raz naciskając klakson, z trudem wśród tłoku torował wozowi drogę. Słowa spikera brzmiały w górze bardzo wyraźnie.

Wszystkie wojska niemieckie w północno-zachodnich Niemczech, w Holandii, Danii, na Helgolandzie, Wyspach Fryzyjskich i innych, łącznie z wszystkimi okrętami wojennymi znajdującymi się w tym rejonie, składają broń i bezwarunkowo kapitulują. Operacje wojenne zostają wstrzymane w sobotę o godzinie 8 rano...

Tłum zebrany pod głośnikiem słuchał w milczeniu. Na tro-tuarach też stały gromadki nieruchomych ludzi.

Spiker podniósł cokolwiek głos:

Akt niniejszy stanowi przygotowanie ostatecznej i całkowitej kapitulacji Niemiec...

Podgórski spojrzął na swego towarzysza.

- Jedźmy! - powiedział Szczuka.

Gdy mijali budynek Partii, na którym powiewała czerwona chorągiew, stojący przy wejściu wartownik, dostrzegłszy Podgórskiego, począł mu dawać znaki, żeby się zatrzymał.

- Jedźmy, jedźmy! - powtórzył Szczuka. - Nie ma czasu. Podgórski wymownym ruchem dłoni dał wartownikowi do zrozumienia, że się bardzo śpieszą. Po chwili wyprowadził wóz z największego ścisku i skręcił w pierwszą przecznicę.

- Widzieliście twarze tych ludzi słuchających komunikatu?

11

Szczuka skinął głową.

- Bez cienia radości, zauważyliście?
- Czekali na nią za długo.
- Myślicie, że to tylko to?
- Nie tylko - odparł krótko Szczuka wpatrzony w drogę. Podgórski poruszył się przy kierownicy.
- Wiem, o czym myślicie. Też się często nad tym zastanawiam.
- Jest nad czym.
- Ale ostatecznie, czy już nie zwyciężyliśmy?
- Złudzenia! - mruknął Szczuka. - To dopiero początek walki. Nie ma się co łudzić. Spojrzał na zegarek.
- Będziemy za dziesięć minut?
- Powinniśmy być. Już niedaleko.

Znów przejeżdżali przez puste, zniszczone uliczki.

- I cóż ten Kossecki? - wrócił do poprzedniej rozmowy Szczuka. - Znacie go sprzed wojny?
 - Tak. Dwa lata pracowałem przy nim w tutejszym sądzie. Do samej wojny. Wiele mu zawdzięczam. To chyba jeden z naj-porządniejszych ludzi, jakich znałem. Wrócił teraz z obozu.
 - Oświęcim?
 - Gross-Rosen.
- Szczuka okazał żywsze zainteresowanie:
- Był w Gross-Rossen?
 - Cztery lata.

Teraz sobie dopiero przypomniał, że Szczuka, który w ciągu ostatnich paru lat przeszedł przez kilka obozów koncentracyjnych, otarł się także i o Gross-Rossen.

- Prawda, wyście tam też byli?
- Byłem. Ale nie do samego końca. Udało mi się uciec przy pierwszej ewakuacji. Jeszcze w lutym.
- Musieliście się więc zetknąć z Kosseckim, nie? Szczuka zastanowił się.
- Chyba nie. Jak on wygląda?
- Dość wysoki, barczysty, ciemny blondyn... Szczuka szukał przez chwilę w pamięci.
- Nie przypominam sobie. Sędzia z Ostrowca?
- Zaraz, zaraz! - przerwał mu Podgórski. - Oczywiście, że go nie mogliście znać pod jego własnym nazwiskiem. Wzięto go pod przybranym.

12

- Chyba że tak!
- Tylko pod jakim? Pamiętałem doskonale. Ale nadaremnie usiłował przypomnieć sobie. Potrząsnął wreszcie głową:
- Uciekło mi w tej chwili...
- Skąd go wzięli, z Ostrowca?
- Z Warszawy. Stąd musiał uciekać jeszcze z końcem czterdziestego. Po pierwszej większej wyspie.
- Razem pracowaliście?
- Z początku tak. Później dopiero udało mi się nawiązać kontakty z naszymi ludźmi.
- Uważajcie! - mruknął Szczuka. Podgórski roześmiał się:
- Nie ma obawy! Znam tę drogę jak własną kieszeń. Z tej strony Ostrowca most na Śreniawie był zerwany i objazd prowadził wyboistą, w ciasną gardziel wąwozu wciśniętą, wiejską miedzą. Trudno było o drogę podlegszą. Jeep, chociaż przystosowany do pokonywania najcięższych wertepów, z trudem przedzierał się przez te wyboje.

W jednym miejscu wąwóz się zwężył. Młodziutki olszyny, pokrywające jego strome zbocza, wdzierały się do wnętrza wozu. Jedną z gałązek, najdalej wysuniętą i pełną drobnych, kleistych listeczków, odsunął Podgórski na bok ręką, kilka listków zatrząsnął w dłoni.

- Popatrzcie, jaka wiosna! - pokazał Szczuka. Droga gwałtownie skręcała i tuż za zakrętem, uwolniona nagle od ścian wąwozu, otwierała się na rozległy wśród bujnej łąki zjazd ku rzece, wprost na drewniany, prowizoryczny most. Nie opodal mostu czerniała gromada ludzi. Szczuka pochylił się ku szybie.
- Cóż tam znowu?

Podgórski przedtem już, ledwie wyprowadził wóz spoza zakrętu, zauważył był zbiegowisko. Ludzi było sporo, około dwudziestu. Od razu spostrzegł wśród nich kilku milicjantów. Nieco z boku, pośrodku łąki, stało przechylone na bok auto, także amerykański jeep.

Tymczasem z dołu musiano ich już zauważyć, bo dwaj milicjanci odłączyli się od tłumu i wybiegłszy na drogę poczęli dawać zjeżdżającemu wozowi rozkaz zatrzymania się. Jeden z siedzących w tyle wozu milicjantów pochylił się ku Podgórskiemu:

13

- To nasi chłopcy, z Ostrowca.

- Widzę.

Teraz już i inni ludzie, w których Podgórski rozpoznał robotników z Białej, biegli ku drodze. Ledwie wóz stanął, otoczono go ze wszystkich stron. Podgórski nie zdążył wysiąść, gdy przedarł się ku niemu jeden z robotników, towarzysz z partyzantki.

- Wiesz już?

Podgórski rozejrzał się po stojących dokoła. Wszyscy mieli twarze poważne i zasepione.

- Nie - powiedział wolno. - Co się stało?

- Dwóch naszych ludzi zamordowano - odezwał się stojący z tyłu siwy robotnik. - To się stało! Podgórski pobałdł.

- Kogo?

- Smolarskiego i Gawlika.

Szczuka, z trudem wydźwignąwszy z auta ogromne ciało, stanął przy Podgórskim. Podpierał się laską, kulał bowiem. Podgórski spojrzał na niego.

- Słyszeliście? Tamten skinął głową.

- Nie wesołej chwili przyjechaliście do nas, towarzyszu - odezwał się ktoś z boku.

- Kiedy to się stało? - spytał Szczuka. Jeden z milicjantów przysunął się bliżej:

- Przed niecałą godziną. Ludzie przy budowie mostu posłyszeli w tej stronie strzały. Przybiegli zaraz, ale już było za późno.

- Sprawców schwytano?

- Na razie nie. Szczuka machnął ręką:

- To już nieprędko znajdziecie. Gdzie to się stało, tutaj?

- W wąwozie. Tamci musieli się zacziąć. Parę serii starczyło. Wóz sam się na dół stoczył i wywrócił...

- Jest kto z Bezpieczeństwa?

- Czekamy właśnie. Daliśmy już znać.

Przez chwilę panowała cisza. Szczuka, ciężko wsparty na lasce, patrzył w ziemię. Wysoko w górze, wśród czystego powietrza, głośno ćwierkały skowronki.

- No cóż? - przerwał milczenie Szczuka. - Pójdziemy ich zobaczyć?

14

Poszedł pierwszy, kulejąc, za nim Podgórski. Tłum się rozstał i gromadą ruszył za nimi. Rozbity jeep stał o kilkadziesiąt kroków dalej. Łąka była bujna i soczysta, trawa sięgała do kolan prawie.

- Piękna trawa! - mruknął Szczuka.

Zabici leżeli nie opodal wozu, obok siebie, równo i na wznak. Nienaturalnie sztywni wśród gęstej trawy i szklistymi oczami wpatrzeni w dalekie ponad nimi niebo, wydawali się w swoich robotniczych, krwią poplamionych ubraniach raczej do kukieł podobni niż do ludzi, którymi byli przed godziną zaledwie. Podgórski znał dobrze obu, lecz sylwetki żyjących, które wywołał teraz z pamięci, nie miały nic wspólnego z leżącymi. Białe motyle, zwykły wiosenny kapustnik, fruwał ponad ich nieruchomymi twarzami.

Szczuka przez dłuższą chwilę przyglądał się spod opuszczonych powiek zabitym. Wreszcie, mocniej się wsparł o laskę, wyciągnął rękę i palcem wskazał na leżącego bliżej.

- Ten?

Podgórski przetknął ślinę, aby zwilżyć suchość krtani.

- Smolarski. Członek Rady Załogowej. Stary towarzysz. Zasłużony robotnik. Stracił dwóch synów, jednego w trzydziestym dziewiątym, a drugi tutaj rozstrzelany w czterdziestym czwartym..

Mówił wyraźnie, lecz półgłosem, jak zwykle się mówić w po koju, w którym leży zmarły. Szczuka słuchał w milczeniu.

- A ten?

- Gawlik. Młody chłopak, nie miał więcej niż dwadzieścia kilka lat...

- Dwadzieścia jeden - powiedział ktoś z tłumu. Podgórski wpatrzył się w nieruchomą twarz zabitego.

- Przed kilku tygodniami wrócił z robót w Niemczech. Szczuka przysunął się o krok bliżej i oburącz wsparty o laskę pochylił się ciężko nad leżącymi, uważnie śledząc spod opuszczonych powiek płaśający lot motyla. Po chwili wyprostował się.

- Zdaje się, że to my dwaj mieliśmy tu leżeć zamiast nich - powiedział do Podgórskiego półgłosem. Ten drgnął:

- Myślicie?

- Jestem pewien.

Nagły ból palców wbitych paznokciami w dłonie teraz dopiero Podgórskiemu uświadomił, że od chwili kiedy wysiadł z auta, miał przez cały czas mocno zaciśnięte pięści. Wyprostował palce

15

i wtedy z prawej dłoni wypadło mu kilka wymiętych listków olszynowych. W pierwszym, machinalnym zupełnie odruchu, jakby uczynił gubiąc przedmiot użyteczny, chciał się schylić i liście podnieść. W porę się jednak zatrzymał. Poczuł, że ma dłonie bardzo spocone. Wytrzeł je o spodnie.

Szczuka odwrócił się od leżących.

- Chodźmy! - mruknął.

Kilku z tłumu podążyło za nimi w pewnej odległości. Wszyscy szli w milczeniu. Słychać było szelest świeżej, butami gniecionej trawy.

- I cóż powiecie? - zagadnął Szczuka zamyślonego Podgórskiego.

- Ja? Myślę o tym, co powiedzieliście. Gdybyśmy się nie spóźnili...

- Tobyśmy leżeli teraz tam na łące. A tamci by żyli... Cóż, bywa i tak w życiu. Ale to nieważne.

I po swojemu kusząc szedł dalej. Wtem zatrzymał się. Ludzie, którzy za nim szli, także przystanęli.

- Głowa do góry, towarzyszu Podgórski. Robić swoje, dopóki człowiek żyje, to jest ważne!

Podszedł do nich jeden z robotników, niski i drobny, o szarej twarzy poznaczonej śladami ospy.

- Przepraszam, towarzyszu... Szczuka obrócił się do niego.

- Wy się wyznajecie w tym wszystkim. Siedzicie w polityce, to wasza sprawa na tym się znać... Chciałem was spytać... zresztą my wszyscy - wskazał ręką na swoich towarzyszy, którzy podeszli bliżej i stanęli ciasnym półkolem - chcieliśmy, żebyście nam powiedzieli, jak to długo będzie trwać?

Szczuka podniósł zmęczone powieki i przekrwionymi oczami rozejrzał się po otaczających go ludziach.

Spojrzenia wszystkich, wyczekujące i skupione, wpatrzone były w niego. Chwilę się namyślał. Wreszcie nieznacznym skinieniem głowy wskazał na leżących nie opodal:

- O tamtych wam chodzi?

- Właśnie o tamtych. Jak długo tacy ludzie będą musieli ginąć? To nie pierwsi.

- Nie ostatni - odparł Szczuka. - Przestrasza was to? Robociarz wzruszył ramionami:

- Mnie? Każdy chce żyć. Ale bać się?

16

- Więc?

Tamten nic zrazu nie odpowiedział, tylko przez dłuższą chwilę patrzył na górującego nad nim wzrostem Szczukę, jakby w wyrazie jego twarzy odnaleźć chciał głębszy sens tego, co zostało powiedziane. Nagle wyciągnął rękę.

- Rozumiem was. Macie rację, towarzyszu. Szczuka mocno uściśniętą podaną dłoń.

- Nie jest to, niestety, racja wesola. Ani łatwa.

- To my wiemy. - I patrząc Szczuce w oczy, powiedział z prostą powagą: - Niech was Bóg ma w swej opiece, towarzyszu.

Szczuka już otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, lecz w tym samym momencie zawahał się i usta zamknął.

- Dziękuję wam - rzekł po chwili. - I was niech Bóg ma w opiece.

Czekając na przyjazd ludzi z Bezpieczeństwa zeszli z Podgórskim ku rzece. Płynęła nie szerokim wprawdzie, lecz głębokim nurtem, na równi prawie z płaskimi brzegami. Spłoszone żaby poczęły gromadnie wyskakiwać z trawy i w ciszy, jaka była, raz po raz klaskały krótki plusk wody.

Szczuka przystanął nad brzegiem, przyklnął oczy i ciężkim ruchem przesunął po czole ogromną dłoń.

Podgórski zauważył to.

- Zmęczeni jesteście?

Zaprzeczył z przyzwyczajenia i natychmiast podniósł powieki. Akurat ogromna ryba zwróciła jego uwagę.

Wyśliznęła się raptownie na środek rzeki i z pluskiem zapadła z powrotem. Szerokie i ruchliwe kręgi rozchodząc się poczęły po powierzchni wody.

- Olbrzym! - mruknął Podgórski. - I niespodziewanie strzelił palcami. - Mam! Przypomniałem sobie, wiecie, pod jakim nazwiskiem Kossecki został aresztowany. Rybicki... A tak mnie to męczyło przez cały czas.

Szczuka, pogrążony we własnych myślach, nie zorientował się w pierwszej chwili, o kogo chodzi.

- Kossecki, Kossecki? Aha! Skąd wam to przyszło? Podgórski roześmiał się:

- Skojarzenie z rybą. Szczuka też się uśmiechnął:

- To rzeczywiście dość proste.

Nagle, żywym jak na siebie ruchem, obrócił się do Podgórskiego:

17

- Zaraz... Jakie powiedzieliście nazwisko?

- Rybicki.

- A imię?

Podgórski zastanowił się:

^

- Ludwik? Leopold? Nie, inaczej jakoś...
 - Leon może?
 - Leon, słusznie! Tak mi się zdawało, że na "I". Znalście go? Szczuka z powrotem odwrócił się do rzeki.
 - Osobiście nie. Musiał być na innym bloku. Nazwisko tylko obito mi się o uszy.
- Druga ryba, mniejsza tym razem od poprzedniej, lecz także duży okaz, wypłusnęła na powierzchnię. Szczuka podniósł łaskę.
- Piękne ryby macie w Śreniawie.

II

Willa Kosseckich stała w ładnym miejscu, na lewym brzegu Śreniawy. Tę nowoczesną dzielnicę, malowniczo rozbudowaną wśród łagodnego, falistego terenu, nazywano w odróżnieniu o :

starej, prawobrzeżnej części miasta Nowym Ostrowcem albo pi prostu Osiedlem. Ta ostatnia nazwa zwyciężyła w końcu i przejęła się jako obowiązująca.

Osiedle było dość rozległe. Oddalone od rynku o kwadrans co najwyżej piechotą, zabudowywać się zaczęło na dobre dopiero kilka lat po pierwszej wojnie światowej, w związku z podjętą wówczas inicjatywą wznoszenia zbiorowych domów spółdzielczych. Różne instytucje, państwowe i samorządowe, rozpoczęły w tym czasie na pustych do tej pory terenach za Śreniawą budowę tanich mieszkań dla swoich pracowników. Te na ogół tandetnie stawiane i szpetne dla oka budynki już przed wybuchem drugiej wojny wyglądały dość żałośnie i chyliły się ku przedwczesnej ruinie. Na szczęście nie one zdecydowały o wygładzie Osiedla. Nagle odkryte, bo dotychczas służące tylko sztubakom za teren wagarów, Zaśreniawie poczęło się natychmiast szybko rozrastać, a gdy minął kryzys, ruch dwolany nabrał większego jeszcze rozmachu i zatrzymany został dopiero przez wybuch nowej wojny. Wytworzył się w Ostrowcu pewnego rodzaju snobizm mieszkaniowy na Osiedlu. Zamożniejsi mieszkańcy miasta - kupcy, fabrykanci, wyżsi urzędnicy i dobrze zarabiający przedstawiciele wolnych zawodów - je-

19

den po drugim budowali na Osiedlu własne wille. Kto nie mógł sobie na własny dom pozwolić, a zarabiał nie najgorzej, również przenosił się na Osiedle. Tam w którejs z licznych willi czynszowych wynająć mógł mieszkanie droższe wprawdzie niż w mieście, za to nowoczesne i w otoczeniu, z którym porównać nie było można ciasnych, zakurzonych i brzydkich ulic właściwego Ostrowca. Przed samą wojną Ubezpieczalnia Społeczna zaczęła stawiać na Osiedlu nowy szpital. Projektowano również budowę ze składek publicznych nowoczesnego kościoła. W związku z planowanym uprzemysłowieniem powiatu ostrowieckiego miasto wchodziło w swój dobry okres. Ale niewiele jeszcze znaków na ziemi zapowiadało, aby szybko zniknęły baraki dla bezdomnych położone przy szosie do cementowni w Białej i aby robotnicy mogli opuścić swoją dzielnicę wilgotnych suterren i mrocznych mieszkań, położoną w najstarszej części miasta na tyłach Starego Rynku. Co prawda, wspomniane baraki, w okolicznościach, których niestety nikt nie zdołał przewidzieć, przestały nagle służyć bezdomnym, stając się częścią składową lokalnego obozu pracy, ale to już inna historia.

Kosseccy przenieśli się do swojej willi na rok zaledwie przed wybuchem wojny. Przedtem - to znaczy w ciągu trzech lat, które przeżyli w Ostrowcu po opuszczeniu Warszawy - mieszkali w śródmieściu, w reprezentacyjnej Alei Trzeciego Maja i w bliskim sąsiedztwie koszar, w których stacjonował głośny pułk ułanów ostrowieckich. Przeprowadzka do własnego domu była dość ważnym wydarzeniem w ich wyrównanym i raczej nieefektywnym do tej pory życiu. Budowa willi kosztowała ich tyle akurat, ile wynosiły oszczędności Kosseckiego jeszcze z jego czasów adwokackich, kiedy zarabiał najpierw wolną praktyką, później - aż do otrzymania nominacji na sędziego w sądzie okręgowym w Ostrowcu - na dość intratnym stanowisku doradcy prawnego szeroko rozbudowanej instytucji spółdzielczej. Wprawdzie przeprowadzce tej nie towarzyszyły żadne zmiany istotniejsze - te chyba, że sędzia do sądu, a obaj jego synowie do gimnazjum musieli dłuższą niż dotąd odbywać drogę - jednak sam fakt posiadania tak zwanego własnego dachu nad głową, własnego ogródka, którego pielęgnacji pani Alicja poświęciła wiele serca i czasu, wreszcie poczucie stabilizacji życiowej, zawsze towarzyszące tego rodzaju sprawom -wszystko to razem w sposób dość wymowny wskazywało, że te wartości i ta solidność, które były podstawą życia obojga małżonków, znalazły w pewnym sensie zadośćuczynienie.

20

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Antoni Kossecki nie był człowiekiem pierwszej młodości. Wprawdzie nie wyglądał na więcej niż na lat czterdzieści, w rzeczywistości czterdziestkę dobrze przekroczył i niewiele go dzieliło od pięćdziesiątki. Był człowiekiem bez wybitnych zdolności i nie należał do gatunku szczęściarzy, których sam los zdaje się nieraz wyręczać w osiąganiu życiowej pomyślności. Nic nie przychodziło mu łatwo i gdy doszedł do pełni sił męskiego wieku, słusznie na podstawie swoich doświadczeń nie ufał karierom zbyt szybkim i olśniewającym,

a do spryciarzy torujących sobie drogę stosunkami odnosił się z pogardliwym lekceważeniem. Był rzetelny, uparty i ambitny i na tych cechach charakteru, jak na solidnych fundamentach, wspierała się jego powoli, lecz stale wznosząca się linia życiowa. Nie było w niej nagłych wzlotów, nie było również niespodziewanych załamań i upadków. Od ludzi, zwłaszcza bliskich, wymagał dużo, lecz tą samą miarą surowości i krytycyzmu oceniał samego siebie i swoje czyny. Tym, którzy go nie znali bliżej, mógł się wydawać nieco oschłym. Jednak przy bliższym zetknięciu zyskiwał i jeśli nie zawsze budził żywszą sympatię (ta bowiem często orniała).. ludzi, których życie jest trudne i nieefektywne), do szacunku zmniejszał nawet swoich przeciwników. Urodził się w ostatnim dziesięcioleciu zeszłego stulecia w drobnomieszczańskiej rodzinie, która od paru pokoleń żyła w miasteczku cukrowniczym na Kujawach. Był najmłodszym z licznej rodziny i być może przykład starszych siostr i braci, którzy ponad pracę w cukrowni i życie rodzinne nie mieli większych ambicji, zachęcił go do szukania innych osiągnięć. Dom rodzinny - wilgotna i mroczna kamieniczka, która na swoich tyłach miała sad i ule - opuścił dość wcześnie, w trzynastym roku życia. Tak się złożyło, że gdy nadszedł czas zdecydowania o przyszłości ostatniego spośród siedmiorga dzieci już dorosłych lub dorastających, stary Kossecki, od czterdziestu lat magazynier cukrowni, przypomniał sobie, że jeden z jego towarzyszy dzieciństwa jest obecnie zamożnym kupcem w Warszawie. Dzięki tej to odległej znajomości Antoni znalazł się pewnego dnia w stolicy - a był właśnie rok 1905 - i został przyjęty na praktykanta do sklepu kolonialnego. Był to, jak się zdaje, pierwszy i ostatni w jego życiu wypadek, kiedy skorzystał z ułatwień protekcji. W zamian za pracę otrzymywał wyżywienie, ubranie i buty raz na rok oraz składane łóżko we wnętrzu mizernego pokoiku, który na fac-

21

jatce przy ulicy Chmielnej, nie opodal ówczesnego Dworca Wiedeńskiego, zajmowali trzech subiekci. Życie na bruku warszawskim nie poskapiło mu trudów. Zobowiązany przez subiektów do wykonywania posług domowych, zrywał się o świcie, zimą w głębokich jeszcze ciemnościach. Czyścił trzem panom buty i ubrania, przynosił z podwórka wodę, nastawiał herbatę, zamiatał i sprzątał, gdy tamci odprawiali za parawanem poranne ablucje, a już na szóstą pędzić musiał na ulicę Wielką do sklepu, którego rozległy i skomplikowany mechanizm poznawał na razie od strony zajęć najniższych: posług i posyłek. Trzy razy w tygodniu siedział w sklepie do zamknięcia, gdzieś do późnej godziny jedenastej, w trzy dni pozostałe zwalniano go wcześniej, aby mógł chodzić na wieczorne kursy handlowe. Ale cóż to była za nauka! W dniu powszednie subiekci nie pozwalali mu palić lampy, gdy chciał się nocami uczyć. Pozostawały soboty. Na niedzielę jeden z subiektów, cichy i na płuca chory pan Józef, jeździł do matki na Marymont, a dwaj pozostali, pan Edmund i pan Teoś, sprowadzali do siebie dziewczęta. Wnękę, w której się gnieździł Kossecki, zasłaniano brudnym prześcieradłem i poza tą osłoną Antoni, zatkawszy uszy piściami, mógł swobodnie do późnej nocy ślezczyć nad książką.

W ten sposób przeszły mu trzy długie lata życia. Wyniósł z nich szacunek dla pieniędzy, szacunek dla czasu i pogardliwy stosunek do łatwych uciech miłosnych. Po trzech latach poczuł się na tyle dojrzały, aby na własną rękę zacząć życie, którego ideał już wtedy począł się w nim krystalizować. Gdy z powodu śmierci biednego pana Józefa miał szansę awansować na subiekta, porzucił sklep i wnękę na facjatce, a ponieważ miał zaoszczędzonych kilkanaście rubli, wynalazł tanią stancję na Powiślu u pewnej wdowy po urzędniku akcyzy i po paru miesiącach uporczywego uczenia się dniem i nocą na tyle wyrównał braki, że w sposób niewybitny wprawdzie, lecz zadowalający zdał egzamin do piątej gimnazjalnej. Dopiero po tym fakcie powiadomił rodzinę o zmianach zaszłych w jego życiu. Ojciec od roku nie żył, zatem od matki otrzymał list z błogosławieństwem i dziesięć rubli. Były to pierwsze i ostatnie pieniądze, jakie dostał z domu. Czasem przez okazję przysyłano mu nieco prowiantów: miód, chleb domowy, masło. Przeważnie głodował.

Był niezgrabnym, o zbyt długich rękach i szorstkiej czuprynie chłopakiem w wyrośniętym i znoszonym mundurku. Nie umiał

22

być lekkomyślny. Nie umiał być miły. Nie umiał się bawić. Nie miał przyjaciół. Nauka szła mu opornie. Jeśli się jednak raz czegoś nauczył, pamiętał to dobrze. Gdy się przygotowywał do matury, umarła matka. Miał do wyboru: natychmiast jechać na pogrzeb lub jeszcze raz przerobić całą trygonometrię, w której nie był zbyt mocny. Wybrał trygonometrię. Rodzinnego miasteczka nigdy więcej nie odwiedził. Nie interesował go los siostr i braci. Ich, już pożenionych i dzieciatych, nie obchodził los jego. Poszedł swoją własną, odrębną drogą i jeśli wracał kiedykolwiek do dzieciństwa i wczesnej młodości, to po to tylko, aby ocenić długość drogi, jaka go od tych odległych lat dzieliła. Dzięki jej rozmiarom mógł potwierdzać w sobie i umacniać wiarę we własne możliwości i w przyszłość.

Już w szóstej gimnazjalnej postanowił zostać znakomitym adwokatem. Od zamiaru tego nie odstąpił, chociaż i w chwili zapisywania się na prawo, i w ciągu studiów nie zdradzał żadnych wybitniejszych, a nawet przeciętnych uzdolnień w tym kierunku. Pamięć miał średnią i oporną, wymowę raczej złą, lecz zdając sobie z tych niedociągnięć sprawę, wkładał wiele mozolnej pracy w przezwyciężenie wrodzonych braków.

Ostatecznie po kilkunastu latach, gdy niejeden z jego uniwersyteckich kolegów osiągnął już sławę lub wysokie państwowe stanowisko, Kossecki do szedł do wyników, które zjednały mu opinię solidnego adwokata. a później równie uczciwego i na zaufanie i szacunek zasługującego sędziego. Tę opinię cenił wysoko. Należał do rzadkiego gatunku ludzi, których własne trudności i osobiste braki uczą cenić wartości istotne. Niejeden z jego ambicjami uwikłałby się w końcu w rozgoryczeniu i zawiści. Kosseckiemu obce były i gorycz, i zawiść.

W czasie studiów borykał się z dużymi trudnościami materialnymi. Nie pozbył się ich zresztą i później, gdy zdał magisterium. Trwała już wtedy pierwsza wojna światowa, lecz przemiany, które rodziły się i dojrzewały wśród bitew, nie zaznaczyły się poważniejszym śladem w życiu Kosseckiego. Zyskawszy zaufanie jednego ze znanych warszawskich adwokatów, znalazł w jego kancelarii zatrudnienie i w ten sposób na obcowaniu z aktami oraz poznawaniu kuluarów sądowych zeszyły mu lata następne - aż do chwili, gdy w okresie wyprawy kijowskiej powołany został do wojska. Odbył całą kampanię dzieląc jej zmienne koleje wraz z przygodnymi towarzyszami. Był lekko ranny, z szeregowca awansował na starszego żołnierza, otrzymał nawet jakieś pomniejsze odznacze-

23

nie i, zwolniony z wojska z początkiem roku dwudziestego pierwszego, wrócił do aplikantury. Niebawem ten krótki epizod przestał znaczyć w jego życiu. Usunęły go w zapomnienie inne wydarzenia, tym razem osobiste i decydujące.

Zerwał na koniec z aplikanturą i założył skromną, lecz własną kancelarię, co było faktem równie doniosłym, jak w swoim czasie decyzja porzucenia sklepu kolonialnego. W tym samym również czasie - miał podówczas trzydzieści jeden lat - założył rodzinę żeniąc się rozsądnie i praktycznie z niejaką panną Alicją Skorodyńską. Była to młoda dziewczyna, repatriantka z Ukrainy, gdzie rodzice jej, kresowi szlagoni, mieli drobny mająteczek w okolicach Białej Cerkwi. Ponieważ ojca straciła jeszcze w czasie wojny, a z matką, ofiarą tyfusu, rozstała się na zawsze na pogranicznym punkcie repatriacyjnym, w Warszawie znalazła się zupełnie samotna i bez środków do życia. W małżeństwo z początkującym adwokatem, starszym od niej o dziesięć blisko lat i mało atrakcyjnym jako mężczyzna, nie włożyła większego uczucia. Wniosła jednak w posagu zdrowe ciało, panięńską urodę, umysłowość przeciętną, lecz popartą dobrą wolą, charakter zgodny i tę jeszcze odrobinę rezygnacji, która istotom nieporadnym i trochę przez los pokrzywdzonym ułatwia przystosowanie się do życia. Marzyła wprawdzie o losie bardziej efektywnym, lecz gdy przypadł jej umiarkowany - przyjęła go za własny. Zresztą przyznać trzeba, że i najbliższa przyszłość, i lata dalsze nie przyniosły jej rozczarowań. Należała do gatunku kobiet domowych, więc życie rodzinne, uregulowane i bez wstrząsów, zabierało jej dość czasu i starań, aby wśród codziennych drobnych kłopotów i drobnych radości uodpornić mogła umysł i serce na pokusy i pragnienia wykraczające poza te dary życia, które się stały jej udziałem. Mimo różnych trudności materialnych nie zaznała biedy. Nie zaznała również do pewnego momentu dotkliwych cierpień. Ze strony męża otrzymywała więcej dowodów przywiązania, niż mogła się ich była spodziewać. Urodziła dwóch zdrowych synów, mąż jej nie zdradzał, doczekała się tytułu sędziny i związanej z tym tytułem sytuacji towarzyskiej, miała służącą i futro, na koniec własną willę... czegoż, na Boga, chcieć mogła jeszcze! Lecz teraz wszystko to należało do przeszłości. Ilekroć w ciągu ostatnich miesięcy zdarzyło się pani Alicji odbywać tak dobrze znaną drogę z miasta na Osiedle, zawsze ją ogarniały sprzeczne i bardzo powikłane uczucia. Aż któregoś

24

dnia, przystanąwszy zmęczona na moście - było już przedwiośnie i dzień słoneczny o łagodnym, odurzającym powietrzu - nagle, dla siebie samej niespodziewanie, uświadomiła sobie, że chyba nigdy już nie będzie jej dane wracać do domu wśród takiego spokoju, jaki towarzyszył jej powrotom dawniej.

Nie spędziła na Osiedlu wielu lat życia, przeciwnie - jeden zaledwie krótki rok. Lecz czas poprzedzający katastrofę liczy się nie ilością miesięcy, lecz rozległą miarą późniejszych cierpień i strat. Więc i pani Alicja we wspomnieniach przede wszystkim żyła się z Osiedlem. Miała ostatecznie pięć prawie lat czasu, aby tamten króciutki okres sprzed samej wojny nasycić głębokim zadomowieniem.

Tak się złożyło, że przymusowa ucieczka sędziego zbiegła się z akcją wysiedlania Polaków z Osiedla. Pani Alicja została w Ostrowcu tylko ze starą Rozalią, służącą jeszcze z czasów warszawskich, i z młodszym synem, Aleksandrem, którego, zapewne z nie wygasłego sentymentu do swoich rodzinnych stron, nazywała z rosyjska Alkiem. To zdrobienie przyjęło się w całej rodzinie. N.i-tomiast starszego z chłopców, szesnastoletniego podówczas Andrzeja, ze względu na jego bezpieczeństwo ojciec zabrał ze sobą do Warszawy.

Wysiedlanie odbywało się w tempie błyskawicznym. Zostaw[^] no mieszkańcom trzy zaledwie godziny na spakowanie się, pozw. i łajac zabrać ze sobą tylko najniezbędniejsze rzeczy osobiste. Pr} każdym prawie powrocie do domu, jak gdyby ukryty wśród znanego otoczenia i niecierpliwie oczekujący wywołania, przypominał się pani Alicji ów dzień późnej jesieni, kiedy musiała opuścić swoją willę. Zmierzczało, mżył

deszcz i gęsta, wilgotna mgła zapadała wraz z mrokiem. Na rozkaz Niemców wille były oświetlone. Ze wszystkich stron niesły się krzyki żandarmów i żołnierzy przeprowadzających akcję. Wśród tych chrapliwych głosów i przy poświęcie, która z jasnych i pustoszejących wili sączyła się poprzez mgłę, ciemne gromadki ludzi uginających się pod tobołami schodziły w milczeniu ku Śreniawie. Tam, już w ciemnościach, zanośli się cienkim płaczem dziecko.

Przez kilka pierwszych miesięcy mieszkała pani Alicja kątem u znajomych. W tym właśnie czasie przyszła wiadomość o dość przypadkowym aresztowaniu Antoniego. Andrzej nie wrócił. Zdażył się już w Warszawie zadomowić. Zarabiał i podobno się uczył. Potem wywieziono Antoniego do Gross-Rosen. Ponieważ ze zro-

25

zumiałych względów bał się zdradzić ze swoim prawdziwym, skompromitowanym nazwiskiem, nie otrzymywała od niego wiadomości bezpośrednich. Szły przez Andrzeja, skąpe i nieczęste. Żył. Jeszcze potem - czas nie upłynął długi, lecz dla tych, których dręczył, wydawał się latami - w związku z utworzeniem w Ostrowcu getta przydzielono Kosseckiej mieszkanie pożydowskie, dzięki czemu za ostatnie oszczędności mogła nabyć warsztat tkacki i zacząć zarabiać na skromne utrzymanie. Tak się w tych czasach działo, że korzyść jednych ludzi zawsze prawie dokonywała się kosztem czyichś strat. Bogactwo wzrastało na nędzy, uprzywilejowanie na krzywdzie, a życie, samo życie nawet w swojej przypadkowości wspierało się, niepewne i od trzciny kruchsze, na nieznanym zgonach.

Od czasu do czasu wąty budżet tkackiego warsztatu ratowała Rozalia wyprawami na wieś po żywność. Później, gdy pobita raz przez żandarmów zapadła na zdrowiu na dłuższy okres, podróże za tak zwanym szmuglem wzięła na siebie pani Alicja.

Tymczasem Osiedle szybko zmieniło się w dzielnicę niemiecką. Najlepsze wille pozajmowali dla siebie miejscowi dygnitarze, gestapowcy, wojskowi i wyżsi urzędnicy, w pozostałych domach rozlokowała się ewakuowana z bombardowanych Niemiec ludność cywilna, a w starych blokach spółdzielczych, odnowionych i przebudowanych, zakoszarowano Hitlerjugend. Przez cały czas okupacji pani Alicja nie zajrzała na Osiedle. Przesuwały się jesienie i wiosny. Każda wiosna, dopóki była odległa, zdawała się zapowiadać koniec wojny. Gdy mijała, nadzieje zawiedzione na niej zwracały się ku następnej. Okazywało się, że wśród cierpień zbyt okrutnych i wobec nieustannie grożącej zagłady łatwiej ludziom podzielić czas na rozczarowania niż zmierzyć czas nadziei całkowitą prawdą czasu.

Antoni żył, lecz wiadomości od niego były coraz radsze i lakoniczniejsze. Alek z jedenastoletniego chłopca, którym był w chwili wybuchu wojny, stał się nagle dojrzałym chłopakiem. Wchłonięty przez Warszawę Andrzej w parę tygodni po upadku powstania zjawił się pewnego dnia w wiadomym mieszkaniu pożydowskim. Zmieniły go te lata. Pani Alicji wydał się zawstydzająco obcym. Mało, nic prawie o sobie nie mówił, lecz ze swymi długimi butami, wychudzoną, pociemniałą twarzą, śmiechem cynicznym i ruchami nie pasującymi do ścian obitych niebieską tapetą w różowe kwiaty, wniósł niepokój tego całego obcego świata,

26

w którym spędził był kilka lat i którego wiele nadziei, wzlotów i klęsk musiał zapewne doświadczyć. Zresztą niedługo został na miejscu. Z początkiem listopada, gdy naszła na Ostrowiec nowa fala obław i aresztowań, Andrzej zapadł się w głąb ostrowieckich lasów. Aż wreszcie...

Front zbliżył się do Ostrowca gwałtownie i niespodziewanie. Ponieważ na Śreniawie usiłovali Niemcy stawić opór, w ciągu dwóch dni i nocy miasto znalazło się pod ostrzałem artyleryjskim. Trzeciego dnia o świcie zahuczały katusze i równocześnie od strony Białej i od strony Osiedla poczęła Armia Czerwona forsować rzekę. W południe pierwsze czołgi sowieckie wjeżdżały do Ostrowca.

Pani Alicja wprost nieomal z piwnicy pobiegła na Osiedle. Miasto, podpalone w ostatniej chwili przez uciekających Niemców, stało w ogniu i dymach. Płonął rynek, koszary, gmach więzienia oraz ulica Ogrodowa, gdzie miało swoją siedzibę gestapo. Był duży, trzaskający mróz przy niebie słonecznym i wyiskrzonym. Nikt ognia na razie nie gasił. Brakowało wody. Ale wszystka prawie ludność wyległa na ulice. Płakano. Rozbijano i rabowano sklepy. Przed składami Monopolu spirytus z rozbitych kadzi płynął rynsztokami, zalewając niebieskawym strumieniem trupy dwóch nagich niemieckich żołnierzy. Krzyki pijanych mieszały się z grzechotem automatów i suchym klaskiem pojedynczych wystrzałów. Cały horyzont w stronie zachodu dygotał jednostajnym i głuchym dudnieniem artylerii.

Różne obrazy z tego dnia powracały ku pani Alicji równie wyraźne i natarczywe, jak wyraźna i uporczywa żyła w niej pamięć o tamtym, dawniejszym dniu jesiennym. Ileż razy, przechodząc przez most na Śreniawie, przypominała sobie żołnierzy sowieckich, którzy nie chcieli jej przepuścić na drugą stronę. Od zamarznętej rzeki dmuchał lodowaty wiatr. Głównym traktem bez przerwy ciągnęły czołgi, kolumny zmotoryzowane, motocykle, artyleria. Wreszcie, dzięki dobremu akcentowi rosyjskiemu, udało się jej przedostać na Osiedle. Wśród huku i szczeru toczącego się żelastwa wspinała się pod górę, chwilami biegła prawie. Co chwila zaczepiali ją i zatrzymywali żołnierze. Skrzypiał śnieg. Kłęby pary buchały od ludzi. W kilku miejscach, w poprzek trotuaru, leżały zabite konie. Dalej zagradzały drogę porozrywane zasieki, opustoszałe rowy

przeciwczołgowe. Przy pierwszych domach trzeszczało pod nogami szkło, w powietrzu fruwały białe tumany pierza. Nie

27

opodal wygrywano na harmonii rytmiczną piosenkę wojenną. Potem przyszła noc.

Pani Alicja zabarykadowała się w swojej willi, lecz ani na chwilę nie zasnęła. Szyb nie było i pomimo zamkniętych okiennic wiatr gwizdał po pokojach. Bała się zapalać światła. Ciągłe dobijali się różni żołnierze. Ich krzyki i śpiewy rozbrzmiewały w ciemnościach. Raz po raz serie wystrzałów rozdzierały niespokojną noc. Nad Ostrowcem stała olbrzymia luna. W jej nieruchomej głębi, jak gdyby na dnie płonącej nocy, dygotał nieprzerwany pogłos dział.

III

Teraz była wiosna i czas najpiękniejszy. Świeża, majowa zieleń, białymi obłokami kwitnących drzew wzniesiona lekko ponad ziemią, skrywała na pierwszy rzut oka wojenne zniszczenia. Ale pani Alicja na pamięć znała okaleczenia swego domu. Myślała o nim tak prawie, jak się myśli o ciężko chorym człowieku. Cały jego organizm, niegdyś sprawny i uregulowany, uległ teraz rozprężeniu i wymagał troskliwej i wszechstronnej kuracji. Z konieczności natomiast, z braku pieniędzy, poddawano go tylko zabiegom dorywczym.

Najpierw, jeszcze przy największych mrozach, popękały rury wodociągowe. Szyb nie było za co wstawić. Nie opalane mury nasiąkały wilgocią. Mnóstwo drobnych uszkodzeń domagało się natychmiastowej reperacji. Przeciekał dach i dwa pokoje na górze przedstawiały obraz zupełnego zniszczenia. Na zewnątrz, poznaczony odpryskami pocisków, z oknami zabitymi dyktą i z postrzępionym dachem, jakżeż opłakanie wyglądał ten wypielęgowany niegdyś dom!

Pani Alicja całe dni spędzała przy warsztacie tkackim, lecz pomimo dużego popytu na wyroby samodzielne nie mogła wszystkim brakom zaradzić. Chwilami ogarniało ją tak wielkie znużenie, że nie znajdowała w sobie dość sił, a co najgorsze - dość chęci, aby przełamać ogarniające ją zniechęcenie. Jeśli do tej pory żyła napięciem nerwów, teraz, gdy już nie musiała spędzać dni

29

i nocy na przeciwstawianiu się uczuciom bezustannego zagrożenia, coraz częściej popadała poczęła w stan wewnętrznej pustki. Czasem, zdjęta nagłym przerażeniem, wyrwała się z tego odrętwienia i w gorączkowym, niespokojnym mnożeniu przed samą sobą przeróżnych obowiązków i zajęć szukała ratunku. Ale tych obowiązków i zajęć miała tak wiele, że wśród rozpętanej pracowitości opadały jej ręce. Bo ku czemu to wszystko ostatecznie prowadziło, ku jakiemu życiu, ku jakiej przyszłości? Przeszły wprawdzie lata najgorsze, lecz teraz, u samego początku nowych dni, okazało się, że tamte lata tyle zburzyły, tylu dokonały spustoszeń i tak człowieka przygniotły i uczyniły go obolałym, że ich siła niszczycielska, jak gdyby jeszcze nie zaspokojona, przekroczyła granicę wydarzeń, zatruwając sobą nawet przyszłość, która do tej pory w najcięższych chwilach wspierała wbrew wszystkiemu nadzieję.

Jak zwykle obeszła dom dokoła i zapukała do drzwi kuchennych. Dzwonek od frontu nie działał i przygłucha Rozalia nie zawsze dosłyszeć mogła odległe stukanie. Pani Alicja ciągle się nosiła z zamiarem dorobienia większej ilości kluczy od drzwi frontowych, na razie były tylko dwa i oba mieli chłopcy.

Rozalia otworzyła po dłuższej chwili. Była to tęga, sześćdziesięcioletnia kobieta, o ogromnej, czerwonej twarzy, małych oczach, siwa i gładko uczesana. Jak wszyscy przygłusi mówiła bardzo głośno.

- Był kto? - spytała pani Alicja.

Okazało się, że przychodziła pani Staniewiczowa, jeszcze w czasach przedwojennych zaprzyjaźniona z Kossekimi majorowa, towarzyszką pani Alicji w wyprawach po słoninę i nabią.

- Dawno?

- A z godzinę będzie! - wykrzyknęła Rozalia. - Ale zaraz poszła sobie. Pan sędzia nie chciał przyjąć.

Pani Alicji zrobiło się przykro. Poczuli się jednak zobowiązani do solidarności:

- Pan jest bardzo zmęczony. Potrzebuje spokoju, to dlatego. Rozalia wzruszyła ogromnymi ramionami.

- Pewnie, że dlatego. Czy ja sama nie wiem? Pewnie, że musi mieć spokój.

Pani Alicja przeszła do hallu. Był pusty, ciemny i obcy. Za nią podążyła Rozalia.

- Tylko pani Staniewiczowa była?

30

- Fabiański wełnę przyniósł.

- Przyniósł? - ucieszyła się pani Alicja. - To doskonale! Gdzie jest?

- Poszedł.

- Ależ nie Fabiański, Rozalio! Pytam, gdzie jest wełna?

- Wełna? A skąd ja mogę wiedzieć - obrazila się tamta. -Zabrał.

- Jak to, zabrał?
 - Powiedział, że nie może zostawić, bo musi zaraz dostać pieniądze.
 Pani Alicja załamała ręce.
 - Boże, cóż to za nieużyty człowiek! Przecież zawsze zaraz mu płacę.
 - Mówiłam, że płacimy zaraz.
 - I co?
 - Powiedział, że jak pani nie ma, to nie może zostawić, bo potrzebne mu pieniądze natychmiast.
 - Ach, Boże, Boże! - zmartwiła się pani Alicja. - Tak teraz trudno o tę wełnę...
 - Ale powiedział, że ma jeszcze w domu drugą. Tylko droższą. Po trzy tysiące.
 Pani Alicja zastanowiła się:
 - Trudno, trzeba będzie wziąć tę droższą. Tylko zaraz, bo jutro może się okazać jeszcze droższa.
 - Pewnie, że może. Powiedział, że na pewno zdrożeje.
 - Fabiański tak powiedział? A cóż to za człowiek! I nagle ogarnęła ją gorączka działania.
 - Rozalia musi zaraz pójść do Fabiańskiego. Tylko prędko.
 - Mogę pójść. Nie ma wiatru?
 - Skądże wiatr? Śliczna, ciepła pogoda... Zaraz dam Rozalii pieniądze. Niech Rozalia idzie.
 Przeszły z hallu do pokoju sypialnego.
 Przed wojną sypialnia Kosseckich mieściła się na górze, jednak ze względu na przeciekający dach trzeba ją było przenieść na dół wraz z obcymi, poniemieckimi meblami. Te meble były zmorem pani Alicji. Kierownik Arbeitsamtu, który zajął w swoim czasie willę Kosseckich, zgodnie z niemiecką manią przebudowywania urządził cały dom według własnych, nie najlepszych zresztą upodobań. Ze wszystkich kątów wyzierała teraz obcość. Pani Alicja, mając wyraźnie i w najdrobniejszych nieomal szczegółach zaryso-

31

ray w pamięci obraz urządzenia dawnego, nie mogła się oswoić owym, cudzym porządkiem. Przemeblowała wprawdzie pokoje, ładuła wszystko po swojemu, lecz włożywszy w tę pracę wiele siły nie włożyła w nią serca. Nie czuła się u siebie. Ilekroć na przykład wchodziła do pokoju sypialnego, zawsze już na samym jego odpychał ją krzykliwy luksus ogromnego tapczanu, szerokie szafy, miękkich foteli i kutego żyrandola. Całość przypomina nudny szablon komfortowego hotelu. Rozalia zatrzymała się we drzwiach.

- A starczy nam pieniędzy?
 - Jakżeż może nie starczyć? - zdziwiła się pani Alicja. - przecież dostałam wczoraj cztery tysiące za ten nowy kupon szafielony...

Rozalia nieprzychylnie spojrzała na swoją panią małymi oczami:

- To ja nic o tym nie wiem. Mnie pani nic nie powiedziała.
 - Jak to Rozalii nie powiedziałam? Wczoraj wieczorem nie witałam? Stara obraziła się na dobre:
 - Taka głucha chyba nie jestem, żeby nie słyszeć, co pani mówi.

W pierwszej chwili pani Alicja chciała obstawać przy swoim, z spojrzawszy na Rozalię rozmyśliła się.

- No więc dobrze, dobrze. Może rzeczywiście zapomniałam...
 - Pewnie, że pani zapomniała.
 - W każdym razie pieniądze są.

Otworzyła niemiecką, jak ją w nieprzyjaznych myślach nazywała, szafę i spomiędzy chłodnych, równo poukładanych prześciejeł wydobyła stary, jeszcze ojcowski portfel, w którym od lat układała przechowywać pieniądze na bieżące wydatki. "Mój lże, ileż on, biedaka, przeszedł!" - pomyślała ze wzruszeniem. Ta to, poza fotografiami, jedyna pamiątka, jaka jej pozostała u rodziców. Otworzyła portfel i w tym momencie zamarła. Była tam...

Przez parę sekund stała bez ruchu, odrętwiała. Czuła tylko, jak płynęły krople potu występującej jej na skroniach. Sprawdziła jeszcze we wszystkich przegródkach. Nic. "Tylko spokój, spokój..." - pnęła sama do siebie. Poczęła przypominać sobie, jak wczoraj wzięła otrzymane pieniądze i jak dzisiaj, idąc do miasta, wyjęła imi pięćsetek jedną na drobne sprawunki, pozostałe siedem

32

z powrotem chowając na miejsce. Nie, nie mogła się pomylić. Jednak dla pewności, drżącymi już rękoma przerzucała poczęła prześcieradła, a gdy niczego wśród nich nie znalazła, zabrała się do przeszukiwania całej półki.

Tymczasem Rozalia, która nie mogła dostrzec, co robi Kossecka zasłonięta drzwiami szafy, zniecierpliwiła się.

- Proszę pani, bo jeżeli mam iść zaraz... tylko patrzeć i będzie ciemno...
 - Już, już Rozalio! - powiedziała zza drzwi nienaturalnie głośno. - Niech się Rozalia idzie ubierać.

- A pieniądze?

Pani Alicja ścisnęła dłońmi skronie.

- Czy pan Andrzej jest w domu?

- Że co pan Andrzej?

- Czy jest w domu, pytam.

- A jest, owszem. Wrócił niedawno. Panowie jacyś do niego przyszli.

Pani Alicja zawahała się:

- A Alek?

- Alek? A bo on jest kiedy w domu? Poleciał, zaraz jak pani wyszła.

Przez chwilę panowała cisza.

- Więc co mam robić? - odezwała się Rozalia. - Bo już sama w końcu nie wiem...

- Powiedziałam przecież, niech się Rozalia ubiera. Zaraz przyniosę pieniądze.

Gdy tamta wreszcie wyszła, pani Alicja zamknęła szafę. Ale ledwie od niej odeszła, natychmiast zawróciła i z powrotem drzwi otworzywszy, raz jeszcze przekładać poczęła prześcieradła. Daremnie. Więc znowu szafę zamknęła. W jej dużym lustrze, nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia zobaczyła naraz swoją pobladałą, postarzałą twarz i przez moment sama się przeraziła cierpienia, które ujrziała w swoich pociemniałych oczach. Machinalnie podniosła ręce i poczęła poprawiać włosy. W całym domu panowała taka cisza, jakby nie było w nim nikogo. Z przyległego pokoju, który miał teraz służyć Antoniemu za gabinet, nie dobiegał żaden odgłos. Na dworze, w ogrodzie, wesoło świergotały ptaki.

Odwróciła się od lustra i już chciała wyjść, gdy wzrok jej padł na stojącą przy tapczanie fotografię Alka. Było to bardzo dawne zdjęcie, z owych odległych czasów, kiedy mały miał trzy la-

33

ł. Siedział na tym zdjęciu na kamiennych, słońcem oświetlonych phodkach, w letniej koszulce i króciutkich spodenkach, prawą łczką obejmując zgiętą po dziecinnemu w kolanie nogę. Był wte-y uroczym dzieckiem o jasnych, kędzierzawych włosach i okrąg-fj buzi niewinnego aniołka. Przypomniało się jej nagle, że tego irnego lata, kiedy robione było to zdjęcie, w związku z wypadnię-iem z gniazda dwóch małych bocianiątek Alek przeżył pierwszy ivój wielki dramat. Przez wiele godzin nie mogła uspokoić jego dochu, w nocy zrywał się z wielkim krzykiem i przez sen żałośnie opłakiwał, a potem jeszcze długo, długo, zimą jeszcze, wracał iejednokrotnie w rozmowach do biednych, jak mówił, "bonia-iątek". Tyle lat od tamtych czasów minęło, a przecież ledwie ścisnęła powieki, aby powstrzymać napływające jej do oczu pie-ące lzy, poczuła przez moment w swoich pustych ramionach ciep-5 dziecięcego ciała i ten sam dreszcz wzruszenia, miłości i bez-adnego smutku, jaki przenikał ją był wówczas poprzez rozdzie-ający szloch.

Opanowała się i szybko wyszła z pokoju. Już na schodach iobiegły ją dochodzące z pokoju Andrzeja głosy. Zawahała się, ecz tylko przez moment. Ledwie bowiem pomyślała, że Rozalia może się dowiedzieć o zniknięciu pieniędzy, natychmiast przeła-lała w sobie odruch oporu.

Jedyny nadający się do mieszkania pokój na górze zajmował Uek, dzieląc go teraz z Andrzejem, gdy ten w marcu powrócił był leśnej partyzantki. Kilka młodych, męskich głosów prowadziło fośną, trochę kłótnię przypominającą rozmowę.

- Maciek zaczął pierwszy. To przez ciebie, idioto!

- Sam jesteś idiota!

-Te, te, uważaj...

- O, rany boskie, czego wy ode mnie chcecie, do cholery? ikąd ja mogłem wiedzieć? Godzina się zgadzała, wóz taki sam...

Gwar podnieconych głosów zagłuszył mówiącego. Wtem idezwał się nowy głos:

- Spokojnie, chłopcy! Po pierwsze, trochę ciszej. Nie jesteśmy f lesie...

Teraz się dopiero zorientowała, że to głos syna. Mówił dalej, iż w zupełnej ciszy:

- ...po drugie, nikt z was nie jest winien osobno. Jesteśmy wszyscy winni, ponieważ byliśmy razem i razem spartaczyliśmy ałą robotę...

34

Gdy pani Alicja zapukała, w pokoju zaległa cisza. Po chwili dobiegł ją swobodny, z akcentem na ostatniej sylabie, głos Andrzeja:

- Proszę!

Wolała jednak nie wchodzić do środka. Już chciała na syna zawołać, gdy drzwi się otworzyły i stanął w nich Andrzej, jak zawsze w swoich długich butach, bez marynarki, w rozpiętej na piersiach koszuli z krótkimi rękawami. Był wysoki, jasnowłosy, z mocnej budowy podobny do ojca. Wewnątrz pokoju szaro było od dymu papierosów.

- Ach, to mama! - zdziwił się lekko i wyszedł poza próg. -Mam paru kolegów u siebie...

- Wiem, wiem - przerwała mu pośpiesznie. - Nie będę ci przeszkadzać, kilka tylko słów... Ale zamknij drzwi,

dobrze? Usłuchał.

- Cóż się stało?

- Mam prośbę do ciebie - zaczęła nieśmiało. - Muszę kupić trochę wełny, wiesz, do mego warsztatu...

- I brakuje mamie pieniędzy?

Zaczerwieniła się, lecz na schodach zbyt było mroczno, aby Andrzej mógł dostrzec jej zmieszanie.

- Tak się złożyło. Gdybyś więc mógł...

- Ależ oczywiście! Jaka też mama jest... Tyle przecież razy mówiłem mamie, żeby już raz dać sobie spokój z tym całym warsztatem. Przecież ja mam pieniądze, tylko mama robi zawsze ceregiele.

- Już niedługo, niedługo - odpowiedziała wymijająco. - Jak ojciec zacznie zarabiać...

Andrzej lekceważąco machnął ręką:

- Ech, co tam ojciec może zarobić! Ale jak mama chce. Ile mamie potrzeba, pięć tysięcy, dziesięć? Spojrzała na niego z przestachem.

- Ale skądże tyle? O wiele mniej... Trzy.

- Trzy tylko? Jest też o czym mówić? Już służę mamie. Sięgnął do kieszeni spodni i niedbale wyciągnął gruby plik pięćsetek. Trzymając je w garści, spojrzał na matkę.

- Naprawdę nie trzeba mamie więcej?

Była tak ilością tych pieniędzy w rękach syna zaskoczona i oszołomiona, że nie dosłyszała jego pytania.

Wiedziała, że Andrzej nie miał stałego zajęcia, zresztą na żadnej posiadzie niepodobna było obecnie zarobić tylu tysięcy.

35

- Moje dziecko... - zaczęła niepewnie - to nie są chyba wszystkie twoje pieniądze?

- Nie moje? - uśmiechnął się chętnie. - Dlaczego? -I dopiero uchwyciwszy badawcze spojrzenie matki poczerwieniał |i umknął oczami w bok. - Mama myśli, że tu jest tak dużo pie-łiedzy? To się tylko tak na oko wydaje.

Odliczył szybko sześć banknotów i podał matce.

- Proszę, trzy.

- Dziękuję ci - szepnęła.

I pełna wątpliwości i niepokoju jeszcze raz zaczęła:

- Moje dziecko...

Jednak wydał się jej w tym momencie tak obcy i tak w tej swo-|jej obcości nieprzystępny, że nie dokończywszy zdania umilkła. | Przez chwilę miała wątplą nadzieję, że zrozumie ją i zdobędzie się | na szczery, bodaj trochę życzliwy i ciepły odruch. Ale nie zasko-| czył jej oschły ton krótkiego i rzeczowego:

| - Słucham?

| - Już nic, nic - powiedziała pośpiesznie. - Nie przeszkadzaj |sobie, już idę. Dziękuję ci.

Andrzej wsunął obie dłonie w kieszenie spodni.

- Nie ma za co! Drobiazg.

Zaczęła wolno schodzić na dół, przytrzymując się poręczy, tak się nagle poczuła niepewna swoich sił. Słyszała jednak, że Andrzej luźszą chwilę stał na schodach. Dopiero w hallu dobiegło ją zaśnięcie drzwi. Rozalia już czekała na nią w kuchni, ubrana do wyjścia, z wiel-| czarną torbą pod pachą. Głowę miała szczelnie owiniętą ciepłą ełnianą chustką. Otrzymawszy pieniądze wsunęła je natychmiast »stanik.

- Po cóż się Rozalia tak ciepło ubrała? - zdziwiła się pani Jicja. - Przecież to nie zima. Stara wzruszyła ramionami:

- Już ja wolę nie rezykować. Teraz jest ciepło, a za godzinę aoże być ziąb. Zerwie się wiatr i znowu mi głowę wydmucha...

W miarę postępujących lat coraz więcej dbała o swoje drowie.

- To niechże przynajmniej Rozalia weźmie jakąś lżejszą hustkę - poradziła pani Alicja. - Do czego to podobne, w maju / wełnianej chustce?

Rozalia obrazą ucmocniła się w swojej słuszności.

36

- Do czego to podobne? Ja, proszę pani, jedno wiem: jak się człowiek cudem boskim przez tę wojnę cało uchwował, to teraz musi się szanować. Do tego to podobne!

I głębiej nasunawszy chustkę na czoło i policzki, wyszła. Po chwili stuknęła za nią furka.

Pani Alicja z przyzwyczajenia zaczęła się krzątać po kuchni. Domknęła kredens, który się ciągle otwierał, zmiotła ze stołu okrucy chleba, mocniej przykręciła obłuzowany kran nad zlewem, koszyk z jarzynami

wsunęła głębiej pod stół. Aż nagle, wśród tych machinalnie wykonywanych zajęć, poczuła takie znużenie, że musiała przysunąć sobie stołek i usiąść. Natychmiast stała się w kuchni zupełna cisza. Tylko w zlewie plaskały od czasu do czasu pojedyncze krople.

O niczym nie myślała, lecz tak się w tę swoją pustkę wewnętrzną zapadła, że nie dosłyszała, jak w pewnej chwili skrzypnęły drzwi i cicho, prawie bezgłośnie wszedł do kuchni Antoni. Dopiero na odgłos bliskich kroków drgnęła i poderwała się w popłochu, pewna w pierwszej chwili, że wszedł człowiek obcy. Ujrawszy Antoniego odetchnęła z ulgą. Ale serce biło jej tak mocno, że z powrotem usiadła.

- Boże, jak ja jestem teraz nerwowa! - usprawiedliwiła się drżącym nieco głosem. - Myślałam, że ktoś obcy wszedł...

Kossecki rozejrzył się po kuchni szybkim i umykającym spojrzeniem.

- Nie ma Rozalii?

- Przed chwilą wyszła do miasta. Chciałeś co od niej?

- Nie, nic ważnego.

.Na pierwszy rzut oka wyglądał bardzo dobrze. Ubrany był starannie w swój najlepszy, ciemnobrązowy, przedwojenny garnitur, który troskliwie przez całą okupację pani Alicja przechowywała. Miał czystą koszulę, krawat dobrze zawiązany, buty porządne, również przedwojenne. Jedynie niepokój przyczajony w oczach i pewna niezdrowa obrzmiałość twarzy, podkreślona kanciastym zarysem krótko, przy skórze nieomal ostrzyżonej głowy, zdradzały człowieka przez dłuższy czas pozbawionego wolności.

Pani Alicja poderwała się nagle ze stołka i podbiegła do zlewu.

- Okropność z tym kranem! Ciągłe kapie i kapie... - I usiłując go dokręcić spytała: - Nie jesteś głodny? Może być co zjadł?

- Dziękuję. Herbaty bym się napił, jeżeli jest...

37

Pani Alicja ucieszyła się, że ma okazję zająć się czymś creślonym.

- Oczywiście! Kupiłam właśnie trochę herbaty, zdaje się, że)winna być dobra. Zaraz nastawię wodę, to nie potrwa długo.

- Dziękuję ci - powtórzył bezbarwnie.

I wyszedł, cicho zamykając drzwi. Stało się to tak niespo-aewanie, że przed samą sobą nie mogąc skryć zawodu, bezradnie mściła rękę, w której trzymała czajnik.

Drugi zaledwie dzień Antoni był w domu, lecz zdążyła już luważyć, że wyraźnie unikał pozostania z nią sam na sam. Nig-sie wprawdzie nie wychodził, lecz po wspólnych, przeważnie Uczących posiłkach wycofywał się do swego gabinetu i parokrot-e, gdy tam zaszła, opuszczała pokój z upokarzającym uczuciem, ; swoją osobą mężowi zawadza. Że się nie chciał dzielić swoimi

•zeżyciami, że w tych pierwszych dniach unikał wszelkich zwie-;eń i nic nie mówiącymi ogólnikami zbywał pytania dotyczące 'cia tam, w obozie - to ostatecznie, chociaż wbrew własnym voim potrzebom, mogła zrozumieć. Antoni nigdy nie był wylew-11 zdążyła się do tego przyzwyczać. Miała zresztą nadzieję, że po swym czasie, gdy się Antoni na nowo zadamowi, obozowe prze-'cia stracą moc i wówczas z większą niż dotąd swobodą będzie ogł o nich mówić. Natomiast ciężko się jej było pogodzić z tą epojętą zupełnie obojętnością, z jaką od pierwszego dnia od-óśł się Antoni do jej przeżyć i do całego jej w ciągu minionych t nie najłatwiejszego życia. Przez tak wiele miesięcy żyła w zu-rfnej samotności i tak długo w sprawach istotnych na niczyją 3moc liczyć nie mogła, że teraz naprawdę potrzebowała kogoś iiskiego, kto by cały ten ciężar ponad jej siły mógł z nią podzielić. Ie Antoni zdawał się tego nie rozumieć, nie uczynił w każdym aie ze swej strony niczego, co by wskazywać mogło, że dostrzega docenia jej trudności. Wydawał się tak w sobie zamknięty i tak e własnych myślach uwikłany! Znów się pocieszała, że to minie ledługo, lecz w usprawiedliwieniach, którymi przed samą sobą

•onic chciała i tłumaczyć Antoniego, więcej znajdowała goryczy rozżalenia niż przekonywających racji. Na czymże ostatecznie, śli nie na stałym przeświadczeniu, że jest potrzebna, wspierało ę całe jej życie? W najcięższych chwilach ratowała się myślą powrocie Antoniego. Wbrew ponurym i prawie niewiarogod-/m w swej grozie wieściom, jakie docierały z obozów, wierzyła narcie, że Antoni wszystko przetrzyma i wróci. Czyż mogła wów-

38

czas przypuścić, że gdy się to wreszcie stanie, każde zetknięcie z mężem ranić ją będzie tak boleśnie i krzywdzić w sposób tak upokarzający?

Jednego zwłaszcza bała się teraz: jeśli musiała wejść do gabinetu, zawsze ją po drodze ogarniał lęk, że niespodziewanie otwierając drzwi - zaskoczy Antoniego i przez moment ujrzy go takim, jakim musiał być wówczas, gdy znajdował się w pokoju sam. Unikała jednak pukania, ponieważ wprowadzenie teraz tej nie stosowanej w ich domu formy odczułaby jako podkreślenie wzajemnej obcości. Pamiętała natomiast, aby podchodzić do pokoju Antoniego w taki sposób, jaki by go zawczasu mógł o jej zbliżaniu się uprzedzić.

Teraz, niosąc herbatę, uczyniła tak samo. Głośno zatrasnęła za sobą drzwi kuchenne i szła przez rozległy hali bardzo wolno, kilkakrotnie pokaszując. Była pewna, że gdy wejdzie do gabinetu, Antoni siedzieć będzie za biurkiem, pracowicie pochylony i bardzo na pierwszy rzut okna pochłonięty przeglądaniem porozkładanych

dokoła papierów. Rzeczywiście tak było.

Postawiła filiżankę na biurku, lecz wbrew powziętemu przed chwilą postanowieniu nie mogła się zdecydować, aby odejść natychmiast.

- Jest herbata - powiedziała półgłosem. Kossecki skinął swoją nieforemną, ogoloną głową.

- Dziękuję ci.

Teraz dopiero spostrzegła, że miał przed sobą rozłożoną gazetę, otwartą jednak na tej samej stronie, którą czytał już był pilnie z samego rana, gdy tu zaszła ostatnim razem. Cofnęła się pod okno, nie mogąc znieść zawstydzającej myśli, że gdy patrzy na męża, Antoni z pewnością musi się męczyć niemożnością zapanowania nad niepokojem spode łba rzucanych spojrzeń. Czuła, że nad tym jednym odruchem Antoni zupełnie nie panuje. Był spokojny, to prawda, lecz utajona i dla niej niedostępna rozterka odbijała się w jego oczach.

Za oknem, tylko do połowy oszklonym, białe kwitnące jabłonie. Chociaż na dworze był dzień jeszcze jasny, w pokoju pozbawionym pełnego oświetlenia panował półmrok.

Przesunęła bliżej ku środkowi stojący na parapecie asparagus.

- Nie jest ci za ciemno? Odpowiedział pośpiesznie:

39

-Nie.

Sprawdziła jeszcze, czy asparagus nie potrzebuje wody. Stwierdziła jednak, że ziemia w doniczce jest dość wilgotna, i nie znalazłszy w tej chwili pod ręką żadnego natychmiastowego zatrudnienia, już się miała zdecydować na odejście, gdy uczuła naraz nabrzmiewające szybko pod powiekami ciężkie i gorące łzy. Aż zadrżała ze strachu, że może nad sobą nie zapanować i na głos się rozplakać. Przygryzła wargi i odruchowo przycisnęła do piersi dłoń, jak gdyby tym ruchem uspokoić chciała i uciszyć wszystką swoją żalność i bezradność. Wtem dobiegło ją stuknięcie filiżanki o spodek. Już to samo, że Antoni, nie czekając na jej wyjście, zaczął pić herbatę, wsparło panią Alicję pokrzepiającą otuchą. Nie była jednak na tyle pewna swego głosu, aby odważyć się odezwać natychmiast.

- Jak ci smakuje? - spytała po chwili dopiero. - Nie za słaba?

- Nie, bardzo dobra.

Wydało się jej, że z cieplejszym nieco akcentem to powiedział, i uradowana, zaraz się w jego stronę obróciła. Antoni, pochylony nad biurkiem, wolno popijał herbatę, obiema dłońmi, jak-łbyje chciał rozgrzać, obejmując filiżankę. Milczała, do głębi poruszona tym gestem nędzarza, i po dłuższej dopiero chwili Antoni spostrzegł się, że na niego patrzy. Przez moment załatały mu nie-okośnie oczy, zaraz jednak odwrócił twarz i filiżankę odstawił spodek.

- Doskonała herbata. Dawno takiej nie piłem. Pani Alicja zamyśliła się.

- U nas też było bardzo ciężko z herbatą. Można było doić, ale strasznie była droga.

Ledwie to powiedziała, pożałowała natychmiast, że tak po-iesznie i z tak błahego powodu przyrównała niejako swój los tu-łj z losem Antoniego tam, w obozie. Chcąc więc czym prędzej otrzeć własną niezręczność, powiedziała pośpiesznie:

!/- Wiesz, spotkałam wracając do domu Franka Podgórskiego. Kossecki nie okazał żadnego zainteresowania.

- Strasznie się ucieszył z twego powrotu. Wiedział już, że

- Już? - podniósł głowę Kossecki. - Od kogo?

- Czy ja wiem? Musieli cię pewnie widzieć jacyś ludzie. Nie sz, jak to jest u nas? Sięgnął po filiżankę.

40

- Możliwe.

Pani Alicja bliżej podeszła do biurka.

- Wiesz, że on się ukrywał przez cały czas...

-Kto?

- Podgórski.

-A, Podgórski!

- Bardzo się chciał z tobą zobaczyć... Nic na to nie odpowiedział. Pochylił się nad gazetą i podparł ręką w taki sposób, że zasłonił całą prawie twarz. Pani Alicja zawahała się:

- Wydaje mi się, że powinieneś go przyjąć, jeżeli przyjdzie... Kossecki podniósł się, gwałtownie odsunawszy krzesło.

- Mówiłem już, że nikogo nie chcę widzieć! - Zaraz się jednak opanował i dodał spokojniejszym tonem: - Na razie przynajmniej.

Przeszedł się parę razy za biurkiem i znów wpadł w rozdrażnienie.

- Dzisiaj Staniewiczowa, jutro Podgórski, pojutrze jeszcze kto inny, za dwa dni zejdzie się tutaj cała gromada ciekawych... Zdaje się, że po tym wszystkim mam jakieś prawo do spokoju, nie?

Pani Alicja przycisnęła dłonie do piersi.

- Ja też nie miałam tutaj łatwego życia. Nie myśl, że tutaj było łatwo...

Kossecki przystanął.

- A czyż ja myślę, że było łatwo? I co to ma wspólnego z Podgórskim?

- Właśnie, że ma. Dużo ma wspólnego. Tylko ty tego nie widzisz... tobie się zdaje... a ja też chyba jestem człowiekiem i coś mi się należy... bo ja... ja już naprawdę nie mam sił, zupełnie nie mam sił...

I naraz, ciągle z dłońmi obrończe przyciśniętymi do piersi, zaczęła cicho płakać. Grube łzy spływały po jej przywiedzionych policzkach, całym ciałem wstrząsał tłumiony szloch.

Antoni nie usiłował jej uspokoić. Stał za biurkiem bez ruchu, z opuszczonymi powiekami i twarzą nie wyrażającą żadnego uczucia.

- No wiesz... - odezwał się wreszcie. - Po cóż się tak rozdrażniać? Przecież to nie ma sensu.

- Bo to już naprawdę ponad moje siły - powtórzyła przerywanym głosem. - I tak mi jest strasznie przykro...

- Że co?

41

- Wszystko.

Kossecki wzruszył ramionami.

- Dajżeż spokój, co to znaczy: wszystko? Żyjemy ostatecznie wszyscy, mamy z powrotem swój dom - dodał z akcentem ironii. - Mało jeszcze?

Przecierając chustką zaczerwienione oczy skinęła głową, że • to wszystko rozumie. | - Więc co jeszcze?

I Znowu zaczęła płakać. Tym razem Antoni zdecydował się | opuścić schronienie za biurkiem. Podszedł do żony. | - Uspokój się, uspokój - położył rękę na jej ramieniu. -|Wszystko to nerwy.

| Zaraz się jednak cofnął i założywszy ręce do tyłu, chodzić |począł po pokoju. Pani Alicja spojrzała na męża przez łzy.

- Ja wiem, że nerwy. Ale co ja na to mogę poradzić? Kossecki się zatrzymał.

- Czy ja mówię, że możesz coś poradzić? Samo przejdzie. Tyle rzeczy przechodzi. Ułoży się powoli wszystko...

Mówił jednak tak bez przekonania, że przygotowana na sło-ra pociechy, poczuła dotkliwsze jeszcze przygnębienie. Pomyślała »synach, o domu, o pieniądzach zaginionych...

- Ja już w nic chwilami nie wierzę - powiedziała apatycznie. - Czasem, jak o tym wszystkim zaczęłam myśleć, to aż żyć się nie lice.

- Tak się to tylko mówi! - machnęła lekceważąco ręką. - Każ-r chce żyć.

- Ale po co? Dla kogo? Antoni milczał.

-Bo ty wszystkich chcesz mierzyć swoją miarą...

-Ja?

- A inni też coś przecież przeżywali. Nie każdy był w obo-, ale tutaj czasami na pewno nie było lżej niż w obozie... Kossecki zatrzymał się w głębi pokoju, w cieniu.

- Powiadasz, że ja chcę mierzyć wszystkich swoją miarą?

- A nie jest tak?

- Może.

I najnieoczekiwanej w świecie począł się nienaturalnie ściś-ym gardłem dość głośno i nieprzyjemnie śmiać.

Pani Alicja aęła. Odruchowo odjęła chustkę od oczu. W półmroku, który liał Antoniego, nie mogła dojrzeć twarzy męża, widziała tylko

42

zarys jego sylwetki. Śmiech Antoniego, podobny trochę do zachłyśnięcia się suchym kaszlem, wydał się jej okropny.

- Antoni! - zawołała przestraszonym głosem. Natychmiast ucichł i w ciemniejącym pokoju zaległo milczenie. Trwało długo. Wreszcie pani Alicja z trudem opanowując drżenie, które ją na wskroś od wewnątrz przenikało, spytała:

- Przynieść ci może jeszcze herbaty?

- Dziękuję - odpowiedział z ciemności. - Nic mi na razie nie trzeba.

IV

Miało się ku wieczorowi, gdy Szczuka z Podgórskim wrócili miasta. Rynek inaczej teraz wyglądał niż przed paroma go-inami. Opustoszał i niebieskawy zmierzch go ogarniał. Na sele-mowym niebie ostrzej się jeszcze rysowały rude kontury wypa-nych domów. Wraz z zapadającym wiosennym wieczorem tłum poszukiwaniu świeżego powietrza odpłynąć musiał w stronę rku Kościuszki i Alei Trzeciego Maja. Była sobota, a wieczór [ciepły i pogodny, chociaż nieco parny.

Na środku rynku pozostało jeszcze kilka ciężarówek, lecz i te latający się przy nich żołnierze przygotowywali

do odjazdu. nad uciszonym placem niosły się z głośnika radiowego wyolb-mione dźwięki Chopinowskiego mazurka. Patrol czterech mi-^intów szedł bokiem rynku, zajmując całą szerokość pustego Ddnika. Cienie kasztanów mieszały się z długimi cieniami ich wetek. Przystanęli chwilę na rogu, potem skręcili w pierwszą piniejącą ulicę.

^ Podgórski zatrzymał auto przed "Monopolem". Wysiadł pierw-(), za nim wydzwignął się Szczuka. Obaj milicjanci, zajmujący tjsca w tyle wozu, również za nimi wyskoczyli. Przed hotelem S pusto. Nieco dalej stały trzy dorożki.

- O dziewiątej zatem? - powiedział Podgórski.

Szczuka zsunął z czoła kapelusz.

44

- Prawda, ten bankiet! Zapomniałem zupełnie. Nie da się go odwołać? Przyznam się wam, że nie bardzo na to wszystko mam ochotę.

- Wierzę - przyznał Podgórski. - A co robić? To pomysł Świeckiego.

- Dużo ma być osób?

- Do piętnastu.

- Wystarczy. No, ale trudno.

- Zostajecie teraz w hotelu? Szczuka zamyślił się:

- Zobaczą jeszcze, może wyjdę. Mam tu coś w rodzaju rodziny.

- W Ostrowcu?

- Siostrę żony.

- Co wy mówicie? Nie myślałem, że macie żonę.

- Miałem. Już nie żyje.

Podgórski nieco się zmieszał. Szczuka musiał to zauważyć.

- Jeśli chodzi o moją szwagierkę, to znacie pewnie jej męża, przynajmniej ze słyszenia. Staniewicz.

- Major?

- Ten sam. Od ułanów ostrowieckich. Teraz już zresztą, zdaje się, pułkownik.

- Nieee! Staniewicz od Andersa?

- Dziwi to was? Podgórski się roześmiał:

- Trochę mnie zaskoczyło to zestawienie: wy i pułkownik Staniewicz.

- Cóż? Rozmaicie bywa w rodzinach. Do dziewiątej zatem.

- Do dziewiątej. A jutro z rana przyjeżdżam po was punkt siódma.

W ciągu najbliższych dwóch dni, niedzieli i poniedziałku, objechać mieli we dwóch wszystkie komórki partyjne na terenie powiatu.

- Pamiętam - odparł Szczuka.

Już sprzed wejścia do hotelu zawrócił. Podgórski stał przy aucie.

- Zapomnieliście czego?

- Właśnie. Teraz sobie dopiero przypomniałem. Będziecie się może widzieć z tym... z sędzią...?

- Kosseckim?

45

-Tak.

Podgórski spozrzał na zegarek:

- Pół do ósmej dochodzi. Wybieram się teraz do niego.

- To świetnie się składa! Powiedźcie mu zatem...

- Chcecie się z nim zobaczyć?

- Owszem, chciałbym. Wspomnijcie mu przy sposobności, że marzysz z obozu...

- Powiem wasze nazwisko po prostu.

- To niekonieczne. Moje nazwisko może mu nic nie powie-eć. Krótko: towarzysz z obozu, z Gross-Rosen.

- Rozumiem.

- Jeżeli chciałby się ze mną zobaczyć, niech mnie odwiedzi. wtorek, powiedzmy. Tylko o której?

- Rano we wtorek ma być pogrzeb Smolarskiego i Gawlika.

- Po południu zatem. Między piątą a szóstą.

- Wtorek, piąta-szósta - powtórzył Podgórski. - Który macie ner pokoju?

- Siedemnasty.

Niski i łysy, o krągłej, okularami poszerzonej twarzy portier, iry rozmawiał z opartym o kontuar młodym mężczyzną w letnim szczu i brązowym kapeluszu, wspiął się na palce i zdjął z tab-r właściwy klucz.

- Siedemnastka, do usług. Szczuka oparł łaskę o kontuar.

- Ma pan papierosy?

- Do usług. Amerykańskie, węgierskie?

- Mogą być amerykańskie.

Zapłacił i od razu otworzył paczkę chesterfieldów. N'm zdążył sięgnąć po zapalniczki, stojący obok mężczyzna wyciągnął usłużył z kieszeni płaszcza zapalniczkę.

- Był to młody chłopiec, dwudziestoparoletni, brunecik o dziewczęcych rzęsach i ładnych, niebieskich oczach.

| - Dziękuję - mruknął Szczuka.

Zaciągnął się i podsunął otwartą paczkę w kierunku młodego wieka i portiera. Wzięli obaj. Chłopak, niedbale dotknąwszy nią rona kapelusza, zapalił natychmiast. Pulchny portier wsu-swego papierosa za ucho. Z głębi hallu, spoza oszklonych drzwi z napisem Restaurant,

-egał rozgwar jazzowej orkiestry. Portier podchwycił spojrze-Szczuki, rzucone w tamtym kierunku.

46

- Warszawska orkiestra - poinformował. - O dziesiątej zaczynamy występy. Warto zobaczyć. Hanka Lewicka dzisiaj śpiewa.

-Tak?

- Zamówić dla pana stolik? Szczuka schował papierosy.

- Dziękuję. Poproszę za to jutro śniadanie do numeru. Za kwadrans siódma.

Portier sięgnął po ołówek i zanotował.

- Do usług. Siedemnastka, śniadanie pół do siódmej.

- Za kwadrans siódma wystarczy.

- Za kwadrans siódma - powtórzył portier. - Czy zwalnia pan pokój?

- Nie. Wyjeżdżam na dwa dni, ale pokój zatrzymuję. W poniedziałek wieczorem będę z powrotem.

Wziął klucz i kulejąc wchodzić począł na wyłożone czerwonym chodnikiem schody. Młody człowiek znów się oparł o kontuar.

- Sympatyczny facet. Co to za jeden? Portier wzruszył ramionami:

- Gość. Co dzisiaj można o człowieku wiedzieć.

- Słusznie - powiedział tamten obojętnie i równie niezain-teresowanym ruchem obejrzał się za siebie.

Szczuka, ciężko się wspierając na lasce, dochodził właśnie do połowy półpiętra. Oglądany z dołu, wydawał się jeszcze masywniejszy i w plecach szerszy.

Chłopiec wrócił do poprzedniej pozycji.

- Więc jak będzie z tym pokojem?

- Co ma być? - niezyczliwie spojrzał na niego spoza okularów portier. - Nie ma. Powiedziałem już, że wszystko zajęte. Tamten nie zraził się odmową

- Widzi pan - zaczął przyjaźnie - przyjechałem tu na kilka dni, trzy, cztery dni, coś takiego. Zatrzymałem się na razie u znajomych, ale z pewnych względów osobistych, rozumie pan, zależy mi na swobodzie...

Portier zdradził pewne zainteresowanie:

- Kobita?

Młody zaśmiał się pokazując równe i białe, zdrowe zęby.

- Zgadł pan! Ale nie szkodzi, pokój może być jednoosobowy, wystarczy.

Rozpiął płaszcz i z kieszeni marynarki wyciągnął kilka zmiętych banknotów.

47

- Pan mi da paczkę papierosów.

- Amerykańskie?

- Węgierskie. Wolę węgierskie, mocniejsze.

Położył na kontuarze pięćsetkę. Portier spojrzał na nią z

- Zaraz panu wydam resztę - powiedział z wolnym namysłem. Tamten zsunął z czoła kapelusz.

- Głupstwo! Co pan sobie będzie tym głowę zawracał! Portier niewyraźnie coś bąknął pod nosem i wsunął pięć-

kę do kieszeni, pochylił się z miną pełną zafrasowania nad sem gości.

- No, ma pan... tu zajęte, tu zajęte, dwudziestka miała być miniona i nic... drugie całe zajęte... Na jak długo pan potrzebuje?

- Parę dni, do wtorku.

- Do wtorku? No, do wtorku, to się może coś da zrobić.

-A widzi pan!

- Myślałem, że pan na dłużej.

- Ale skądże! We wtorek wracam do Warszawy. Portier podniósł głowę:

- Pan z Warszawy?

- A coś pan myślał?

- Ja też jestem z Warszawy. W "Savoyu" pracowałem, wie I?
- Na Nowym Świecie?
- Piętnaście lat. Kawał czasu, nie?
- 1 powstanie pan przeszedł?
- Pewnie! - odparł tamten z dumą. - Do ostatniego dnia. ?an?
- Ja? Rozmaicie. Najpierw na Starówce, potem na Żoliborzu.
- Kanałami?
- A coś pan myślał?
- Moja córka była na Czerniakowie. Może ją pan znał? Ba-(Borkowska. Pokażę panu zdjęcie... - Sięgnął po portfel, szperał [nim chwilę i wreszcie wyjął małą, amatorską, pomiętą nieco ^grafie. -To jedno tylko zdjęcie mi zostało. Niech pan popatrzy, że ją pan znał...
Chłopiec wziął fotografię. Zdjęcie musiało być robione na ży, w słońcu, i ukazywało zgrabną sylwetkę młodej, śmiejącej j dziewczyny w kostiumie kąpielowym.
- Chyba nie. Ładna dziewczyna. Żyje?

48

Portier machnął ręką:

- Skąd, panie! Zginęła na samym początku. A syn poszedł do niewoli.
- Gdzie?
- Pod holenderską gdzieś granicę.
- To już wolny. Słyszał pan dzisiejszy komunikat?
- Słyszałem. I co z tego? Człowiekowi się już nawet cieszyć nie chce.
- Chłopiec odpalił od niedopałka nowego papierosa. Tamten pokiwał głową i westchnął.
- Tak, tak, panie... człowiek już teraz nie ten sam. Bez Warszawy jak bez ręki... gorzej jeszcze. Pan młody, doczeka się pan, że odbudują. Ale jak się już jest po pięćdziesiątce?
- Młody się uśmiechnął:
- A żebyś pan wiedział, jak kasztany kwitły w Alejach i w parku Ujazdowskim!
- Co pan mówi? - zdumiał się portier. - Kwitły? Dwoje ludzi, starsza, utleniona kobieta i młody mężczyzna we wciętym palcie, weszli z ulicy, jeszcze we drzwiach prowadząc ożywioną rozmowę podniesionymi, kłótliwymi głosami. Umilkli w hallu dopiero.
- Moje uszanowanie państwu - przywitał ich portier. - Dwadzieścia dwa, do usług.
- Mężczyzna wziął klucz. Wchodząc na schody znowu poczęli się kłócić.
- Kasztany, powiada pan, kwitły w Alejach... - powtórzył portier.
- Raz jeszcze zajrzał do spisu gości i z zadowoleniem zataił dłonie.
- Wiesz pan co, było nie było... Chciałem panu dać pokój na trzecim, ale to zapluskwiona nora, z przeproszeniem. Bierz pan osiemnastkę na pierwszym, należy się panu za te kanały. Mam, wie pan, zawsze tak z jeden, dwa pokoje zarezerwowane dla lepszych, przedwojennych gości. Trzeba żyć, nie?
- Rozumiem - mrugnął okiem chłopiec. - W porządku. Od razu wiedziałem, że dojdziemy do ładu. Portier znowu zataił dłonie.
- Musimy się trzymać, panie, my z Warszawy, nie? Ma pan jakie rzeczy?
- Tamten wskazał na leżącą na kontuarze teczkę.

S

49

I

- i - Niedużo tych rzeczy.
- Wystarczy! Miałem mniej.
- s Wyjął z kieszeni niemiecki jeszcze dowód osobisty. Portier (prawił okulary i zabrał się do wypisywania meldunku. Mimo Jdeł nisko się pochylał nad szarą kenkartą. i - Maciej Chełmicki? S -Tak. I -Urodzony: Warszawa 1921. Zawód: robotnik...
- Chełmicki się roześmiał. ' - To lipa, panie, dla Niemców! Zawód: student.
- Student - powtórzył portier.
- Chełmicki wygodnie się oparł łokciami o kontuar i przy-ltrując się temu, co portier zapisuje, przesunął się uważnym lojrzeniem po kartach rozłożonej nie opodał książki meldun-awej. Chociaż miał ją przed sobą odwróconą do góry nogami, two wyszukał rubrykę z numerem siedemnastym.
- Kawaler - odczytywał dalej portier.
- Chełmicki przechylił głowę i z drobnych, ostrych literek, dzi-acznie od tej strony wyglądających, wyczytał imię i nazwisko:
tefan Szczuka.
- Kawaler - potwierdził. - Znaków szczególnych żadnych.
- W pokoju było bardzo duszno. Szczuka rzucił płaszcz na rzesło i nie zapalając światła podszedł do okna. Gdy

je otwo-ył, natychmiast napływać poczęło świeższe powietrze.

Okno wychodziło na rozległe podwórze, w głębi zamknięte skim drewnianym budynkiem, który służyć mógł za stajnię, mo-i za garaż. Na jego tyłach, czarny prawie na tle fiołkowego nieba, emniał fantastycznymi kształtami duży ogród. Smugi światła pa-ające z kilku hotelowych okien na podwórze zdawały się swoją ątlą jasnością usuwać tamtą ciemność głębiej w gęstniejącą noc. f pewnej chwili powiał wiatr i mrok ogrodu poczał się kołysać. Wyglądało to pięknie i groźnie.

Jednocześnie z dołu, z kuchni restauracyjnej, zaniósł mdlą-TO zapachem tłuszczu. Słychać było stuk naczyń, talerzy i zmie-ane głosy i śmiechy. W pewnej chwili jasne światło chlusnęło na odek podwórka. Odgłos zatrzaśniętych drzwi zmiółł je natych-iast. Dwie sylwetki, bousej dziewczyny i chłopca w białym fartu-lu, przemknęły przez podwórze. Potem z daleka, aż spod ciem-

50

niejącego drewnianego budynku, doszedł przytłumiony śmiech kobiety. Zapach smażeniny stawał się coraz ostrzejszy.

Szczuka zamknął okno i wyciągnął się na łóżku. Cisza stała teraz między ścianami, lecz była to owa szczególna, niespokojna cisza hotelowa, w którą raz po raz wnikają najróżniejsze obce odgłosy z zewnątrz. Najpierw rozległy się na korytarzu stłumione kokosowym chodnikiem kroki. Trzasnęły gdzieś dalej drzwi. Za ścianą w sąsiednim pokoju zaszumiała woda w umywalce. I znów czyjeś kroki. Krótki dzwonek. Plusk wody w umywalce.

Przestał po chwili zwracać na te odgłosy uwagę. Podłożył dłonie pod głowę, powieki same się mu zamknęły. Teraz dopiero poczuł prawdziwe, ogromne znużenie. Wiedział jednak, że nie zaśnie. Coraz częściej mu się przytrafiało, że gdy potrzebował odpoczynku i pragnął ucieczką w sen uwolnić się od samego siebie i od natrętnie go oblegających myśli, sen odstępował go. Nieraz wprawdzie, leżąc w ciemnościach wśród długich godzin nocnych, zapadał w płytki półsen. Lecz gdy się wydobywał z jego dręczących przywidzeń, trzeźwiał i znów powracało wszystko. Wszystko? Najczęściej w podobnych chwilach myślał o tym, jak umierała kobieta, którą jedną jedyną ze wszystkich ludzi na świecie prawdziwie kochał. Co wtedy myślała? Jak długo musiała cierpieć? I jakie cierpienia dane jej było przeżyć w tych ostatnich chwilach? Każde wydawało mu się ponad jej siły. Była silna i wiedział, że umiała być odważna, lecz wiedział równocześnie, że ani siła ducha, ani odwaga nie chronią przed cierpieniem i nie łagodzą litościwie męki samotnego i upadającego godność człowieka konania. Już pogodził się ze śmiercią żony. Nie od dzisiaj wiedział, że nie można życia oprzeć nawet na ludziach najbliższych i najdroższych. Jedna godzina, chwila jedna mogą z kobiety ukochanej, z przyjaciela najbliższego uczynić tylko przeszłość, która nigdy nie może pozostać tą samą. Jej los odmienia się i przekształca wraz z naszym losem. Jakże więc od niej żądać, aby w swej ruchliwej głębi przechowała nietknięty żar uczuć, nieskażone bicie serca, niezmaconą siłę pragnień? Nie można żyć, nie przechodząc z pewną oschłą obojętnością ponad śmiercią. Nie trzeba umarłym oddawać ze siebie zbyt wiele uczuć i myśli. Nie są im potrzebne. Nic im nie jest potrzebne. Ich nie ma. Są tylko żywi.

Ale myślał o swojej żonie jako o żywej. To było najcięższe i nie do przewyciężenia. Nic do tej pory nie wiedział o tym, w jakich okolicznościach umierała. Spomiędzy wielu kobiet z obozu w Ra-

51

łrick, które był do tej pory spotkał, jedna tylko umiała mu arii coś powiedzieć. Widziała ją ostatni raz jesienią czter-tego czwartego roku wracającą do baraków z kopania kar-, już chorą, bo szła podtrzymywana przez dwie towarzyski. razy wywoływał nadaremnie ten nieznany i dręczący obraz! wał sobie sprawę, że owa Maria wracająca z kopania kartof-; była już tą samą, której twarz i postać zachował w pamię-otem wszystko było ciemnością. Błądził w niej po omacku zsilnym uporem, wywołując zgony kobiet zakatowanych na 5, konania wpędzonych do komory gazowej, długie konania ! męczarni, przecięte wreszcie śmiertelnym zastrzykiem albo ^m uderzeniem... Które było konaniem Marii? Dopóki sam [nie zetknął z ostateczną nędzą istnienia, sądził, że pokonać lżę śmierci to jest to właśnie, na co się najtrudniej zdobyć (tosunku do bliskich. Przełamał w sobie tę trudność. Zbyt wiele ierci widział. Cóż? Jest życie, jest koniec życia. Jedni ludzie chodzą, inni zostają. Ból, który wynika z tęsknoty za kimś, kogo nie ma, rozpacz wobec nagłego osamotnienia - nie, to nie to,)ełnie nie to! Oplakując zmarłych, kogóż, jeśli nie samych sie-?, oplakują żyjący? Nie to jest ważne. Niech płaczą nad sobą ci, 6rzy nie mogą inaczej. Ostatecznie, każde cierpienie jest waż-!. Można je uszanować. Nawet zrozumieć. Lecz cóż znaczą udręki wych wobec tych ostatnich ludzkich chwil, którym odjęta została zelka nadzieja, a dane - gorycz tylko, nędza ciała, okrucieństwo ogarda? r Rozmawiał często sam ze sobą, nie mogąc zasnąć: Mario mo-R jedyna, ocalałem i dla wielu ludzi, których spotykam, mogę coś iczynić, gdy tego ode mnie zażądadają. Czasem więcej mogę, cza-em mniej. Tylko dla ciebie jednej nic uczynić nie mogłem wówczas, ^dy najbardziej pomocy potrzebowałaś. Z jakim spokojem myślał-»ym o tobie, gdybym mógł wiedzieć, że gdy umierałaś, znalazł się a-zy tobie bodaj jeden człowiek, którego serce zabiło litością, i ty > tym wiedziałaś...

Usiadł na łóżku, głowę wsparł o dłoń. Czoło miał na kroniach lekko wilgotne. "Jeszcze jest we mnie strach" -

pomyś-ał. Musiał się przemóc, aby pokonać znużenie i wstać. Zapalił wiatło. Pokój był dość obszerny, obity tandetną i jaskrawą tapetą, wytartym dywanem na podłodze i okrągłym stołem pośrodku, irzykrytym zieloną pluszową serwetą. Pod jedną ścianą stało łóżko

52

metalowe, równo zasłane, lecz z pościelą nieco pomiętą, pod drugą - zwiotczała otomana, szafa, w rogu staroświeckie tremo.

Chwilę stał niezdecydowany wśród tego obcego i obojętnego otoczenia. Wysokie lustro odbijało w głębi pokoju jego sylwetkę ogromną i ciężką, pochyloną w plecach i z długimi rękoma, jak u manekina niezdarnie teraz zwisającymi.

Akurat we drzwiach sąsiedniego pokoju przekręcono klucz i ktoś wszedł do środka. Krótco trzasnął kontakt. Potem dochodzić poczęły słabo przytłumione cienką ścianą odgłosy krzątającego się po pokoju człowieka. W pewnym momencie zaszumiła woda w umywalce i w plusk mytych rąk włączyła się melodia popularnej piosenki "Serce w plecaku", gwizdana przez mężczyznę.

Szczuka spojrział na zegarek. Półtorej godziny, które go dzieliło od zapowiedzianego w "Monopolu" bankietu, wydało mu się ogromnym obszarem czasu. Nie czuł się na siłach spędzić go samotnie. Postanowił odwiedzić Staniewiczową. Wiedział, że listu nigdy do niej nie napisze, a ostatecznie należało ją powiadomić o śmierci Marii. Raz się zdecydował poczuł ulgę. Włożył płaszcz, kapelusz, wziął laskę. Sąsiad, chodząc po pokoju, dalej pogwizdywał swoją piosenkę.

Po chwili Szczuka znalazł się na rynku. Parno było i ze wschodu nadciągały ciemne chmury. Wyglądało, że zanoszą się na burzę.

Staniewiczową mieszkała na jednej z przecznicy Trzeciego Maja, nie opodal parku Kościuszki. Szczuka słabo znał Ostrowiec, musiał więc jednego z przechodniów spytać o drogę. Nie było to daleko. Już dochodząc do Alei spostrzegł mały, narożny bar. Wstąpił tam i na stojąco wypił przy bufecie dwa duże kieliszki wódki.

Jak zwykle w późne sobotnie godziny popołudniowe Staniewiczową miała u siebie gości. Boło ich teraz troje: oboje Puciatycy, którzy po przymusowym usunięciu się z Chwalibogi zamieszkali na razie w Ostrowcu, oraz młody Fred Teleżyński, zagnany tutaj z odległego Podlasia.

Pani Kasia, smukła i zgrabna w swojej sukni koloru czerwonego wina, rozlewała kawę do ustawionych na tacy filiżanek. Adam Puciatycki rozglądał się po wnętrzu. Pokój był nieduży i zaciszny, wysłany dywanami, pełen makat, obrazów i ładnych drobiazgów,

53

Imimo pewnego przeładowania (przed wojną Staniewiczowie mieli »wiele większe mieszkanie) urządzony ze smakiem.

- Trzeba przyznać, moi drodzy - powiedział Puciatycki swoim sowym głosem - że u pułkownikowej człowiek naprawdę odpo-twa. Zapomina się o całej brzydocie tam... - wskazał w stronę ła.

Staniewiczowa uśmiechnęła się:

- Cieszę się bardzo. Ale z jednym zastrzeżeniem: nie ma tu-kj żadnej pułkownikowej.

Puciatyccy, on starszy, szczupły mężczyzna o długich kończy-ch i małej, wąskiej głowie, ona - także wysoka, z dużą, końską arzą, oboje się roześmieli. Teleżyński, rośli i silny, z krótkim, amym wąsikiem, palił ze znużoną miną fajkę.

- Słusznie - powiedział Puciatycki. - Ja też teraz wolę, żeby nie tytułowano. Ale a propos tytułów, opowiem państwu »awne zdarzenie... Przyjeżdża do nas przed kilkoma dniami aciwy nasz Mroczek...

- Co za Mroczek? - spytał Teleżyński.

- Nie pamiętasz Mroczka? Nasz ogrodnik z Chwalibogi.

-Ach, ten! Pojęcia nie miałem, że się Mroczek nazywa. Puciatycki, niezadowolony, że mu przerwano, machnął ręką:

- Wszystko jedno, to mało ważne! Przyjeżdża zatem nasz X)czek obładowany różnymi wiktuałami i powiada: "Panie hra-L." Ja mu na to: "Jaki hrabio? Nie wiesz, durniu, że mamy te-demokrację?"

- Teleżyński wybuchnął głośnym, zdrowym śmiechem.

| -1 cóż na to ten pański Mroczek? - spytała Staniewiczowa.

E-Co Mroczek? A to najlepsze! Mówi obrażonym głosem: "Ja yestem, panie hrabio, za demokracją". Dobrze, co? Taki jest kkilud!

| - Nie przesadzaj - skrzywił się Teleżyński. - Tak dobrze nie

| Wróć do Chwalibogi, to się przekonasz.

| Puciatycki wydał dolną wargę.

h Pewnie, że wrócę, a coś ty myślał? Zobaczysz za rok. Po (ch będą mnie całować.

lStaniewiczowa uznała za właściwe przypomnieć się w roli

Idomu.

•Proszę państwa, kawa wystygnie... uciatycki sięgnął po filiżankę. Zanim się zdecydował na szy łyk, przez chwilę wdychał aromat kawy.

- Znakomita! - powiedział bardziej niż zwykle nosowo, pochylając jednocześnie swoją małą głowę w stronę siedzącej obok Staniewiczowej. - Moje gratulacje.

Ujął jej rękę i pocałował. Potem wyciągnął przed siebie długie nogi i w poczuciu pełnego zadowolenia wygodnie się umieścił w głębokim fotelu.

- Nie za mocna? - spytała Staniewiczowa.

- Absolutnie nie! A propos za mocna... - spojrzał na Tele-żyńskiego. - Pamiętasz, Fred, co mówił o kawie Tonio Utrzycki? Teleżyński się zastanowił:

- Tonio?

- Nie pamiętasz? Kawa nigdy nie może być za mocna, a piękna kobieta za słaba.

Zebrani roześmieli się. Teleżyński wyjął z ust fajkę.

- Doskonale, że przypomniałeś Tonią. Były od niego wiadomości.

- Co ty mówisz? - zawołał Puciatycki. - Gdzie? Do kogo?

- W Warszawie mówiła mi Różia Wądołowska. Pisał do Marytki.

- I co?

- Nic. Siedzi w Londynie i zastanawia się podobno, czy nie wrócić.

- Wrócić? Dokąd wrócić?

- Tutaj.

- Nieee! Zwariował?

- Prawdopodobnie. Różia Wądołowska twierdzi, że na pewno.

Puciatycki był bardzo poruszony.

- Niesłychane! Chce wrócić tutaj? Po co, na co? Co mu się stało? Taki rozsądny chłopak. Niech pani pomyśli, droga pani, żona Tonią, Marytka, wie pani... ta mała Sulemirska...

Staniewiczowa nic o niej nie słyszała, lecz skinęła głową z pełną świadomością.

- ...szaleje tutaj po prostu, żeby się wydostać za granicę, a on chce wracać! Nigdy się tego po Toniu nie spodziewałem. A może to tylko plotki, nieporozumienie jakiegoś?

- Możliwe - odparł obojętnie Teleżyński. - Ale nie sądzę. Chce wracać, to niech wraca.

- Obłąd! - mruknął Puciatycki.

I zwróciwszy się w stronę Staniewiczowej, ściszył poufale głos:

55

- A jakże nasze sprawy wyglądają, droga pani? Staniewiczowa uśmiechnęła się:

- Raczej na dobrej drodze.

Puciatycka też ku niej pochyliła swoją końską twarz.

- Moja śliczna, czy to aby pewne?

- Pewne? - skrzywił się Puciatycki. - Zapominasz, moja droga, w jakich czasach żyjemy. Dzisiaj nie ma nic pewnego. Staniewiczowa sprzeciwiła się:

- Przepraszam, skądże ten pesymizm? Przyjaciele pozostają przyjaciółmi...

- Słusznie - skłonił głowę Puciatycki. - To ja przepraszam. Ale pani jest wyjątkiem. W pani zatem piękne ręce składamy nasz los.

Staniewiczowa roześmiała się głośno. Miała ładny śmiech i lubiła się nim posługiwać.

- Raczej w ręce mojego męża. Ale na nim na pewno się nie awiedziemy. Użyje wszystkich swoich wpływów, żeby nas stąd ^dobyć.

Puciatycki obrócił się w kierunku prowadzących do drugiego)koju zamkniętych drzwi i poruszył znacząco głową. Pani Kasia łożyła palec na ustach.

W sąsiednim pokoju, również przy kawie, Andrzej Kossecki, chylony nad niskim stolikiem, rozmawiał półgłosem z siedzącym przeciw mężczyzną w sile wieku, drobnym i szczupłym, o pałą-|vatych nogach kawalerzysty. Światło wysokiej, nie opodał stoją-|lampy, ujęte abażurem, oświetlało skrawek podłogi, cały pokój zmawiających pozostawiając w półcieniu. Andrzej wyprostował się. i-To wszystko!

|Rozgniół w popielniczce do połowy zaledwie wypalonego erosa i natychmiast zapalił nowego. Gdy był pochylony, jas-pkie włosy zsunęły się mu na czoło, odrzucił je teraz do tyłu rpliwym ruchem głowy. foga w milczeniu i bardzo wolno palił swego papierosa. igiej ręce, małej i delikatnej, prawie kobiecej, obracał pu-zapałek. Głowę miał kształtną, łysą, czoło wypukłe i wy-pomiędzy ciemnymi brwiami silnie zarysowaną pionową

56

bruzdę. Dopaliwszy papierosa zgasił dokładnie niedopałek i cofnął się w głąb fotela.

- No cóż? - powiedział głosem ściszym. - Spodziewałem się co prawda trochę innych wyników, ale po tym wszystkim, co usłyszałem, nie widzę istotniejszych powodów, aby miał pan siebie obwiniać. Przypadek po prostu wszedł wam w paradę. Trudno. Radzę panu, niech się pan nie przejmie, panie poruczniku.

Andrzej ściągnął ciemne brwi:

- Nie znoszę spartaczony roboty!

- Któż to lubi? Ale nie o to chodzi. Jak panu zapewne wiadomo, przydarza się nam wiele rzeczy, których nie lubimy. Stało się.

- Wiem. Ale poza tym...

- Co poza tym?

- Niepotrzebnie zginęli niewinni ludzie. Waga uważnie się przyjrzał Kosseckiemu i lekki uśmiech ukazał się na jego wąskich ustach:

- Wyrzuty sumienia?

- Sądzi pan, panie kapitanie, że nie na miejscu?

- Nie wiem. Nie siedzę w pańskim sumieniu. A kto zginął, wie pan?

- Nie. Prawdopodobnie jacyś ludzie z Białej, z cementowni.

- I już z góry pan wie, że niewinni? Andrzej poczerwiał.

- Przypuszczam.

- A, przypuszcza pan!

Z sąsiedniego pokoju dobiegał wśród rozgwaru ogólnej rozmowy niski i ciepły śmiech Staniewiczowej. Waga sięgnął po papierosa.

- Znowu jednak odbiegamy od tematu. Jak długo Szczuka zabawi w Ostrowcu?

- Według naszych informacji, do środy. W środę rano ma wyjechać.

- Zostają zatem trzy dni.

- Jeden.

- Jak to, jeden? Dlaczego?

- Odpada niedziela i poniedziałek. Jedzie w teren. Waga się uśmiechnął:

- Widzę, że macie dokładne informacje. Bezpieczeństwo? Andrzej skinął głową.

57

- Tak, mamy tam paru swoich chłopców.

- Pewnych? Nie sypną?

- Wykluczone.

- To świetnie. Zastanówmy się zatem... Teren nie nadaje się do tego?

- Raczej nie. Duże trudności. Dzisiaj była wyjątkowa okazja.

- Rozumiem. Wtorek zatem. Co pan proponuje? Andrzej się zawahał. Cień przesunął się przez jego pociągłą i smagłą twarz.

- Panie kapitanie, chciałem pana spytać...

- Słucham.

Andrzej pochylił się nad stolikiem i przy tym ruchu znowu mu się włosy zsunęły na czoło. Odgarnął je.

- Nie wiem, jak to sformułować...

Waga milczał. Z wyrazu jego nieruchomej twarzy widać było, że w niczym młodemu chłopcu nie zamierza dopomóc. Andrzej (iedział pochmurny, ze zmarszczonymi brwiami. Nagle zdecydowanym ruchem podniósł głowę:

- Powiem po prostu. Czy Szczukę rzeczywiście należy zabić? Waga nie okazał zdziwienia. Sięgnął po zapalki, zapalił nie piesząc się papierosa, którego od dłuższej chwili trzymał w repu, potem zaciągnął się głęboko dymem. Andrzej patrzył na niegoLnapięciem.

- Panie poruczniku - odezwał się wreszcie Waga - o ile znam Aską przeszłość, jest pan zbyt doświadczoneym i dobrym żołnie-em, aby nie zdawać sobie sprawy, że nad podobnym pytaniem im prawo, jako pański przełożony, przejść do porządku dzien-go. Czy nie tak? Andrzej zarumienił się aż po czoło.

- Myślę...

- Nie pytam, co pan myśli. Czekam na odpowiedź. Przez chwilę zdawało się, że Kossecki wybuchnie.

Opanował jednak.

- Tak - powiedział krótko.

Waga skinął głową.

r - Cieszę się wobec tego, że jesteśmy jednego zdania. Nie-jej jednak odpowiem panu. Rozumiem pańskie wątpliwości. ' wiłbym się nawet, gdyby pan ich nie miał. Żyjemy i walczymy irdzo trudnej i skomplikowanej sytuacji. Ale lata wojny, które latami próby dla każdego, nauczyły nas, że trzeba rzeczy

58

oceniać w ich elementarnym, zasadniczym układzie. Nie ma czasu na subtelne rozgraniczenia. Jeśli rozgraniczenia muszą być, muszą być proste i przejrzyste. Dobro jest dobrem, zło jest złem. Zgadza się pan? Spokojny i równy głos Wagi samym brzmieniem wspierał i u-macniał prawdziwość słów.

- Jeśli więc chcemy zachować męską równowagę, musimy sobie w obecnej sytuacji jedno uświadomić: druga wojna światowa kończy się. To jest jasne. Jeszcze dwa, trzy dni, tydzień najwyżej... i koniec. Ale czy taki przewidywaliśmy koniec? Nie. Sądziliśmy, że zwyciężonymi wyjdą z tej wojny nie tylko Niemcy, lecz i Rosja. Stało się na razie inaczej. Otóż w takim układzie, jaki jest dzisiaj, Polacy dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy zdradzili wolność Polski, i tych, którzy uczynić tego nie chcą. Tamci chcą się Rosji podporządkować, my tego nie chcemy. Oni chcą komunizmu, my nie chcemy. Oni chcą zgnieść nas, my chcemy zgnieść ich. Toczy się pomiędzy nami walka. A właściwie walka się dopiero zaczyna. Ile pan ma lat?

- Dwadzieścia jeden.

- Zaczął pan pracować w konspiracji...

- W czterdziestym pierwszym.

- Miał pan zatem siedemnaście lat?

- Tak.

- I o co pan walczył? Czy nie o wolność Polski? A czy taką sobie pan Polskę wyobrażał? Rządzoną przez ślepych wykonawców rozkazów z Kremla i opartą na rosyjskim bagnecie? A pańscy towarzysze, rówieśnicy? Ilu z nich zginęło? Za co? Wreszcie my, tacy ludzie jak pan czy ja, żywi i jeszcze na swobodzie, w jaki sposób możemy zaświadczyć swą solidarność z naszymi towarzyszami? Mamy się cofnąć w połowie drogi? Przez chwilę była cisza. Spoza drzwi dobiegał nosowy głos Puciatyckiego.

- A teraz Szczuka. Kto to jest Szczuka. Inteligent, inżynier, komunista. Doskonały przy tym organizator.

Człowiek, który wie, czego chce. Teraz działa na terenie partii, jutro, jeśli się nic nie zmieni, zajmie odpowiedzialne stanowisko państwowe. Pojutrze może być ministrem. Powiedzmy, że ideowiec. Przed wojną miał parę procesów, siedział w więzieniu. Był dwa lata w obozie. Tym gorzej. Karierowiczów nie lękamy się. Ci w pewnym momencie sami zwieją jak szczury z tonącego okrętu. Szkoda dla nich kuli i ry-

59

^kowania takich ludzi jak pan. Za wysoka cena. Ale gdy chodzi ideę, która niesie nam niewolę i śmierć, nasza odpowiedź może być jedna: także śmierć. Zwykłe prawo walki. Historia osądzi statecznie, kto miał słusność. My już osądziliśmy... -zaciągnął się apierosem i dokończył z naciskiem: - ponieważ już wybraliśmy. Andrzej siedział z głową pochyloną, silne i opalone dłonie plótszy pomiędzy szeroko rozstawionymi kolanami.

Waga ogarnął go krótkim spojrzeniem.

- Zapewne, może mnie pan z kolei spytać, i to jest pytanie zasadnicze, czy dokonaliśmy wyboru słusznego?

Czy nie powinno ię najpierw osądzać, a potem dopiero wybierać. To jest problem, rzyznaję.

Andrzej podniósł głowę i spojrzał pytająco. Waga zamyslił się.

- Nie mam zamiaru zbyć pana frazesami. Nie są panu po-rzebne, prawda? Jest pan na to zbyt inteligentny...

Kossecki wzruszył ramionami:

-Nie; '2stem wcale inteligentny. Chcę być uczciwy, to wszystko.

- Właśnie inteligencję moralną mam na myśli - odparł szybko iaga. - Nie pana jednego te sprawy dręczą. Nie jest pan w swoich itpliwościach odosobniony. Ale cóż mogę na to panu odpowie-ieć? Jestem tak samo jak pan żołnierzem i wykonuję rozkazy)ich przełożonych. Czy ślepo? Nie. Wierzę w ich słusność, lieważ będąc żołnierzem jestem także człowiekiem i nie re-luję z przysługującego mi prawa sądenia świata, w którym i. Więcej powiedziałbym: z obowiązku sądenia. Zapewniam a, poruczniku, że człowiek, który nie chce być sędzią, nie chce człowiekiem. A jeśli się ma odwagę sądenia, obowiązuje vczas wierność wobec samego siebie. To jest sprawa, wybaczy l, że użyję tak wielkiego słowa: sumienia. To wszystko! , Wysunął się z fotela i sięgnął po filiżankę. i- A tymczasem wystygła nam kawa... [Wypił ją duszkiem i przechyliwszy się ponad stolikiem, poło-yo ją drobną dłoń na szerokim ramieniu Kosseckiego.

- Więc jak, poruczniku, możemy teraz wrócić do przerwanej owy?

\ndrzej siedział zamysłony. Wreszcie wyprostował się.

-Tak.

- To świetnie! O co to ja pana spytałem? Aha! Co pan pro-le? Ma pan jakiś plan?

-Tak. Lużny projekt na razie...

60

- Słucham.

Andrzej przysunął się bliżej.

- Szczuka, jak nas poinformowano, zatrzymał się w "Monopolu"...

Z przedpokoju dobiegł ostry dźwięk dzwonka. Andrzej zamilkł i spojrzał na Wagę.

- Chwilę - powiedział tamten.

Słychać było, że Staniewiczowa przeszła do przedpokoju. Gdy otworzyła drzwi i w półmroku nie oświetlonej klatki schodowej ujrzała masywną postać mężczyzny, w pierwszej chwili nie poznała szwagra.

- Dobry wieczór, Katarzyno.

- Stefan! - zdziwiła się bez entuzjazmu. - Cóż za niespodzianka! Skąd się tu wzięłeś? Ty w Ostrowcu?

- Jak widzisz.

-To niesłychane!

Mało się zmieniła w ciągu długich lat wojny. Zawsze robiła wrażenie młodszej, niż była, więc i teraz nie wyglądała na swoje czterdzieści lat, zachowując i smukłość figury, i umiejętnie pielęgnowaną urodę jasnej blondynki. Mimo pewnego rodzinnego podobieństwa trudno było o siostry bardziej od siebie różne niż Katarzyna i Maria. W tym jednak dopiero momencie, gdy go ta odmienność z miejsca uderzyła, zdał sobie sprawę, że przyszedł tutaj po to przede wszystkim, aby odnaleźć w Staniewiczowej cień bodaj podobieństwa do Marii. Uczuł w sobie odruch niezadowolenia, lecz już się nie mógł cofnąć.

- Doskonale wyglądasz - powiedział. Staniewiczowa ciągle jeszcze nie mogła ochłonąć ze zdumienia.

- Wiesz, nie wiem kogo bym się prędzej spodziewała niż ciebie! Proszę cię, rozbieraj się, bardzo się cieszę.

Zdejmując płaszcz zauważył, że na wieszaku wisi kilka okryć.

- Masz gości?

- Och, nic nie szkodzi! Jest kilku moich przyjaciół. Pucia-tyccy...

- Widzę, że nadal lubisz arystokratyczne przyjaźnie?

- Nadal? - uniosła z nie najlepiej udanym zdziwieniem cienkie, jakby pędzlem zarysowane brwi. - Uważasz, że przyjaciół należy sobie dobierać zależnie od koniunktury?

- Oczywiście.

61

Staniewiczowa zmieszała się lekko. Zaraz się jednak roze-tiała:

- O ile się domyślam, chciałeś mi, jak zwykle, zrobić przykrość, y tak? Nic się, widzę, nie zmieniłeś. Popatrzyl na nią już bez ironii tym razem.

- Wprost przeciwnie, moja droga, chciałem być jednego zda-a z tobą.

- To świetnie! - uśmieła, że powiedzenie szwagra wzięła za dob-monetę. - Bo już się bałam, że cię mogą moi goście wystraszyć. ilodźmy więc. Ale prawda! - zatrzymała się przy drzwiach. - Ty, dżę, szczęśliwie wróciłeś.

Doskonale wyglądasz. Tylko co z two-nogą?

- Głupstwo!

- Nic poważnego?

- Nic - odpowiedział, choć nie miał wątpliwości, że już do ńńca życia będzie kulał.

- A co z Marią? Biedaczka ciężkie rzeczy musiała przejść.

- Jak w obozie.

- Wróciła już oczywiście?

-Nie.

Staniewiczowa z ręką na kłamce odwróciła się:

- Nie wróciła, co ty mówisz? Biedaczka, to straszne musi być a niej. No, ale przecież to początek dopiero, teraz właściwie iczynają na dobre z obozów powracać. Zdrowa była, prawda?

Szczuka skinął głową.

- No widzisz! Jeżeli była zdrowa, to najważniejsze. Zoba-ysz, w najbliższym czasie wróci.

Zawahał się, lecz tylko przez moment.

- Ja też tak myślę - powiedział spokojnie. I I wszedł za szwagierką do pokoju. Spojrzenia siedzących lzy stole zwróciły się w jego stronę.

[- Mój szwagier, inżynier Szczuka - powiedziała głośno Sta-ewiczowa, swobodną modulacją głosu usiłując ukryć przymus, [i w tym momencie odczuła.

Nie lubiła niewyraźnych sytuacji towarzyskich i cała zadaw-ona niechęć do męża siostry nagle w niej odżyła.

Nigdy nie była stanie zrozumieć, co tak niebrzydka i inteligentną dziewczynę, [a była Maria za swoich czasów panieńskich, skłonić mogło do jńcia za mąż za podobnego człowieka. A jeszcze bardziej nie-łęte dla niej było w tym wszystkim to, że wydawali się małżeńs-

62

lwem dobranym. Przypomniała sobie, co w związku ze Szczuką mówił jej mąż. "Rozumiem - powiedział kiedyś po jednym z bardzo rzadkich spotkań rodzinnych - że można być komunistą. Różne są ostatecznie zboczenia. Ale przyznawać się do tego? To trochę za wiele jak na mój gust i zdrowy rozsądek".

Tymczasem Szczuką, zbyt duży i ciężki na tle przeładowanego wnętrza, zajął jeden z wolnych foteli, obok Teleżyńskiego.

- Napijesz się kawy? - spytała Staniewiczowa.

- Chętnie - mruknął po swojemu.
- Przepraszam - odezwał się z drugiej strony stołu Puciatycy-ki. - Czy dobrze dosłyszałem nazwisko? Pan Szczuką? Szczuką podniósł ciężące mu powieki:
- Tak.
- Skądś mi znane to nazwisko - przeciągnął nosowo Pu-ciatycki. - Ale gdzie ja się z nim mogłem spotkać? Teraz niedawno...
- Mogę panu pomóc - odpowiedział Szczuką. - Zapewne w prasie spotkał się pan z tym nazwiskiem. Z okazji zjazdu PPR-u. Staniewiczowa poruszyła się niespokojnie.
- Właśnie! - wykrzyknął Puciatycki. - Nie czytam co prawda tego rodzaju historii, ale teraz doskonale sobie przypominam, że przemawiał ktoś o takim samym nazwisku jak pańskie. Czy tak?
- Zgadza się.
- Mam nadzieję, że to żaden pański krewny? - spytał życzliwie Puciatycki.
- Żaden.
- Domyślałem się tego. Ale zawsze niezbyt to musi być dla pana przyjemne.
- Szczuką sięgnął po kawę.
- Tak pan sądzi? Zdaje mi się, że się pan źle domyślił. Powiedziałem: żaden mój krewny, ponieważ to o mnie samego chodziło.
- Staniewiczowa, lekko zarumieniona, starała się ratować sytuację:
- Cóż za wspaniałe quipro quo! - zaśmiała się nieco za głośno. - Zupełnie jak na scenie. Zdaje mi się jednak, panie hrabio, że popełnił pan okropną gafę.
- I ja tak sądzę - powiedział całkiem przez nos Puciatycki. Róża Puciatycka siedziała sztywno wyprostowana, z twarzą bardziej niż zazwyczaj wydłużoną, a Teleżyński, w kostce przytrzy-

63

- jąc wysoko założoną na kolano nogę, ssał fajkę i przymrużony-oczami spoglądał to na kuzyna, to na Szczukę. Wyraźnie się w\ całą sceną.
- Mam nadzieję... - zaczął Puciatycki. Staniewiczowa wołała mu przerwać:
 - Państwo pewnie nie wiedzą, że mój szwagier jest starym edwojennym lewicowcem. Zawsze miał, o ile pamiętam, poglą-bardzo radykalne. Nie myślę się, prawda, Stefanie?
 - Widzę, że usiłujesz mnie usprawiedliwić.
 - A, przepraszam - zaprotestował Puciatycki - jest pan nie-awiedliwy, drogi panie. Jeśli o mnie chodzi, zawsze wysoko so-
 - ceńłem ludzi charakteru, ludzi idei, bez względu na to, czy idzałem się z nimi, czy nie. Uważam, że dla człowieka o pewnej turze jest to jedyna postawa możliwa do przyjęcia. Zgodzi się i z tym, prawda? Wymowne spojrze nie Staniewiczowej w stronę Szczuki zda-k> się mówić: widzisz, jak się nie znasz na ludziach... Zdjął go boki niesmak.
 - Czy Niemców także cenil pan wysoko? Puciatycki zachnął się:
 - Przepraszam, nie rozumiem...
 - Siły charakteru trudno im odmówić.
 - Zapewne.
 - Braku ideologii? Puciatycki rozłożył ręce:
 - Jeżeli pan, drogi panie, na tej płaszczyźnie stawia sprawę... Staniewiczowa znowu się wmieszała.
 - Moi panowie, zlitujcie się! Czy naprawdę nie mamy już tych tematów do rozmowy niż Niemców?
 - - Możemy mówić o Żydach - wtrącił z boku Teleżyński. , Pani Kasia zrobiła minę rozkapryśzonego dziewczęcia.
 - Nic o tym nie chcę wiedzieć. Nie rozumiem zupełnie, dla-go mężczyźni, jeśli się tylko zejda, muszą zaraz mówić o woj-albo o polityce. To okropne! Co za straszna nuda.
 - Moja wina - przyznał Puciatycki. - Ma pani słuszność. Wo-argumentów kobiecych zawsze się czuję pokonany. Podziękowała mu spojrze niem i mile podniecona własną znością, zwróciła się z kolei do Szczuki:
 - Pozwolisz jeszcze kawy?
 - Dziękuję.

64

W pewnym sensie, lecz w całkiem innym niż Puciatycki, także mógłby o sobie powiedzieć, że czuje się pokonany. Ci ludzie w sposobie bycia i myślenia wydawali się jak powietrze przezroczyści i każdy, kto przeciwstawiając im jakieś swoje racje, chciałby zachować wobec nich własną niezależność i odmienność, musiał ostatecznie popaść w śmieszność. Wśród ciszy, która po jego krótkim i szorstko powiedzianym "dziękuję" zapanowała w pokoju, poczuł tę swoją śmieszność bardzo wyraźnie. Po cóż właściwie podjął podobną rozmowę? Żeby swoje zdanie zadokumentować lub przekonać tamtych? Jedno i drugie było niedorzecznością.

Spojrzał na Staniewiczową i naraz, w takim jak teraz lekkim pochyleniu głowy i ramion w stronę Puciatyckiego, wydała mu się tak do Marii podobna, że przez moment targnęło nim to samo uczucie najbardziej dojmującego niepokoju i lęku, w jakie popadał wśród samotnych rozmyślań.

Opuścił powieki i z wielkiej odległości, o wiele słabszy od łomotu własnego serca, słyszał głos rozmawiającej z Puciatyckim szwagierki. Podniósł się.

Staniewiczową zamilkła w połowie zdania.

- Już idziesz?

- Tak. Niestety. Mam jeszcze różne zajęcia.

- Jaka szkoda! Spodziewam się, że będąc w Ostrowcu nie zapomnisz o mnie? Zaczął się żegnać.

- Oczywiście.

Odprowadziła go do przedpokoju i gdy wkładał płaszcz, powiedziała:

- Uściskaj ode mnie Marię, kiedy wróci...

- Oczywiście.

- Bardzo bym ją chciała zobaczyć. Tak dawno już się nie widziałyśmy.

Była teraz poprawna, prawie serdeczna. Całą swoją niechęć do Szczuki, graniczącą z nienawiścią prawie, zatarła dobrym wychowaniem, podobnie jak zmarszczki pod oczami zwykła zacierała umiejętnym makijażem. Ostatecznie - osądził - była zjawiskiem bardziej zdumiewającym niż zasługującym na potępienie.

- Rzeczywiście - przyznał - bardzo dawno nie widziałyście się. Gdy wyszedł, poprawiła przed lustrem włosy i z tym samym uśmiechem, z którym pożegnała Szczukę, wróciła do gości. Z zadowoleniem stwierdziła, że bawia się doskonale. Puciatycki koń-

65

żył właśnie opowiadać jakąś anegdotę i ledwie umilkł, Teleżyń-d wybuchnął swoim zdrowym śmiechem.

Staniewiczowa, nie więżąc wprawdzie, o co chodzi, także się roześmiała. Jak była tego ewna, o Szczuce nikt słowem nie wspominał. Przeciwnie, i Pu-iatyccy, i Teleżyński czynili we wzajemnej solidarności wszystko, by okazać dobry humor i całkowitą beztroskę.

W pewnym momencie Puciatycki zaproponował wspólną ko-icję w "Monopolu".

- Dochodzi wpół do dziewiątej - spojrzał na zegarek - więc ora akurat odpowiednia. Uważam, że co najmniej kieliszkiem obrego wina powinniśmy wypić pomyślność naszych wspólnych projektów.

-1 koniec wojny - dodała Staniewiczowa. Puciatycki skrzywił się:

- Powiedzmy, że na tę uroczystość kieliszek czystej wystarczy. ^o o tym myślicie?

- O czym? - spytał Teleżyński. - O kieliszku czystej? Ja awsze.

- To wiem. Ale w ogóle... o całym projekcie. Róża Puciatycka zapaliła papierosa.

- Nie wydaje się zły.

- Znakomity! - zawołała Staniewiczowa. - Tylko jak będzie powrotem? Ta okropna godzina policyjna... Do której teraz rolno chodzić?

Puciatycki leceważąco machnął ręką:

- Do dziesiątej, zdaje się. Ale cóż nas to obchodzi? Wrócimy lorożką, jeżeli nie będziemy mieli ochoty zostać do rana. W "Mo-topolu" zabawa trwa całą noc.

Staniewiczowa lubiła robić czasem wrażenie nieporadnej. sJwazała, że to jest w dobrym stylu. I - A odwiezicie mnie?

; - Gdzie tylko pani zechce - skłonił się Teleżyński. ^ - To pięknie z pana strony! Nie śmieście się ze mnie, ale ja |aprawdę strasznie się teraz boję chodzić po nocy... ^ - Fred - zwrócił się Puciatycki do kuzyna - byłeś teraz w "Mo-|opolu"? | - Nie dalej jak wczoraj.

I - \ co?

I - Owszem, dość zabawna buda.

- Swojska.

66

Staniewiczowa spojrzała na swoją suknię.

- Ale nie każecie mi się przebierać?

- Wprost przeciwnie - odparł Puciatycki. - Kategorycznie zabraniamy. Ślicznie pani wygląda w tej sukni.

Prawda, Różo? Puciatycka macierzyńskim ruchem objęła Staniewiczowa:

- Nasza droga pani Kasia zawsze pięknie wygląda. Ta zarumieniła się z zadowolenia. Puciatycki ucieszony, że wszystko poszło po jego myśli, zatarł ręce.

- Idziemy zatem! Tylko tamtych dwóch trzeba jeszcze ściągnąć - wskazał w stronę sąsiedniego pokoju. - Mały Kossecki wydaje się być przyjemnym chłopcem. I ten drugi...

- Prawda! - przypomniała sobie Staniewiczowa. - Zupełnie o nich zapomniałam. Zagadali się pewnie na śmierć. Jacy oni nieznośni, ci mężczyźni!

Przeszła przez pokój i przy drzwiach zawołała:

- Hallo!
 - Prosimy - odpowiedział ze środka Waga. Wszedłszy przymknęła za sobą dyskretnie drzwi.
 - Ależ nakopiliście! Udusić się tu można. Rzeczywiście, nieduży pokój szary był od dymu papierosów. Waga podniósł się. Andrzej Kossecki także wstał.
 - Nie przeszkadzam? Skończyliście już?
 - Mniej więcej - powiedział Waga. - Miała pani, zdaje się, nowego gościa?
 - Nic ważnego. Rodzinna wizyta. Więc rzeczywiście skończyliście?
- Waga skłonił głowę.
- To świetnie! Zabieramy was wobec tego na szaleństwo.
 - Cóż to znowu? Dokąd?
 - Do "Monopolu". Musimy przecież uczcić jakoś koniec wojny. I nasze plany, kapitanie. Mam nadzieję, że się nieźle mają?
 - Nie najgorzej.
 - To znakomicie! Idziemy zatem, tak? Widzę, że już się pan zastanawia.
 - Rzeczywiście. Mam jeszcze pewne spotkanie.
 - Osobiste?
 - Niezupełnie.
 - To może pan nie iść. Na pewno nic ważnego.
 - Przeciwnie. Staniewiczowa westchnęła:

67

- Jaki pan nudny, kapitanie, z tymi wiecznymi swoimi spotkaniami! Więc dobrze, niech już pan idzie, zwalniam pana. Ale później dołączy pan do nas?
- Postaram się.
- Żadne postaram się! Na pewno, tak?
- Prawie na pewno tak.
- Nieznośny z pana człowiek. Trzymam jednak za słowo. A pan, Andrzej - spojrzała na zamyślonego Kosseckiego - też pan ma spotkanie?
- Właśnie w "Monopolu".
- Kobieta?
- Mężczyzna.
- Mam nadzieję, że nie musi poświęcić pan temu mężczyźnie całego wieczoru?
- Kwadrans najwyżej.
- Świetnie! Więc nie żegnamy się. I, moi drodzy, błagam was, żadnych poważnych rozmów. Chcę, żeby było dzisiaj wesoło...

Waga pożegnał się z Andrzejem Kosseckim zaraz przed bramą. Uliczka była krótka i zaciszna, wraz z różowawymi domami i kłębami młodziutkich kasztanów zanurzona w rdzawym zmierzchu. Ciężkie chmury zaciągnęły niebo. Parno było bardzo i bezwietrznie.

- Będzie burza - powiedział Waga. - Pan do "Monopolu"?
- Tak.
- Ja w przeciwnym kierunku. Wszystkiego zatem dobrego.
- Do "Monopolu" nie przyjdzie pan?
- Wątpię. Zobaczę zresztą.

Ucisnęli sobie dłonie i rozeszli się każdy w swoją stronę. i Andrzej poszedł w kierunku Trzeciego Maja. I Aleja, z jednej strony granicząca z parkiem Kościuszki, pełna była spacerujących. Godzina policyjna obowiązywała nadal, więc ludzie tłumnie korzystali z krótkiego majowego wieczoru. Parami, przytuleni do siebie, lub w kilkoro, trzymając się pod ręce, śmiejąc się i hałasując, przechadzali się pod kasztanami młodzi wzaważnie ludzie: wyondulowane i czubate dziewczęta w jasnych sukienkach i w drewniakach na wysokich obcasach, chłopcy w marynarkach narzuconych na ramiona, w koszulach z zawiniętymi rękawami, niektórzy w płóciennych szortach. Wszystkie ławki pod ołożystymi kasztanami były szczelnie pozajmowane. Wśród tłumi było dużo wojskowych. Kilku żołnierzy rosyjskich obstało

68

ławkę, na której siedzieli ich towarzysze. Jeden z nich przygrywał na organkach. Chmurzyło się tymczasem coraz bardziej. Ciężka duchota zawisła w powietrzu i ciemniejącą głębię nieba raz po raz rozdzierały krótkie, jeszcze bezgłośnie błyskawice. Wobec nie ukończonych działań wojennych zaciemnienie nadal obowiązywało. Nie paliły się lampy uliczne. Przedwczesny mrok dokoła gęstniał. Czasem tylko reflektory aut rozjaśniały pomrok. Odblask długich smug naświetlał wówczas przez moment cienie ludzi wśród drzew, w górze - nieruchomy gąszcz kasztanów, w głębi - rozległą perspektywę Alei. Potem zapadał na wszystko szarozółty cień.

Andrzej szedł zamyślony, nie zwracając na ludzi uwagi. Radiowe głośniki powtarzały ostatni komunikat. Ten sam co po południu męski głos skandował donośnie w ciemnościach:

Operacje wojenne zostają wstrzymane w sobotę o godzinie ósmej rano...

Następny, o kilkadziesiąt kroków oddalony głośnik podejmował cichnące słowa:

Akt niniejszy stanowi przygotowanie ostatecznej i całkowitej kapitulacji Niemiec.

Mrok zapewne sprawiał, że głos spikera donośniej teraz rozbrzmiewał niż za dnia. Niewidzialne głośniki wynosiły ponad Aleję i ponad falujący tłum te same słowa, równo skandowane nienaturalnie wyolbrzymionym głosem. Samotnie w górze wołających nikt teraz nie słuchał. Zwycięstwo, na które przez sześć długich lat czekano, należało już do dnia wczorajszego.

Całe popołudnie Alek spędził nad Śreniawą. Kapał się i próbował flirtować z jakimiś przygodnymi i nietutejszymi dziewczętami. Potem, gdy się już miało ku zachodowi, a czasu wolnego miał przed sobą dosyć, poszedł do kina "Bałtyk" na sowiecki film z partyzantki. Jeszcze potem, w małej kawiarence niedaleko rynku, najadł się włoskich lodów. I nawet się nie obejrzał, gdy stało się późno.

Teraz bardzo się śpieszył. Zgrzany, bez czapki, w marynarce narzuconej na ramiona, szedł trzeciomajowym deptakiem tak prędko, że wyminąwszy w pewnym momencie grupkę kilku chłop-

69

dziewcząt omal nie wpadł wprost na Andrzeja. Dojrzał

jaką sylwetkę brata w ostatniej chwili, o parę kroków, i chociaż ez sekundę znieruchomiał, całkiem się straciwszy, zdażył przeleż uskoczyć w bok, ku ławkom. W półmroku potknął się o czy-jeś nogi w długich butach. i - Co jest, do cholery! - sklął go ktoś natychmiast. 1 Usunął się pośpiesznie, lecz znów kogoś nadepnął. Tym razem piseną kobietą.

Tymczasem Andrzej przeszedł nie zauważywszy brata. Alek aatychmiast dał nura w tłum i po kilku dopiero chwilach ochłonał E wrażenia. Przystanął, obtarł spocone czoło i przyglądał włosy. Fam do licha! Przed samym sobą się zawstydził, że tak łatwo i z tak nieważnej przyczyny uległ zbędnemu popłochowi. Cóż by się osta-ecznie stało, gdyby go Andrzej spostrzegł? Pewien był, że brat 3 niczym nie wie i wiedzieć nie będzie. Ufał matce w takim sa-nym stopniu, w jakim jej zaufania nadużył. Gdyby nie miał przeświadczenia, że cała ta sprawa pozostanie tajemnicą pomiędzy nim matką, czy zdobyłby się na kradzież? Nie był tego pewien. Prze-conał się dzisiaj, że zadanie bólu komuś, przez kogo się jest ko-;hanym, wymaga wprawdzie pewnego wysiłku i przełamania się, ecz nie grozi następstwami przekraczającymi miłość. Tak sądził. ?4ie czuł w sobie natomiast dość odwagi, aby złym czynem ścią-g-łać na siebie ciężar odpowiedzialności. Nie posiadał niestety -•twierdził to znów ze wstydem - zuchwalstwa Jurka Szrettera. fakżeż mu zazdrościł tej z niczym się nie liczącej odwagi i jak bar-izo pragnął mu dorównać!

Przy pierwszej przerwie w trawniku Alek zboczył z Alei i szeroką, spacerową ścieżką iść począł przez park.

Na jego skraju snu-o się trochę samotnych, przytulonych do siebie par. Przyśpieszył liecierpliwie kroku.

Jeszcze jedną, w cieniu drzew szepczącą parę yminał. I już był sam. Dokoła mrok prawie nocny.

Fantastyczne arysy pni, tajemnicze gąszcz, a pomiędzy nimi pełne milczenia ciemności wolne przestrzenie.

Doszedł do stawu. Jego ciemna i gładka powierzchnia bezgłośnie i nieruchomo leżała pod spiętrzonymi chmurami płaczą-yh wierzb. Przez moment zaniósło od wody świeższym, wilgot-lym podmuchem. Cisza tu była i pustka zupełna. Ani żywego człowieka. W powietrzu drżało lekkie bzykanie komarów. Żwir ;krzypiał cienko pod krokami. Im dalej w głąb, tym park się sta-wał dzikszy i bardziej tajemniczy.

70

Alek minął jeszcze jeden staw i skręcił w boczną ścieżynkę. Gąszcz wysokich grabów i buków zamykał przestrzeń ze wszystkich stron. Niżej - zarośla bzów, jaśminu i czeremchy. Mimo ciemności Alek doskonale się tu orientował, na pamięć znał każdy zakątek parku i wszystkie sekretne ścieżki. Nagle przystanął, wstrzymał oddech. Ktoś szedł za nim. Z ciszy, jaka trwała dokoła, uchwycił ledwie dosłyszalny, lecz charakterystyczny szelest żwiru. Zeskoczył ze ścieżki i skrył się w gęstych bzach. Nie czekał dłużej niż pół minuty. Serce biło mu gwałtownie. Kroki się zbliżały. Wreszcie zarysowała się w mroku sylwetka człowieka. Odetchnął z ulgą, poznawszy Felka Szymańskiego. Gwizdnął cicho. Tamten się zatrzymał. Alek wyskoczył na ścieżkę.

- Serwus!

- Serwus.

Felek był niższy od Alka, krępy, mocno zbudowany, o twarzy tatarskiej i ciemnych, bardzo gęstych i kręcących się włosach.

- Przestraszyłeś się? Felek wzruszył ramionami:

- Czego?

- Jak gwizdnąłem?

- Więc co? Wiedziałem przecież, że to ty.

- Nieee! Widziałeś mnie?

- Pewnie, że cię widziałem.
 - Dawno?
 Felek przymrużył ciemne, skośne oczy:
 - Wystarczy.
 Alek wyraźnie zmarmotniał.
 - Nie martw się! - pocieszył go tamten. -1 chodźmy już, późno. Chwilę szli w milczeniu.
 - O rany, co za cholerna duchota! - mruknął Szymański. Rzeczywiście, nie było czym oddychać. Powietrze gęste było i lepkie. Błyskało coraz bliżej.
 - Która godzina? - spytał półgłosem Alek. Felek podniósł rękę.
 - Nie możesz dojrzeć?
 - Zapomniałem, cholera, że nie mam zegarka - odparł Felek. - Ale dochodzi pół do dziewiątej, może już nawet po...
 Teren parku stawał się nierówny. Wznosił się lekko wśród łagodnych pagórków i opadał nagle wąskimi wąwozami.
 - Masz? - odezwał się znowu Alek.

71

-Co?
 - Forse.
 - Mam. Uważaj, skręcamy. Alek się zatrzymał.
 - Poczekaj, znam inną drogę, krótszą i wygodniejszą. Zaraz niedaleko, za tamtym dębem.
 O kilkanaście kroków dalej ciemniał w mroku ogromny i ciężki zarys rozłożystego drzewa.
 Felek się uśmiechnął:
 - Zaszedłeś nas tamtędy od tyłu...
 - Pamiętasz?
 - No! Ale swoją drogą pucówkę wtedy dostałeś.
 - Kto, ja? - oburzył się Alek. - Wyście wtedy oberwali. Ja byłem z Jurkiem, a ty z Januszem i Marcinem. Nie pamiętasz?
 - Aha, rzeczywiście - przypomniał sobie Felek.
 Obaj przenieśli się przez moment w odległe czasy, kiedy cała ta strona parku Kościuszki, pusta i dzika, była terenem ich wczesnych szkolnych zabaw.
 Zaraz za owym dębem nikła ścieżynka wiodła w głąb zarośli. Alek poszedł pierwszy, za nim Felek. Teren dość gwałtownie zbiegał w dół. Tu kończył się park i wysoko w górze, na krawędzi stromego urwiska majaczył drucziany parkan. Dalej była podmiejska ulica, teraz ciemna i opustoszała. Kilka nikłych, jak gdyby w powietrzu zawieszonych światełek prześwitywało z zaciemnionych domów. Okno jednego z mieszkań musiało być otwarte, dobiegały bowiem stamtąd wyraźne dźwięki fortepianu. Ktoś jechał środkiem jezdni na rowerze. Małutkie światełko przypominało z dołu ' robaczka świętojańskiego.
 Zarośla podchodziły pod strome urwisko.
 - Tędy! - szepnął Alek.
 [Skręcił na lewo i posuwał się w głąb z nieomylną pewnością, | ostrożnie rozgarniając ciężkie od świeżego listowia gałęzie. Nie-t bawem zatrzymał się. | - Już!
 | Felek przysunął się do niego. ; - Fajnie! Rzeczywiście tędy bliżej. j - A widzisz!
 | Przed nimi, o krok zaledwie, zarośnięta gęstą trawą i niskimi | krzakami, widniała niska jama. Powiało od niej piwnicznym chł-| dem. Zgięci w pół, poczęli się posuwać w głąb ciasnym korytarzem.

72

Dno jego było nierówne i kamieniste. Wtem rozległ się przed nimi w ciemnościach ściszony głos:
 - Kto idzie?
 - Wolność - oznajmił lojalnie Alek. Felek potknął się akurat o jakiś kamień.
 - Cholera! Zaświeć, Marcin, nie wygłupiaj się. Błysk kieszonkowej latarki oświetlił korytarz. Nieco w dole i pod bardzo niskim sklepieniem stał mały, drobny Marcin Bogucki. Felek rozejrzał się po ścianach.
 - Co jest, zmniejszyła się ta nora, czy co?
 - Ty urosłeś! - zaśmiał się Alek. - Ale niewiele.
 - Mnie starczy.
 Przywitali się z Marcinem. Rękę miał chłodną i wilgotną. Nie był zdrowy.
 - Jurek jest? - spytał Alek.
 - Już dawno. Pierwszy przyszedł.
 Zgasił latarkę. Ostry skręt korytarza otworzył przed nimi nagle niezbyt rozległą, lecz wysoko sklepioną piwnicę. Zawieszona na ścianie latarka oświetlała chwiejnym płomykiem rude mury i twardą, lecz szczelnie

ubitą podłogę. Po kątach ciemniał półmrok. W kilku miejscach białe kamienie, przytoczone tutaj w owych jeszcze czasach, gdy służyć miały jako siedzenia przy uroczystych naradach szlacheckich wodzów Indian.

Z nogą wspartą o jeden z tych kamieni stał Jerzy Szretter. Był wysoki, szczupły, o jasnowłosej, wąskiej, nieco ptasiej głowie, w sportowym ubraniu i miękkiej skórzanej wiatrówce. Nie opodal niego opierał się niedbale o mur Janusz Kotowicz, elegancki jak zawsze, trochę zblazowany, a przynajmniej zblazowanie udający, w nienagannie zaprasowanych, szarych flanelowych spodniach i długiej, luźnej marynarce.

- Cholera! - mruknął Felek rozejrzawszy się po piwnicy. - Nic się tu nie zmieniło. Tylko z tymi rozmiarami coś nie w porządku. Wszystko mniejsze. Serwus, Jurek!

Szretter podniósł głowę.

- Spóźniliście się!

Miewał ten sposób mówienia, spokojny i jasny, wsparty o lekki ton wyższości, którym zawsze się posługiwał w stosunku do przyjaciół, gdy chciał im dać odczuć dystans pomiędzy sobą i nimi.

Alek poczerwieniał. Natomiast Felek, który mniej sobie brał do serca wodzostwo Jerzego, wzruszył ramionami.

73

- Tak? Chyba niedużo?

Jurek Szretter skierował w jego stronę spojrzenie swoich wąsko i głęboko osadzonych oczu:

- Zdaje mi się, że nic nie mówiłem: dużo, czy niedużo. Po prostu spóźniliście się. To wystarczy.

Janusz Kotowicz nie usiłował nawet ukryć ironicznego półuśmiechu. Wyciągnął z flanelowych spodni złotą papierośnicę i zapalił papierosa.

- Mógłbyś poczęstować, świni! - odezwał się Felek. Kotowicz podsunął papierośnicę:

- Proszę cię...

Alek także wziął. Marcin nie palił. Jurek Szretter odmówił.

- Nowy nabytek? - obejrzał Felek papierośnicę.

- Podoba ci się?

- Za fajny na mój gust.

- Też się znasz!

- Siadajcie - przerwał im Szretter. - I przypominam, że to nie jest zebranie towarzyskie ani knajpa.

- Szkoda! - mruknął Janusz, lecz tak cicho, że dosłyszał go tylko najbliższy stojący Felek.

W milczeniu zajęli miejsca na kamieniach.

- Cholera, jakie twarde! - skrzywił się Felek i nachylił się do Janusza: - Uważaj, żebyś sobie dupy nie odmroził...

Marcin ze swoją mizerną, bladą twarzą, w kusej i podniszczonej marynarce, wyglądał na zmarzniętego.

Zacierał nerwowo dłonie. Przez chwilę trwała cisza. Te mury, ten półmrok pełen ruchliwych cieni na murach i sklepieniu, te kamienie pokryte lekką pleśnią - ileż było w tym wspomnień!

Alek nie wytrzymał:

- Jurek, pamiętasz Wysokiego Sokola? Szretter, który kiedyś nosił właśnie to przezwisko, zmarszczył brwi:

- Może innym razem pomówimy o tych dzieciństwach?

- Bawiliśmy się fajnie, nie można powiedzieć - wtrącił Felek.

Szretter milczał. Jedyny z obecnych nie usiadł i dalej stał z nogą opartą o kamień, podpierając pięścią brodę.

Chybotliwy płomyk świecy oświetlał jego suchą, pociągłą twarz, cień całej sylwetki, wygromniony i w ramionach przelamany, rzucając na mur z tyłu i na sklepienie w górę. Cisza tutaj była tak pusta i zamk-

74

nięta, jaka się zdarza tylko pod ziemią. Gdzieś bardzo daleko i także jakby pod ziemią przetoczył się głuchy odgłos grzmotu.

- Burza - szepnął Marcin. Znowu zagrzmiało.

- Cholera! - mruknął Felek. - Zupełnie, jakby z armat walili, nie?

Wszyscy poczęli nasłuchiwać. Wtem Szretter wyprostował się.

- Słuchajcie, chłopcy - zaczął swoim jasnym, lecz tym razem nieco serdeczniejszym i cieplejszym głosem - chciałbym, żebyśmy uniknęli niepotrzebnych nieporozumień...

- Słusznie! - stwierdził Felek. Jerzy puścił tę uwagę mimo uszu.

- Znamy się kupę lat, kiedy byliśmy jeszcze wszyscy pęćkami. Jesteśmy starymi kompanami, nie? W tej chwili jednak ja jestem waszym dowódcą. Ja rozkazuję, a wy rozkazy wypełniacie. Jesteśmy pierwszą piątką naszej organizacji. Sami ją założyliśmy i będzie taka, jaką my ją uczynimy. Rozumiecie więc, o co mi chodzi? To nie jest zabawa przyjaciół.

Felek splunął przez zęby tytoniem:

- W porządku, jedź dalej!

- Nie chciałbym więcej do tych spraw wracać. Ale to tylko od was zależy. Ja w każdym razie wiem, co mam zrobić.

Felek poruszył się na kamieniu i rzucił w stronę Jerzego skośne spojrzenie. Nic jednak tym razem nie powiedział.

- A teraz - ciągnął dalej Szretter - przejdźmy do spraw właściwych. Otrzymaliście wczoraj rozkaz, pierwszy mój rozkaz - podkreślam - aby każdy z was przyniósł dzisiaj wieczorem pięć tysięcy. Mam nadzieję, że rozkaz został wykonany. Ale to mało.

- Jeszcze mało? - zaniepokoił się Felek.

- Poczekaj. Nie o to chodzi. Chcę wiedzieć, skąd każdy wziął pieniądze.

Alek poczerwieniał i pochylił głowę, żeby ukryć rumieniec.

- Zaczynam od siebie - powiedział Szretter. Wyciągnął z kieszeni pieniądze i rzucił je na kamień, o który się opierał.

- Pięć tysięcy. Jest to część oszczędności przeznaczonych na kupienie motocykla. Dokładnie trzy czwarte całej sumy.

I już się tym nie interesując zwrócił się w stronę najbliższej siedzącego Kotowicza:

75

- Janusz?

Ten ze znużoną miną sięgnął po pieniądze, wydobył większą ich ilość i szybko odliczył kilka banknotów.

- Pięć kawałków. Żadnych tajemnic. Forsa tak zwana własna, uczciwie zarobiona na walucie. Wiecie zresztą sami.

- W porządku - stwierdził Szretter.

I zwrócił się do następnego. Był nim Felek Szymański.

-Aty?

Ten bez słowa położył pieniądze na kamieniu.

- Skąd je wzięłeś? Felek się nachmurzył:

- O rany, co za piła! Spuściłem zegarek, no! Jest o czym mówić...

Szretter milczał chwilę.

- W porządku - powiedział wreszcie. - Następny! Alek? Alek, czując, że jest czerwony aż po włosy, niezdarnie wyjął pieniądze i schyliwszy się położył obok poprzednich.

- Skąd masz? - spytał Szretter tonem specjalnie oschłym, ponieważ Kosseckiego lubił najbardziej ze wszystkich. Alek całkiem się zmieszał:

- Miałem trochę swoich...

-Ile?

- Półtora.

- A reszta? Milczał.

- Skąd wzięłeś resztę?

Trudno. Przełamał w sobie opór:

- Ukradłem.

Szymański i Kotowicz poruszyli się z nagłym ożywieniem. Felek gwizdnął nawet przeciągle. Natomiast Alek doznał ogromnej ulgi.

- Komu ukradłeś? - badał dalej Szretter. Odpowiedział już z pełnym spokojem:

- Matce.

Przeszło! I jak lekko! Czuł przez skórę, że nikt go nie potępia. Przeciwnie.

- W porządku - stwierdził Jurek Szretter. - Marcin? Marcin siedział nieco na uboczu, zamyślony, z dłońmi splecionymi pomiędzy kolanami. Na dźwięk swego imienia podniósł głowę i spokojnie spojrzał na Szrettera zamyślonymi oczami. Po twarzy Jerzego przesunął się cień.

76

- Twoje pieniądze?

- Nie mam - odparł półgłosem.

Janusz Kotowicz zrobił ruch, jakby się chciał podnieść i coś powiedzieć, lecz Felek przytrzymał go.

- Daj spokój, twoja rzecz

Wiedzieli wszyscy, że Marcin był w biedzie, zarabiał lekcjami i utrzymywał matkę i młodszą siostrę. Ale Szretter nie uznał sprawy za zakończoną.

- Rozkaz był wyraźny, prawda? I nie wykonałeś go. Nie odpowiedział.

- Dlaczego?

Marcinowi drgnęły lekko usta.

- Sam wiesz, dlaczego. Gdybym miał pięć tysięcy, mógłbym kupić siostrze buty...

Janusz Kotowicz nie wytrzymał i poderwał się:

- To twoja sprawa! Co nas tutaj twoja siostra obchodzi? Marcin zwrócił się w jego stronę:
- Ale mnie obchodzi. Zresztą nie obawiaj się - dodał z akcentem goryczy - nie kupiłem siostrze butów. Nie mam pięciu tysięcy.
- To trzeba było ukraść jak Kossecki.
- Spokój, chłopcy! - odezwał się Szretter. - To nie twoja sprawa. Janusz. Ja tu jestem od zwracania uwag. Marcin podniósł się tymczasem i stanął na wprost Szrettera. Był bardzo blady, ręce mu się trzęsły.
- Przepraszam cię - powiedział, z trudem zapanowując nad krótkim oddechem. - Ale zanim mi zwrócisz uwagę, pozwolisz powiedzieć kilka słów?
- Szretter przyjrzał mu się uważnie.
- Nie teraz. Później, w cztery oczy, owszem.
- Marcin zawahał się. Tamten położył mu dłoń na ramieniu.
- Siadaj.

I gdy tamten posłusznie to uczynił, sam się cofnął i oparł plecami o mur.

- Posłuchajcie, sprawa tak wygląda. Do poniedziałku najdalej muszę mieć całą sumę, to znaczy dwadzieścia pięć tysięcy, ani grosza mniej. Nadarza się zupełnie wyjątkowa okazja kupienia broni, rozumiecie? Szczegóły już mnie zostawcie, ja to sam załatwię. Otóż... - zamyślił się przez chwilę - wyrównamy brakującą sumę w następujący sposób: ponieważ Alek ukradł pieniądze na mój rozkaz, ja mu zwrócę.

77

Alek zerwał się. Krew uderzyła mu do głowy:

- Nie zgadzam się! To moja rzecz, skąd wzięłem pieniądze... Jurek Szretter nawet nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć.
- Część natomiast Marcina zapłaci za niego ten, który najwięcej z nas ma pieniędzy.
- Z kolei Janusz Kotowicz się rzucił. Wściekłość zniekształciła jego ładne, lecz zbyt lalkowate rysy.
- Ani mi się śni! Za nikogo nie będę płacić!
- Owszem. Zapłacisz, i to natychmiast. Kotowicz cofnął się odruchowo i rozejrzał po obecnych, jakby poszukać chciał u nich pomocy.
- Jerzy - odezwał się z boku Marcin - upokarzasz mnie.
- Ciebie?

I z powrotem obrócił się w stronę Kotowicza.

- Zostawiam ci pół minuty do namysłu - spojrzął na zegarek. - Jeżeli nie dasz dobrowolnie pięciu kawałków, oddasz za karę wszystko, co masz przy sobie. Wszystko. Więc zastanów się.
- A to heca! - mruknął Felek.

Alkowi serce pulsowało w gardle. Marcin stał z głową zwieszoną, przygryzając wargi. Natomiast Kotowicz zbladł i twarz jego ściągnęła już nie złość, lecz paniczny, szczerzy strach.

Śmiertelna cisza zaległa w piwnicy. Ze dworu dobiegał jednostajny, przytłumiony bełkot, podobny do szumu spienionej wody. Wiatr się musiał zerwać. Bliżej niż poprzednio zadudnił grzmot.

Szretter znowu spojrzął na zegarek:

- Siedemnaście sekund.

Kotowicz cofnął się jeszcze o krok i spode łba rzucił krótkie spojrzenie w stronę korytarza. Szretter skinął na Kosseckiego i Szymańskiego.

- Wy dwaj stańcie przy wyjściu...

Usłuchali trochę jak automaty albo ludzie zahipnotyzowani.

- Więc to tak? - wycedził przez zęby Kotowicz. - Widzę, żeście się nieźle dobrali. Piękne towarzystwo, banda opryszków!

- Sześć sekund - stwierdził Szretter.

Marcin usiadł na swoim kamieniu i ukrył twarz w dłoniach.

- Dwie! - rozległ się jasny głos Jerzego.

Naraz Kotowicz długim skokiem oderwał się od ściany. Już uchwycił wiszącą latarkę - ta gwałtownie się zachybotła, całą piwnicę rozkołysując w cieniach i smugach światła - gdy Szretter

78

doskoczył i oburącz uchwyciwszy go za klapy marynarki, pchnął w przeciwną stronę, mroczny kąt. Janusz upadł, lecz natychmiast się zerwał i odruchowo otrząsał począł spodnie z kurzu. Z rozciętej wargi ściekała mu krew. Szretter podciągnął powyżej łokci rękawy wiatrówki i wolno do niego podszedł. Tamten nie zdążył się nawet zasłonić, sięgał właśnie po chustkę, aby obetrzeć usta, gdy otrzymał pierwsze uderzenie w twarz. Wypuścił chustkę, zatoczył się i był tak oszołomiony, że wcale się nie bronił. Wtedy Szretter począł go bić systematycznie, równo, zaciśniętymi kulkami.

- Jurek! - krzyknął Felek.

Ten bił dalej. Słaby i sportowo niewyrobyony Janusz zataczał się jak kukła to w jedną, to w drugą stronę, na

próżno się osłaniając przed celnymi uderzeniami. Marcin siedział bez ruchu, ciągle z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Cholera! - mruknął Felek. - Nie lubię takich jatek. Rzygać się chce.

Alek milczał. Stał zdrętwiały i zapatrzony, urzeczony siłą Jerzego. Całym sercem i podziwem był po jego stronie. Januszem pogardzał. Wreszcie Kotowicz upadł. Szretter stał nad nim chwilę, potem się odwrócił, odszedł na bok i zsunąwszy bez pośpiechu rękawy wiatrówki sięgnął po papierosa. Nie znać po nim było wzruszenia. Był jak zawsze opanowany i chłodny. Przyglądał tylko dłonią włosy i oparłszy swój mocny, sportowy but o kamień, zaciągnął się dymem.

Tymczasem Janusz dźwignął się powoli. Przyklęknął na kolanie i umazaną w kurzu dłonią przecierał począł powieki. Dłuższą chwilę tak klęczał, jakby namyślał się, co zrobić. Wreszcie się podniósł. W ubrudzonym, zmiętym ubraniu, z twarzą siną i pokrwawioną, z zapuchniętymi oczami wyglądał strasznie. Charczał, splotwał błotem zmieszonym z krwią i ciągle rękawem marynarki przecierał twarz. Zbrakło mu jednak widocznie w pewnym momencie sił, bo zachwiał się i oparł o mur. Po chwili dopiero podniósł głowę i rozejrzał się ledwie widzącymi oczami. Zły uśmiech wykrzywił mu obrzęknięte wargi. Sięgnął do kieszeni spodni i wyjąwszy paczkę banknotów, rzucił je przed siebie.

- Macie! - Z marynarki wyjął drugą paczkę i także cisnął. - Nażryjcie się!

Cały środek piwnicy usłany był banknotami. Szretter w obojętnym milczeniu palił papierosa. Cała historia zdawała się go nie

79

interesować. Tamten do jeszcze jednej sięgnął kieszeni. Znalazł kilka papierowych dolarów. Zastanowił się przez moment.

- Nie! - powiedział przez zęby. - Tego, swoloczce, nie dostaniecie!

Z furją przedarł banknoty na pół, jeszcze raz na pół, jeszcze raz i zielone skrawki cisnął na ziemię. Rozsypały się dokoła, podobne do karnawałowych konfetti!

- Macie! Tyłki sobie możecie tym podtrzeć! Felek Szymański, który był z natury chłopcem rzeczowym i praktycznym, nie wytrzymał:

- O rany, Janusz, zwariowałaś?

Tamten jeszcze jakieś drobne, pomięte dwu- i pięciozłotówki wygarniał z kieszeni.

- Zwariowałem? Zobaczycie niedługo, czy zwariowałem! Już ja wam pokażę, popamiętacie mnie...

Szymański i Kossecki, stojący przy wyjściu z piwnicy, spojrzeli na siebie. Nawet Marcin podniósł głowę. Szretter w milczeniu kończył papierosa.

- Cholera! - mruknął Felek. Alek nachylił się ku niemu:

- Wspanie nas.

- Tss!

Janusz, pewny już swojej przewagi, obciągnął marynarkę, poprawił przekrzywiony krawat i jeszcze raz obtarł twarz rękawem.

- Bawcie się dobrze!

Rozrzucone pieniądze zaszeleściły pod jego butami. Nie zdążył jednak zrobić więcej niż dwa kroki, gdy Szretter wyprostował się i sięgnął do kieszeni spodni. Marcin zerwał się na równe nogi.

- Jerzy!

Dwa wystrzały, płaskie i przygłuszone grubymi murami, stuknęły równocześnie nieomal, jak dwa kłaśnięcia bitem. Janusz wspiął się na palce, sekundę trwał w tej prawie tanecznej pozie, wyprostowany, z ramionami podniesionymi, aż nagle się okręcił na lewej stopie i ciągle z rękoma ponad głową, runął w cień, twarzą do ziemi.

Marcin pierwszy się ku niemu rzucił. Odwrócił leżącego na wznak. Był ciężki i bezwładny jak worek z piaskiem. Klęcząc począł mu różową, jedwabną koszulę rozrywać na piersiach. Krew się z nich sączyła cieniutkim ciurkiem. W głębi ciszy, jakby w środku ziemi, szumiał daleki ulewny deszcz.

Marcin odwrócił się w stronę Szrettera:

- Jerzy, Jerzy! Co myśmy zrobili?

Szretter chciwie zaciągnął się ostatkiem papierosa i cisnąwszy niedopałek przygniótł go butem.

- My? Chcesz, Marcin, rozsądnej rady, to ci powiem: podnieś się i przestań niepotrzebnie rozczulać.

Tymczasem i Felek Szymański, ostrożnie stąpając po pieniądzach, podszedł do leżącego.

- Cholera! - mruknął.

Chwilę mu się przyglądał, potem spojrzął skośnymi oczami na klęczącego Marcina.

- Wstań, stary! - powiedział z szorstką serdecznością. - Co się będziesz jednym głupim trupem przejmować?

Objął go przez plecy i podniósł.

Marcin nie opierał się. Felek popatrzył na porozrzucane pieniądze.

- Ależ forsy miał chłop!

Alek stał nieco z boku. Patrzył w ziemię i lekko przygryzał dolną wargę.

Felek zniecierpliwiał się nagle.

- O rany, co tak milczycie, jakby wam ch...je poodpadały? No? - spojrzął na Szrettera. - I co dalej? Tamten nic nie odpowiedział.

- Co tak patrzysz? - nachmurzył się Felek. - Myślisz, że mam pietra?

- A nie masz?

- Pewnie, że nie. Na głowę upadłeś? Nie takie się rzeczy widziało. Pokaż ten twój interes...

Szretter wyjął z pumpów rewolwer i podał Felkowi. Ten uważnie począł go oglądać.

- Niczego sobie! Vickers?

-Aha!

Spojrzął na zegarek: dziewiąta dochodziła.

- Daj - sięgnął po rewolwer. - Nie ma czasu. Schował broń i przeszedł na ton dowódcy.

- No, chłopcy, dosyć tego dobrego! Tego - wskazał na leżącego - na razie na bok, forszę trzeba pozbierać... potem się zastanowimy, co dalej.

Jego opanowany, przejrzysty głos wniósł pewne odprężenie. Zbrodnia, która się przed chwilą dokonała, była na razie tylko

81

wspólną sprawą ich czterech, zamknięta pomiędzy ścianami piwnicy, niewiadoma dla świata.

Kossecki z Szymańskim, wzięwszy zabitego za nogi i ramiona, przeciągnęli go pod ścianę w najodleglejszy kąt piwnicy. Złożony tam, wydał się od razu mniejszy, skrócony przez mrok i samotność. Potem zabrali się do zbierania pieniędzy. Jurek Szretter począł im w tym pomagać.

- O, kurczę pieczone! - zawołał nagle Felek, potrząsając malutkim skrawkiem banknotu. - Patrzcie, panowie, dwadzieścia dolarów!

- Pokaż! - zainteresował się Alek.

- Widzisz, dwudziestka! Ładna forsa, nie?

- Prędszej, prędszej! - upomniał ich Szretter. - Nie traćcie czasu na głupstwa.

Papierowe pieniądze szeleściły w ich dłoniach. Na murze, podobne do ciężkich, bezkształtnych zwierząt, poruszały się wolno cienie trzech postaci.

- Jerzy! - zawołał nagle Marcin.

Szretter wyprostował się. Obie dłonie pełne miał banknotów. Marcin patrzył na niego przez chwilę. Jego ciemne, zawsze zamyśnione i smutne oczy wydawały się jeszcze głębiej osadzone i jakby mgłą zasnutę. W zbyt wąskiej, wyszarzałej i z przy krótkimi rękawami marynarce wyglądał bardzo żałośnie.

- Jerzy - powtórzył błagalnie - pozwól mi odejść. Szretter zmarszczył brwi:

- Teraz?

- Nie bój się, przecież ja was nie zdradzę.

-Nie o to chodzi!

Felek i Alek przerwali robotę.

- Więc jeżeli mi ufasz, proszę cię... Ja wam w niczym nie potrafię pomóc.

- To źle.

- Nie mogę, zrozum.

- A oni mogą? - wskazał Szretter na stojących obok towarzyszy.

Macinowi zadrżały usta:

- Jerzy, błagam cię! Ja nie wiem, co wy czujecie. Nie chcę wiedzieć. To okropne wszystko. Zastanówcie się. Leży zabity człowiek, nasz kolega, a wy jakby się nic nie stało, liczycie pieniądze, rozmawiacie...

82

- Zwariowałeś? - wtrącił się Felek. - Co ma jedno do drugiego? Mamy forszę zostawić? Szretter skinął w jego stronę:

- Daj spokój. - Schował pieniądze do kieszeni i podszedłszy do Marcina położył mu rękę na ramieniu. - Uważasz, że źle zrobiłem?

Ten śmiało spojrzął mu w oczy:

-Tak.

- Powiedzmy więc, że nie zastrzeliłbym go. I co dalej? Co by się wtedy z nami stało?

- Nie wiem, Jerzy, nie wiem tego. Wiem, co z nim. Popatrz, od czego zaczęliśmy... A o czym mówiliśmy tyle razy? Mieliśmy walczyć o lepszą Polskę, o same dobre, szlachetne rzeczy... Nie uśmiechaj się, sam to mówiłeś tyle razy.

- Mówiłem. Więc co?

- Wierzyliśmy, że jeżeli mamy walczyć, to w imię wolności i sprawiedliwości...

Szretter spochmurniał:

- Zostaw, to nie pora na deklamacje.
- A co teraz dalej będziemy robić? Z tym wspomnieniem, z tą krwią...
- Nie przesadzaj. Po co tyle gadania? Krew! Krew niewiele znaczy.
- Jerzy, nie mów tak! Nie wolno ci tak mówić...
- Owszem, liczy się krew, ale nie naszych wrogów. Tych będziemy strzelać jak psów. Po to jesteśmy i to jest nasza słusność. A że ten poszedł pierwszy... przypadek! Wiedziałem zresztą, że do tego dojdzie.
- Wiedziałaś?
- Myślisz, że mu ufałem? Jemu? To żigolak. Wziąłem go tylko ze względu na jego stosunki giełdziarskie. Mógł się przydać. Jego forsa była mi potrzebna, nie on. Zdradził się szybko, tym lepiej. Wyjaśnił sytuację, nic więcej.
- Marcin zasłonił twarz dłońmi:
- To straszne, Jerzy, co mówisz.
- Przesada.
- Jerzy, Jerzy, przecież człowiek musi się liczyć, każdy człowiek. Musi się cierpieć, jeśli się naprawdę musi zabijać.
- Śmiejesz się z tego! Zabiłeś kiedy? Marcin drgnął:

83

- Nie.
- A widzisz! Ja zabiłem. I niejednego.
- Niemców...
- Wrogów. Ale zapewniam cię, żadnych cierpień. Marcin pochylił głowę.
- Nie, nie... - szepnął.
- Co nie?
- Tak nie wolno.
- Ale tak jest. Idź więc, jeśli chcesz. Wyśpij się przede wszystkim. Jutro któryś z nas do ciebie zajdzie. Bądź w domu.
- Tak - odpowiedział bezbarwnie.

Czuł, że już nie należy do samego siebie i tylko jakąś bardzo nikłą częścią, samotną i rozpaczliwie smutną chroni własną, nikomu niepotrzebną wolność. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak opuszczony i tak gorzko i okrutnie zawiedziony w swoich pragnieniach i nadziejach. Świat, który przez wiele lat splotał krwią, znów otwierał nie zagojone rany i nienawiść i pogarda wraz ze ślepym okrucieństwem dalej toczyły chore ludzkie serca. Wiedział, że cokolwiek powie, brzmieć to będzie sztywno, niby słowa wycięte z papieru, ponieważ oni czerpali swoje złowrogie racje z życia, on tylko z wiary w życie i wiary w szlachetność człowieka.

Przygarbiony, skierował się wolnym krokiem ku ciemnemu wyjściu. Tamci trzej odprowadzili go wzrokiem, dopóki nie zniknął. Posuwał się potem korytarzem po omacku, potykając się raz po raz i macając dłońmi chłodny mur. Zapomniał całkiem, że ma przy sobie latarkę. Przystanął w pewnej chwili. Za nim była cisza, i przed nim cisza również. Ulewa musiała być przejść.

E Rzeczywiście, gdy wyszedł z podziemia, deszcz nie padał, E krótka majowa burza minęła. Otoczył go ze wszystkich stron odu-lrzający zapach ziemi wiosennej i wilgotnej zieleni. W zaroślach i szeleściła świeża rosa. Ciężkie chmury przetoczyły się dalej; niebo, wsparte rozjaśnionym mrokiem, wzniosło się wysoko i wśród jego nieskazitelnie czystej przestrzeni kilka młodych, do kropeł deszczu podobnych gwiazd zabłysło.

v

Niestety, stów nie było słycać. Za to głosy dochodzące z gabinetu Antoniego wyraźnie się dawały rozróżnić. Wyłącznie prawie mówił Podgórski. Głos Antoniego, przytłumiony i niski, bardzo rzadko się rozlegał.

Co kilka chwil pani Alicja przerywała pracę. Wydawało się jej, że jeśli umilknie monotony stuk warsztatu, wówczas cisza tu, w stołowym, ułatwi Podgórskiemu zrozumienie, że nie powinien z wielu względów przedłużyć swojej wieczornej wizyty. Nasłuchiwała zatem niespokojnie, czy nie dobiegną charakterystyczne odgłosy zegnania się. Czekwała minutę, dwie, a ponieważ głos Podgórskiego dalej za drzwiami rozbrzmiewał, wracała do pracy. Znów innym razem przerywała ją, gdy poprzez suchy klekot warsztatu dobiegał głos Antoniego. Na moment wstrzymywała oddech, chcąc uchwycić bodaj strzępy pojedynczych słów. Sądziła, że nawet z kilku takich przypadkowo zasłyszanych wyrazów zdoła odtworzyć dokładny sens tego, co mówi Antoni. Ale mówił zbyt cicho, milknął zresztą zaraz i znów słycać było głos Podgórskiego.

Nie, nie mogła się na tyle skupić, aby swojej pracy nadać równe i dostatecznie zautomatyzowane tempo. Wstała i nie widząc żadnego na razie dla siebie zajęcia, przeszła do kuchni. Półmrok tam panował. Jedno okno było półotwarte i przez nie wlewał się przedwieczorny rozgwar wróbli.

Rozalia zmywała naczynia po kolacji. Pani Alicja z miejsca się zdenerwowała:

85

- Dlaczegoż Rozalia nie zapali sobie światła? Przecież noc zupełna. Któż to widział tak po ciemku zmywać naczynia?

Przekręciła kontakt, lecz ze światła, które rozgarnęło przygnębiający mrok, nie wyniknęło dla niej uspokojenie.

- Tyle razy tłumaczyłam Rozalii, że nie ma żadnego sensu oszczędzać na takich głupstwach...

Stara nic nie odpowiedziała, tylko mokre talerze i widelce hałaśliwie poczęły jej latać w dłoniach. Pani Alicja bez słowa, lecz z pewną ulgą przyglądała się tej milczącej furii.

- No, niech Rozalia sama powie - zaczęła wreszcie pojednawczo - co to za człowiek z tego pana Podgórskiego. Zaszedł na chwilę przywitać się z panem i jak przyszedł, tak siedzi już ze dwadzieścia minut. Nie mogę zrozumieć, jak to tak można.

- Widać, że można! - powiedziała głośno Rozalia i splukany świeżo talerz cisnęła na stół.

Pani Alicja uznała za właściwe dalej ciągnąć swoje:

- A ja tego nie jestem w stanie pojąć. Trzeba przecież ostatecznie mieć jakąś delikatność...

Rozalia parsknęła krótkim śmiechem:

- Także coś, delikatność! Teraz od ludzi delikatności wymagać! - I żeby już całkiem swoją panią pognać, dodała: - Teraz człowiek w człowieku niczego nie uszanuje. O sobie tylko każdy myśli.

- Co też Rozalia opowiada? - zgorzyla się pani Alicja. - Jak można tak mówić?

- O właśnie, mówić! A robić można? Pani Alicja bezradnie załamała ręce.

- Jezus Maria, jaka też Rozalia jest... Słowa nie można powiedzieć.

- Jaka jestem, taka jestem - ucięła stara.

Pani-Alicja dała za wygraną. Pomyślała, że powinna z kuchni wyjść, lecz nie mogła się na to zdecydować.

Przysunęła sobie stółek, usiadła i naraz całkiem się wśród swoich porwanych myśli zagubiła. Rozalia wycierała tymczasem talerze. Wytarte, już bez hałasu odstawiała na bok. Mimo głośnego świergotu wróbla za oknem, kapanie zlewu wyraźnie było słychać. Kossecka z przyzwyczajenia spojrzała w tamtą stronę.

- Moja Rozalio, trzeba będzie koniecznie wezwać jutro montera...

- Jutro? Przecież niedziela.

86

- Prawda! W takim razie w poniedziałek z samego rana. Coś z tym zlewem trzeba będzie w końcu zrobić. A schowała Rozalia kolację dla pana Alka?

- Schowałam, a jakże! Ale, jak Boga kocham, gdyby to był mój syn...

- Tak tylko Rozalia mówi - przerwała pośpiesznie pani Alicja - bo sama nie ma dzieci.

Rozalia z talerzem w jednej ręce, ze ścierką w drugiej, całą swoją wielką postacią obróciła się ku pani Alicji:

- A pewnie, że mówię! Bo co się ma z dziećmi? Zmartwienie tylko i nic więcej, szkoda mówić nawet. O, teraz, na przykład, siedzi pani w domu i zamartwia się, co tam jeden z drugim wyrabiają. Już o panu Andrzeju nie mówię, dorosły człowiek, ale ten...

- Moja Rozalio, Alek też nie jest dzieckiem, ma siedemnaście lat.

- To co z tego?

- Nie może cały dzień siedzieć w domu.

- Ja mówię "cały dzień"? Ale czego się po nocy włóczy? I pani go jeszcze broni?

- Ja go bronię? - oburzyła się niepewnie pani Alicja. - Gdzież ja go bronię, moja Rozalio?

- Tylko co? Niby ja nie widzę. A to kolacja, a to nie może siedzieć w domu, takie zawracanie głowy! Wszystkie flaki się aż w człowieku przewracają, jak na to patrzy.

Czerwona z irytacji, wzięła ze stołu naręczne talerzy i zaniósła do kredensu. Po chwili wróciła po widelce i łyżki.

- A co ja mam zrobić? - spytała żałośnie pani Alicja. - Niechże sama Rozalia powie, co ja na to mogę poradzić? Musiałabym się chyba zupełnie zmienić. Nie przejmować się niczym. Ale myśli Rozalia, że to tak można na zawołanie? Sama wiem, że najlepiej się mają takie kobiety, które się nigdy niczym nie przejmują. Ani mężem, ani dziećmi, ani domem. Ja tak nie potrafię. Choćbym chciała, to nie potrafię.

Rozalia pokiwała głową:

- Pewnie, że pani nie potrafi. To nie tak łatwo coś przeciw sercu robić.

- A widzi Rozalia...

Spojrzała na stojący na kredensie budzik i niespokojnie się poruszyła:

- Moja Rozalio, czy ten budzik nie śpieszy się przypadkiem?

87

Stara nie dosłyszała.

- Czegóż się pani znowu śpieszy?

- Nie ja, Rozalio! Budzik.

- Budzik. Także coś!

- To okropne! - załamała ręce pani Alicja. - Kwadrans po ósmej. Ten Podgórski nigdy chyba nie wyjdzie... Podgórski stał przy oknie.

- Myśli pan, że to wypadek odosobniony? O, to się pan jeszcze nie orientuje w tym wszystkim, co się u nas dzieje. Nie ma dnia bez ofiar. Z własnego doświadczenia mógłbym panu takich zdarzeń jak dzisiejsze wyliczyć przynajmniej kilkadziesiąt. Nasz powiat należy jeszcze do stosunkowo spokojnych. Ale są okolice, całe tereny nawet, których do tej pory nie jesteśmy w stanie opanować. Niektórzy usiłują w tej chwili stworzyć pozory, że wszystko jest w porządku. Sam czasem ulegam tym złudzeniom. Trudno inaczej. Przy nastawieniu na ciągłą i ściśle określoną walkę nie zawsze da się zachować właściwe perspektywy.

Kossecki słuchał z uwagą. Sam się nawet nie spostrzegł, w którym momencie przełamał się w nim przymus, jaki na początku rozmowy z Podgórskim usiłował w sobie wbrew dużym oporom wewnętrznym przewyciężyć. Pewien był, że tamten zacznie od rozpytywania o przeżycia obozowe. Stało się inaczej. I wówczas od razu się zorientował, że w ciągu ostatnich lat Podgórski sam musiał przejść dość wiele, aby teraz milczeniem móc pomijać przeżycia drugich. Gdy to sobie uświadomił, poczuł się natychmiast bezpieczny i nieomal uwolniony od tych wszystkich dręczących

• myśli, które go oblegały natarczywie w samotności. Stwierdził również, zresztą nie po raz pierwszy, że nie istnieje tak ciemny i trudny lęk przed samym sobą, który by się porównać dał ze strachem wobec ludzi. Cóż, nawet ciężar najdotkliwszej samotności zatruty bywa tym niepokojem. Kto ucieka przed samym sobą? Ucieka się przed ludźmi. Gdy nie trzeba uciekać i nie trzeba

się bronić, jest się bezpiecznym. To wszystko. Nie miał wprawdzie pewności, czy myślał w ten sposób zawsze, lecz teraz myślał właśnie tak.

- Pojęcia pan nie ma - mówił Podgórski - jak my tutaj w kraju cieszymy się z każdego odzyskanego człowieka. Zdaje się, że dopiero teraz, kiedy wojna się kończy, zaczynamy w pełni pojmować, ile znaczy człowiek i jak bardzo nam potrzeba ludzi, jak najwięcej

88

wartościowych ludzi. Zresztą trudno to wszystko wypowiedzieć słowami. Sam się pan po kilku dniach przekona. Na razie czuje się pan pewnie jeszcze trochę oszołomiony tą naszą nową Polską, nie? Kossecki zastanowił się.

- Oszołomiony? Czy ja wiem? Na dobrą sprawę sprawę nie bardzo się jeszcze orientuję, jaka ta nowa Polska.

- Jaka? - powtórzył Podgórski. - Jakby to panu najkrócej powiedzieć? Trudna. Tak, to określenie najlepiej chyba oddaje ten splot mnóstwa konfliktów i sprzeczności, które spotyka się u nas co krok i których na pewno ani jutro, ani pojutrze do końca nie rozwiążemy. Szybko zresztą sam się pan przekona, jak to u nas jest. Wojna rzeczywiście się kończy, ale walka u nas dopiero się zaczyna. I to walka nie na jeden rok, nie na dwa... Może mnie pan na przykład spytać, czy nasza partia posiada w tej chwili oparcie w tak zwanych szerokich masach polskiego społeczeństwa. Otóż nie, nie ma takiego oparcia.

- Jednak? - mruknął Kossecki.

- Jasne! Jedni nienawidzą nas jawnie, drudzy skrycie, a jeszcze inni, i takich jest bardzo wielu, po prostu nie mają do nas zaufania, nie znają nas, nie orientują się ani o co się toczy walka, ani dlaczego rewolucja musi u nas przebiegać tak, a nie inaczej. Nie o to jednak chodzi w tej chwili, nie o ilość. W czasie wojny zarówno PPR, jak i oddziały Armii Ludowej też nie reprezentowały przewagi ilościowej. Reprezentowaliśmy za to linię polityczną słuszną historycznie, i to okazało się najważniejsze i decydujące. Teraz jest to samo. Nie mamy na razie w społeczeństwie oparcia ilościowego, ale mamy ze sobą jakość, rozumie pan? Siłę słusznej i sprawiedliwej jakości. Niestety, wielu ludzi u nas nie rozumie tego albo po prostu zrozumieć nie chce. Stąd gorycze, rozczarowania, przeróżne żale, znużenie, tysiące młodych chłopców wykolejonych, tysiące żalonych emigrantów, ślepy zaulek.

Przez moment zaległo milczenie.

- Przed wojną - odezwał się Kossecki - o ile mnie pamięć nie myli, miał pan dość lewicowe przekonania, ale komunistą pan nie był.

Podgórski zatrzymał się przed biurkiem.

- Dobrze pan pamięta. Rzeczywiście nie byłem komunistą. Ale wie pan, czego mnie nauczyły doświadczenia wojenne? Właśnie komunizmu i patriotyzmu.

- Równocześnie? - zdziwił się lekko Kossecki.

89

Podgórski uśmiechnął się i ten uśmiech bardzo jeszcze młody i pogodny od razu rozluźnił na jego twarzy zmęczenie.

- A czy może być inaczej?

- Nie wiem - odpowiedział Kossecki. - Obawiam się, że nie rozumiem jeszcze wielu rzeczy. Zna pan mniej więcej moje życie. Wie pan, że nie było łatwe. Sam, bez niczyjej pomocy, o własnych siłach doszedłem do

pewnej pozycji społecznej. Od polityki trzymałem się raczej z daleka. Starłem się zawsze uczciwie i zgodnie z moim sumieniem i z prawem wypełniać moje obowiązki. Mogę też z pełnym poczuciem odpowiedzialności powiedzieć, że ludzie mnie szanowali...

- A wie pan, panie sędzio - przerwał mu żywo Podgórski -dlaczego zdobył sobie pan na przykład mój szacunek? Kossecki zaskoczony tym pytaniem milczał.

- Pamięta pan, że moje lewicowe poglądy nie jednały mi przyjaciół, zwłaszcza w naszym sądowniczym środowisku?

- Pamiętam. Miał pan opinię niebezpiecznego bolszewika. Podgórski machnął ręką.

- Taki ze mnie był i bolszewik! Ale jakkolwiek było, nie cieszyłem się sympatią i bodaj pan jeden z tego środowiska odnosił się do mnie życzliwie i starał się mnie zrozumieć. W tamtych czasach to było wiele. Zwłaszcza dla człowieka stawiającego pierwsze kroki.

Kossecki pochylił głowę.

- Zawsze starałem się rozumieć wszystkich ludzi. Podgórski uważnie przyjrzał się sędziemu.

- Czy rzeczywiście wszystkich?

Gdy tamten nie odpowiedział, oparł dłonie o biurko.

- Wie pan - powiedział - ostatecznie myślę, że w czasach przedwojennych w wielu ludziach i także chyba w panu, panie sędzio, spoczywało mnóstwo pięknych, wspaniałych sił, tylko rzecz w tym, że te siły jakby spały, nie potrafiły ocknąć się z odrętwienia i przemówić. A teraz, jeśli się pan dobrze wsłucha w nasz kraj, w jego codzienne życie, to myślę, że dojrzy pan, w ilu ludziach budzić się poczynają te uspięne siły, jak one rosną, jak się wśród tysiąca trudności wyprostowują i umacniają, a w sobie też pan z pewnością dosłyszysz nowe głosy, nowe myśli, nowe uczucia. Wszystko jest przed nami!

Rozgniół w popielniczce niedopałek i pochyłony nieco w ramionach, ręce wsunąwszy w kieszenie spodni przeszedł w głąb

90

gabinetu. Mroczno już było w pokoju. Spoza drzwi dobiegał stuk warsztatu pani Alicji. Nagle ucichł i zaległa cisza.

Kossecki siedział za biurkiem, jedną dłonią podparłszy głowę, w palcach drugiej obracając nóż do rozcinania książek. Dopóki Podgórski mówił, słuchał go z uwagą. Ale zaledwie tamten umilkł, wniknął w niego natychmiast poprzedni, głuchy i dręczący niepokój. Przez moment doznał takiego uczucia, jakby się zapadł w ciemną, ogromną falę. Wstrząsnął się odruchowo i w tej samej chwili zdał sobie sprawę, że mu oczy niespokojnie zabiegały. Jak dobrze z własnych doświadczeń obrońcy i sędziego znał wymowę podobnych spojrzeń, wyrażających niepokój złoczyńców i przestępców, strach przed odpowiedzialnością ludzi ściganych. Teraz, gdy sam się na tym spojrzeniu przychwycił, uczuł prócz upodlającego lęku panikę inną jeszcze, graniczącą ze zdumieniem, z niedowierzaniem nieomal, ów jedyny i nieodwołalny strach, jaki ogarnia człowieka, gdy musi sobie naraz uświadomić, że przegrał własne życie i wszystko, co dotychczas na przestrzeni wielu lat wypracował był i osiągnął, w krótkiej sekundzie może zostać zmiecione bez śladu, bez ratunku, bez cienia nadziei.

Wyciągnął rękę i po omacku natrafiwszy na stojącą z boku biurka lampę, przekręcił kontakt. Potem wraz z krzesłem cofnął się poza krąg światła.

Podgórski stał w głębi pokoju pod piecem. Z roztargnieniem spojrzął na zapalone światło. Mrużył oczy.

- Tak, wszystko jest przed nami i dlatego tak trudno się pogodzić z niektórymi zdarzeniami. Dzisiaj znów zastrzelono dwóch naszych towarzyszy...

Kossecki podniósł się nagle i podszedłszy do okna stanął tam, odwrócony do Podgórskiego plecami. Po chwili odezwał się:

- Chciałem pana spytać o jedną rzecz...

- Słucham.

- Dużo pan przeszedł przez te lata... Tamten wzruszył ramionami:

- Jak każdy.

- To nieważne.

- Wspólność?

- W pewnym sensie nieważne - poprawił się Kossecki natychmiast. - Albo nie zawsze ważne, tak może lepiej powiedzieć. Zresztą to inna sprawa. Znajdował się pan zatem w różnych sytuacjach. Przeżył pan kiedy prawdziwe niebezpieczeństwo?

91

- Któż go nie przeżył?

- Śmierć panu groziła?

- To też. Trudno było tego uniknąć. Kossecki się zamyślił.

- To prawda. Ale mnie nie o to chodzi. Znajdował się pan kiedy w takiej sytuacji, że za cenę uratowania

własnego życia, rozumie mnie pan?... Żeby siebie ocalić, musiał pan popełnić, jak by to określić?... powiedzmy po prostu: przestępstwo. Zaraz, chwilę. Chodzi mi o konieczność wyboru. Z jednej strony grozi panu nieuchronna śmierć, zupełna pewność, że musi pan umrzeć, z drugiej... otwarta furta, ale czymś kosztem...

Podgórski stał oparty o piec, z pochyloną głową, zamyślony. Kossecki przyjrzał mu się badawczo. Czuł, że popełnił fałszywy i nierozważny krok. Nie należało podobnej rozmowy zaczynać. Wyniknęła dla niego w pewnym momencie zupełnie niespodziewanie, nim sam siebie zdążył skontrolować, i teraz nie tyle własne pytania, ile krótkie odpowiedzi Podgórskiego, a przede wszystkim jego obecne milczenie, uświadomiły mu, jak niebezpieczny temat poruszył. Nie mógł się już jednak wycofać. Należało rozmowę doprowadzić do końca. Nim zdążył ułożyć zdanie, które by było w tym momencie najwłaściwsze. Podgórski przyszedł mu z pomocą:

- Nie, nigdy nie byłem w takiej sytuacji, o jakiej pan wspominał. Ale wydaje mi się, że gdybym się w takim położeniu znalazł i rzeczywiście musiał wybierać...

-To?

- Nie rozmawiałbym po prostu teraz z panem. Znów zaległo milczenie.

- Rozumiem - powiedział wreszcie Kossecki. - Jest pan tego pewien?

- Nie - odparł tamten krótko.

Kossecki nie spodziewał się zaprzeczenia.

- Nie? Sądziłem, że bez wahania powie pan: tak.

- Widzi pan, gdyby ktoś przed wojną postawił mi podobne pytanie, odpowiedziałbym prawdopodobnie: tak.

Żaden tak zwany porządny człowiek nie odpowiedziałby wówczas inaczej. Ludzie mieli zaufanie do siebie samych, do własnej odwagi, do swojej moralności. Pewne czyny wydawały się niemożliwe do popełnienia. Kossecki słuchał z napiętą uwagą.

92

- Myślę oczywiście o ludziach posiadających przeciętny, zrównoważony zmysł moralny. Od pewnych hańbiących czynów każdy mógł się łatwo odciąć dlatego po prostu, że samo życie w swoim biegu codziennym nie przewidywało takich ostatecznych konieczności: albo - albo. Człowiek miał nie tylko subiektywne, lecz i obiektywne prawo myśleć o sobie, że jest człowiekiem porządnym, niezdolnym do przekroczenia pewnej granicy. Poniżej tej granicy stacali się tylko zbrodniarze. A teraz? Spotkałem, niech mi pan wierzy, zbyt wielu ludzi, którzy się załamali i nie wytrzymali tych czy innych prób, abym mógł przywiązywać większą wagę do tego, co człowiek sam o sobie myśli. Widziałem ludzi, którzy uważali się za odważnych. Tchórzyli haniebnie. Innych, myślących, że są zdolni do jak najdalej idących poświęceń. Okazywali się twardymi egoistami. I odwrotnie: tchórzów zdobywających się na czyny, nie jeden czyn, lecz wiele czynów wymagających hartu i niezwykłej odwagi... Dużo o tym wszystkim można mówić. I cóż ostatecznie pozostaje? To tylko, co człowiek czyni, nic więcej. Reszta może być prawdą, lecz może być także zwykłym kłamstwem, złudzeniem. Dopóki człowiek nie musi siebie sprawdzić w czynie, może się oszukiwać bez żadnych ograniczeń. I robi to.

Kossecki niecierpliwie wyczekiwał momentu, gdy Podgórski umilknie.

- Zgadzam się z panem. Wszystko to jest na ogół słuszne. Zresztą te właśnie sprawy miałem na myśli, gdy zacząłem całą rozmowę. Niech pan przyzna, musiało pana trochę zaskoczyć moje pytanie?

- Tak - odparł otwarcie Podgórski. - Rzeczywiście byłem trochę zaskoczony.

- Nie chciałem być niedyskretny.

Tamten szybko uczynił ręką ruch wykluczający podobne przypuszczenie.

- Ale mogło to tak wyglądać. Byłem jednak pewien, że pan w ten, nie inny sposób musi się do podobnej sprawy ustosunkować. Chodziło mi właściwie o samo zagadnienie. Przypuszczam, że tak postawiony problem: albo - albo, tu w kraju, nawet przy wszystkich potwornościach okupacji, nie narzucał się tak często i w tak brutalnej i natarczywej formie, jak w obozie...

Podgórski zastanowił się:

- Może.

93

- W obozie było właściwie wszystko, wszystkie nieomal ży-; ciowe sytuacje, wszystkie uczucia, namiętności, tylko w niepraw-| dopodobnym zagęszczeniu, natężeniu. I jeszcze jedno... cokolwiek się tam działo, działo się o krok od śmierci. Jedyne prawdziwe i: wysiłek, jaki rzeczywiście pochłaniał i ożywiał ludzi, to zwierzęce pragnienie przetrwania. Kto tracił chęć do życia, ginął. Ginęli i inni, lecz tamci przede wszystkim.

Podgórski usiadł na krawędzi biurka.

- Rozumiem, o co panu chodzi. Chęć życia za wszelką cenę.

- Właśnie! To była wielka i straszliwa siła.

- Kosztem drugich?

- Jak w każdej pierwotnej walce. Cała groza, widzi pan, obo-| zowego systemu na tym właśnie polegała. Złamać ludzi, podeptać ich, odebrać im wszelką godność, wszelkie człowieczeństwo, wy-; dobyć z nich najgorsze instynkty.

- Mimo to nie wszyscy się tym instynktom poddali.

- Wiem. Ale tamtych drugich, których prędzej czy później | złamano, jest dość wielu, aby się nad tą sprawą zastanowić. To

trudny problem. Jest pewien kres wytrzymałości ludzkiej. Nie dla i wszystkich jednakowy. Ale tu też istnieje dolna granica, o której

pan wspomniał. Poniżej niej człowiek jest zdolny zrobić wszystko.

- Żeby żyć?

- Żeby żyć. Instynkt życia najtrudniej zabić. Widziałem ludzi, którzy im się głębiej staczali w upodlenie, tym gwałtowniej pragnęli przetrwać wszystko i ocalić siebie. Właśnie tak było, to szło w parze. Czy mamy ich za to bezwzględnie potępić? Czy rzeczywiście mamy prawo potępiać ludzi za to, że nie wytrzymali naporu okrucieństwa i zwyrodnienia? To jest zagadnienie. Podobnie jak istnieje kres fizycznej wytrzymałości człowieka, tak samo istnieje kres wytrzymałości moralnej. Bity przez dłuższy czas i torturowany, straci pan wreszcie przytomność. Zadręczony moralnie, także dojdzie pan do utraty świadomości, zupełnego odrętwienia...

Podgórski poruszył się gwałtownie:

- Zaraz, panie sędzio, jedno zastrzeżenie! Jeśli nawet dojdzie człowiek, jak pan mówi, do utraty moralnej świadomości, to jednak nie na tyle całkowitej, aby nie pragnął żyć.

Kosseckiemu niespokojnie drgnęły oczy. Odwrócił się do Podgórskiego bokiem i łokciem oparł o okienny parapet.

- Słusznie. Ale czy to pragnienie nie jest instynktem samozachowawczym?

94

Podgórski milczał.

- Dobrze - odezwał się po chwili. - Ale w imię czego?

- W imię czego chce siebie człowiek ocalić?

-Tak.

Kossecki wzruszył ramionami:

- Rozumuje pan trochę teoretycznie. Czegóż pan wymaga ostatecznie od zwykłych, przeciętnych ludzi? Czy nie za wiele? Nie chcą umierać, chcą żyć, to wszystko. Gdyby się nie dostali do obozu, większość z tych, którzy się stoczyli na dno, do końca życia pozostałaby prawdopodobnie porządnymi ludźmi. Sam pan zresztą to mówił.

- Mówiłem. Ale zgodzi się pan, że nie można czynów ludzkich mierzyć czasem, który mógłby być. Mierzy sieje tym czasem, który jest. Trudno, takie jest prawo życia. Ludzie nie mają równych szans. Jedne pokolenia mogą w swoje ocalenie włożyć wysiłek mały, inne... wysiłek ponadludzki.

- Jednak ponadludzki! Widzi pan... A ludzie są tylko ludźmi. Działy się rzeczy wbrew naturze, to pan przyzna. I czy to jest rzeczywiście ludzkie, by potępiać tych, którzy padli ofiarą?

- Według mnie, tak.

- Nie widzi pan w tym sprzeczności?

- Dlaczego? Żadnej. Nie wybiera się przecież swego czasu. I żaden czas nie dostosuje się do człowieka. To człowiek musi się do niego dostosować. W przeciwnym wypadku ginie.

- A właśnie wielu się w ten sposób uchroniło.

- Nie! Wyjść cało z życiem to jeszcze nie wszystko. To bardzo mało. Spytał pan, czy to jest ludzkie spojrzenie. Ależ tak! Cóż bardziej ludzkiego, gdy się chce, aby wbrew wszystkiemu człowiek mógł ocalić własne człowieczeństwo?

Kossecki odwrócił się w stronę okna. Noc się nagle stała na dworze, pełna ciężkiego i martwego mroku. Żółtosine chmury spiętrzały się wyżej ogromnymi kłębami.

- Burza będzie. Wracam jednak do swego. Wszystko to nie jest takie proste. Ocalić własne człowieczeństwo... to pięknie brzmi. Ale przypominam panu, że rzeczywistość jest nieco inna i nie zawsze na miarę pięknych słów.

- Wiem.

- A widzi pan! Nie zawsze się można ocalić.

- To też wiem. Ale zawsze można umrzeć. Kossecki krótko się zaśmiał:

95

- Owszem, to można. Trzeba tylko chcieć.

- Ale nie śmierci.

Kossecki nic nie odpowiedział. Dalej patrzył w okno.

- Panie sędzio - odezwał się Podgórski. - Teraz ja pana pozwolę sobie o coś spytać...
 - Proszę bardzo.
 - Powiedzmy, że w najbliższym czasie zdarzy się panu przewodniczyć rozprawie...
 - Myśli pan o rozprawie sądowej?
 - Tak.
 - Wątpię, czy wrócę do sądownictwa.
 - Pan? Dlaczego?
 - Nie wiem jeszcze zresztą - odparł tamten wymijająco. -Ale powiedzmy, że wrócę.
- Czuł, że nie zwlekając powinien się odwrócić w stronę Podgórskiego. Uczynił to.
- Więc co wtedy?
 - Odbywa się proces jeden z wielu. Toczą się teraz podobne. Oskarżony, powiedzmy jakiś X, załamał się w obozie i aby siebie ocalić, pozwalał się używać Niemcom do haniebnych czynów w stosunku do swoich współtowarzyszy. Jeden z wypadków, o których pan wspomniał.
 - Zgadza się.
 - Jaki wydałby pan wyrok? Niezależnie od istniejących przepisów. Pan osobiście, według swego własnego poczucia sprawiedliwosci. Uniewinniłby pan tego człowieka, czy skazał go? Kossecki przygotowany był na podobne pytanie.
 - Skazałbym - odparł spokojnie i bez wahania. ! -1 nie miałby pan żadnych wątpliwości?
 - Żadnych.
- Ledwie to powiedział, poczuł odprężenie napiętych nerwów. Już nie strach, nie niepokój, lecz ogromne, przytłaczające zmęczenie go ogarnęło. Było mu teraz obojętne, co pomyśli Podgórski i jakie wnioski wyprowadzić może z całej rozmowy. Bezsens, ponury i groteskowy bezsens - oto jedyna głupia prawda, która pozostawała po spłynięciu wszystkich doświadczeń. Całe życie zda-| wało się nie znaczyć więcej niż ściśnięta w pięści garść piasku. ' Wystarczy wyprostować palce i nie zostanie nic. Musiał mieć wygląd człowieka bardzo znużonego, ponieważ Podgórski od razu zauważył zmianę w jego wyglądzie. Spojrzał na zegarek: wskazywał trzy na dziewięć.

96

- Czas już na mnie. Nie przypuszczałem, że tak późno. -Podszedł do Kosseckiego. - Przepraszam, że się tak rozgadałem. Zmęczyłem pana?
- Kossecki zdobył się na wysiłek wyprostowania i ręką wykonał nieokreślony gest:
- Ależ głupstwo. Było mi bardzo przyjemnie. Dawno już nie miałem okazji prowadzić podobnej rozmowy. Zdaje się, że lata wojny dużo pana nauczyły.
- Podgórski rozjaśnił się:
- Cieszę się, że mi to pan mówi. Właśnie pan. Pan wie przecież, panie sędzio, jaki zawsze miałem i mam dla pana szacunek. Kossecki uśmiechnął się blade.
 - Niech pan o mnie nie zapomina - rzekł na pożegnanie. Już przy drzwiach Podgórski przypomniał sobie rozmowę ze Szczuką.
 - O widzi pan, byłbym zapomniał... Kossecki jednego tylko pragnął: zostać sam. Ale zdobył się na odruch zainteresowania.
 - Rozmawiałem dzisiaj z kimś o panu, spotkaliśmy akurat pańską żonę. Otóż ten człowiek okazał się pańskim współtowarzyszem z obozu...
- Kossecki nie drgnął nawet:
- Z Gross-Rossen?
 - Tak. Mówiłem mu, że siedział pan pod nazwiskiem Rybicki, ale nie znał, zdaje się, pana osobiście. Bardzo chciałby się jednak z panem zobaczyć.
 - Któż to jest?
 - Towarzysz Szczuką, sekretarz naszego KW. Wspaniały człowiek, zobaczy pan.
 - Szczuką, Szczuką? - powtórzył machinalnie Kossecki.
 - Słyszał pan może o nim?
 - Nie jestem pewien. Ale to bez znaczenia. Towarzysz z obozu, wystarczy. Kiedy możemy się spotkać?
 - Jutro z rana wyjeżdżamy razem ze Szczuką w teren na dwa dni. We wtorek będziemy z powrotem. Gdyby więc mógł pan pomiędzy piątą i szóstą...
 - Tutaj?
 - W "Monopolu", Szczuką się tam zatrzymał. Pokój siedemnasty.
- Kossecki się zastanowił.

97

- Dobrze - powiedział po chwili spokojnie. - Wtorek, piąta... szóstą, będę pamiętał.
- Odprowadził Podgórskiego do hallu i wyszedł za nim na taras. Parny mrok wisiał w powietrzu. Błysnęło i

głuchy grzmot przetoczył się w ciemnościach.

- Lunie zaraz - powiedział Kossecki. - Niech pan zaczeka. Podgórski machnął ręką:

- Głupstwo, mam auto.

Szybko zbiegł po schodkach. Po chwili rozległ się warkot motoru. Zaświeciły reflektory, samochód ruszył. Błyskało się coraz bliżej. Silny podmuch wiatru przeszedł przez mrok.

W hallu czekała na Kosseckiego pani Alicja.

- Jezus Maria! - zawołała, ledwie zamknął drzwi wejściowe. - Co tak długo? Myślałam, że nigdy nie pójdzie...

Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby była przezroczysta, i bez słowa przeszedł obok. Chciała zawołać: Antoni!, lecz głos uwiązał jej w krtani. Po chwili dopiero przyszła do siebie. Pobiegła za mężem. Drzwi do gabinetu były zamknięte. Nie zdążyła ich otworzyć, gdy przekreślił w zamku klucz.

W stołowym nie paliło się światło, był mrok, który zdawał się tworzyć nierozłączną całość z mrokiem na dworze. Akurat ognisty zygzak przeciął ciemność. Trzasnął bliski piorun.

Pani Alicja poczęła stukać do drzwi:

- Antoni! Antoni!

Nie odpowiedział. Raz jeszcze zawołała. Cisza. Przyciął się tuż przy drzwiach, nie ruszał się, czekał, aż żona odejdzie. Po długiej przerwie znowu zapukała.

- Antoni - szepnęła błagalnie.

Ciemność w głębi raz po raz roztwierała się płonącymi błyskawicami. Wtem zaszumiała ulewa. Gwałtowna musiała być bardzo, bo minuta nie upłynęła i rynnami toczył się poczęła wezbrana woda. W ogródku pluskały kałuże.

Pani Alicja nie pukała więcej. Czekala nie wiedząc już na co. Trwało to bardzo długo. Wreszcie wolno odeszła. Nie ruszył się jednak, został przy drzwiach. Dopiero po chwili spostrzegł, że dygoce. Czuł w sobie przenikliwe, jadowite zimno. Ono nim trzęsło. Dobrze znał ten chłód. To był strach.

VI

Sekretarz prezydenta Świeckiego, Drewnowski, chcąc osobiście dopilnować, aby wszystko do wieczornego przyjęcia zostało przygotowane według ustalonych dyspozycji, zjawił się w "Monopolu" zaraz po wpół do dziewiątej.

Do stanowiska swego, chociaż dla wielu osób było ono przedmiotem zazdrości, Drewnowski nie przywiązywał większego znaczenia. Traktował je jako wygodny, lecz niski szczebel w karierze. Plany życiowe miał ambitne i rozległe. Był sprytny, obrotny, towarzysko gładki, nieźle się prezentował i wszystkie te zalety zmobilizował w ostatnich miesiącach po to przede wszystkim, aby uzyskać pełne zaufanie Świeckiego. Prezydent Ostrowca, przed wojną pomniejszy dziennikarz, był na razie człowiekiem i w polityce, i w administracji nowym. Losy wojenne zagnały go najpierw do Lwowa, później w głąb Związku Radzieckiego, skąd długą drogą powrotną do Polski przebył wraz z Pierwszą Armią. W okresie Lublina pracował w jednym z ministerstw. Z początkiem roku następnego objął Propagandę w Ostrowcu i z tego raczej skromnego stanowiska naczelnika powiatowego wydziału przeszedł wprost na prezydenturę miasta. Drewnowski miał dużo danych, że dobrze oblicza wiążąc swoją karierę z karierą Świeckiego. Chwila była jedyna i niepowtarzalna. Z wątych zlepków, z ruin, ze szczątków, z chaosu kończącej się wojny wyłaniał się i kształtował powoli nowy świat. Wszędzie bra-

99

kowało ludzi. Niezadowoleni uchylali się od pracy. Czekali. Tymczasem posady i stanowiska czekały na ludzi, którzy by je wzięli. Brał je ten, kto brać chciał i umiał. Sam los sprzyjał odważnym. Że Świecki należał do odważnych, Drewnowski nie miał żadnych wątpliwości. Stawiał na niego jak na konia. A ponieważ go potrzebował, więc nim pogardzał. Z drugiej strony ukrywanie tych i wielu jeszcze innych uczuć nie sprawiało mu większej trudności. Mimo dwudziestu dwóch lat był dostatecznie z życiem otrząskany, aby od dość dawna zrozumieć, że ludziom o ambicjach nadmiernie wybujałych nie wolno, dopóki są niczym, ambicji tych okazywać. Trochę rozważli - często to sobie powtarzał - trochę chłodnej wstrzeźliwości i wówczas kręcić można ludźmi jak kukielkami. Jeśli podobna gra bywa jeszcze zabawna, tym lepiej. Każdy hazard powinien być trochę śmieszny. Tylko wtedy się nad nim panuje. Natomiast zbyt wiele chciał, aby samego siebie nie traktować poważnie. Dzięki temu przydarzały mu się chwile, kiedy wbrew swoim zasadom podlegał niecierpliwości i szarpiącym niepokojom. Ostatni zwłaszcza tydzień był dla niego ciężką próbą. Już od pewnego czasu krążyły po Ostrowcu zakulisowe plotki o możliwościach powołania Świeckiego na stanowisko wiceministra jednego z ważniejszych resortów. Ostatnio, całkiem nie wiadomo skąd, pojawiła się wersja inna. Świecki według niej przewidziany był na placówkę zagraniczną. Mimo wielu wysiłków w tym kierunku Drewnowski nie mógł dotrzeć ani do źródła kruchych wieści, ani, co gorsza - sprawdzić ich wiarygodności. Sam Świecki milczał i zdawał się o niczym nie wiedzieć. Wszystko ostatecznie mogło być zwykłą plotką. Ale Drewnowski miał dobrego nosa. Czuł, że się coś klei, coś w powietrzu wisi. Trochę liczył na dzisiejszy bankiet urządzany przez Świeckiego z okazji pobytu w Ostrowcu sekretarza Komitetu Wojewódzkiego. Miał nadzieję,

że się dowie czegoś konkretnego, gdy pod wpływem alkoholu nastroje się przy stole ożywią. Ponieważ Świecki całą organizacyjną stronę przyjęcia zdał na swego sekretarza, Drewnowskiemu specjalnie zależało, aby bankiet wypadł jak najlepiej. Czuł się nieco w charakterze pana domu. Był tym trochę podniecony, trochę niespokojny. Nie, nie był niestety w swej formie najlepszej. Zostawiwszy w szatni kapelusz i płaszcz skierował się w stronę lustra. Własna sylwetka zawsze działała na niego krzepiąco. Był wysoki, dobrze zbudowany. Wiedział, że może się podobać kobietom i zjednywać zaufanie mężczyzn.

100

Akurat większe towarzystwo opuszczało lokal. Pusty, gdy Drewnowski wszedł, hali restauracyjny nagle się zapełnił roześmianymi i hałaśliwie rozmawiającymi kobietami i mężczyznami. Przez moment młody człowiek znalazł się pomiędzy nimi. Otoczył go zapach perfum pomieszany z ostrym odorem alkoholu. Jedna z kobiet powtarzała bardzo głośno: "Gdzie teraz pójdziemy, panie mecenasie, gdzie teraz pójdziemy?" Drewnowski, chcąc się przedostać w głąb hallu, spojrzał odruchowo na jej towarzysza. Ujrawszy przed sobą tęgiego mężczyznę w rogowych okularach, szybko się odwrócił. Był to znany w Ostrowcu mecenas Krajewski. Drewnowski znał go z bardzo jeszcze odległych lat, gdy jako wyrostkowi zdarzało mu się niekiedy zachodzić do luksusowej willi Krajewskich na Osiedlu. Matka Drewnowskiego była praczką. Cofnąwszy się ruchem zbyt pośpiesznym, potracił lekko towarzyszkę mecenasa.

- Przepraszam - powiedział trochę niezręcznie.

Przed lustrem ogarnął siebie kontrolującym spojrzeniem. Dobrze wyglądał. Przygładził niedbałym ruchem włosy, poprawił krawat. Czuł jednak, że nie jest tak swobodny, jak by w tym momencie pragnął być. Nie był pewien, czy Krajewski mógł go poznać. Wydawało mu się, że nie zdążył. Chciał więc przejść do restauracji, gdy naraz w głębi lustra ujrzał mecenasa Krajewskiego szepczącego coś do towarzyszącej mu kobiety. Instykt natychmiast go ostrzegł, że jest mowa o nim. Rzeczywiście kobieta, młoda, platynowa blondynka, odwróciła się i spojrzała w jego stronę. Reszta towarzystwa zblżyła się do tamtych dwojga. Usłyszał za sobą nie dość dyskretnie ściszone głosy. Ktoś się głośno roześmiał.

Drewnowski pobladł i zacisnął pięści. Raz jeszcze poprawił krawat. Lustro odbijało kilka zaciekawionych, drwiąco uśmiechniętych twarzy. Nie mógł mieć żadnych wątpliwości. Tamci bynajmniej się nie krępowali. Palcami go sobie nieomal pokazywali. To go otrzeźwiło. Odwrócił się bez pośpiechu i idąc ku drzwiom spojrzał krótko i obojętnie na rozbawione towarzystwo. Gdy je mijał, szepty przycichły. Odczuł to jako swoje zwycięstwo. Już nie musiał tych ludzi nienawidzić. Pogarda wystarczała.

Tak zwana bankietowa sala "Monopolu" mieściła się w głębi lokalu. Ponieważ nie miała osobnego wejścia, Drewnowski musiał przejść przez restaurację. Była to niska, niezbyt rozległa sala z estradą dla orkiestry i parkietem pośrodku, z łóżkami po bokach,

101

teraz pełna ludzi, gwaru i dymu. Większość stolików była już zajęta. Po prawej stronie, podobna trochę do półmrocznej, tajemniczej groty, znajdowała się druga jeszcze salka. Mieścił się w niej bar, na razie pusty. Zabawa zaczynała się dopiero.

Orkiestra grała akurat modną przed samą wojną "Ośłą serenadę" i Drewnowski, chcąc się precyzyjnie na koniec sali, musiał okrążyć zatłoczony tańczącymi parami parkiet. Wtem ktoś go chwycił za łokieć. Był to Pieniążek, dziennikarz z «Głosu Ostro-wieckiego», drobny, czarny człowieczek o twarzy wymiętej i pryszczatej.

Drewnowski nie lubił Pieniążka. Znał go wprawdzie mało, lecz słyszał o nim coś nieco od Świeckiego. Tamci dwaj znali go sprzed wojny jeszcze i w pewnym okresie kolegowali ze sobą w redakcji stołecznego brukowca. Świecki wspominał o tych odległych czasach ogólnikowo, lecz o Pieniążku zawsze mówił z lekceważeniem, jako o podrzędnym, zapijaczonym dziennikarzynie.

W tej chwili Pieniążek był rzeczywiście podпиты. Chwiał się lekko na przykrótkich nogach i małe, niespokojnie rozbiegane oczki miał przymglone.

- Dobry wieczór - przywitał się z nim sztywno Drewnowski. - Jakżeż się pan bawi?

Pieniążek skrzywił się:

- Burdel, nie zabawa. Zwyczajny burdel.

Zachwiał się i znów się uczepił łokcia Drewnowskiego. Ten szorstko go od siebie odsunął. Pieniążek lepił się od niechlujstwa. Miał na sobie pomiętą, brudną koszulę, marynareczkę kusą i wyświechtaną.

- Nie podoba się panu tutaj? Wytworne towarzystwo, piękne kobiety...

- Burdel! - powtórzył Pieniążek.

- Czy nie przesadza pan? - I nim tamten zdążył odpowiedzieć, wyciągnął rękę. - Przepraszam, ale muszę pana pożegnać. Śpieszę się.

Pieniążek stał w ciasnym przejściu pomiędzy stolikami. Rozkraczył nogi, ręce wsunął w kieszenie spodni.

- Gdzie się śpieszycie? Pali się, czy co?

- Wybacz pan, jestem służbowo... Pieniążek pokiwał głową.
- Widzę, że czcigodny magistrat niełaskawy dla prasy...
- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł chłodno Drewnowski.

102

- Czyżby? Zaproszeńka na bankiet nie przysłało się jednak. Drewnowski natychmiast przybrał ton urzędowy:

- Redaktor Pawlicki otrzymał zaproszenie.
- Pawlicki, Pawlicki! A Pieniążek nic nie znaczy?
- Pan wybacz, listę gości układał sam prezydent.
- O to, to! - wykrzyknął Pieniążek. - Pan kolega Świecki. Drewnowski zmierzył go ostrym spojrzeniem:
- Tak, prezydent Świecki.

Dziennikarz nagle otrzeźwiał. Wyprostował się i obejrzał Drewnowskiego zaciekawionym, trochę drwiącym spojrzeniem.

- Cóż mi się pan tak przypatruje? - poruszył się niecierpliwie Drewnowski.

Pieniążek począł się drapać w nos.

- Zastanawiam się właśnie nad pewną sprawą, która pana, być może, mogłaby trochę zainteresować...
- Mnie? Obawiam się, że się pan myli. - Lecz na wszelki wypadek spytał: - Cóż to za sprawa?

Pieniążek, ciągle się drapiąc w nos, spojrzał na sufit:

- Cóż za sprawa? Czy ja wiem? Może takie na przykład zagadnienie: zabierze pana ze sobą kolega Świecki czy nie zabierze? Interesujący problem, nie?

Drewnowski drgnął:

- Zabierze? Gdzie zabierze? Co pan chce przez to powiedzieć?

Tamten zachichotał i zrobił ruch, jakby chciał odejść. Teraz Drewnowski z kolei go przytrzymał:

- Wie pan coś?
- Ba! - odparł tamten. - Pieniążek wszystko wie, jeżeli chce.
- Ale co, co pan wie, do licha? Może pan przecież powiedzieć!

Pieniążek zastanowił się.

- No? - przynaglił Drewnowski.

Tamten zerknął w kierunku baru. Nim się Drewnowski zorientował, Pieniążek prześliznął się obok i pomknął w tamtą stronę.

- Cholera! - zaklął Drewnowski.

Spojrzał na zegarek: za kwadrans dziewiąta. Pięć minut mógł ostatecznie stracić, nie więcej. Pobiegł za Pieniążkiem.

W barze było pusto i zacisznie. Barmanka, ładna dziewczyna o jasnych, puszystych włosach, zajęta była rozmową z jedynym do tej chwili gościem. Był nim Maciek Chelmicki. Zjawienie się no-

103

wych gości przyjęła z wyraźnym niezadowoleniem. Chelmicki też się skrzywił.

- Co to za jeden? - szepnął wskazując spojrzeniem na Pieniążka.

Nim zdążyła odpowiedzieć, przy barze stanął Drewnowski.

- Dwie czyste, proszę pani.

Pieniążek już siedział na wysokim barowym stołku.

- Dwie duże, panno Krysiu!

Barmanka spojrzała pytająco w stronę Drewnowskiego. Temu było wszystko jedno, byle prędzej.

- Mogą być duże.

- Do tego porcję grzybków, panno Krysiu - uzupełnił Pieniążek. - Doskonałe tu mają grzybki, zobaczycie.

Drewnowski gonił resztkami cierpliwości. Dziennikarz życzliwie poklepał go po ramieniu:

- Siadajcie. Świetnie się tu siedzi na tych stołkach. Drewnowski usłuchał.

-Więc?

- Co więc? Napijemy się.

- Co mi pan miał powiedzieć? Barmanka podała wódkę.

- A grzybki? - upomniał się Pieniążek.

Znalazły się i grzybki. Spełniwszy, co do niej należało, barmanka przeszła na drugi koniec baru, gdzie siedział Chelmicki. Pieniążek zatarł dłonie:

- Zdrowie kolegi Świeckiego!

Tym razem Drewnowski zrezygnował z lojalności sekretarza. Wypili. Spojrzał na zegarek: wyznaczonych pięć minut umykało bardzo szybko. Pieniążek podsunął talerzyk z grzybkami.

- Spróbujcie, warto. Panno Krysiu! - uniósł się na stołku. -Dwie takie same poprosimy.

Chelmicki pochylił się nad barem.

- Niech im pani spirytusu naleje - szepnął. - Prędej będą gotowi. Trzeba pomagać bliźnim.
- Ładna barmanka uśmiechnęła się:
- Widzę, że ma pan dobre serce.
- Ja? Jak złoto. Słowo pani daję.
- Drewnowskiemu smakował pierwszy kieszliszek i nie zaprotestował przeciw następnemu.
- Urźnie się pan - powiedział tylko ze złośliwym akcentem.

104

- Pieniążek dziobał wykałaczką grzybki. Wyślizgiwały mu się, wreszcie jeden dał się przychwycić. Zjadł go, głośno mlaskając. Panna Krysia napełniła duże stopki.
- Zakropić może?
 - Drewnowski wzruszył ramionami.
 - Nie trzeba. Urźnie się pan - powtórzył, pierwszy biorąc swoją stopkę.
 - Razem się urzniemy - odparł Pieniążek. - Zdrowie! Wypili. Drewnowski poczerwieniał, oczy mu zaszyły łzami, przez moment zatkało go zupełnie. Po chwili dopiero począł się mocować z oddechem.
 - O, do diabła! Co to było? Co pani naląa? Przecież to spirytus...
 - Pieniążek parsknął z uciechy:
 - Jak Boga kocham, spirytus! A to pani ubrała młodego człowieka...
 - Panna Krysia szczerze się zaniepokoiła:
 - Ależ co znowu, skąd spirytus? To niemożliwe. Nie mogłam się przecież tak pomylić...
 - Pośpiesznie poczęła szukać butelki, z której przed chwilą nalewała. Znalazłszy ją stropiła się.
 - 1 co? - spytał Pieniążek.
 - Rzeczywiście spirytus. Strasznie panów przepraszam...
 - Nie ma za co! - podskoczył na stołku Pieniążek. Drewnowskiemu zrobiło się wstyd, że nie potrafił stanąć na wysokości zadania.
 - Głupstwo! - powiedział niedbale. - Niech się pani nie przejmuję, każdy się może pomylić. Lepiej nich nam pani da jeszcze po jednym.
 - Tego samego?
 - Oczywiście! Spirytus o wiele lepszy od czystej. Trzeba tylko wiedzieć, co się pije.
 - Czuł już w głowie lekki szum, w końcach palców drażniący niepokój. Wygodniej rozsiadł się na taborecie. Przyjemnie tu było. Półmrok. Dźwięki orkiestry i gwar, który hałaśliwie się kotłował na dużej sali, tu dochodziły ściszone, jakby ze znacznej odległości. Przyjrzał się Pieniążkowi. Nawet ten niechluj z wymiętą twarzą szczura wydał mu się nieco sympatyczniejszy.
 - Zdrowie! - pierwszy sięgnął po stopkę.
 - Tym razem przełknął spirytus gładko. Zakąsili grzybkami.

105

- Więc co? - pochylił się poufale w stronę Pieniążka. - Co ze Świeckim? Rzeczywiście idzie w ministry?
- Dziennikarz zamrugał zwężonymi i znów bardzo zmętnia-łymi oczkami:
- Idzie!
- Gdzie?
- Propaganda. Drewnowski się zamyślił:
- Nieźle. Wolałbym co prawda MSZ.
- On by też wolał.
- A to pewne?
- Gównu zawsze wypłynie na wierzch.
- Drewnowski roześmiał się i klepnął Pieniążka po kolanie:
- Dobrze!
- Nie bój się, ty też wypłyniesz... Drewnowski jeszcze głośniej się zaśmiał:
- Pewnie, że wypłynę, a coś sobie myślał? Zobaczysz za pięć lat.
- Co zobaczę?
- Dokąd zajdę... Pieniążkowi odbiło się.
- Grzybka zjedz - poradził przyjaźnie Drewnowski. - Ja, widzisz, wiem, czego chcę. To najważniejsze.
- Gównu samo wypływa - czknął znowu Pieniążek. - A czego chcesz?
- Drewnowski wykonał ręką szeroki gest:
- Wszystkiego! Przede wszystkim dużo forsy.
- Będziesz miał.
- Będę. Dość mam bidy. Słuchaj, ty znałeś Świeckiego przed wojną?
- Yhy.

- Co to za jeden?
- Łobuz.
- To dobrze. Takiego mi potrzeba. I co jeszcze?
- Spryciarz.
- Ja jestem sprytniejszy. Zobaczysz, jak go osiodłam. Czego się śmiejesz? Myślisz, że mi się to nie uda?
- Uda ci się.
- To czego się śmiejesz?
- Nic. Pomyślałem sobie, jak to będzie wyglądać, jak będziesz siodłać Świeckiego.

106

- Dobrze będzie wyglądać. Nawet się facet nie spostrzeże. Już go osiodłałem.
- Pieniążek dziobną wykałaczką grzybka.
- Gadanie!
- Wcale nie gadanie, tak jest.
- Gadanie. W portki przed nim ze strachu robisz.
- Ja w portki? To mnie nie znasz.
- Znam cię, jeszcze jak! Boisz się go.
- Świeckiego?
- Może nie? Na bankiet byś mnie ze sobą nie wziął? Drewnowski zastanowił się.
- Widzisz! - kiwnął się na stołku Pieniążek. - Boisz się, nie mówiłem?
- Chełmicki spojrzął na zegarek.
- Śpieszy się pan? - spytała panna Krysia.
- Skąd znowu? Mam masę czasu.
- To po co pan patrzy na zegarek?
- Umówiłem się tu z kimś.
- Z kobietą?
- Może... Niezadowolona?
- Kto?
- Pani.
- Ja? A cóż mnie to obchodzi, z kim się pan umówił.
- Nic?
- Mam nadzieję, że nic.
- A jeżeli się nie umówiłem z kobietą?
- To też nic.
- Naprawdę? A gdybym nie uwierzył?
- Proszę bardzo. Jeśli sprawi to panu przyjemność...
- To co?
- Niech pan nie wierzy.
- Świetnie! Wobec tego nie wierzę. Długo tu musi pani siedzieć?
- Do końca. Dopóki są goście.
- To znaczy?
- Jak czasem, zależy od dnia.
- A dzisiaj?
- O, dzisiaj to pewnie do samego rana.
- Koniecznie? Jest tu pani sama?
- Teraz sama. O dziewiątej przyjdzie jeszcze koleżanka.

107

- A widzi pani!
- Nic nie widzę. Jeśli jest dużo gości, to we dwie ledwie sobie możemy dać radę.
- Drewnowski obejrzał się w ich stronę.
- Proszę pani!
- Szlag by go trafił! - mruknął Chełmicki.
- Panna Krysia przeszła wolno na drugą stronę baru.
- Rachunek! - zażądał Drewnowski.
- We drzwiach przysłoniętych ciemnozieloną kotarą stanął Andrzej Kossecki i rozejrzał się po barze. Chełmicki natychmiast go spostrzegł.
- Halo!
- Tamten podszedł do bufetu:
- Serwus, Andrzej. Co nowego?

- Nic. Jeść mi się chce.
- Mnie też. Zaraz każemy coś podać. Zajmij tymczasem stolik.
- Aty?

Chełmicki porozumiewawczo przymrużył oko:

- Jedną chwilę. Mam tu jeszcze coś do załatwienia. Drewnowski płacił tymczasem rachunek. Pieniążek, nie zainteresowany tą sprawą, łapczywie wyjadał z talerzyka pozostałe grzybki.

- Idziemy?
- Mamy czas - mruknął.
- Dziewiąta.
- To co?

Drewnowski wnikał w coraz gęstszy wewnętrzny szum. Ale było mu z tym dobrze. Widział wszystko wyraźniej, ostrzej i wszystko wydawało mu się niewiarygodnie łatwe do osiągnięcia. Samo życie szło mu do rąk. Miał w tej chwili pewność, że może je kształtować, jak zechce. Rozpierała go potrzeba działania.

- Ja idę! - zdecydował.

Pieniążek dalej chciał ciągnąć swoje racje, widząc jednak, że Drewnowski stanowczym krokiem zmierza ku wyjściu, zsunął się pośpiesznie ze stołka i lekko się zataczając podążył za nim.

Panna Krysia wróciła do Chełmickiego.

- Co nam pani poda? Mój kolega już przyszedł, siedzi tam.
- Widzę. Niestety, nie kobieta.
- Niestety?

108

- Dla pana.
 - A dla pani?
 - Dla mnie? Powiedziałam już, że mnie to nic nie obchodzi. Więc co mam podać? Coś do picia?
 - To też. I jakieś zakąski na początek, strasznie jesteśmy głodni.
 - Może być zimne mięso, jajka faszerowane, sałatka...
 - Wszystko jedno. Co pani chce.
 - Przecież nie ja będę jeść.
 - To nic. Ale pani najlepiej sama wybierze.
 - Tyle zaufania? Pochylił się nad bufetem:
 - Niestłuszenie?
 - Musi się pan dopiero przekonać.
 - Świetnie! Przekonam się na pewno. Andrzej siedział przy stoliku w głębi baru. Był zamyślony i nie zauważył, kiedy podszedł Chełmicki.
 - Jestem - powiedział tamten zajmując miejsce obok. Andrzej podniósł głowę:
 - Zamówiłeś?
 - Już. Zaraz nam przyniosą. Spójrz, Andrzej, na tę małą...
 - Którą?
 - Za barem.
 - Więc co?
 - Ładna?
 - Owszem - mruknął obojętnie Andrzej. Chełmicki spojrzał na niego z ukosa:
 - Wiesz co, Andrzej?
 - Co?
 - Powinieneś się urządzić na zakończenie dzisiejszego dnia...
 - Nie bój się, pewnie to zrobię.
 - To byczo!
 - Myślisz?
 - Zobaczysz. Świetnie ci to zrobi. Jedną jeszcze bym ci dał radę, ale zaraz się oburzysz.
- Andrzej wzruszył ramionami:
- Nie wysilaj się, znam twoje dobre rady.
 - Może złe?
 - Nie zawsze skutecznie.
 - A ja ci mówię, stary, że zawsze. Przestać w pewnym momencie myśleć i zanurzyć się, to wszystko.

109

- A potem?
- Przepraszam cię, co mnie "potem" obchodzi? Zdażę się przekonać. "Potem" nie ucieknie, nie ma obawy.

Mówię ci, to najlepszy sposób. Wyłączyć się. Tak jakbyś kontakt przekręcił. Jedno naciśnięcie i wszystko znika. O niczym nie pamiętasz, nic cię nie obciąża. Trochę wódki, w ramionach ładna dziewczyna, nie opowiadaj, to zawsze bierze. Żle?

- Może dobrze.

- Sam powiedz, po diabła się dręczyć? Komu to potrzebne? Nie trzeba tego wszystkiego brać zbyt serio. Przepchać się po prostu przez tę całą hecę. Nie dać się nabrać. I co więcej?

Andrzej nic nie odpowiedział. Kto wie, może Maciek ma słuszność? Czuł, że mógłby myśleć podobnie, również podobnie żyć i z taką samą niedbałością potrafiłby szukać łatwego zapomnienia, gdyby nie ów od niego samego niezależny sprzeciw, który tkwił w nim i jakkolwiek bywał nikły, zmuszał przecież do poszukiwania we wszystkim trwałego sensu wówczas nawet, gdy życie wszelki sens zdawało kruszyć i zacierać. Lecz co z tego? Czemu ten sprzeciw miał służyć? Pustka. Ciemność. Z żarliwości minionych lat walki nie zostało nic. Z zapału i z entuzjazmu nie zostało nic. Z pragnień i nadziei - także nic. Świat zwycięzców jeszcze raz się podzielił na zwycięzców i zwyciężonych. Do tych drugich dołączyły się cienie zmarłych, którzy za co potracili swoje życie? Za nic. Wojna dogorywała. I żadna nadzieja nie wschodziła, aby usprawiedliwić bezmiar tych wszystkich ofiar, cierpień, krzywd, gwałtów i ruin, które pozostały wśród dnia wczorajszego. Przypomniał sobie, co Waga mówił był przed godziną o solidarności. Czuł jednak, że to nie to, że chodzi o coś zupełnie innego. W imię najwyższych wartości życia porwano do walki miliony ludzi wielkimi słowami:

jedni za nie zginęli, drugim udało się ocalić, a życie raz jeszcze zakpiło z ogromnych słów, z ludzkości i ze sprawiedliwości, z wolności i z braterstwa. Z wielkich, szlachetnych celów pozostał gnój tylko, wielkie gnojowisko. Tyle oto znaczył strzęp żalostnej solidarności...

Chełmicki łokciem trącił Kosseckiego:

-Andrzej!

-Co?

- Co ci się tak pysk wyciągnął?

- Odczep się!

- Słuchaj, możesz mi dać w mordę, jeżeli ci to sprawi przyjemność.

110

- Odczep się, mówię. Maciek pokiwał głową:

- Ech, Andrzej, Andrzej...

- Co znowu?

-Nic.

- Tym lepiej. Myślałem, że z nowymi radami wyjedziesz...

Świecki przyjechał do "Monopolu" przed dziewiątą. Deszcz jeszcze padał ulewny. Gdy szofer wyskoczywszy z wozu otworzył drzwiczki, trzech mężczyzn, rozchlapując ogromne kałuże, szybko, jeden za drugim przebiegli niewielką przestrzeń dzielącą ich od wejścia do restauracji. Świecki przyjechał nie sam. Do ostatniej chwili miał u siebie długą konferencję i wprost z niej jadąc na bankiet, zabrał ze sobą swego zastępcę, wiceprezydenta Weycher-ta, i przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, Kalickiego.

W hallu czekał na Świeckiego zarządca "Monopolu", Słomka. Był to znany przed wojną restaurator lwowski, tłusty grubas o jasnych rzęsach, okrągłej twarzy, okrągłym brzuchu i małych, pulchnych, stale na poziomie piersi żwawo się poruszających dłoniach. Dawny właściciel "Monopolu", bogacz ostrowiecki Lew-kowicz, zginął był swego czasu z całą rodziną w Treblince.

Świecki, który był stałym gościem "Monopolu", familiarnie przywitał się z restauratorem.

- Jakżeż się pan ma, panie Słomka?

- Ja się zawsze dobrze mam, panie prezydencie. Świecki się roześmiał i obrócił do swoich towarzyszy:

- Popatrzcie, panowie, nareszcie człowiek, który nie narzeka i jest zadowolony. Pan nigdy nie narzeka, panie Słomka? Słomka zatrzepotał przy piersi pulchnymi palcami:

- Broń Boże! Po co narzekać, panie prezydencie? Czy ja mam starą żonę, żeby narzekać?

- A co, młodą pan ma?

- Młodej też nie.

- Popatrzcie! - zdziwił się trochę Świecki. - Nie jest pan chyba wrogiem kobiet?

Słomka rozciągnął tłuste wargi w szerokim uśmiechu, upodabniając dzięki temu swoją twarz do różowej pupki.

- Przeciwnie, panie prezydencie. Dlatego wolę się nie żenić. Po co jeść stale jedną potrawę?

111

Weychertowi, który z zawodu był architektem, a poza tym wesołym i towarzyskim człowiekiem, podobało się to określenie.

- Stosuje pan w życiu kulinarne przepisy miłości... Słomka zawsze wysoko sobie cenił dokładność w

tytułowaniu gości. W tym wypadku znał na szczęście z widzenia Weycherta i wiedział, jakie zajmuje stanowisko.

- To zrozumiałe, panie wiceprezydencie - ukłonił się w jego stronę. - Jestem restauratorem.

I aż spotniał ze strachu, aby trzeci z przybyłych, o którego personaliach nic niestety nie wiedział, nie odezwał się przypadkiem i nie zmusił go do udzielenia mu оголоconej z tytułatury odpowiedzi. Ale Kalicki nie lubił większych zebrań, nie znosił atmosfery knajpy i do "Monopolu" dał się wyciągnąć tylko dlatego, że chciał się zobaczyć ze Szczuką. Nie zdradzał też na razie ochoty do brania udziału w rozmowie. Był to człowiek starszy, po pięćdziesiątce, suchy i wysoki, o gęstych, siwizną przyprószonych włosach i długich, również szpakowatych wąsach, które całej jego sylwetce, a zwłaszcza twarzy, nadawały wygląd bardzo niedzisiejszy. Niemniej jednak, chociaż milczący, Kalicki nie dawał Słomce spokoju. Gdy przybyli w szatni zdejmowali płaszcze, tak się przez cały czas starał wśród nich lawirować, aby na wszelki wypadek uniknąć z Kalickim bezpośredniego zetknięcia. Był to bolesny cios zadany jego obowiązkowi gospodarza. Zwykł cenić prawdziwie tych tylko gości, których znał osobiście. Pozostali byli cyframi rachunków, niczym więcej. Gdy zatem przeprowadzał prezydenta i jego towarzyszy przez ogólną salę, skorzystał z okazji, że torując wśród tłoku drogę, znalazł się blisko Świeckiego.

- Panie prezydencie, proszę mi wybaczyć - szepnął sapiąc i żwawo, jakby płynął, poruszając przy piersi paluszkami.

Świecki odpowiadał akurat na czyjś ukłon. Kłaniano mu się z wielu stron. Lubił to. Lubił się teraz pokazywać w miejscach publicznych. Przez sekundę wyobraził sobie, że z odkrytą głową i w otoczeniu licznej świty idzie wolnym krokiem wzdłuż na baczność wyprężonych szeregów honorowej kompanii wojska.

- Słucham? - pochylił się w stronę niskiego Słomki z gestem tak uprzejmym, jakby się zwracał do premiera.

- Pana wiceprezydenta Weycherta mam już zaszczyt znać - ciurknął Słomka. - Ale ten drugi pan...

-Kalicki?

112

- Właśnie, właśnie... Nie znałem niestety godności ani stanowiska...

Świecki dobrotliwie się roześmiał:

- A, o to panu chodzi! Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej. Powinien pan jednak znać miejscowych dygnitarzy, panie Słomka. A poza tym - ujął poufale grubasa pod ramię - jeśli pan rzeczywiście takie znaczenie przywiązuje do tytułów...

- Ależ to ważne, panie prezydencie - zasapał Słomka. - Bardzo ważne.

Świecki znowu oddał ukłon.

- Nie przeczę. Może mnie pan wobec tego tytułować od dzisiaj, od zaraz, powiedzmy, jeśli sprawi to panu przyjemność...

- Jak, panie prezydencie? - szepnął cichutko Słomka.

- Niestety ministrem, drogi panie Słomka. Restaurator aż się potknął z wielkiego wrażenia.

- Niech pan uważa - ostrzegł go Świecki.

Tamten, jakby pod dotknięciem najwyższego szczęścia, cały się zmienił w promieniejące zera. Wszystko w nim było teraz doskonale okrągłe: głowa, oczy, usta, tułów, malutkie rączki.

- Co za radość, panie prezydencie... przepraszam, panie ministrze! To naprawdę wielki dzień dla mnie.

W rzęsiście oświetlonej krystalowymi żyrandolami sali bankietowej, poza dwoma wyfraczonymi kelnerami, którzy na widok wchodzących cofnęli się dyskretnie w głąb, nie było na razie nikogo.

Świecki rozejrzał się po sali:

- Pierwsi, widzę, jesteśmy. To świetnie! Aha, panie Słomka, mojego sekretarza tu nie było?

Restaurator podziwiał tymczasem w skupieniu doskonałą wspaniałość stołu. Na tle luster w złotych ramach i ścian spłowiałych cokolwiek, lecz jeszcze przechowujących intensywną paśo-wość, biały, różami przybrany i uginający się pod zastawą i zakąskami stół podzielał na niego urzekająco. Świecki musiał powtórzyć pytanie.

- Pana Drewnowskiego? - ocknął się Słomka. - Nie, panie ministrze, nie było.

Świecki wyrozumiałe się uśmiechnął do swoich towarzyszy.

- Styszeliście, panowie? - powiedział cicho. - Już "pan minister". W tym plotkarskim mieście nic się nie da ukryć.

113

- Zależy ci na dyskrecji? - roześmiał się Weychert.

- Powiedzmy, że w tym wypadku nie. Ale moje ucho musi się przyzwyczać.

- Nie obawiaj się! - poklepał go po ramieniu Weychert. - Nie przyjdzie mu to z trudem.

-1 ja tak myślę.

Zadowolony z żartu, zwrócił się do Słomki:

- Pogratulować panu, panie Słomka. Świetnie się pan spisał. Wygląd stołu całkiem przedwojenny.

Promieniejący zadowoleniem Słomka ukłonił się bez słowa. Wszelkie wyrazy uznania dla swojej sztuki

gastronomicznej zawsze przyjmował w milczeniu. Traktował je jako należny hołd. Nagle się poderwał:

- Chwileczkę, panie ministrze... - I szybko się potoczył w głąb sali, gdzie stali kelnerzy. Skinął na bliższego: - Jakie wina zostały zamówione?

- Reńskie, panie szefie. Mamy ich bardzo dużo. Słomka skrzywił się i zamachał malutkimi rączkami:

- Zmienić, natychmiast zmienić. Podać najdroższe francuskie. Białe i czerwone. Same francuskie.

"Niech płacą!" - szepnął samemu sobie z zadowoleniem. Tymczasem Świecki częstował Weycherta i Kalickiego papierosami.

- Po dziewiątej już. Obawiam się, że się nasi goście pospóź-niają. Ta idiotyczna burza wlaźła nam w paradę.

- Szczuka mieszka w "Monopolu" - odezwał się z boku stojący Kalicki.

Świecki wzruszył ramionami:

- Mieszka. Ale co z tego? Z samym Szczuka nie siądziemy do stołu. Nie wiem, jak panom, ale mnie, przyznam się, porządnie się już chce jeść.

- Mnie też - stwierdził Weychert.

- I gdzież się ten Drewnowski podział? Specjalnie kazałem mu przyjść wcześniej. Ciekawy jestem, co ty o nim sądzisz? - zwrócił się do Weycherta.

- O Drewnowskim?

-Aha!

- Cóż? Robi wrażenie obrotnego chłopca.

- Prawda? Myślę, że warto go wziąć ze sobą do Warszawy.

- Masz, o wilku mowa...

114

Rzeczywiście w drzwiach stał Drewnowski i, nieco oślepiiony światłem żyrandoli, zacierał z głupawą miną dłonie, które tak mu ciążyły, że nie wiedział, co z nimi zrobić. Przez moment poczuł się zupełnie pijany. Cała sala wraz ze stołem, lustrami i pąsowymi ścianami zawirowała mu w oczach, przełamując się w krąg blasków, cieni i dziwacznych kształtów. Miał przecież na tyle przytomności, aby zmusić się do otrzeźwienia. Nienaturalnie wyprostowany i trochę zbyt sztywnym krokiem ruszył przed siebie w kierunku stojących mężczyzn. Za nim jak cień wysunął się Pieniążek i obciągając przykusą marynarkę podążył za swoim przyjacielem na mięciutko w kolanach uginających się nogach.

Świecki nie wierzył zrazu oczom.

- Co to za jeden? - spytał zaciekawiony Weychert.

- Psiakrew! - zaklął krótko wiceminister.

Drewnowski dotarł do nich tymczasem i mimo wyraźnego usztywnienia całego ciała osiągnął sukces dość znaczny, ponieważ udało mu się przywitać ze wszystkimi bez zarzutu. Świecki natychmiast odciągnął go na bok.

- Co to znaczy, panie Drewnowski? Co pan wyprawia? Co tu robi ten łobuz?

- Pieniążek? - zdziwił się Drewnowski. - A właśnie... tak się złożyło... myślałem, panie prezydencie, że prasa... że może w ogóle...

Zaplątał się i utknął. Poprzez szum, który w nim falował, poczuł się aż po sam naskórek przeniknięty jedną myślą: wyrznąć Świeckiego w mordę. Gdy to sobie uświadomił, oblał się potem.

- Myślałem - wydobył ze siebie słaby cień głosu - że z różnych względów...

Świecki poczerwieniał:

- Co mi pan za bzdury opowiada! Co z panem jest? Oblesnie uśmiechnięty Pieniążek wysunął się spoza pleców Drewnowskiego.

- Mo... moje gratulacje - czknął bezwstydnie. - Pozwoli pan, pan... panie ministrze, że w imieniu demokratycznych dziennikarzy...

We drzwiach wszczął się gwar. Nowi goście wchodzili.

Jednopiętrowy drewniak, do którego Szczuka schronił się przed ulewą w powrotnej drodze do hotelu, miał wąską i niską

115

sień wychodząca na podwórko wiejskie prawie, ze studnią pośrodku i ogrodem w tyle. I w sieni, i na podwórzu pusto było na razie. Po chwili dopiero wpadli do bramy w pośpiechu nowi ludzie, mężczyzna z kobietą. Wyglądali na małżeństwo powracające z uroczystej wizyty. On, wysoki i szczupły, w meloniku i czarnym palcie, ona, również chuda i wzrostu więcej niż średniego, w wiosennym brązowym kostiumie. Nagła i gwałtowna ulewa musiała ich podobnie jak Szczukę przychwycić na nie zabudowanym odcinku ulicy i nim zdążyli dobiec do najbliższego domu, zmokli porządnie. Deszcz lał rzęsiście. Gęste strugi wody padały z szumem, dudniło w rynnach, raz po raz przy ogłuszającym trzasku grzmotów zapalały się wśród półmroku oślepiające błyskawice. Była to prawdziwa burza wiosenna, pierwsza w tym roku.

Szczuka, po swojemu wsparłszy się na lasce, przystanął u samego prawie wylotu sieni. Zmęczony był

spacerem i upałem. Złamana w swoim czasie, jeszcze podczas śledztwa, i źle później zestawiona noga zawsze mu dokuczała przy dłuższym chodzeniu. Z sercem też się czuł ostatnio nie najlepiej. Oddychał teraz z prawdziwą ulgą. Parność przedburzowa już ustąpiła, powietrze szybko się odświeżało i z głębi podwórza, z ogrodu, niósł się orzeźwiający zapach wilgotnej ziemi i listowia.

Tamci dwoje, trochę jeszcze zadyszani pośpieszną ucieczką przed ulewą, otrzepywali z ubrań wodę. W półmroku, który ogarniał i tak dość mroczną sień, przypominali duże i gwałtownie się trzepoczące ptaki.

- Widzisz - zaczęła z akcentem wyrzutu kobieta - mówiłam ci, żebyś wziął na wszelki wypadek parasol...

Mężczyzna w milczeniu wygładzał kłapy palta. Błysnęło akurat i krótki piorun trzasnął bardzo blisko.

- O Boże! - wzdrygnęła się kobieta. - Popatrz tylko, kapelusz zupełnie na nic. Trzeba mieć doprawdy moje szczęście, żeby raz się porządnie ubrać...

- Nie przesadzaj - mruknął mężczyzna. - Nic się kapeluszowi nie stanie.

Ogniste blaski raz po raz rozdzierały ciemność. Ulewa jeszcze przybrała na sile.

- Doskonale jednak ten deszcz robi - zauważył mężczyzna. - Upał był nie do wytrzymania.

- Ciekawa jestem, jak my się teraz do domu dostaniemy?

116

- Dostaniemy się, nie bój się. Zaraz wszystko przejdzie. Przyjemnie było u Gajewskich, nie?

Rozmawiali półgłosem, lecz Szczuka słyszał każde słowo.

- Czy ja wiem? - odpowiedziała niechętnie. - Człowiek głowy nawet nie ma do jakiejś ludzkiej rozmowy...

- Znowu przesada.

- Dla ciebie wszystko jest przesadą.

- Przyznaj sama...

- Ja wiem, najłatwiej tak mówić. A mnie to wszystko dosyć zdrowia kosztuje.

- Co znowu "wszystko"? Kapelusz?

- Daj spokój! Wiesz doskonale, o czym mówię. Jak się robi z domu przytułek...

Szczuka nie lubił przysłuchiwać się cudzym sprawom. Sięgnął po papierosa i zapalił go, żeby zaznaczyć swoją obecność.

Mężczyzna ściszył głos:

- Moja droga, cóż my możemy na to poradzić? Wiem, że nie jest wygodnie, ale sama powiedz...

- Powinieneś porozmawiać rozsądnie z Ireną.

- I co?

- Namówić, żeby się przeniosła do szpitala.

- Moja droga...

- I jej będzie lepiej, i nam.

- Nam może, ale nie jej. Zastanów się, kobieta przed tygodniem wróciła z obozu, nie ma prócz nas nikogo...

Zdajesz sobie sprawę, jakie są teraz warunki po szpitalach?

Szczuka uważniej począł słuchać.

- A u nas? Jakież u nas są warunki?

- Zawsze nie to co szpital.

Deszcz lał niezmiennie, lecz burza przemijała, grzmoty biły już dalej. Przez moment Szczuka się zawahał. Poczuł jednak, że jeśli tej sprawy nie wyjaśni zaraz, dręczyć się będzie później tym przeoczeniem. Szybko się zdecydował.

Podszedł do stojących po drugiej stronie sieni i uchylił kapelusza:

- Przepraszam, usłyszałem, że mówili państwo o kimś, kto wrócił z obozu...

Tamci, w pierwszej chwili zaskoczeni, wydawali się trochę spłoszeni.

117

- Owszem - odparł niepewnie mężczyzna. - Moja siostra wróciła.

- Z Ravensbruck może?

- Tak.

Szczuka milczał chwilę.

- Proszę mi wybaczyć niedyskrecję...

Mężczyzna nabrał już widocznie do niego zaufania.

- Ależ proszę bardzo - powiedział życzliwie. - Czym możemy służyć?

- Miałem w Ravensbruck kogoś bliskiego. Żonę. Wiem, że nie żyje, ale to wszystko. Żadnych poza tym bliższych szczegółów. Mężczyzna skinął ze zrozumieniem głową.

- Rozpytuje się wszędzie gdzie się da, ale bez żadnego, niestety, skutku. Pana siostra do końca była w Ravensbruck?

- Tak, do końca. Cztery lata przesiedziała.

- To długo.

- Od czterdziestego drugiego. Teraz jest biedaczka chora, pojmuje pan, po tym wszystkim... Ale na pewno udzieli panu wszelkich informacji, mogło się tak akurat zdarzyć, że zetknęła się z pańską żoną. Moje nazwisko jest Szretter, profesor Szretter.

Szczuka też się przedstawił.

- Jeżeli państwo pozwolą...

- Prosimy bardzo - odparł profesor. - Mieszkamy na Zielonej pod siódmym, wie pan, gdzie to jest, niedaleko gimnazjum Stefana Batorego.

Szczuka przypomniał sobie jutrzejszy wyjazd.

- Jutro nie mogę niestety. Pojutrze też. Ale może we wtorek w południe?

- Kiedy panu dogadza. Siostra moja zawsze jest w domu. Choruje, jak panu wspomniałem. Właśnie w związku z tym mamy pewne kłopoty - widać było, że usiłuje zatrzeć wrażenie, jakie Szczuka mógł wynieść z posłyszanej rozmowy. - Mamy nieduże mieszkanie, dwa tylko pokoje, a nas jest dwoje i syn, chłopak prawie już dorosły, poza tym dalsza rodzina żony z Warszawy i teraz jeszcze moja siostra. Rozumie pan, w tych warunkach...

- Mąż jest profesorem gimnazjalnym - odezwała się pani Szretterowa. - Pracuje też naukowo. I w tych warunkach nie ma nawet właściwie dla siebie kąta.

Profesor machnął ręką. Wyglądał na człowieka bardzo znużonego.

118

- Ech, o mnie już nie chodzi...

- Jak to? O twoją pracę nie chodzi? Starszy pan pobłażliwie się uśmiechnął:

- Miało się, wie pan, kiedyś różne ambicje. Praca naukowa, katedra, takie różne plany... Jestem historykiem z zawodu. Zresztą nie narzekam, broń Boże! Nauczanie w szkole średniej także daje dużo zadowolenia.

- Bardzo za to mało pieniędzy - zauważyła Szretterowa.

- Moja droga, nie można z tego tylko punktu patrzeć na wszystko. Nie trzeba zresztą przesadzać, nie mamy się jeszcze najgorzej.

- Najgorzej! Dorożkarz lepiej zarabia niż ty po piętnastu latach ciężkiej pracy.

Szczuka nie starał się podtrzymać rozmowy. W milczeniu dopalał papierosa.

- Bardzo możliwe - odezwał się po chwili profesor - że od mojej siostry będzie się pan mógł czegoś dowiedzieć. Bardzo bym się cieszył. Teraz każdy kogoś bliskiego poszukuje. Cóż robić? Pogubili się ludzie, porozdzielali... Ach, co za powietrze! - odetchnął głęboko. - Świetnie taki deszczyk majowy robi. Przejajnia się już zresztą.

Rzeczywiście deszcz padał o wiele mniejszy. Szczuka rzucił papierosa i podniósł kołnierz płaszcza.

- We wtorek zatem.

- Idzie pan już? - zdziwił się profesor. - Pada jeszcze.

- Niech pan zaczeka - poradziła Szretterowa. - Szkoda ubrania.

Ale Szczuka, tłumacząc się pośpiechem, pożegnał Szretterową i wyszedł na ulicę. Pusta była, splukana deszczem i pełna czystego powietrza. Rynsztokami płynęła spieniona woda. Dokoła szumiał monotony śpiew rynien. Deszcz cmił gęsty jeszcze, bardzo za to równy i już spokojny. Ciągłe błyskało, a głucho grzmoty, podobne do ogromnych kamieni, toczyły się w głąb nocy. Ale spomiędzy tych szumów, blasków i mgieł, spomiędzy ciemności odzyskujących powoli łagodną poświatę wiosennego i gwiazdowego wieczoru wyłaniać się zaczynała zapowiedź najpiękniejszej i najświeższej młodości świata.

Podgórski odstawił swego jeepa do Komitetu Powiatowego i pożyczwszy od jednego z dyżurujących w gmachu milicjantów

119

nieprzemakalny płaszcz przeprowił się przez tonący w kałużach rynek na drugą stronę, do "Monopolu". Przed hotelem stało już kilka aut. Przypuszczając, że Szczuka jest jeszcze u siebie, wstąpił po niego na górę.

Zastukał raz i drugi. Nikt nie odpowiadał. Nacisnął klamkę. Pokój okazał się zamknięty.

Niezadowolony, że się spóźnił, zszedł na dół. Szczuka odbierał właśnie od pulchnego portiera klucz od swego numeru. Podgórski ucieszył się:

- Świetnie, że was spotykam! Byłem dopiero co u was, myślałem, że już zesłicie na bankiet...

- Zdążymy - mruknął Szczuka. - Nie ma obawy.

- Burza was złapała?

- Właśnie.

Szczuka chciał zająć na chwilę do siebie, poszli więc razem na górę. W pokoju parno było jak w łaźni. Szczuka natychmiast otworzył okno. Ostatki deszczu łagodnie szeleściły w ciemnościach. Gwiazdy już zaczynały przeblyskiwać na niebie.

Podgórski rozpiął płaszcz i przysiadł na krawędzi otomany.

- Byłem, wiecie, u Kosseckiego.

Szczuka zdejmował przemoczony płaszcz i kapelusz.

-Tak?

- Powiedziałem, że chcecie się z nim zobaczyć.

-I co?

- Obiecał przyjść. Wspomniałem zresztą, że to o was chodzi.

- Pytał się?

-Tak.

-1 cóż?

- Miałem wrażenie, że musiał albo się zetknąć z wami, albo przynajmniej słyszeć o was.

- Przypuszczam - mruknął Szczuka zdejmując marynarkę. W samej koszuli wydawał się bardziej jeszcze barczysty w ramionach i szeroki w plecach. Podciągnawszy rękawy począł myć ręce. Po chwili, wycierając dłonie, obrócił się do Podgórskiego:

- Muszę przyznać, że to dość zabawne. Tamten spojrzał na niego nie rozumiejąc.

- Dopóki, wiecie, byłem w obozie, wielokrotnie sobie przysięgałem, że jeśli spotkam kiedykolwiek po wojnie tego łajdaka, to osobiście się z nim będę musiał porachować i sam mu za wszystko zapłacić. A teraz? Teraz nic mnie to właściwie nie obchodzi. Wolałbym nawet nie widzieć więcej tego człowieka.

120

Podgórski siedział bez ruchu. Przybladł tylko. Szczuka uważnie przyglądał mu się dłuższą chwilę. Podszedł potem bliżej i niezupełnie jeszcze obeszniętą dłoń oparł ciężko o jego ramię:

- Mam nadzieję, że domyślacie się, o kim mówię? Podgórski potrząsnął głową.

-Nie...

- Rzeczywiście nie?

- To niemożliwe. Zastanówcie się, jakim sposobem? Kossec-ki? Przecież to najporządniejszy człowiek.

- Wyjątkowa kanalia.

- Kossecki?

- Dla mnie sztubowy Rybicki. Na jedno zresztą wychodzi. Rybicki, Kossecki... Niestety, na pewno się nie mylę. W Gross--Rosen jeden tylko był Rybicki. - Poklepał Podgórskiego po plecach: - Głowa do góry! I takie się zdarzają historie.

Wrócił do umywalki, twarz przetarł wilgotnym ręcznikiem i opuściwszy rękawy koszuli, nałożył marynarkę.

Podgórski ciągle siedział bez ruchu, pochylony.

- Co on tam robił? - spytał po chwili cicho.

- Sztubowy Rybicki?

-Tak.

- Cóż miał robić? Wszystko, co mu kazano, i więcej jeszcze.

-Bił?

- Jeszcze jak! Doskonale to robił. Podgórski przesunął dłoń po czole.

- Zabijał?

Szczuka wzruszył ramionami:

- Sam nie, nie miał okazji. Ale przysłużył się niejednemu.

- To potworne!

- Cóż chcecie? Ratował siebie.

- W taki sposób? Nie, w głowie mi się pomieścić nie może, żeby taki człowiek...

- A jednak. Podziwiam tylko, że odważył się po tym wszystkim wrócić. Inna rzecz, że niewielu świadków żyje.

Pod zmienionym poza tym nazwiskiem działał... kto wie, mogło mu się udać.

Podgórski gwałtownie się podniósł i podszedł do okna:

- Teraz rozumiem... cała ta rozmowa... to jasne! I ja, głupi, niczego się nie domyśliłem! Do głowy mi nawet nie przyszło podejrzenie. - Odwrócił się nagle. - Ale dlaczegoż nie powiedzieliście mi tego przedtem?

121

Szczuka zamyślił się:

- Czyja wiem? Tak się jakoś złożyło. W pierwszej chwili, kiedy usłyszałem jego nazwisko, był to dla mnie wstrząs.

- Przypuszczam.

- A potem! Potem, przyznam się wam, ani przez chwilę o tej całej sprawie już nie myślałem.

- Mieliście z nim osobiście do czynienia?

- Wystarczy. Pół roku. - Mroczny cień zasępił przez moment jego twarz. Ale zaraz się z tego otrząsnął. -

Różnie, widzicie, towarzyszu Podgórski, z ludźmi bywa.

Podgórski powolnym i roztargnionym ruchem przesunął dłoń po czole:

- To nieprawdopodobne, taki człowiek... O, do diabła! I co zamierzacie? Chcecie czekać do wtorku?

- Tak. Nic pilnego.
- A jeśli ucieknie? We przecież, czym to pachnie.
- Nie ma obawy. To tchórz.
- Tym bardziej.
- Nie. Tego rodzaju człowiek nie potrafi uciekać. Podgórski nie był zupełnie przekonany.
- Myślicie, że przyjdzie tu?
- Na pewno przyjdzie.
- A nie lepiej by jednak było...
- Nie, zostawcie to mnie. Zapewniam was, tego rodzaju ludzie mogą się stać zbrodniarzami, nigdy awanturnikami. Zanadto są przywiązani do tego wszystkiego, co osiągnęli. Przy sprzyjających okolicznościach nasz przyjaciel mógłby łatwo zapomnieć, że popełniał zbrodnie, to owszem, w to moge uwierzyć. Ale życia w nowych warunkach, w nowym środowisku nie rozpocznie. To nie ten gatunek. Podgórski zacisnął pięści:
- Co za ohyda!
- Szczuka spojrział na niego drwiąco:.
- Bez przesady, przyjacielu. Po prostu bankructwo pewnego typu mentalności...
- Pili wódkę dużymi kieliszkami. Panna Krysia cały stół zastawiła obfitością zakąsek. Był ich wielki wybór: śledź w oliwie, zimne mięso, jajka w majonezie, jakaś pstrokata sałatka wio-

122

senna, młode rzodkiewki, do mięsa sos tatarski i drugi - cum-berland.

- Pycha! - stwierdził Chełmicki.

Obaj byli wygłodniali i rzucili się na jedzenie z żarłocznością. Przedtem zamówili z karty: Kossecki - befsztyk z polędwicy, Chełmicki - najpierw sznyceł wiedeński, lecz zaraz go zmienił na antrykot z indyka.

- Andrzej, i wino do tego?

Andrzejowi było wszystko jedno. Kawalkiem schabu szybko zaspokajał pierwszy głód.

- Jak chcesz.

Zamówił wobec tego butelkę oryginalnego bordeaux. Odchodzącą Kysię odprowadził za bufet spojrzeniem.

- Spójrz tylko! - trącił Andrzeja. - Jakie fajne ma nogi. Pycha! Pijemy?

Wódka była zimna, dobrze zamrożona. Karafka, w której przyniosła ją panna Krysia, szklita się wilgotną warstewką delikatnej rosy. Chełmicki napełnił natychmiast opróżnione kieliszki.

-Andrzej!

Ten wypił machinalnie i dalej jadł w milczeniu. Maciek spojrział na niego z ukosa.

- Pamiętasz, jak marzyliśmy o wieprzowych kotletach? Andrzej się uśmiechnął:

-Aha!

- A gęś u Wilgi?

- U Wilgi? Kiedy to było?

- Nie pamiętasz? Jak wróciliśmy z ćwiczeń.

- W czterdziestym czwartym na wiosnę? Pamiętam. Wlałeś się strasznie.

- A ty się nie wlałeś? Wszyscy chodziliśmy na rzesach. Andrzej ożywił się:

- Poczekaj, to wtedy wyszliśmy w nocy od Wilgi i złożyliśmy wizytę Haneczce?

- Fajnie było, co? Pamiętasz, jak gdyby nic przemaszerowaliśmy przez Żoliborz. To twój był pomysł.

-Mój?

- A czyj? Twój i Wilgi. Po drodze odstawialiście razem z Wilgą na placu Wilsona operę. Ryczeście jak dzikie osły. Wiesz, trzeba było jednak naszego cholernego szczęścia, żeby nas wtedy żaden patrol nie nakrył. A pamiętasz później, jak przyszliśmy na

123

Dziennikarską, jak nas w pierwszej chwili strasznie Haneczka zbeształa?

Andrzej się zamyślił:

- Biedna Haneczka.

- Przyjemna była dziewczyna.

- Gdzie ona zginęła, na Mokotowie?

- Nie, gdzieś w śródmieściu, na Kruczej zdaje się. Popatrz, Wilgi też nie ma. Ilu nas wtedy było?

- U Wilgi? Poczekaj, nas dwóch, Staszek Kossobudzki...

-1 Krzysztof.

- Zgadza się. Pięciu.

- A zostaliśmy tylko my dwaj.

- Też się zgadza. Nalał wódkę.

- Wobec tego zdrowie nas dwóch. Wiesz co, Andrzej?

-Co?

- Możemy sobie jednak powiedzieć, rozmaicie bywało, bo rozmaicie, to prawda, ale dobre były czasy.
- Myślisz?
- Może nie? Jak się żyło! Na całego. I w jakiej kompanii! Powiedz sam, było kiedy tylu morowych chłopców i dziewczyn? Taka wiara!
- 1 co z tego? Prawie wszyscy poginęli.
- Inna sprawa. Ale czasy były dobre. Pijesz? Andrzej odsunął kieliszek:
- Za chwilę. Myśmy przede wszystkim byli inni.
- Młodszy.
- Nie tylko. Wiedzieliśmy, czego chcemy.
- Powiedzmy.
- Wiedzieliśmy także, czego chcą od nas.
- Ba, odkryłeś! To jasne. Czego mogli chcieć? Żebyśmy ginęli. Teraz chcą tego samego. I w porządku. Stać nas na to, nie? Andrzej zmarszczył brwi:
- Nie zgrywaj się.
- Ja się zgrywam?
- Pewnie. Ginać... to żadna sztuka.
- Zależy jak.
- Jakkolwiek. Na to nas zawsze stać.
- Jeszcze mało?
- Beznadziejnie.

124

- Zwłaszcza dla tego, co ginie - zakpił Maciek. - Przyjemnia-czek jesteś, nie ma co mówić. Wiesz co, wykończmy lepiej tę butelkę.

We drzwiach baru pojawiło się większe towarzystwo. Byli to ci sami ludzie, których przed kwadrans, gdy zamierzali opuścić lokal, spotkał był w hallu restauracyjnym Drewnowski. Ulewa musiała pokrzyżować ich plany przeniesienia się do innego lokalu. Zostali w "Monopolu". Trzech mężczyzn, dwie kobiety. Jedna z nich, młoda, platynowa blondynka o cienkich brwiach i do góry zawiniętych rękach amerykańskiej aktorki, w futrze z popielic narzuconym na nagie ramiona, klasnęła w dłoń:

- Widzicie, nie mówiłam? Nikogo nie ma, zupełnie pusto. I jak przyjemnie. Chodźcie! Panie mecenasie, tu nam będzie doskonale.

Po chwili całe towarzystwo otoczyło bufet i poczęło się usa-dawiać na wysokich stołkach. Mecenas Krajewski usiadł przy platynowej blondynce. Pochyliwszy gruby, czerwony kark szeptał jej coś do ucha. Słuchała z roztargnieniem i w pewnej chwili obejrzała się za młodym, przystojnym brunetem, który stał przy drugim końcu bufetu.

- Panie doktorze, tu przy mnie proszę!

Chełmicki skrzywił się z wyraźnym niezadowoleniem. Znać już po nim było wódkę. Był podniecony, dziewczęce oczy zwęziły mu się cokolwiek i bardzo błyszczały.

- Diabli tę hołotę przynieśli!

Ale tamci zbyt hałaśliwie rozmawiali i zanadto byli zajęci sobą, aby mogli usłyszeć.

Chełmicki szukał tymczasem panny Krysi. Nalewała właśnie do kieliszków koniak, lecz w pewnym momencie, jakby wyczuła, że tamten na nią patrzy, rzuciła w stronę Maćka krótkie spojrzenie. Skinął lekko głową. Chciał, żeby podeszła do ich stolika. Uśmiechnęła się tylko i dalej nalewała koniak. Tęgi mecenas zaczął coś do niej mówić.

Maciek sięgnął po kieliszek.

-Andrzej!

Ten przestał jeść. Siedział podpartszy się pięścią, jasne włosy zsunęły mu się na czoło.

- Pijesz?

Wypili w milczeniu. Maciek znowu spojrzął w stronę bufetu. Bez skutku tym razem. Krystynę przysłaniały szerokie plecy mecenasa. Platynowa blondynka, pochylona ku swemu przystoj-

125

nemu sąsiadowi z prawej strony, śmiała się głośno. Futro zsunęło się jej z jednej strony, odsłaniając nagie, delikatną, miękką linią zarysowane ramię. Dwaj pozostali mężczyźni bawili drugą kobietę. Wszyscy troje byli dość pijani. Chełmicki nadaremnie spoglądał uporczywie raz po raz. Krystyna wydawała się całkowicie zajęta nowymi gośćmi. Nie wytrzymał wreszcie:

- Andrzej, nie wiesz, co to za jedni?

-Kto?

- Ta hołota przy barze.

Andrzej nie spojrział nawet w ich stronę.

- Nie masz większego zmartwienia?

- Znasz ich? Wyglądają na tutejszych.

Andrzej odgarnął włosy z czoła i podniósł głowę.

-No?

- Nie wiem. Znam tylko tego z czerwonym karkiem.

- Wstrętny facet. Chętnie bym mu dał w mordę. Co za jeden?

- Adwokat tutejszy.

- Świnia?

- Coś w tym rodzaju.

- Dać mu w mordę?

-Daj.

Chelmicki szybko się podniósł. Andrzej chwycił go za rękę:

- Zwariowałeś?

- Odczep się! Sam powiedziałaś, żeby mu dać w mordę.

-Siadaj!

- Kiedy nie znoszę facetów z takimi byczymi karkami...

- Siadaj, słyszysz?

Ociągał się nieco, lecz usiadł.

- Posłuchaj, Maciek... - zaczął Andrzej. - Chciałem z tobą poważnie pomówić. Widziałem się przed godziną z Florianem. Mieliśmy długą rozmowę.

Maciek żywo się ku niemu obrócił. Wyraz jego twarzy stał się trzeźwy zupełnie, napięty i czujny.

- Zbeształ nas?

-Nie.

- Niemożliwe? Nie zbeształ? A ja byłem pewien, że dostałeś porządne zmywanie głowy i dlatego jesteś w takim humorze. Więc co?

- W porządku.

- Zgodził się?

126

-Tak.

-1 na mnie?

- Na ciebie.

- To pycha! - ucieszył się Maciek. - Trochę się, wiesz, bałem, że się nie zgodzi. Ale na wszelki wypadek przygotowałem już teren. Zgadnij, gdzie od kilku godzin mam zaszczyt mieszkać?

-No?

- Tutaj.

- Dostałeś pokój?

- Ja bym nie dostał! I jeszcze jaki, żebyś wiedział! Wyobraź sobie, jesteśmy sąsiadami przez ścianę.

- Z nim?

- Aha! Poznałem poza tym faceta. Staliśmy, wiesz, koło siebie o, tak mniej więcej, jak jestem teraz z tobą. Przyjemny jegomość. Poczęstował mnie nawet papierosem. Amerykańskim. Dobre, co?

Andrzej spojrział na niego, lecz nic nie powiedział. Maciek przeciągnął się w ramionach.

- Pycha! Świetnie wobec tego wszystko idzie. Nie bój się, już ja to dobrze urządzę, naprawię dzisiejszą fuszerkę...

- Nie wrzeszcz - mruknął Andrzej. Maciek wzruszył ramionami:

- Nie przesadzaj! Kto nas tutaj słucha? - zniżył jednak głos. -Przyrzekam ci robotę pierwszej klasy, szybko, sprawnie i elegancko. A potem nie ma nas! To już postanowione?

- Las? Tak, we wtorek.

- Oddział Szarego?

- Niezupełnie. Szary wpadł.

- O cholera! Gdzie?

- Nie wiem, nie znam szczegółów. Florian nic nie mówił. W każdym razie można nad nim krzyżyk postawić.

- Szkoda chłopca - zmartwił się Maciek. - Musiał coś, cholera, spałaśzyć. A na jego miejsce jest już kto mianowany? Andrzej się zawahał:

- Jest.

-No?

-Ja.

W pierwszej chwili Chelmicki oniemiał:

- Nieee! Andrzej, to wspaniałe! Słuchaj, stary, musimy to oblać! Zamówimy jeszcze karafkę? Andrzej

potrząsnął głową.

127

- Nie chcesz? Kieliszek.
- Ani pół nawet.
- Co ci się stało?
- Nic. Nie smakuje mi wódka.
- Chory jesteś?
- Nie nudź. Po prostu mi nie smakuje. Maciek spojrział z niedowierzaniem:
- Jak chcesz. Ale...
- Co znowu?
- Nie, już nic.

Na dnie karafki było jeszcze trochę wódki. Maciek wylał ją do swego kieliszka i szybko wypił. Wyraźnie jednak stracił humor.

- Ależ hałasuje to bydło!

Część tylko bawiącego się przy barze towarzystwa pozostała przy bufecie. Platynowa blondynka poszła tańczyć z przystojnym doktorem. Natomiast opuszczony mecenas zamienił się miejscem z jednym ze swoich towarzyszy i emablował z kolei drugą kobietę. Była to wysoka brunetka o ptasim, egzotycznym profilu i dużych, bardzo czerwonych ustach. Krystyna, chwilowo nie zajęta, robiła z boku bufetu rachunki.

Chełmicki zapalił papierosa i nagle się podniósł.

- Dokąd idziesz? - zaniepokoił się Andrzej.

- Nie bój się. Chwilę.

Łuk błyszczącego niklem barowego bufetu miał jedno tylko wyjście, z tyłu, za ekspresem kawowym.

Chełmicki wprost się w tamtą stronę skierował i stanął w przejściu. Ręce wsunął w kieszenie spodni.

Krystyna po chwili dopiero go spostrzegła. Zarumieniła się lekko i odsunęła na bok blok z rachunkami. Przez moment jakby się zawahała. Podeszła jednak. W sukience z gładkiej, cienkiej materii wyglądała lekko i zgrabnie. Już nie robiła wrażenia zmieszanej. Uśmiechnęła się nawet. Przy uśmiechu jej wilgotne oczy zwężyły się nieco i były bardziej jeszcze skośne niż zwykle.

- Czym mogę służyć? - spytała.

- Zapomniała pani o nas.

Nie mogła nie zauważyć, że natarczym spojrzaniem wpatruje się w jej usta. Udała jednak, że tego nie dostrzega.

- Strasznie przepraszam, poprawię się...

- Rzeczywiście?

- Co mam podać? Jeszcze wódkę?

128

- Na razie nie.
- Nie? Sądziłam, że panowie, którzy noszą długie buty, lubią dużo pić.

Maciek zmrużył oczy:

- Doświadczenie?

- Może - odparła swobodnie. - Ale nie najlepsze. Chełmicki teraz dopiero wyjął z ust papierosa.

- Kiedy przychodzi pani koleżanka? O dziesiątej?

-Tak.

- To znaczy za pół godziny.

- Więc?

Przysunął się o krok bliżej.

- Może się pani zwolnić o jedenastej? Nic nie odpowiedziała. Dzieliła ich teraz przestrzeń tak nieznaczną, że czuła na twarzy jego rozgrzany oddech.

- Przecież to łatwo urządzić, nie? Powie pani po prostu, że się źle czuje. Głowa panią boli i musi pani iść do domu, coś w tym rodzaju...

Platynowa blondynka musiała wrócić właśnie, bo głośny jej śmiech rozległ się przy barze. Krystyna obejrzała się w tamtą stronę.

- Zdąży pani - mruknął Chełmicki. - Mogą poczekać. Więc?

-Co?

- Zwolni się pani?

- Powiedzmy. I dalej?

- Nie domyśla się pani?

- Nie. Strasznie jestem niedomyślna.

- Czyżby? Mieszkam tutaj, w "Monopolu". Krystyna przechyliła nieco do tyłu głowę i spojrzała na niego

rozbawionymi oczami:

- Naprawdę? To bardzo ładnie z pana strony.
- Dziękuję. Pierwsze piętro, pokój osiemnasty.
- Jest pan tego pewien?
- Łatwo sprawdzić. O jedenastej. Więc?
- Żałuję bardzo...
- Już?

- Przyzwyczaiałam się sprawdzać tylko rachunki.

-Tylko?

-1 te nigdy mi się nie zgadzają.

Chelmicki rzucił papierosa na podłogę, przydeptał go i ręce znowu wsunął w spodnie.

129

- Tylko rachunki pani sprawdza?

- Cóż pan chce, to mój zawód.

- W tym wypadku może pani śmiało sprawdzić. Na pewno się pani nie pomyli.

- Domyślam się.

- Panno Krysiu! - dobiegł zza bufetu głos mecenasa Kra-jewskiego.

Krystyna zrobiła ruch, jakby chciała odejść, lecz Chelmicki zagroził jej sobą drogę.

- Więc?

- Więc? - powtórzyła.

- Pokój osiemnasty. Jedenasta.

- To pamiętam. Ale...

- Jeszcze "ale"?

- Niech pan sam powie: czy warto sprawdzać tak małe cyfry? Wierzę na słowo.

Świecki roztargnionym spojrzeniem przesunął się po siedzących dokoła. Przy zajmowaniu miejsc wyniknął zrazu nieprzewidziany zamęt, ponieważ przygotowanych zawczasu kartek z nazwiskami zaproszonych gości nie zdążył Drewnowski z wiadomych przyczyn porozmieszczać przy nakryciach. Świecki uśmiechał się, usiłował czarować swoją gładką grzecznością, lecz w istocie rozsadzała go wściekłość. Widząc swego sekretarza, poruszającego się dokoła stołu ze sztywnością manekina, zaciskał z pasji pięści. "Wykończę tego błazna!" - zdecydował stanowczo. W stronę Pieniążka wolał nie patrzeć. Tylko od czasu do czasu dobiegał go bełkot dziennikarza.

Pieniążek znał prawie wszystkich zebranych i czuł się doskonale. Porzucony przez Świeckiego w momencie wejścia nowych gości, nie dał się skazać na samotność, chociaż Drewnowski też się gdzieś ulotnił. Z miejsca się więc uczeplił komendanta ostrowieckiego Bezpieczeństwa, majora Wrony. Był to chłopak zupełnie jeszcze młody, dwudziestoparoletni, niski i drobny, o chmurnej chłopięcej twarzy, zniekształconej nieco głęboką blizną na policzku. Swoje obecne stanowisko zawdzięczał Wrona niedawnej przeszłości partyzanckiej. Ponieważ lubił się zabawić i dobrze popić, Pieniążka obdarzał raczej sympatią. Był z nim od pewnego czasu na ty.

130

- Nieżle już, widzę, popiłeś, bracie! - poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

Pieniążek zachichotał:

- Pewnie, że popiłem. Ty też popijesz.

- Ech! - skrzywił się Wrona. - Nie lubię takich szop, to dobre dla zgniłych burżujów... Pieniążek zatarł dłonie:

- Polubisz jeszcze... zo-zobaczysz, że polubisz... Nie zdążył się niestety rozgadać, bo odciągnął go na bok

naślany przez Świeckiego Pawlicki, naczelny redaktor «Głosu Ost-rowieckiego». Był to mężczyzna nieprzeciętnie wysoki, barczysty, o silnym karku i wielkiej głowie tapira. Nikły Pieniążek sięgał mu do ramienia zaledwie. Tamten natarł na niego całym sobą:

- Wynoś się w tej chwili!

- Ja? - czknął Pieniążek. - Jeszcze czego. Ty się wynoś!

- Nie pójdziesz?

- A nie! Jest demokracja, czy nie ma demokracji?

- Nie pójdziesz?

Pieniążek stał z zadartą głową i beczelnie się uśmiechał:

- Bardzo mi się tu popodoba.

- To poczekaj...

- Gro-grozisz?

- Zobaczysz.

- Ty mi gro-grozisz? A kto kadził sanacji? Pawlicki poczerwieniał:

- Milcz, bydlaku!

- Nie kadzicieś?

Pawlicki zerknął niespokojnie w stronę stojącego nie opodal i rozmawiającego z Weychertem Wrony. Podchodzili właśnie do nich Szczuka i Podgórski. Świecki, zajęty rozmową z wojskowym dowódcą miasta, pułkownikiem Bagińskim, wolał się nie zbliżyć w tamtą stronę i z daleka obserwował skuteczność zabiegów Pawlickiego.

- Zamkniesz mordę? - warknął redaktor. Pieniążek cienko zachichotał:

- Nie kadzicieś?

- Ciszej!

- Powiedz, że nie ka-kadzicieś... Pawlicki nie wytrzymał:

- Aty?

131

- Ja? - wypiął się dumnie Pieniążek. - Pewnie, że kadziłem.

- No, to stul teraz pysk!

- Właśnie nie stulę. I co mi zrobisz? Zawsze ka-kadzę rządzącym. A ty sam kadzicieś.

Pawlicki aż zsiniał z furii. Wrona wyraźnie spoglądał w ich stronę.

- Sam kadzicieś - pisnął Pieniążek.

Pawlicki zacisnął pięści i przez chwilę się zdawało, że całym swoim ogromnym ciałem zwali się na Pieniążka. Opanował się jednak.

- Poczekaj! Jutro porozmawiamy. I odwrócił się plecami.

- Kadzicieś! - krzyknął za nim z tryumfem Pieniążek. Świecki dostrzegłszy, że Pawlicki skończył rozmawiać z Pieniążkiem, skorzystał z pierwszej okazji, aby porzucić pułkownika.

- I co? - szepnął ujmując Pawlickiego pod ramię. - Załatwił pan?

Pawlicki machnął ręką:

- Szkoda z nim gadać. W sztok pijany.

- Psiakrew!

- Moim zdaniem lepiej go w spokoju zostawić. Trudno.

- Tutaj? Wykluczone.

- A jak zacznie się awanturować?

- No! - mruknął Świecki. - Na to są sposoby. Ale może słusznie. Może rzeczywiście nie warto...

- Pewnie. Po co było zapraszać takiego typa?

- Ja go zapraszałem? Drogi panie!

- To skąd się tu wziął? Teraz Świecki machnął ręką:

- Wszystkie już jedno. - Rozejrzał się dokoła. - No, zdaje się, że już wszyscy są. Siadamy, co?

Teraz, gdy po owym krótkim zamęcie pozajmowano wreszcie przy stole miejsca, Świecki przez chwilę się zawahał, czy nie powinien pierwszym kieliszkiem wznieść toastu na cześć Szczuki. Szybko jednak doszedł do przekonania, że moment nie był odpowiedni. Wszyscy na razie zajęci byli pośpiesznym nabieraniem na talerze. Półmiski z zakąskami krążyły z rąk do rąk. Świecki sam był zresztą bardzo głodny, poza tym nie znalazł w głowie ani jednego frazesu, którym by zacząć mógł przemówienie, pierwsze - pamięć o tym złągodziła w nim nieco pasję - które wygłosić miał

132

w charakterze członka rządu. Wziął wobec tego kieliszek i pochyliwszy się przez stół w stronę Szczuki, powiedział poufnie:

- Wasze zdrowie, towarzyszu Szczuka!

- Dobra wódka nie jest zła - stwierdził jowialnie pułkownik Bagiński.

Świecki siedział pomiędzy dwoma wojskowymi: Wroną i Ba-gińskim. Naprzeciw siedział Szczuka, z jednej strony mając Wey-cherta, z drugiej - przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej, Kalickiego.

Drewnowski, ciągle sztywny i usiłujący tą sztywnością ciała opanować wrzaskliwy szum w głowie, zajął miejsce u końca stołu. Jedzenie z trudem przechodziło mu przez gardło. Nałożył sobie wprawdzie na talerz kilka kawałków mięsa, lecz pierwszy kęs uwiązł mu w krtani. Przełknął go wreszcie i usiłował przyłączyć się do rozmowy, która w tej części stołu, pomiędzy kilkoma przedstawicielami Związków Zawodowych, zaczęła być bardzo ożywiona. Niestety, poszczególne słowa docierały do niego przytłumione, jakby wata owinięte. Twarze najbliższych sąsiadów również wyłaniały się z jaskrawego światła w niewłaściwych zarysach i zmiennej perspektywie. Obok siedział Pieniążek. Cichutki był na razie, skromnie w sobie pozbierany. Z potulną miną, mętnymi oczkami wodząc ze zdumieniem dokoła, niezdarnie rozbab-rywał widelcem na talerzu karpia w galarecie. Poczucie ostatecznej klęski ogarnęło Drewnowskiego. Wszystko wydało mu się beznadziejne i nieodwołalnie stracone. Wszystkie plany i zamierzenia. Cała kariera. Przyszłość. Cóż za parszywy los!

Wtem dotarł do niego sztywny, jakby z kawałka drzewa wystrugany głos sąsiada:

- Cóż to, pełny kieliszek? Nie pijecie?

Sam się zdumiał, jak w jednej sekundzie mógł go ten obcy głos tak nagle otrzeźwić. Poczł się naraz swobodny, uszy mu się odetkały, bełkot w głowie ścichł. Roześmiał się swobodnym, własnym śmiechem:

- Czemu nie? Piłem już co prawda...

- Nie szkodzi.

Wychylił kieliszek jednym haustem i spojrzł w stronę Świeckiego. Ten zajęty był rozmową z nachmurzonym Wroną. Nastrój przy stole ożywił się powoli. Bezszelestni i nieomal bezcieleśni kelnerzy pilnowali, aby kieliszki nie były puste. Ci z szarego końca, których nie zdążyli w porę obsłużyć, sami sobie wódkę nalewali.

133

Szczuka ucieszył się sąsiedztwem Kalickiego. Byli starymi przyjaciółmi. Znali się od wielu lat, sprzed pierwszej wojny, która zaskoczyła ich obu w Genewie. Szczuka nie miał jeszcze wówczas dwudziestu lat, klepał studencką biedę i studiował chemię, Kalic-ki, o parę lat od niego starszy, przerastał go w tym okresie doświadczeniem, wiedzą i społecznym wyrobieniem. W przeciwieństwie do Szczuki, którego ojciec był małomiasteczkowym szewcem, Kalicki pochodził z zamożnej rodziny ziemiańskiej z Kijowszczyzny. Wy-rodził się. Jeszcze we wczesnych latach gimnazjalnych zetknął się w Warszawie z grupą młodzieży socjalistycznej. Zaplątał się dzięki temu w potępiane przez ówczesny ustrój historie i z tak zwanym wilczym biletem przegnany został sromotnie ze szkoły. Dzięki dobrym warunkom materialnym mógł bez większych trudności zamienić carską Warszawę na habsburski, liberalny Kraków. Jednak socjalizmu nie wybił sobie z zapalczą szlacheckiej głowy. Poświęcił dla niego obrażoną i do żywego dotkniętą rodzinę. Zrezygnował również z korzyści płynących obficie z ukraińskiego czarnoziemu. Odwrócił się do tego wszystkiego plecami. Usamodzielił się i niebawem, pełen niezamąconego poczucia swobody, przemierzać począł kiepskie krakowskie bruki w takich samych podartych butach, jakie nosiła większość jego nowych przyjaciół. Po maturze wyjechał na krótko do Anglii, siedział potem jakiś czas w Belgii, wreszcie przeniósł się do Szwajcarii, już całkowicie oswojony z chronicznym niedostatkiem. Spółdzielczość pochłonęła go bez reszty. To była idea, której zapragnął poświęcić życie. Przez pewien czas, już w latach wojennych, mieszkali ze Szczuka we wspólnym pokoju. Wpływ Kalickiego na rozwój Szczuki był w tym okresie duży. Później, gdy wrócili obaj do kraju i każdy z nich podjął samodzielną pracę, drogi ich poczęły się powoli rozchodzić. Szczuce nie wystarczał socjalizm. Poszedł dalej, wiążąc się z nielegalną podówczas partią komunistyczną. Ożenił się dość wcześnie i w Marii znalazł nie tylko żonę, lecz wierną, bliską towarzyszkę. Niestety w pracy zawodowej napotykał ciągle i nie do pokonania trudności. Był w swoim fachu doskonałym specjalistą, lecz przekonania polityczne, z którymi się nie krył, i wynikające z tego zatargi z przełożonymi zmuszały go do ustawicznego porzucania posad. Później, już w latach trzydziestych, kilkakrotne zatargi z władzami policyjnymi całkiem uniemożliwiły mu pracę zawodową. Mimo świetnych kwalifikacji wszędzie miał drogę zamkniętą, samo życie przesunęło go powoli poza normalną egzystencję w spo-

134

łeczeństwie. Wreszcie uwikłano go w przewlekły i głośny w swoim czasie proces, zakończony wyrokiem skazującym. Gdy po trzech latach wyszedł z więzienia, nowa wojna szybko się zbliżała. Kalicki natomiast, wierny swoim młodzieńczym ideom, przez cały okres międzywojenny związany był ściśle z PPS i odgrywał dużą rolę zarówno w partii, jak w organizowaniu ruchu spółdzielczego w Polsce. Pisał wiele, wykładał, był posłem.

Poza kilkoma zdawkowymi słowami przy przywitaniu Szczuka nie miał do tej pory okazji porozmawiać z Kalickim swobodnie. Ale w pewnym momencie Weychert przerwał dłuższy wywód o obecnej sytuacji europejskiej i zajął się wyszukiwaniem z półmiska najwłaściwszego kawałka węgorka. Szczuka skorzystał z tego i obrócił się w stronę Kalickiego.

Ten siedział milczący, zamyślony, mało jadł, nie pił wcale. Ostatni raz widział go Szczuka przed samą wojną, wkrótce po wyjściu z więzienia. Kalicki należał do nielicznych przyjaciół, nie-komunistów, którzy go wówczas odwiedzili. Od tego czasu bardzo się zestarzał. Posiwał, schudł i przygarbił się. Ze swoją wspaniałą sklepioną głową, z ascetyczną twarzą, której długie, staromodne wąsy nadawały wygląd tak niedzisiejszy, wydawał się tu, przy tym stole, wśród ogólnego gwaru i tych wszystkich życiem tryskających ludzi, dziwnie obcy, zagubiony, nieobecny myślami.

Szczuka położył rękę na jego chudej i wąskiej dłoni:

- Cieszę się, że cię widzę, mój stary - powiedział z rzadkim u niego akcentem serdeczności.

Kalicki podniósł głowę i spojrzł na Szczukę ciemnymi, głęboko spod krzaczastych brwi patrzącymi oczami. Straciły dawny blask. Zgaszone się wydawały i bardzo znużone.

- Ja też - powiedział cicho.

- Musimy się spotkać, koniecznie...

- Kiedy wyjeżdżasz?

- W środę rano.
- Kalicki lekko się uśmiechnął:
- Już po wojnie.
- Mam nadzieję - mruknął Szczuka. - Dziwnie to trochę brzmi, prawda? Po wojnie... Więc we wtorek wieczorem, powiedzmy. Jesteś tu z rodziną?
- Kalicki potrząsnął głową:
- Sam.
- A twoja żona?

135

- Marynka? W powstaniu zginęła.
- Co ty mówisz?!
- Nie znalazłszy w sobie żadnych innych, właściwych słów, machinalnie począł kruszyć w palcach kawałek chleba.
- Towarzyszu Szczuka! - zawołał w jego stronę Świecki. -Pełny kieliszek przed wami stoi!
- Szczuka skinął głową i wypił wódkę. Dalej kruszył chleb.
- Moja Maria też nie żyje - powiedział po chwili. Kalicki spojrzał na niego swymi znużonymi oczami.
- W Ravensbruck - wyjaśnił Szczuka. Przez moment się zawahał. - A twoi synowie?
- Też zginęli.
- Szczukę ścisnęło coś w gardle.
- Obaj?
- Tak. Dawno już. Jeszcze w czterdziestym trzecim. Więc we wtorek?
- Tak, we wtorek - powtórzył wolno Szczuka. Rozmowa utknęła. Po drugiej stronie stołu Wrona mówił podniesionym głosem:
- Ja wiem jedno. Kiedy byliśmy w lesie, to i ja, i moi chłopcy inaczej sobie to wszystko wyobrażaliśmy. Zbyt szybko niektórzy nasi towarzysze stają się oswojeni i wygodni. Pójdzie tak dalej i jak nic przegramy rewolucję.. Tu trzeba wszystko o, tak potrząsnąć! - pokazał zaciśniętymi pięściami. - Nie zamazywać walki klasowej, ale, przeciwnie, zaostrzać ją, bić wroga po głowie, bo jak my w porę nie uderzymy, to on nam wbije nóż w plecy.
- Świecki kiwał głową z wyrozumiałym uśmiechem:
- Wszystko to słuszne, towarzyszu majorze, zapominacie tylko o jednym.
- Że co?
- Że polityka nie jest sprawą tak prostą. Na naszym obecnym etapie musimy przede wszystkim złagodzić różne zdarzenia. Wrona spojrzał spode łba.
- Czyje? Kułackie? Obszarnicze?
- Mówię w ogólnym, szerokim sensie - odparł wymijająco Świecki. - Musimy przyciągać do siebie, zjednywać.
- Ale kogo?
- Jak to, kogo? - zdziwił się Świecki. - Naród. Smągła twarz Wrony lekko pociemniała.

136

- Naród! A czy wy, towarzyszu Świecki, rzeczywiście znacie prawdziwy naród polski, wiecie, jaki on jest i czego chce?
- Wydaje mi się... - zaczął Świecki. Lecz tamten nie dał mu skończyć.
- Kogo wy chcecie zjednywać? Czy tych, którzy myślą tylko o tym, żeby z powrotem zepchnąć robotnika i chłopca w nędzę i upodlenie? A może tych, co strzelają zza węgła do naszych najlepszych towarzyszy? To ma być naród polski?
- Majorze, majorze... - rozłożył dłonie Świecki - pojmuję dobrze wasze wzburzenie, sam przecież także boleję nad wieloma zdarzeniami...
- Ale na sztandarze rewolucji chętnie byście napisali: "Kochajmy się, bracia Polacy!"
- Kraj jest zniszczony, ludzie pomęczeni, trzeba realnie myśleć.
- I w imię tego realnego myślenia chcielibyście uśpić ludzi lakierowaną zgodą? Nie! - uderzył pięścią w stół - tak nie pójdzie, to nie jest bolszewicka droga. Prawda, że kraj jest zniszczony i ludzie pomęczeni, ale tak mi się zdaje, że wy, towarzyszu Świecki, nawet się nie domyślacie, jaki ogrom potężnych sił pulsuje w tym zmęczonym narodzie. Te właśnie siły, nasze komunistyczne siły będą rosnąć, w innych się rozbudzą... Ech! - głos mu naraz drgnął chłopięcym żalem - serce boli, że wielu towarzyszy już tego nie zobaczy...
- Świecki natychmiast skorzystał z okazji, aby drażliwą rozmowę skierować na inne tory.
- Jak śledztwo w sprawie tych dwóch zabitych? - spytał. Wrona spojrzał na niego po swojemu.
- Nie bójcie się - mruknął - na wszystko przyjdzie pora. A jeśli nawet nie schwycimy tych bandytów, którzy zamordowali, to wcześniej czy później dostaniemy w swoje ręce tych wszystkich, którzy i za tą zbrodnią, i za innymi stoją.

Świecki zamyślił się.

- A nie sądzicie, towarzyszu Wrona, że to mógł być jakiś szaleńczy wybryk pojedynczego człowieka? Wrona przez chwilę milczał.

- Przecież i taką możliwość trzeba brać pod uwagę - ciągnął dalej Świecki.

Tamten zabębnił palcami po stole.

- Można wam zadać jedno pytanie?

- Proszę bardzo - powiedział skwapliwie Świecki. - Słucham.

137

- Wierzycie w cuda? Wiceminister lekko się stropił.

-Ja?

-Wy.

- Nie rozumiem. Dlaczego mam wierzyć w cuda? Wrona wzruszył ramionami.

- Tego to już nie wiem, wasza rzecz. Po prostu na wasze pytanie odpowiadam pytaniem.

Tymczasem Szczuka ponownie zwrócił się ku Kalickiemu:

- Jak z twoimi planami na przyszłość? Zostajesz w Ostrowcu?

- Nie wiem jeszcze - odparł Kalicki. - Ciągną mnie do Warszawy.

- Słusznie chyba?

- Myślisz. I cóż tam po mnie? Cóż ja tam będę robić? Szczuka podniósł znad talerza ciężkie powieki.

- Nie rozumiem cię. Jak to, co będziesz robić? Mało jest roboty?

Kalicki machnął ręką:

- Mój drogi, co tu będziemy owijać w bawełnę? Ludzie mojego pokroju nie są teraz ani potrzebni, ani dobrze widziani.

- Twojego pokroju? Nie poznaję cię, Janie. Ty, stary socjalista, mówisz w ten sposób?

- Cóż, mówię niestety prawdę.

- Czyją prawdę?

- Czyją? Moją. Powiadasz, że jestem starym socjalistą. Widać jestem socjalistą starej daty. Mam za cienką skórę, za dużo skrupułów i wątpliwości. Mam swoje zdanie. I zbyt lubię mówić prawdę w oczy, a tego się teraz nie lubi.

Szczuka pochylił się nad stołem.

- Zresztą ty sam wiesz, że jest tak, jak mówię - ciągnął dalej Kalicki. - Po co się mamy okłamywać? Szczuka poruszył się gwałtownie.

- Nieprawda - powiedział twardo. - Wcale nie jest tak, jak mówisz. Czy doprawdy nie zdajesz sobie sprawy, że to, co się teraz dzieje w Polsce, to jest właśnie to, na co czekaliśmy przez całe życie?

Kalicki gorzko się uśmiechnął.

- Co teraz mówić o całym życiu? Zostawmy to. Co było, to było. A teraz? - nachylił się ku Szczuce i zniżył głos. - Teraz, ot tacy właśnie Świeccy są wam potrzebni.

138

-Warn?

Kalicki milczał. Szczuka przyjrzał mu się uważnie.

- Ech, stary, stary! Zatrzymałeś się gdzieś po drodze... Błądą twarz tamtego zabarwił lekki rumieniec.

- Ja? A może to wy idziecie nie tą drogą, którą należy?

- Nie, Janie - odparł Szczuka. - Partia idzie słuszną drogą. Możemy na niej popełniać te czy inne pomyłki, możemy robić błędy, ale kierunek naszej drogi jest słuszny. Mówisz o Świeckich. I cóż z tego, że są? Owszem są. Jutro odpadną.

Kalicki znów dłuższą chwilę milczał.

- Wiem - powiedział wreszcie. - Toteż ja się nie o Świeckich boję.

- Tylko?

Kalicki podniósł na starego przyjaciela zmęczone spojrzenie. Przez moment ciemne oczy błysnęły mu dawnym blaskiem.

- Was się boję - powiedział. - Boję się, dokąd wy Polskę zaprowadzicie.

W tym samym momencie Weychert nachylił się ku Szczuce.

- Obawiam się, że czeka nas przemówienie - szepnął z poufałą ironią.

Rzeczywiście Świecki uznał, że nadszedł właściwy dla wzniesienia toastu moment, skupił się bowiem w sobie, twarz przyoblekł w powagę i ująwszy prawą ręką nóż, zastukał nim lekko w kieliszek. Uczynił to jednak zbyt cicho, ponieważ tylko najbliższy siedzący dosłyszeli i przerwali rozmowy. Świecki chciał raz jeszcze zastukać, gdy naraz od końca stołu dobiegło bardzo głośne dzwonienie. To Pieniążek, mrugając mętnymi oczkami, walił z całej siły widelcem w swój kieliszek. Gwar przy stole natychmiast ścisł i wszyscy z zainteresowaniem poczęli szukać sprawcy tego niezwykłego hałasu. Świecki poczerwieniał i zbladł.

- Tss! - zaskrzybiał Pieniążek. - Pan minister chce przemawiać.

Widząc zmieszanie Świeckiego Drewnowski omal nie wybuchnął śmiechem. Zasłonił usta dłonią.

- Jeszcze raz! - podjudzał Pieniążka.

Ale Świecki opanował sytuację. Podniósł się i uwaga zebranych ku niemu się zwróciła. Jednak głos drżał mu lekko, gdy wypowiadał pierwsze słowa:

139

- Szanowni towarzysze! Dzień dzisiejszy jest wielkim zwycięstwem odrodzonej Polski. Ofiary, które złożyliśmy w walce z faszyzmem, nie poszły na marne. Faszyzm skapitulował...

- Trzymasz? - szepnął Jurek Szretter. Felek Szymański ciężko oddychał.

- Trzymam.

- To już. Raz, dwa...

Z całej siły rozkołysane ciało równocześnie wyrzucili przed siebie, w ciemność. Plusnęła woda. I natychmiast stała się najgłębsza cisza. Wśród drzew szeleściły krople deszczu. Błyskało daleko za miastem.

Felek obtarł dłonią spocone czoło.

- Uff! Ale ciężki był cholera.

- Ciszej! - syknął Szretter.

Alek stał z boku. Ręce mu drżały. Krew coraz szybciej odpływała z głowy. Serce pulsowało w krtani. Już od dłuższego czasu, jeszcze gdy się przedzierał przez zarośla, dźwigając pomału we trzech jak kłoda ciężące ciało Janusza, zbierać mu się poczęło na mdłości. Otworzył teraz usta i łapczywie wdychał świeże, wilgotne powietrze. Ale nie przyniosło mu to ulgi. Zimny pot wystąpił na czoło. Wnętrznosci podchodziły do gardła.

Odruchowo wyciągnął przed siebie rękę. Natrafił na krzak, na twarzy i na dłoniach poczuł mokre, kleiste liście. Zgiął się i zaczął wymiotować.

Felek poruszył się w ciemnościach.

- Co ten znowu? Zwariował? Szretter zatrzymał go:

- Daj spokój. Niech się wyrzyga.

Stali nad brzegiem stawu, wśród gęstej i mokrej trawy, dotykając się ramionami nieomal, jednak wcale prawie nawzajem się nie widząc. Mroczna i bezgłośna powierzchnia stawu też zaledwie była widoczna. Mrok tutaj zalegał nieprzenikniony. Dokoła, pełen tajemniczych szelestów, splotwał wśród ciemności gąszcz wysokich wierzb płaczących.

- Jurek! - szepnął Felek.

-Co?

- Wiejmy.

- Chwilę.

140

Podszedł do Alka. Ten, zgięty w pół, kurczowo obejmując ramionami wilgotny krzak, ciągle jeszcze się krztusił i dławił. Na koniec ucichł.

- Lepiej ci? - spytał Szretter.

Alek słabo potrząsnął głową. Mdłości przeszły mu wprawdzie, lecz czuł się bezsilny i rozbity, zobojętniały na wszystko.

- No? - dobiegł z ciemności niecierpliwym szeptem Felka. Szretter skinął na niego. Tamten się przysunął.

-I co?

-Smaruj!

Felek się zawahał:

- A wy?

- Nie bój się, dam sobie radę. I tak nie możemy wracać razem. Do jutra.

Felek nie odchodził.

- No? - zniecierpliwiał się Szretter. - Na co czekasz? Smaruj, powiedziałem.

Felek, jeszcze się ociągając, wyciągnął rękę:

- Do jutra. Przyjdź do ciebie?

- Przyjdź. I uważaj.

- Sam wiem - odburknął tamten. Przechodząc obok, poklepał Alka po ramieniu:

- Trzymaj się, stary.

Jak cień wśliznął się pomiędzy krzaki. Zaszleściły liście, gałązka trzasnęła przy ziemi cienko. I znów była cisza.

Alek nie ruszał się, Szretter objął go przez plecy. Poczuli, że tamten dygoce.

- Jak? Chcesz jeszcze rzygać? Alek niewyraźnie coś mruknął.

- Nie chcesz?

-Nie.

Wyprostował się odsuwając tym ruchem ramię Jurka. Przez chwilę stał ze zwieszoną głową, wreszcie odetchnął głęboko, całkiem po dziecinnemu, w taki sposób, w jaki po męczącym płaczu zwykły chwytać oddech dzieci. Potem chustką począł wycierać usta.

Szretter przyglądał mu się w milczeniu. Sylwetka Alka rysowała się obok nikła, zagubiona w ciemnościach. Wolno i długo obcierał usta. Na koniec schował chustkę. Znowu odetchnął, tym razem zwyczajnie już, bez zachłyśnięcia się.

- No? - spytał Szretter.

141

- W porządku.

- To wal do domu. Alek skinał głową.

- Przyjdziemy jutro do ciebie z Felkiem. Dojdiesz?

- Pewnie.

- To serwus!

- Serwus!

Szretter poklepał go po ramieniu:

- Napij się po drodze wody sodowej, to ci dobrze zrobi. Po chwili został sam. Łagodny spokój trwał dokoła. Pachniała ziemia. Pachniały drzewa. Wiosna pachniała. Leciutka mgiełka bielita się ponad stawem. Wysoko wśród drzew zatrzepotał przebudzony ptak. Zakuwikał sennie i natychmiast ścichł.

Mimo tłoku na sali i przyćmionych świateł czujne oko Słomki z daleka wychwyciło wysoką sylwetkę Puciatyckiego, zaledwie ten ze swoim towarzyszem wszedł do restauracji. Grubas sapnął i przychwycił pierwszego kelnera, który mu się pod rękę nawinał.

-Stolik dla hrabiego Puciatyckiego! Najlepszy, jaki jest. Trafił jednak na młodego chłopca, który od paru zaledwie dni pracując w "Monopolu" nie dość sprawnie umiał sobie poradzić z sobotnim ruchem, nie orientując się poza tym w ważności tutejszych gości.

- Wszystko zajęte, panie szefie.

W sprawach zasadniczych Słomka nie znosił sprzeciwu.

- Jak mówię, że ma być stolik, to stolik musi być, zrozumiano? Natychmiast.

I pozostawiając kelnera jego własnej przedsiębiorczości przepychać się począł pomiędzy ciasno stłoczonymi stolikami. Dotarł do Puciatyckiego, gdy ten bezskutecznie się właśnie rozglądał za wolnym miejscem.

- O, nasz kochany pan Słomka! - ucieszył się restauratorem, którego znał z przedwojennych jeszcze czasów ze Lwowa. - W panu nasza nadzieja. Znajdzie pan coś dla nas?

- Już służę. Dla pana hrabiego nie byłoby stolika? Moje uszanowanie panu hrabiemu - ukłonił się dostrzegłszy stojącego przy paniach Teleżyńskiego. - Stoliczek jest przygotowany. Proszę łaskawie za mną.

- To świetnie! - przeciągnął Puciatycki.

142

I pozostawiając opiekę nad kobietami Teleżyńskiemu wdał się po drodze w rozmowę ze Słomką. Przepadał za rozmowami z ludźmi miernie notowanymi w hierarchii towarzyskiej.

- Ruch, widzę, u pana, drogi panie...

Słomka ledwie dostrzegalnymi ruchami okrągłego brzucha sprawnie torował drogę dokoła parkietu. Przy nastrojowo przy-gaszonych światłach, w żółtoniebieskawej poświacie tłum tańczących par leniwie się kołysał w rytm melodii tanga.

- Wojna się kończy, panie hrabio. Ludzie chcą się bawić.

- Słusznie. Coś w rodzaju intermezza.

- Co proszę?

- Coś w rodzaju intermezza, mówię. Przerwy. Antraktu.

- A tak, oczywiście.

I teraz się dopiero zorientował, co chciał przez to Puciatycki powiedzieć. Łypnął w jego stronę okrągłym okiem:

- Przypuszcza pan, panie hrabio?

- Ba! - Dobrotliwie poklepał Słomkę po plecach. - Niech się pan nie martwi, drogi panie. Wszystko będzie dobrze. Nie takie rzeczy widzieliśmy i jednak przetrzymaliśmy.

- Słusznie, panie hrabio. Zawsze mówię to samo. Grunt... przetrzymać.

Orkiestra umilkła w tym momencie i zapaliły się światła.

- Mało, mało! - rozległy się głosy z parkietu. Prowadzący orkiestrę skrzypek dał znak. Światła znów przygasły. Zabrzmiało to samo tango.

- Gdzież ten stolik? - rozejrzał się Puciatycki. Słomka szybkim spojrzeniem ogarnąwszy sytuację, lekko się zaniepokoił.

- Już, panie hrabio.

Młody kelner, któremu polecił wynalezienie wolnego miejsca, naradzał się właśnie z jednym ze swoich starszych kolegów. Słomka dopadł do nich:

- Gdzie stolik dla hrabiego?

Tamten drugi, wieloletni praktyk, uznał za właściwe w swoje ręce ująć inicjatywę:

- Chwileczkę, panie szefie, już się robi. Zwalnia się właśnie na czwórce, dałem już rachunek.

Słomka piorunującym spojrzeniem zmierzył młodego i natychmiast obrócił uśmiechniętą twarz w stronę Puciatyckiego:

- Chwilkę cierpliwości, panie hrabio.

143

Puciatycki skrzywił się:

- Co, nic nie ma? Ładna historia! - Odwrócił się do Słomki ostentacyjnie plecami i zirytowany podszedł do nadchodzących z Fredem Teleżyńskim pań. - Wyobraźcie sobie, wszystko pozajmo-wane.

Słomka, pośpiesznie przebijając paluszkami, dreptał u jego boku.

- Chwileczkę, panie hrabio, dosłownie chwileczkę. Już się zwalnia stolik.

- Co mi pan zawraca głowę?! - rozżościł się Puciatycki. -Zwalnia się! Gdzie się zwalnia! Mamy tu godzinę stać i czekać? Wybacz, moja droga - uprzedził łagodzący gest żony - ale nie mogę pozwolić na podobne traktowanie. To na kpiny przecież zakrawa. Zabieramy się stąd. Noga moja więcej nie postanie w tym lokalu. Staniewiczowa wcale nie miała ochoty rezygnować z zabawy. I tak z powodu ulewy stracili całą godzinę.

- Boże, cóż za straszny despota z pana! Czy my kobiety już się wcale nie liczymy?

- Chodźcie najlepiej do baru - poradził Teleżyński. - Na pewno znajdziemy tam wolny stolik. Wiesz, Adam, kto tam teraz podaje?

-No?

- Krysia Rozbicka.

- Rozbicka. Popatrz! Z których Rozbickich, z Krzynowłogi?

- Nie, to jej stryj jest z Krzynowłogi. Ci są z Poznańskiego. Wiesz, córka Ksawerego Rozbickiego.

- Co ty mówisz? - zdumiał się Puciatycki. - Gdzież się ludzie nie spotykają! Słyszysz, Rózo? Fred powiada, że w tutejszym barze pracuje mała Rozbicka, córka Ksawerego. Trzeba pani wiedzieć -począł wyjaśniać Staniewiczowej - że kiedyś, kiedyś, w zamierzchłych czasach Ksawery Rozbicki strasznie się kochał w mojej żonie...

Słomka, który w czasie całej tej rozmowy nie wiedział, co ze sobą zrobić, dojrzał naraz, że od jednego ze stolików w głębi sali poczęli wstawać goście. Westchnął w sobie z ulgą i obtarł dłonią spocone czoło:

- Już jest stolik, panie hrabio.

- A dajże mi pan spokój! - fuknął Puciatycki. - Nie potrzebujemy żadnego stolika. Obejdzie się. Do baru sobie pójdziemy.

144

Słomka chciał jeszcze coś mówić, tłumaczyć, lecz stanowczy gest Puciatyckiego zamknął mu usta.

Odprowadzając wzrokiem odchodzących, żuł przez parę chwil swoją klęskę. Wtem poderwał się. Przemknął wzdłuż sali, zawrócił i znów się potoczył pomiędzy stolikami. Ale młodego kelnera, który swoim niedołęstwem zabałaganiał całą sprawę, nigdzie nie było. Dopadł go wreszcie w wąskim korytarzu prowadzącym do kuchni. Chłopak niósł kilka dań i chciał szefa wyminać, Słomka wypiętym brzuchem zagroził mu drogę:

- A, dobrze, że cię widzę. Od jutra możesz sobie szukać innej pracy. Podawanie w "Monopolu" to nie jest praktyka dla dyletantów, rozumiano?

Kelner spojrział na niego z ukosa:

- Wolnego! Co za ty? Świn z panem nie pasalem. Sobie możesz pan od jutra wymówić.

Słomkę zatkało z oburzenia. Poczzerwieniał i paluszki mu przy piersiach znieruchomiały:

- Co? Coś powiedział? A to bezczelność!

- Te, te! - przeciągnął z warszawska chłopak. - Uważaj pan, żeby Związek nie miał tu coś do powiedzenia. Rozumiano? I odwał się pan, pókim dobry, goście czekają.

Słomka całkiem zapomniał języka w gębie. Stał z otwartymi ustami, wybałuszywszy oczy i tylko krew coraz gwałtowniejszą falą nabiegała mu do twarzy. Tamten, niewiele myśląc, łokciem odsunął go na bok niecierpliwie i zniknął we drzwiach prowadzących na salę.

"Szlag mnie trafi" - pomyślał Słomka czując w skroniach coraz silniejszy, o ciężarze żelaza ucisk tętniącej krwi. I naraz strasznie mu się żal zrobiło życia. Któż by go odprowadzał na cmentarz? Nikt. Pies z kulawą nogą by nie poszedł. Samotną trumnę powieźliby karawanem i do dołu jak niepotrzebny ochłap zakopali. Drobne łezki napłynęły Słomce pod powieki. "Muszę się jutro z rana wybrać na ryby - pomyślał rzewnie. - To mi dobrze zrobi. A tego łobuza i tak przepędzę".

Umocniony nieco w sobie, na nowo niejako życiu przywrócony, potoczył się korytarzem do kuchni. Podniosło go na duchu, że samym swoim pojawieniem uciszył zgłębliwy harmider. Pomy-waczki przestały jazgotać.

Dwaj hotelowi pikolacy, niepotrzebnie tu objający boki, spiesznie się gdzieś ulotnili, a gromada kelnerów przynaglających podenerwowanego kucharza do szybszego wyda-

145

wania zamówionych potraw też się uciszyła. "Zimny barszcz, cztery razy! Dwa sznycle po wiedeńsku! Dewolaj, raz!" - rozległy się spokojne już całkiem głosy. Tchnienie porządku i dyscypliny przeszło przez kuchnię.

Odetchnąwszy przez moment tym ładem Słomka, całkiem już w sobie zaokrąglony, wtoczył się do drugiego korytarza. Krótki był, lecz szeroki, łączył kuchnię z salą bankietową.

Stara Jurgeliewiczowa, tak zwana Jurgeluszką, wdowa po zmarłym przed wielu laty portierze "Monopolu", siedziała sztywno wyprostowana na niskim stołeczku przy drzwiach toalety i robiła na drutach sweter dla swego wnuka.

Słomka zatrzymał się i zasapał:

- Jakże tam, pani Jurgeluszką?

Jurgeluszką podniosła drobną, króliczą twarz o wyblakłych, starczych oczach:

- Mowy idą.

- Tak?

Począł nasłuchiwać. Spoza zamkniętych drzwi dobiegał donośny i potoczny głos Świeckiego.

- O, sam minister przemawia.

Jurgeluszką obojętnie przyjęła tę wiadomość i zajęła się swetrem. Bardzo kochała swego wnuka Felka, którego sama wychowywała, gdy jej zięć Szymański poległ był we wrześniu, a córka umarła w parę miesięcy później na skutek zakażenia po skrobance.

Słomka boczkiem spojrzał na białe drzwi toalety. Lśniły najdoskonalszą czystością. Jurgeluszką była nieocenioną w swym fachu pracownicą.

- Rzygał już kto? - bąknął

- Skądże? - odpowiedziała spokojnie Jurgeluszką nie przerywając roboty. - Za wcześnie. Słomka podrapał się w nos.

- Hm...

- Wszystko, proszę pana, ma swoją kolejkę. Teraz są mowy. A później będą tu jeszcze biegać, będą...

- Nieźle sobie pani dzisiaj zarobi?

- Tak właśnie myślę. Ale to nigdy, proszę pana, nie wiadomo. Przed wojną różne tu bywały bankiety. Raz minister nawet jeden był.

- O! - zainteresował się Słomka. - Który? Jak się nazywał?

146

- A już nawet nie pamiętam. Owszem, postawny taki pan. To, mówię panu, coś mu zaszkodzić musiało albo w ogóle słabej był konduity, bo ciągle tu przybiegał. Cały, proszę pana, z przeproszeniem, sedes zanieczyścił. I co pan na to powie... grosza nie dał!

- O łobuz! Minister!

- Ale też strasznie był umordowany. Aż się bałam, żeby nie skonał.

- To by była heca!

- A dajżeż pan spokój! Odstuknąć trzeba. Nie dał, to nie dał. Drugi da. Nigdy, proszę pana, nie wiadomo, jak Pan Bóg pokieruje ludźmi. Jednych ściska, a drugim popuszcza.

Słomka na palcach podszedł do drzwi.

- Mówi jeszcze? - spytała Jurgeluszką z grzeczności raczej towarzyskiej niż z ciekawości.

Zamachał tylko ręką. Głos Świeckiego bardzo wyraźnie było słycać.

- Naszych wspaniałych zwycięstw - mówił - dzisiaj przez historię potwierdzonych żadna siła nie zdoła ani przekreślić, ani osłabić. Przyszłość do nas należy i my ją będziemy kształtować. Szanowni towarzysze! - natężył nieco głos. - Jestem szczęśliwy, że właśnie w dniu dzisiejszym w imieniu własnym i was tutaj zebranych, w imieniu miasta Ostrowca, mogę na ręce naszego gościa, towarzysza Szczuki, wzniesić toast na

chwagę naszej wielkiej, demokratycznej ojczyzny. Niech żyje!

Rumor odsuwanych krzesel zmieszał się z brzękiem kieliszków i okrzykami: niech żyje!

- Kto niech żyje? - zaniepokoił się Słomka.

- Pewnie solenizant - zauważyła spokojnie Jurgeluszką robiąc na drutach.

- Jaki solenizant? Nie ma żadnego solenizanta.

- To jubilat.

- Jubilata też nie ma, co pani wygaduje! O Polskę pewnie chodzi...

Jednak te wątpliwości nie przeszkodziły mu odskoczyć w porę od drzwi, które nagle się otworzyły wyrzucając jednego z wyfraczonych kelnerów.

- Psst! - skinął na niego Słomka.

Kelner się zatrzymał. Był to wysoki chłopak, świadomy swej urody i manier filmowego amanta. Przed wojną pracował kilka lat w warszawskim "Bristolu" i Słomka wysoko go za to cenił.

147

- Jak tam, panie Józiu? - spytał przyjaźnie, poruszając po swemu paluszkami.

Piękny kelner uśmiechnął się z pobłażliwą wyższością:

- Idzie.

- Piją?

- Starczy.

Słomka zatarł dłonie:

- To świetnie! O winach francuskich pamiętajcie. A do kawy likiery. Pani Jurgeluszka, przepowiadam pani dobry wieczór.

W kuchni natknął się na wiadomego łobuza. Otarli się o siebie w przejściu i na moment zetknęli spojrzeniami. Kelner bezczelnie zagwizdał i odwrócił się do szefa plecami zupełnie w ten sam sposób, w jaki przedtem uczynił to był obrażony Puciatycki.

- Panie starszy! - krzyknął w stronę kucharza. - Filety cielęce dwa razy! Krem z owocami raz!

Słomkę ścisnęło w dołku. Poczut, że w jakiś zasadniczy sposób musi wynagrodzić sobie upokarzającą porażkę. Zaprojektowany na jutro połów ryb to nie było to, czego potrzebował. Spod opuszczonych powiek zerknął w stronę pomywaczek. Pierwsza z nich była zdrową i krzepką, z szerokim zadem dziewczyną. Wycofał się z kuchni i w korytarzu przychwycił za ucho małego garsona.

- Jak ci na imię?

- Tadek, panie dyrektorze.

- Świetnie! Posłuchaj więc, Tadek...

- Słucham, panie dyrektorze.

- Skocz do kuchni i przyslij mi tu Stefkę. Wiesz, która to?

- Wiem, panie dyrektorze.

- Tylko szybko, na jednej nodze.

Zjawiła się po chwili rozgrzana, bardzo na twarzy czerwona, z mokrymi jeszcze rękoma, pachnąca potem i pomyjami. Słomka zadreptał koło niej.

- Stefka!

- Czego? - burknęła niechętnie.

- Przyjdź do mnie za dziesięć minut. Na górę.

- Ale! Jeszcze czego? Dostyc tego dobrego. Już w całym hotelu wycierają sobie mną gęby.

- Głupia jesteś. Zazdroścżą ci.

- Właśnie! Jest czego?

- Pończochy ci dam.

148

Spojrzała niedowierzająco.

- Da pan?

- Prawdziwe francuskie. Przychodź za dziesięć minut.

- Jedwabne?

- A jakie? Zastanowiła się chwilę.

- Niech będzie - odpowiedziała wolno. - Ale jak się mój narzeczony dowie...

Chłopiec Stefki przed kilku zaledwie tygodniami wrócił z robót w Niemczech i pracował w cementowni w Białej.

- Głupia jesteś - mruknął. - Po co się ma dowiedzieć?

Odprowadził zadowolonym spojrzeniem rozłożysty zad odchodzącej dziewczyny, cmoknął tłustymi wargami i dalej się potoczył. Jeden korytarz, drugi, toalety dla pań i dla panów, znów korytarz, istny labirynt restauracyjnych kulisów. Zanim wszedł od tyłu do baru, zajrzał do tak zwanego pokoju artystów.

Była to mała klitka służąca produkującym się w wieczornym programie solistom za garderobę. Dzisiejszy program był nowy zupełnie i zapowiadał się jako wielka sensacja. Występować miała Hanka Lewicka oraz para znanych tancerzy, Seiffert i Kochańska.

Gdy na pukanie nikt nie odpowiedział. Słomka uchylił drzwi z napisem "Garderoba" i zajrzał do środka. Pokój był oświetlony, lecz pusty. Niewiele w nim było mebli: prosty stół z dużym, o ścianę opartym lustrem, wytłamszona zielona kanapa, krzesel kilka, w kącie czerwony parawan. Na jednym z krzesel leżała otwarta walizka, pełna nieporządnie porozrzucanych kolorowych łachów. Aksamitne, niebieskie spodnie zwisły wąskimi nogawkami do samej ziemi, przez wieko walizki przerzucona była żółta suknia z falbankami, na podłodze walał się czerwony hiszpański kapelusz. Pokoik nie miał okien, duszno w nim było i parno jak w oranżerii.

Słomka chciał się już cofnąć, gdy spoza parawanu dobiegł męski głos:

- To ty. Loda?

Słomka sapnął, nim jednak zdążył odpowiedzieć, zza czerwonego parawanu wyszedł nagi zupełnie Seiffert. Wzrostu był średniego, lecz pomimo zwięzłej i mocnej, jeszcze młodzieńczej budowy, ciała miał cokolwiek za wiele jak na tancerza. Swoją nagością wcale się nie wydawał skrępowany.

- A, to pan, dyrektorze! Dobry wieczór. Nie widział pan gdzie Lody?

149

Słomka domyślił się, że chodzi o partnerkę Seifferta, Ko-chańską.

- Nie widziałem. Jeszcze nie przyszła?

Tancerz nic nie odpowiedział. Podeszedł do walizki i zaczął grzebać w kostiumach. Po chwili część ich znalazła się na podłodze.

- Psiakrew! - zaklął, dalej się ryjąc w kolorowych fata-lachach.

Słomka lekko się zaniepokoił.

- Jak pan myśli, pani Kochańska nie spóźni się chyba? Zaczynamy program punktualnie o dziesiątej. Sala jest nabita. A pani Lewickiej też jeszcze nie ma...

Seiffert wzruszył ramionami:

- A mnie co to obchodzi? Ciekawe, po co pan tę Lewicką sprowadza? Głos kota, twarz landrynki i krzywe nogi na dodatek. Widział pan moje fotosy? - wyjął spod cielistych trykotów plik fotografii i wetknął je Słomce do rąk. - Niech pan obejrzy. O, to na przykład z Nocy Wdipurgii, a to z Szeherezady, dobre, co? Zostawił Słomkę z fotografiami i znów począł przewracać zawartość walizki.

- Masz pan! Gdzieś się podziała moja żółta jedwabna chustka! Musiała ją, idiotka, zapomnieć. Cholera z tym wszystkim! I w czym teraz będę tańczył bolero! Najlepszy numer.

Wtem uspokoił się i z samego spodu walizy wyciągnął poszukiwaną chustkę.

- Jest! Niech pan popatrzy, przy czarnym kostiumie świetnie robi taka jaskrawa plama - zarzucił fular na nagie, zbyt białe i okrągłe ramiona, i przyjrzał się w lustrze. - Dekoracyjnie, co? Zobacz pan, furorę zrobię. Nucąc pod nosem, wykonał przed lustrem kilka tanecznych ruchów i z powrotem zwrócił się do Słomki. Z bliska wyraźnie było widać, że pod oczami ma pełno drobniutkich zmarszczek, czoło pocięte bruzdami i policzki z lekka obwisłe.

- Teraz takiego jedwabiu za ciężkie nawet pieniądze nigdzie pan nie dostanie. Widzi pan? Przedwojenny francuski, jaki w dotyku...

Słomka odłożył fotografie i ostrożnie dotknął materiału.

- Faktycznie.

- Wszystko, co tu pan widzi, to przedwojenne. Z tym tylko bieda, mówię to panu oczywiście w zaufaniu, że na nią kostiumy

150

zaczynają nie pasować. Na Kochańska. Poszerzać trzeba, dopasowywać. W pasie, widzi pan, dyrektorze, jak cholera grubieje. Skończy się niedługo, zobaczy pan.

Skrzypnęły drzwi. Obaj mężczyźni szybko się obejrzel. Na progu garderoby stała Loda Kochańska. Była drobna, jasnowłosa. Pod futrem miała ciemną i długą, srebrzystym dżetem wyszywaną wieczorową suknię. Jej ładna, chociaż podobna trochę do woskowej lalki twarz zniekształcona teraz była furią. Spod grubej warstwy rózu i szminki przezierały przywidłe rysy starzejącej się i zniszczonej kobiety.

- Jesteś? - mruknął obojętnie Seiffert i najspokojniej począł oglądać swoje fotografie.

Kochańska z trzaskiem zamknęła drzwi.

- Myślisz, że nie słyszałam? Ty, świniol! Kto się skończy, ja się skończę? Ty lepiej uważaj na swój brzuch.

Spojrzał na nią z nie ukrywaną pogardą:

- Nie wrzeszcz. Historyczka.

- A ty co? Z litości tylko z tobą tańczę.

- Ach tak? To przestań, proszę cię bardzo.

- Żebyś wiedział! Inna na moim miejscu by nie splunęła na ciebie, stary dziadu!

- Ty za to młoda! Próchno, psiakrew, wymalowane. Kochańska chwyciła Słomkę pod ramię i zaniósła się wysokim, histerycznym śmiechem:

- Popatrz, popatrz, dyrektorku, jak on wygląda! To ma być tancerz. Flak! Nie, nie mogę, skonam ze śmiechu...

Słomka dyskretnie wymknął się z garderoby. Śmiech tancerki rozchodził się na cały korytarz.

- A! - sapnął.

Tuż przy wejściu do barku natknął się na miejscowego impre-saria Kotowicza. Przed wojną Kotowicz był przez wiele lat dyrektorem ostrowieckiego teatru, organizował koncerty i różne artystyczne imprezy. Obecnie, wskutek spalenia w czasie walk styczniowych drewnianej budy, w której mieściła się teatralna sala,

ograniczyć musiał na razie swoją działalność, pośrednicząc w sprowadzaniu do Ostrowca na gościnne występy różnych artystów. Był to postawny mężczyzna, o wspaniałej głowie rasowego artysty. Przewrotny los dość często podobnymi głowami obdarza ludzi miernych.

151

- Dobry wieczór, dyrektorze - przywitał się ze Słomką kordialnie. - Hanka Lewicka już przyszła, siedzi w barze. Cóż to za uroczą dziewczyna, mówię panu...

- A ci się kłóca - oznajmił Słomka.

Kotowicz nie domyślił się w pierwszej chwili, o kogo chodzi.

- No ci...

- A, Seiffert z Kochańską!

- Słyszysz pan?

Histeryczny śmiech tancerki aż tutaj docierał. Kotowicz pobłażliwie się uśmiechnął:

- Głupstwo, niech się pan tym nie przejmuj, kochany dyrektorze. Od dwudziestu lat tak się kłóca, znane historie. Lepiej potem tańczą. Ona pohisteryzuje, on ją tego... i w porządku. Odmładzają się w ten sposób.

Aha, nie widział pan gdzie przypadkiem mego syna?

W ostatnich latach Janusz Kotowicz bywał częstym gościem "Monopolu", lecz dzisiejszego wieczoru nigdzie go do tej pory Słomka nie zauważył.

- Szelma chłopak! Pieniądze miał mi przynieść. Obracamy, wie pan, jak się da gotówką. Trzeba z czegoś żyć. Z samej sztuki człowiek się nie utrzyma. Gdyby miał pan kiedyś w tej dziedzinie jakieś, że tak powiem, dezyderaty, polecam się zawsze. Z pierwszej ręki. Pojęcia pan nie ma, jaki łeb do interesów ma ten chłopak. Trzeba zajrzeć do naszych artystów.

Gdy poniósł w głąb korytarza swoją wspaniałą głowę. Słomka spojrział na zegarek. Okazało się, że do przyścia zamówionej Stefki miał nie więcej niż pięć minut czasu. Zajrzał jednak do baru.

Mała salka, pusta prawie przed kwadranssem, zapełniła się teraz ludźmi. Przy bufecie, popychając się nawzajem i hałasując, tłoczyli się goście z dużej sali, młodzi przeważnie chłopcy i dziewczęta, którzy w przerwie pomiędzy tańcami przyszedli tu napić się wódki. Większość z nich już się dobrze знаła, ci zaś, którzy się jeszcze nie zbliżyli, szybko się przy krążących kieliszkach zaznajamiali, tworząc jedną przyjacielską kompanię, podnieconą i rozgorączkowaną. Dziewczęta brzydkie były i niezgrabne, źle ubrane, uczesane jednakowo, z lokami i czubami wysoko spiętrzonymi nad czołem. Zdrowi i rośli, o przedwcześnie dojrzałych, zblazowanych twarzach chłopcy, poubierani w dziwaczną mieszaninę cywilnych części garderoby z innymi, wojskowymi pochodzenia niemieckie-

152

go jeszcze albo rosyjskiego czy amerykańskiego, dowalali się do dziewcząt na całego. Niektórzy nieźle już mieli w głowach.

Natomiast mecenas Krajewski wraz z całym swoim towarzystwem zamienił dotychczasowe miejsca przy barze na wygodniejsze przy jednym ze stolików. Dosiadło się do nich kilka jeszcze osób, paru mężczyzn, między nimi ładniutka, z wdzięczną i niewinną buzią Hanka Lewicka, która dzisiejszego wieczoru miała po raz pierwszy wystąpić w Ostrowcu w swoim repertuarze. Jej gościnne występy w "Monopolu" poprzedziła szumna reklama, zorganizowana przez pomyslowego Kotowicza. Zresztą nazwisko Hanki Łowickiej dość głośne było i popularne w tym okresie. Wprawdzie przed wojną występowała tylko w peryferyjnych kinach warszawskich, w dodatkach rewiiowych, lecz śpiewając w okresie okupacji po różnych kawiarniach i modnych lokalach zyskała szerszy rozgłos. Jej nikły, dzwiczny głosik trafiał do uczuć sentymentalnych, a sentymentalny repertuar, który sobie upodobała, uczucia te ożywiał.

Nie opodal tego licznego i głośno się bawiącego towarzystwa zajmowali stolik Puciatyccy z panią Kasią Staniewiczową i Fre-dem Teleżyńskim. Dokoła nich siedzieli obcy i bliżej nie znani Słomce ludzie. Byli to przejezdni, zdaje się, mieszkający w "Monopolu".

Słomka zawahał się przez moment: podejść do stolika Pucia-tyckiego, czy nie podejść? Nikt ich na razie nie obsługiwał. Kelner przerzucony przed chwilą do baru z dużej sali, przyjmował zamówienia od stolika mecenasa Krajewskiego. Lecz czas naglił. Wtłoczył się więc za bar cichutko, w charakterze osoby prywatnej. Biedna Krystyna ledwie nadażyć mogła z obsługiwaniem gości. Ze wszystkich stron i równocześnie prawie wołano o wódkę, tu o trzy kieliszki, tam o pięć, jeszcze o trzy i znów o dwa, tak bez przerwy. Jeden z chłopaków, pijany zupełnie i całym ramieniem rozwalony na bufecie, uparczywie namawiał ją do picia. Dostrzegłszy Słomkę, w jego zwrócił się stronę.

- Chodź, grubas! Napijemy się. Ja ci postawię. Pani szefowa, dla mnie i dla tego obywatela dwie duże czyste. Głowa mu leciała pomiędzy kolana. Któryś z kolegów podparł go ramieniem:

- Trzymaj się, Heniek, do cholery! Co jest? Tamten zapomniał o zamówionej wódce i mrucał coś pod nosem.

153

- Panno Krysiu - sapnął Słomka - butelkę koniaku niech pani każe przysłać do mnie na górę. Tylko zaraz. I szybko się wymknął.

Tymczasem Teleżyński daremnie dawał Krystynie znaki, żeby podeszła do ich stolika. Dostrzegła wprawdzie Freda, lecz w tej chwili na sekundę nawet nie mogła się od bufetu oderwać. Znowu Staniewiczowa czuła się dotknięta, że siedzący o kilka stolików dalej Andrzej Kossecki, zamiast przyjść zaraz i przywitać się, poprzestał na ukłonie. Chciała się bawić, tańczyć, czuć się młodą i być otoczoną ludźmi młodymi, tymczasem wieczór od samego początku zapowiadał się nieskładnie, nie tak wcale, jak go sobie projektowała. Puciatycki wyglądał na zmęczonego, siedział na niskiej, miękkiej kanapie milczący i osowiały. Natomiast pani Róża przez staroświeckie lorgnon oglądała Krysię Rozbicką. W pewnym momencie nachyliła się do męża:

- Ładna jest ta mała.

Pograżony w zapadzie Puciatycki nie zorientował się, o kogo chodzi:

- Jaka mała?

- Rozbicką.

-A, Rozbicką! Poczekaj, niech się przyjrzę. Owszem, niczego. Do Ksawerego podobna.

- Do Ksawerego? Wcale nie uważam.

- A ja ci mówię, że podobna. Fred, poproszę ją tutaj do nas, musimy ją przecież poznać.

- Nie widzisz, co się tam dzieje? - odpowiedział Teleżyński. Pani Róża skierowała swoje lorgnon na młodzież otaczającą • bufet.

- Cóż to za dziwne towarzystwo? Skąd się ci wszyscy ludzie . wzięli! To okropna praca dla takiej młodej dziewczyny. Wyobrażam sobie, co ona musi, biedaczka, przeżywać. Fred pogodnie się roześmiał:

- Nie przejmuj się, moja droga. Ona to doskonale robi. Zapewniam cię, że kobiety z naszej sfery świetnie się do tego rodzaju zajęć nadają.

- Wstrętny jesteś! - oburzyła się Puciatycka. - Wątpię, czy byłbyś zadowolony, gdyby twoja siostra musiała w ten sposób zarabiać na życie.

- Czemu nie? Gdyby zarabiała dobrze.

- Fred!

154

- Poważnie mówię. Zawracanie głowy z tym wszystkim. Skończyły się dawne czasy. Ja się na serio nawet zaczynam zastanawiać, czy w ogóle z kraju wyjeżdżać.

- Zwariowałeś? - ożywił się Puciatycki.

- Wcale nie. Mam tu poważne propozycje.

-Ty?

- Żebyś wiedział. Doskonała posada. W każdej chwili mogę zostać szoferem w Prezydium Rady Ministrów. Przy stoliku zaległa cisza. Przerwał ją dopiero śmiech Pucia-tyckiego:

- A, to świetnie! To ci się udało. Znakomity kawał. Teleżyński wzruszył ramionami:

- Wcale nie kawał. Widziałem się niedawno z Dominikiem Ponińskim. Wiecie, co mi powiedział? Czekają tylko na przyjazd do Warszawy zagranicznych poselstw i chce się zaraz starać o posadę szofera w jakiejś ambasadzie, angielskiej czy amerykańskiej. Bardzo zdrowa myśl. Dominik świetnie prowadzi. Ja też. Puciatycki wydał dolną wargę:

- No, wiesz, mój drogi, wybacz... ale jest ostatecznie pewna różnica: wozić ambasadora angielskiego... a pana Osóbkę. Nie przesadzajmy. Pozostanemy w granicach zdrowego rozsądku.

Staniewiczowa zdecydowała się załagodzić całą sprawę.

- Nieznośny pan jest! - uderzyła lekko Freda po rękę. - Mówi pan jak rozkapryszony chłopiec. Ale już ja się postaram, żeby pan jednak wyjechał i nie został tym... zaraz, jak by się to nazywało? Premierowym szoferem chyba, nie?

- Sądzi pani, jak się domyślam, że korzystniej będzie prowadzić taksówkę w Paryżu albo Londynie?

- Co u Boga ojca? - rozżłościł się Puciatycki. - Jedno w kółko. Czy Teleżyński niczym już być nie może na świecie, tylko szoferem?

- Bo to tylko dobrze umiem - odparł Fred szorstko. - Cóż, mogę być jeszcze fordanserem.

- Ciekawe - przeciągnął ironicznie Puciatycki. - I czym jeszcze?

- Obawiam się, że już niczym. Tak mnie wychowano. Wstał, powiedział: "Przepraszam" - i odszedł od stolika.

Pani Kasia wysoko podniosła brwi:

- Co się jemu stało?

- Wariat! - machnął ręką Puciatycki. - Wszyscy Teleżyńscy są narwani.

155

Tymczasem Fred podszedł do baru od tyłu. Krystyna dostrzegła go i skinęła w jego stronę. Po chwili podbiegła.

- Jak się masz, Fred! Znowu w "Monopolu"? I jeszcze trzeźwy?

- Jak widzisz.
- Dlaczego taki nachmurzony?
- Ech, dość już mam tego wszystkiego!
- Czego, Fred? Picia?
- Daj spokój. Całej tej idiotycznej prowizorki, czekania ciągłego na nie wiadomo co...
- Przyjrzała mu się badawczo i trochę ze zdumieniem:
- Fred, nie poznaję cię. Wziął ją za rękę:
- Słuchaj, Krystynko, ty jesteś rozsądna dziewczyna...
- Dziękuję ci.
- To wcale nie komplement.
- Tym bardziej.
- Czy to by było zupełnie bez sensu, gdybym... tylko się nie śmieję.
- Wcale się nie śmieję. Więc co, gdybym?
- Wziął na przykład posadę szofera?
- Dlaczego bez sensu? Przecież doskonale prowadzisz. Fred rozjaśnił się:
- Nareszcie mądre słowo! Jesteś złota dziewczyna.
- Fred! - pogroziła mu palcem. - Ostrzegam cię, że się znowu strasznie upijesz. Tak jak wczoraj.
- To też możliwe. Ale złota dziewczyna jesteś. Zgiełk przy bufecie wzmógł się nagle.
- Muszę uciekać, niestety, Fred.
- Chwilę. Jestem tu ze starymi Puciatyckimi.
- Tak?
- Wiesz, z Chwalibogi.
- Domyślam się. Na tyle się jeszcze orientuję w wyższych sferach. Więc co?
- Koniecznie chcą cię poznać. Zrób im tę grzeczność. Nudni, bo nudni, ale...
- Oczywiście. Tylko później trochę, dobrze?
- Kiedy chcesz.
- Jak Lilka Hańska przyjdzie.
- Świetnie! Całą noc pracujesz? Krystyna zawahała się:

156

- Nie wiem jeszcze. Może się wcześniej zwolnię.
- Przyjdź w każdym razie.
- Andrzej, co to za bubek? - spytał Chełmicki. - Ten, co przez salę teraz przechodzi.
- Andrzej widział dzisiaj Teleżyńskiego u Staniewiczowej po raz pierwszy i nie zapamiętał jego nazwiska.
- Nie wiem.
- Znasz go przecież. Siedzi z tamtymi, którym się kłaniałeś.
- Wiem, ale pojęcia nie mam, jak się nazywa. Odsunął talerz z nie dojedzonym befsztykiem, dopił wino i podniósł się. Maciek spojrzał na niego zachmurzony:
- Wychodzisz?
- Tak, dość tego dobrego. Ty zostajesz?
- Zostaję. Serwus.

W hallu był ścisk i gwar. Ci z gości, którzy nie chcieli na całą noc zostawać w "Monopolu", śpieszyli się teraz, aby przed godziną policyjną zdążyć do domów. Andrzej musiał przeczekać chwilę, zanim wydostał z szatni płaszcz. Dokoła tłoczyli się rozgrzani, przesyleni dymem i alkoholem ludzie. Nałożył płaszcz i chciał się skierować w stronę drzwi wyjściowych, gdy za sobą usłyszał niski głos kobiecy.

- Już pan wychodzi?
- Odwrócił się. Była to Staniewiczowa. Zmieszał się nieco.
- Tak.
- Szkoda. Nawet się pan nie przyszedł przywitać.
- Z kolegą mieliśmy różne sprawy do omówienia - usprawiedliwiał się niezręcznie.
- Tak długo? Miał być tylko kwadrans...
- Nic nie odpowiedział. Pani Kasia, pogodnie uśmiechnięta, przesunęła się po jego twarzy uważnym spojrzeniem. Zarumienił się całkiem po sztubacku. Staniewiczowa odwróciła się w stronę szatni.
- Cóż za tłok okropny! Zapomniałam cygarniczki w płaszczu. Ale ja pana zatrzymuję, a pan się pewnie śpieszy?
- Nie, zdążę jeszcze.
- Na pewno?
- Ależ tak.

Pani Kasia rozejrzała się dokoła.

- Właściwie wcale tu nie jest zabawnie w tym "Monopolu". Gdybym nie była w towarzystwie...

157

Przez moment wyraźnie czekała na jakiś zdecydowany gest z jego strony. Gdy go nie uczynił, umiała lekki cień rozczarowania pokryć w porę swoim ciepłym, niskim śmiechem.

- Nie, nie będę pana zatrzymywać. Niech już pan idzie - podała rękę na pożegnanie. - Nie chcę mieć pana na sumieniu, musi pan zdążyć do domu przed godziną policyjną. I proszę mnie odwiedzić którego dnia, nie tylko wtedy, gdy jest u mnie nasz wspólny przyjaciel, dobrze?

Chciał powiedzieć, że za trzy dni wyjedzie z Ostrowca, jednak rozmyślił się w ostatnim momencie i bez odpowiedzi pozostawiając pytanie, w milczeniu się schylił i pocałował panią Kasię w rękę.

Gdy w chwilę potem znalazł się na dworze, nie był pewien, czy postąpił słusznie. Zamyślony, przeszedł wolno kilka kroków. Podobnie jak wszystkich wychodzących z hotelu, obkoczyło go natychmiast kilku małych, obdartych chłopaków z papierosami i wiązkami fiolków. Odpędził ich niecierpliwym ruchem.

- Pan kupi, panie dyrektorze, pan kupi - zabiegł mu drogę najmłodszy ze sprzedawców, pędrak pięcioletni najwyżej.

Chcąc się odczepić sięgnął do płaszcza po pieniądze i wcisnąwszy malcowi do piąstki banknot, machinalnie wziął wilgotny bukiet. Nagle się zdecydował. Zawrócił i potracając w przejściu wychodzących wszedł z powrotem do hotelu. Rozejrzał się po hallu. Pani Kasi nigdzie nie było. Szukał jej przez chwilę jeszcze.

Daremnie. I teraz dopiero spostrzegł, że trzyma w ręku fiolki. Zgniół je w dłoni, wsunął zmięte do płaszcza i klnąc siebie w myślach najgorszymi słowami, po raz drugi wyszedł na dwór.

Noc się stała piękna, ciepła i gwiazdzista. Chodniki przeszczyły po ulewie i gdzieniegdzie tylko połyskiwały na nich płytkie kałuże. Długi sznur wojskowych samochodów stał przed "Monopolem". Szoferzy beczynnym się koło nich wałęsali. Kilku piło wódkę w jednym z wozów. Paru milicjantów stało obok. Pili z tamtymi.

Wychodzący z "Monopolu" powoli się rozchodzili. Żał im było jeszcze wracać do domów. Przeciągali więc chwilę rozstania, tłocząc się grupkami, śmiejąc się i nawzajem się w mroku poszukując głośnymi nawoływaniem. Z końca rynku dobiegał szeroki śpiew pijacki. Dorożki uwożące dalej mieszkających ludzi turkotały po kamieniach. Gdzieś w odległej części miasta, w stronie Alei Trzeciego Maja, zagrzecotała krótka seria strzałów.

158

A ponad wszystkimi tymi głosami rozbrzmiewał w głębi ciemności głos spikiera. Raz jeszcze nadawano komunikat.

... operacje wojenne zostają wstrzymane dzisiaj, w sobotę, o godzinie ósmej rano...

Andrzej szybkim krokiem ruszył w swoją stronę. Zaraz za rogiem, w bocznej i wąskiej uliczce natknął się na wojskowy patrol. Nie miał wprawdzie broni i papiery miał w porządku, lecz przez moment poczuł w sobie ten sam nieprzyjemny chłód, który ogarniał go był zawsze za czasów okupacji, ilekroć minąć musiał patrol niemiecki. Odruch poniżającego wstydu dołączył się do tego dreszczu.

Nie zatrzymano go zresztą. Żołnierze wolno szli środkiem ciasnej jezdni. Na przechodzącego obok Andrzeja jeden z nich skierował światło latarki. Zgasił ją zaraz i niebawem miarowy, ciężki stuk podkutych butów ścichł za rogiem.

Alek miał klucz od drzwi frontowych. Lecz gdy go wsunął do zamku, klucz nie chciał wejść. Drzwi musiały być od środka zamknięte. Chwilę się namyślał. Był pewien, że matka jeszcze się nie położyła, zabrakło mu jednak odwagi, żeby zastukać. Cofnął się i obszedł dom dokoła.

W oknie kuchennym światło przezierало w kilku miejscach przez nie dość szczelnie dopasowane zaciemnienie. Zastukał. Człapiące kroki Rozalii rozległy się prędzej, niż przypuszczał. Podeszła do drzwi i zatrzymała się.

-Kto?

- Ja - odpowiedział półgłosem.

Gdy wszedł do środka, zatrzasnęła z hałasem. Zachnął się:

- Nie może Rozalia ciszej zamykać? Cały dom Rozalia obudzi. Stara ubrana już była do snu. Głowę miała okutaną w ciepłą chustkę, a na sobie gruby szlafrok, spod którego widać było białą i długą do ziemi koszulę. Swoimi małeńkimi, ledwie widocznymi spod chustki oczkami nieżyczliwie zmierzyla Alka:

- Tylko kto ma nieczyste sumienie, to chce do domu po cichu wracać. Ja się nie potrzebuję, na szczęście, bać hałasów.

Wzruszył ramionami i nadrabiając miną przeszedł obok starej. W głębi domu panowała cisza.

Niezdecydowany, co ze sobą zrobić, przystanął na środku kuchni.

159

- Szkoda, że się nie później wraca do odmu - odezwała się Rozalia.

- Mama jeszcze nie śpi?

- Pewnie, że nie śpi! Także coś. Zamartwiała się, że Alek nie wraca, i teraz ma spać?

Starał się nie patrzeć w stronę Rozalii, czuł jednak na sobie bez przerwy jej badawcze, świdrujące spojrzenie.

- To pójde. Dobranoc.
- Gdzie znowu? Gdzie Alek idzie?
- Spać.
- A kolacja? Będę do stołowego w nocy podawać? Niech tu Alek zje. Zaraz przygrzeję.
- Kiedy nie chce mi się jeść.
- Jak to, nie chce? Coś nowego! Pani specjalnie kazała schować kolację. I teraz nie chce się...
- Mogę chyba nie być głodny? - rozżłościł się. - Dobranoc. Rozalia zaniepokoiła się:
- Jezus Maria, to niechże się Alek chociaż herbaty gorącej napije.
- A jest?
- Pewnie, że jest.

Czajnik stał na małym gazie i woda była prawie wrząca. Parząc sobie wargi, chciwie począł pić. Stojąca z boku Rozalia w milczeniu mu się przyglądała. Duszką wszystko wypił i odstawił filiżankę.

- Jeszcze może?
- Nie, dziękuję. Pójde już. Dobranoc.
- Dobranoc - odpowiedziała i kiwając głową, ciężko westchnęła.

Pani Alicja czekała na syna w hallu. Już od dłuższego czasu wypatrywała Alka z okna stołowego. To wyczekiwanie całe godziny zdawało się trwać. I gdy ujrziała wreszcie smukłą sylwetkę syna najpierw w furtce, potem zbliżającą się powoli do domu, straszliwy ciężar udręki zsunął się jej z serca. Wrócił. Tego tylko do tej chwili pragnęła. Był. Ale zaraz ją obiegło natarczywie wszystko inne. Musiała zdobyć się na wielki wysiłek woli, aby nie pobiec do kuchni. Jakimiś nieskładnymi, poplątanymi myślami żarliwie się zaczęła modlić całą sobą, całym swoim obolałym ciałem i wszystką rozpaczą i cierpieniem.

Alek szedł przez hali ze zwieszoną głową i dopiero przy schodach spostrzegł matkę. Zatrzymał się, nieśmiało uśmiechnął.

160

- Dobry wieczór - powiedział cicho.

W pierwszej chwili głosu z siebie wydobyć nie mogła.

Wydał się jej błąd i mizerny, wymięty jakiś cały, włosy miał potargane i pod oczami ciemne sińce. Gdzie był? Skąd wracał? Co robił przez tyle godzin? I na co potrzebne mu były ukradzione pieniądze, na jakie zło? Stał przed nią nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia i oto nic o nim nie wiedziała; ciemną, jątrzącą tajemnicą był dla niej ten syn, ten mały Alek, o którym ciągle nie umiała myśleć inaczej niż jak o czystym, niewinnym dziecku. Wszystkie noce przy nim nie przespane, wszystkie łzy i radości z nim związane zdrzały teraz w jej ściśniętym sercu, jak gdyby przed ostatecznym i nieodwołalnym usunięciem się w zagubioną przeszłość raz jeszcze ożyły chciały całym ogromem już niepotrzebnej, gorzkiej miłości.

Alek stał ze wzrokiem utkwionym w podłogę i w miarę przedłużającego się milczenia ciemny rumieniec oblewał mu czoło, policzki, uszy, spływając krwawą purpurą aż na szyję. Spod opuszczonych rzęs widział swoje błotem oklejone buty.

- Rozalia mówiła, że się mama niepokoiła. Ale dlaczego? Przecież nie ma jeszcze dziesiątej...

Podniósł głowę i umilkł pod surowym spojrzeniem matki.

- Alek!
 - Słucham, mamó.
 - Nic więcej nie masz mi do powiedzenia? Nic więcej?
 - No co? - zająknął się. - Byliśmy w kinie.
 - Alek! A tamto?
 - Co tamto?
 - Jak mogłaś to zrobić? To ty, ty, moje dziecko, mój syn, któremu tak ufałam, tak wierzyłam. Ty.... złodziejem? Po kryjomu kradnący...
 - Cóż też mama? - gwałtownie się oburzył.
 - Wiesz, co.
 - Wcale nie!
 - I jeszcze się nie masz odwagi przyznać? Alek, Alek, jak ci nie wstyd?
- Gorączkowo począł po kieszeniach szukać pieniędzy. Znalazł je zmięte w spodniach.
- Proszę! - wcisnął matce banknoty do rąk. - Niczego nie ukradłem. Może mama policzyć.
 - Co to jest? - szepnęła.

161

- No pieniądze, te trzy tysiące, które pożyczyłem.
- Pożyczyłeś?
- Ale wcale nie dla siebie. Jurek Szretter potrzebował trzech tysięcy, musiał gdzieś wysłać, a ojciec jego miał

wrócić do domu wieczorem dopiero, zapomniał mu zostawić. Więc ja od ciebie chciałem pożyczyć, ciebie nie było... może nie powinienem był sam brać, ale chciałem Jurkowi zrobić przysługę. Zaraz mi potem oddał. I byliśmy w kinie. Na ostatnim seansie.

Patrzyła na niego przez cały czas i w jego łamiącym się głosie, w jego twarzy, przez którą jak cienie i blaski przepływały wszystkie uczucia, odnajdywała całe piękno swojej miłości, bezgraniczną i z niczym się nie dającą porównać radość z odnalezienia utraconego przez pomyłkę syna.

- Mój maleńki - szepnęła przez łzy.

I po raz pierwszy od wielu, wielu lat rozplakała się ze szczęścia. Przygarnęła Alka, mocno objęła i tuliła do siebie jak małe, bezbronne dziecko. Zmieszany tym nagłym wybuchem i łzami, trwał w jej ramionach bez ruchu, nie oddychając prawie, lekko drżąc. Wyczuła to drżenie.

- Mój maleńki - łagodnie poczęła go głaskać po twarzy i zwichrzonych włosach. - Strasznie cię skrzywdziłem. Musisz mi przebaczyć, że mogłam tak wstrętnie o tobie myśleć. Nigdy już tego nie zrobię. Przebaczysz matce, prawda?

- Ależ, mamo - szepnął.

- Już nic, nic. Nic nie mów. Nie myśl o tym. Mój maleńki...

Stefka spóźniła się o cały kwadrans. Przyszła z oczami za-puchniętymi od płaczu, lecz rozżłoszczony czekaniem Słomka nie zauważył tego.

- Co ty sobie myślisz, głupia! Za ile minut ci kazałem przyjść. Dziewczyna zatrzymała się na środku pokoju i wybuchnęła głośnym, chłopskim płaczem. Na podobną reakcję Słomka nie był przygotowany. "Boi się mnie" - pomyślał z zadowoleniem. I gniew w nim opadł.

- Już dobrze, dobrze. Nie becz.

- O Jezu, Jezu! - zaczęła jeszcze głośniej zawodzić. - Jezusie kochany...

- Przestańże, głupia! Już się przecież nie gniewam.

162

- A co mi pana gniewanie! Pan nic nie wie. O Jezu, kochany Jezu!

Słomka nieco się stropił.

- To czego ryczysz? W kuchni ci co nagadali? Potrząsnęła głową.

- Nie? Więc co?

- Staśka zamordowali. Zastrzelili, dranie! Słomka zamrugał oczami:

- Jakiego Staśka znowu? Kto zastrzelił?

- Mojego Staśka. Gawlika. Nie wie pan? O łotry przekłete! Żeby na nich Pan Bóg najcięższe konanie zesłał...

Słomka zadreptał koło niej:

- Ale co, jak, gdzie? Co za historia! Siadaj! Usiadła i łokcie oparłszy o szeroko rozstawione kolana, objęła głowę wielkimi, czerwonymi dłońmi.

- O Jezu, Jezu! - zaczęła się kiwać całym ciałem.

- Poczekaj, po co go mieli zabijać?

- Ja wiem po co?

- Pewnie nieprawda?

- Jakże nieprawda? Jak tylko wróciłam do kuchni, przyszedł Jeziorek...

- Co za Jeziorek?

- No ten, posterunkowy, nie zna go pan?

- Znam. I co?

- Z szoferami pił przed hotelem i do nas zaszedł.

- Wódki, łobuz, chciał?

-No!

-1 on powiedział?

-On.

- Pewnie był pijany! Pomylił wszystko.

- Gdzie pomylił! Powiada: wiecie, po południu dwóch z cementowni zastrzelili nad Śreniawą. Mnie od razu coś tknęło. "Kogo, kogo zastrzelili?" - pyta Felka. Ona zawsze się pierwsza rwie do takich historii. A on powiada: "Smolarskiego i Staśka Gawlika". O Jezu! Myślałam, że trupem padnę, tak mnie coś w środku ścisnęło. "Na miejscu", powiada. Że chcieli podobno kogo innego strzelać i tych dwóch przez pomyłkę ukatrupili.

Słomka nalał koniaku.

- Napij się - podsunął kieliszek.

r

163

Z głową objętą oburącz dalej się kiwała i jęczała. Jedyne, co posiadała, to swoje krzepkie, młode ciało. I tylko

przy pomocy ciała potrafiła wyrazić ból. Buchało od niej dobrze nagrzanym, leniwym ciepłem. Spódnica zadarta się jej powyżej kolan, odsłaniając zarys obfitych białych ud. Stomka przestąpił z nogi na nogę.

- Napij się. Dobry koniak. Co się stało, to się nie odstanie. Podniosła głowę, pociągnęła głośno nosem i sięgnęła po kieliszek. Wypiła.

- Chcesz jeszcze?

- A niech pan da.

- Usiądź na łóżku. Wygodniej ci będzie.

- O, jaki to troskliwy!

Poddała się jednak jego radzie biernie i ociężała. Szerokie łóżko miętko się pod nią ugięło.

- I jaki wstyd! - klasnęła naraz w dłonie. - Niech pan powie, coś podobnego...

- Co znowu?

- Żebym ja się musiała takich rzeczy od obcych ludzi dowiadywać. Tutaj mordują mi narzeczonego i z jego rodzinki nikt nawet nie raczy przyjść do mnie, powiedzieć po ludzku: tak a tak się stało. Wiedzą przecie, gdzie pracuję. To nie!

- Czasu może nie mieli?

I - Ale! A obszczekiwać mnie przed Staśkiem, jak wrócił z Nie-I mieć, to czas mieli. Jak te krety ciągle ryli i obmawiali. Stefka ta-i ka, Stefka owaka. Ich interes? Co pan! - szarpnęła się. - Też dobry I sobie. Jak to mu pilno. i - A co? - sapnął. j' - Pstro!

i Po chwili uśmiech rozjaśnił jej czerwoną od płaczu, zapuch-I niętą twarz:

! - Pokaż pan te pończochy. Jak je na pogrzeb ubiorę, to siostrę | Staśka szlag z zazdrości trafi. Niech nie zadziera nosa, zdzira jedna...

- Dobrze się z panią tańczy.

- Uprzejmy pan jest.

-Nie.

- Czyżby?

- Naprawdę. Jestem podobno bardzo źle wychowany.

164

- Tak? Jeszcze nie miałam okazji tego zauważyć. Przyjemne to tango, prawda? Przypomina czasy przedwojenne. To pan, o ile się nie mylę, siedział z Andrzejem Kosseckim?

-Tak.

- Przyjaciel?

- Bardzo dobry.

- I zostawił pana samego?

- Cóż, nie jestem dziewczyną.

- Domyślam się. Czy wie pan, że nie znając pana byłam trochę na pana zła?

- Na mnie?

- Pan Andrzej przyrzekł dotrzymać nam towarzystwa.

- Mógł to zrobić.

- Mielicie podobno tyle spraw do omówienia! Mniejsza zresztą z tym. Nie mówmy o nieobecnych. Lepiej niech mi pan o sobie powie coś interesującego.

- Z jakiej dziedziny?

- Z jakiej pan chce.

- Kto jest ten młody człowiek, który siedzi przy pani stoliku?

- Fred Teleżyński?

- Nic mi to nie mówi.

- Hrabia.

- To wszystko?

- Mój Boże, wydaje mi się, że na obecne czasy to aż za wiele.

- Czy to kuzyn tej dziewczyny za barem?

- Krysi Rozbickiej?

- Rozbicka się nazywa?

- Nie wiedział pan? Ale przepraszam, zdaje się, że miał pan o sobie mówić.

- Czy nie robię tego?

- Naprawdę?

- Ależ tak!

- Obawiam się wobec tego, że miał pan, niestety, słuszność.

- Z czym?

- Ze złym wychowaniem.

- A widzi pani! Więc jak, kuzyn?

- Nudny pan jest. Czy po to mnie pan prosił do tańca, żeby informować się o koligacjach pana Teleżyńskiego?
- Raczej panny Rozbickiej.
- Źle pan wobec tego trafił.

165

- Trudno. Gniewa się pani?
 - Chciałam pana o coś spytać.
 - Słucham.
 - Czy dużo pan pił?
 - Dużo. Ale to nie ma znaczenia.
 - Nie ma? Szkoda.
 - Dlaczego?
 - Mogłabym w takim wypadku wytłumaczyć sobie wszystko nadmiarem alkoholu i nie musiałabym przerywać tańca.
 - Chce pani wracać?
 - Tak. I to natychmiast. Nie musi mnie pan odprowadzać.
 - Dobrze.
 - Więc?
 - Bardzo przyjemne jest to tango, prawda?
 - Zdaje mi się, że dość wyraźnie...
 - A zechce mnie pani przedstawić swemu towarzystwu?
- Młody lekarz Drozdowski, który po powstaniu warszawskim pracował w tutejszym miejskim szpitalu, słuchał wynurzeń mecenasa Krajewskiego z pobłażliwym uśmiechem.
- Nie, drogi mecenasie - odezwał się w pewnej chwili -wszystko to pięknie brzmi, ale ja się już nie dam nabrać na żadną ideologię.
- Krajewski oburzył się:
- Nabrać! Cóż to za określenie? W tym wypadku, uważam, zupełnie niewłaściwe.
 - Moim zdaniem w każdym wypadku właściwe. Pan powiada: Londyn, świat anglosaski, Zachód, chrześcijańska cywilizacja, o-brona prawdziwej demokracji...
 - Sam więc pan widzi, gdzie tu nabieranie? To są trwałe, niezbite wartości.
 - Słowa, panie mecenasie. Takie same wartości zadeklarują panu na Wschodzie.
 - O, przepraszam, wcale nie te same. O to właśnie chodzi.
 - Ale tak samo podane jako trwałe i niezbite.
 - Gdzieś musi być słuszność.
 - Jaka słuszność? Chce pan jakiejś prawdy doszukiwać się w tym całym bałaganie? Po co?
 - Drogi panie, w coś musi człowiek wierzyć.

166

- Zawracanie głowy. Też słowa. Musi! Dlaczego? Ja się wolę nie łudzić. Parę razy dałem się już nabrać na tak zwane prawdy. Dziękuję pięknie, mam dość. Więcej się nie bawię. Nie mam ochoty raz jeszcze poparzyć sobie palców. Komu mało, proszę bardzo. Wszyscy, panie mecenasie, bujają. Sanacja kłamała, podziemie kłamało, teraz dla odmiany też wszyscy kłamią, wszystko razem do kupy wzięte jest jedną wielką bujdą. Każdemu o to tylko chodzi, aby się dorwać do władzy. A słowa, hasła, tak zwane idee? Znamy się na tym... Platynowa blondynka z zachwytem wpatrywała się rozszerzonymi i przymglonymi oczyma w przystojnego doktora. Ze swoją kształtną okrągłą głową, którą czarne włosy okrywały jak lśniący hełm, z cerą oliwkową i mocno zarysowaną szczęką, z rękami, które w przegubie ciemniały silnym zarostem, wydawał się jej, przyćmionej przez alkohol i podniecenie wyobraźni, uosobieniem nowoczesnego mężczyzny. Wszystko, co mówił, każde słowo wypowiedane jego głosem znajdowało doskonałe potwierdzenie w jego ciele. Reszta towarzystwa, skupiona dokoła dziewczęco świegocącej Hanki Łowickiej, nie interesowała się ich rozmową. Krajewski robił wrażenie zmęczonego. Zdjął grube rogowe okulary i powoli przecierając je chusteczką, patrzył przed siebie wypukłymi i przy-gaszonymi oczyma krótkowidza. Drozdowski spojrzał na niego z nie ukrywanym politowaniem:
 - Tak, tak, mecenasie. Trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć. Po tej wojnie koniec z wszelkimi prawami. Za dużo widzieliśmy. Kug-larze i prestidigitatorzy zdemaskowali swoje sztuczki. Koniec szantażu.
- Krajewski dalej przecierał szkła.
- I co w takim razie zostaje według pana?
 - Bardzo dużo, mecenasie. Życie zostaje.
 - Ach tak? Pełnia życia, dynamizm. Jeszcze raz elan vital?
 - Po co elan vital? Można się obejść bez tych wszystkich formuł, dodatków i frazesów. Po prostu życie, które

nie ma żadnego sensu.

- Jednak?
- Cóż? Stwierdzić, że coś nie ma sensu, to już jest pewien sens.
- Wspaniale to pan powiedział! - zawołała platynowa blondynka.

167

Mecenas energicznym ruchem włożył okulary.

- A ja panu powiem, co to jest - stuknął palcem w blat stolika.
- Nihilizm? - roześmiał się doktor.
- Gorzej. Śmierć. Tak, tak, niech się pan śmieje. To już nie jest choroba. To po prostu śmierć.
- Panie mecenasie! - zaprotestowała blondynka. Krajewski poruszył się niecierpliwie.
- Śmierć, śmierć - powtórzył z naciskiem, całym sobą pochylając się nad stolikiem, jakby chciał tym ruchem podkreślić ostateczną prawdziwość i nieodwołalność swego wyroku.
- Drozdowski wcale się tym nie przejął.
- Bardzo mi przykro, panie mecenasie, ale nie czuję się nieboszczykiem. Staram się tylko zachować trzeźwość rozsądku i nie patrzeć na świat przez kolorowe szkiełka. Brać go takim, jakim jest. I wyciągnąć z tego dla siebie właściwe wnioski.
- Wyobrażam sobie, jakie mogą być wnioski - mruknął mecenas.
- Bardzo proste. Pan jest, mecenasie, o ile się nie mylę, wierzącym katolikiem.
- Jestem.

- No więc! Interesuje pana zatem, mam nadzieję, gdzie się pan ulokuje po śmierci: w niebie, czy w piekle? Mecenas poprawił okulary.

- Drogi panie, nie trzeba znowu tak tego upraszczać, nie żyjemy w średniowieczu. Oczywiście, że wierzę w wymiar wyższej sprawiedliwości...
- A ja nie. Nic mi w tej materii nie jest wiadome i, co ważniejsze, nic a nic mnie to wszystko nie obchodzi. Tak samo nic mnie nie obchodzą wszystkie tutejsze ideologie. Chcę przyjemnie przejść przez życie, to wszystko. I ostatecznie, o czym my dyskutujemy, panie mecenasie? Czy panu, mówiąc między nami, nie zależy na tym samym?

Mecenas nie zdążył odpowiedzieć, gdy do stolika podszedł Kotowicz. Natychmiast zrobiono mu miejsce.

- Uff! - usiadł obcierając swoje wspaniale sklepienie czoła. - Nie wyobrażacie sobie państwo, co za historie z Seiffertem i Ko-chańską. Nieprawdopodobne!

Nalał do szklanki trochę wina, wzburzył je wodą sodową i powoli zaczął pić szprycer. Wszyscy dokoła pochyliłi się z zainteresowaniem.

168

- Co się stało? Pozabijali się?
- No, pozabijali się, to byłaby przesada. Ale wielka scena, powiadam wam. On nagi, jak go Pan Bóg stworzył, ona w wieczorowej toalecie...
- Hanka Lewicka szeroko otworzyła niebieskie, naiwne oczy:
- Jak to, nagi? Co pan chce przez to powiedzieć?
- To, co mówię - zaśmiał się Kotowicz. - Dosłownie, bez żadnej przenośni. Wspaniała scena! Trochę przydługa i męcząca, ale warta zobaczenia.
- Ale dlaczego nagi? - wróciła do swego Hanka Lewicka. Wszyscy poczęli się śmiać. Lewicka zrobiła nadąsaną minę:
- Czego się śmiejecie? Przecież nie powiedziałam chyba nic głupiego. Wstrętni jesteście. Dyrektorze kochany
- zwróciła się do Kotowicza - dlaczego oni się ze mnie śmieją?
- Jest pani urocza - odpowiedział. - Zachwycająca!
- Naprawdę? Ale oni się ze mnie śmieją i wcale tak nie myślą... Platynowa blondynka pochyliła się w stronę swojego sąsiada:
- Niech pan spojrzy, jak ona się zgrywa. Drozdowski niedbale wzruszył ramionami:
- Jeśli sprawia jej to przyjemność...
- Podoba się to panu? Wszyscy są zachwyceni. Nic nie odpowiedział. Bliżej się tylko przysunął. Poczula na szyi jego gorący, nikotyną i alkoholem przesycony oddech.
- Proszę uważać... - szepnęła.
- Tak panią obchodzi, co sobie ludzie pomyślą?
- Nie.
- Więc?
- Naprawdę wyjeżdża pan w przyszłym tygodniu?
- Wyjeżdżam.
- Rzucą pan szpital?

- Oczywiście. Nie mam tu przecież nic do roboty.
- Dokąd pan chce jechać?
- Na zachód. Dolny Śląsk, Wrocław, Lignica. Zobaczą jeszcze, na miejscu się rozejrzę. Teraz najlepszy moment. Bałagan, ziemia na razie niczyja. Wszystko można zdobyć, jak się chce.
- Zazdroszczę panu - westchnęła. Uchwycił jej nogę kolanami i mocno ścisnął.
- Możemy temu zaradzić.
- Sądzi pan?
- Jestem pewien.

169

- A mąż?
 - Och, mąż! Nie wiadomo nawet, czy żyje...
 - Niech pan tak nie mówi.
 - A jeśli żyje, to kiedy tu wróci i czy w ogóle wróci? Kotowicz przysiadł się tymczasem do Krajewskiego.
 - Więc jak? - spytał mecenas. - Ma pan? Kotowicz rozłożył szeroko ręce.
 - Jestem zrozpaczony. Punktualnie o pół do dziesiątej pieniądze miały być. Pan mnie zna, panie mecenasie, nigdy jeszcze nie zawiodłem. Jeżeli wyznaczam termin, to choćby się ziemia miała zapaść...
 - Nie zapadła się, o ile wiem. Impresario znowu rozłożył ręce:
 - Siła wyższa! Jutro przed samym południem sam panu przyniosę gotówkę. Może pan na mnie liczyć. Obok, kierując się w stronę swojego stolika, przeszła w towarzystwie Chełmickiego uśmiechnięta Staniewiczowa. Kotowicz poderwał się z krzesła i złożył jej głęboki ukłon.
 - Widział pan, jakiego ładnego chłopca wytrzasnęła nasza pani majorowa?
 - Pułkownikowa - poprawił Krajewski. - Staniewicz jest pułkownikiem u Andersa.
 - Co pan mówi? Nie wiedziałam. Sama siedzi?
 - Z Puciatyckimi.
 - O, proszę? Zawsze wysokie sfery. Dyskretnie obejrzał się za siebie. Pani Kasia przedstawiała Chełmickiego swemu towarzystwu.
- Liii Hańska zjawiła się przed samą dziesiątą. Szybko przeszła przez bar, uśmiechnęła się po drodze do Krystyny i zniknęła w korytarzu za bufetem. Po chwili Krystyna wymknęła się za nią. Liii zdejmowała letni płaszcz sportowy.
- Jak się masz, kochanie. Dużo roboty?
 - Okropnie. Już się bałam, że nie przyjdiesz.
 - Wyobraź sobie, że zasnęłam - roześmiała się Liii. - Całe popołudnie aż do tej pory przespałam jak jamnik. Powiedz, nie jestem zapuchnięta? Ślicznie wyglądasz.
 - Liii wyjęła z torebki grzebyk i zaczęła rozczesywać swoje czarne i gęste, kędzierzawe jak u chłopca włosy.

170

- Słuchaj, kochanie... - rzekła Krystyna.
 - Co takiego?
 - Bardzo będziesz na mnie krzyczeć, jeżelibym się chciała ulotnić dzisiaj o jedenastej?
 - Zwariowałaś? Przy sobocie? Co się stało? Chora jesteś?
 - Nie.
- Liii uważnie się jej przyjrzała:
- Więc co?
 - Ależ nic. Po prostu chcę wyjść wcześniej.
 - Oj, Krystyna...
 - Co?
 - Przyznaj się.
 - Do czego?
 - Chłopiec?
- Krystyna objęła ją i pocałowała w policzek:
- Lileczko, jesteś zdumiewająco domyślna!
 - Więc chłopiec?
 - Może...
 - Ładny przynajmniej?
 - Zabawny. Strasznie pewny siebie.
 - To nic nowego. Ale ładny?
 - Nie bój się, nie zakocham się.
 - Mam nadzieję. Kto to taki? Znam go?
 - Chyba nie.

- Nie? Więc kto? Błagam cię, Krystynko, powiedz, umieram z ciekawości. Jak się nazywa?

- Kiedy nie wiem.

Liii szeroko otworzyła oczy:

- Jak to, nie wiesz?

- Zwyczajnie. Nie wiem.

- Nie wiesz, jak się nazywa?

- Naprawdę. I nic mnie to nie obchodzi. Czy to ważne? Więc jak, zgoda? Zrewanżuję ci się w przyszłą sobotę.

- A idź sobie! - mruknęła Liii sięgając po puderniczkę. - Wariatka jesteś. A stary cię zwolni?

- Niech spróbuje nie zwolnić. Pa, tymczasem! I o tym ani słowa nikomu, dobrze?

Gdy wróciła na salę, natychmiast obiegł ją niecierpliwym tłumem. Znalazła jednak krótką chwilę, aby poprzez ludzi otaczających bufet poszukać Chełmickiego. Nie było go przy stoliku. Z dużej sali

171

nie dobiegały dźwięki orkiestry. Gdzież więc mógł zniknąć? Przez moment zaniepokoiła się lekko, lecz w tej samej chwili dojrzała go:

siedział przy stoliku Puciatyckich odwrócony do bufetu plecami. Rozmawiał z Fredem.

W czasie okupacji Weychert posiadał kontakty wyłącznie londyńskie. Obecnie, ponieważ się nie zorientował w porę, do jakiej partii najkorzystniejszej jest przynależać, był członkiem Stronnictwa Demokratycznego. Dobre stosunki ze Świeckim stwarzały mu wprawdzie do tej pory dogodną i dość ugruntowaną w Zarządzie Miejskim pozycję, nie był jednak pewien, jak się stosunki ułożą w najbliższej przyszłości, z chwilą mianowania nowego prezydenta. W związku z tym starał się od pewnego czasu nawiązać bliższe kontakty z ludźmi z PPR-u. Podgórskiego, który był jego sąsiadem przy stole, znał mało. Ale chociaż tamten, jak wszyscy inni, pił dużo, alkohol nie czynił go rozmowniejszym. Siedział zasępiony, w sobie zamknięty i wielokrotne usiłowania Weycherta, by nawiązać z nim istotniejszą rozmowę, rozбивały się o jego pochmurną mrukowość.

Weychert nie był człowiekiem drażliwym, lecz mimo woli nasunęło mu się przypuszczenie, czy Podgórski osobiście nie ma przeciw niemu jakichś zarzutów i zastrzeżeń. Szybko odegnał od siebie tę myśl, lecz wątpliwość pozostała w nim, zatruwając dotychczasowy dobry nastrój. Celem szybszego splukania tych nieprzyjemnych osadów wypił poza ogólną kolejką swoją wódkę. Piękny Józio z warszawskiego "Bristolu" natychmiast napełnił mu kieliszek.

Nastrój na sali stawał się coraz swobodniejszy. Zwłaszcza przy obu końcach stołów kotłował się zgiełkliwy gwar, śmiano się tam głośno i gestykulowano, alkohol pobudzał do serdecznej wylewności.

Drewnowski, czerwony na twarzy, z włosami wzburzonymi, wypił przed chwilą "bruderszafta" ze swoim sąsiadem. Był nim sekretarz Rady Zakładowej cementowni w Białej, młody robotnik, Matusiak. Drewnowski pochylał się ku niemu z pijacką serdecznością:

- Ja, widzisz, bracie, życie miałem ciężkie jak cholera. Ty też, nie?

No! - mruknął tamten. - Ale nie szkodzi. Ja jestem mocny.

172

- A widzisz! Ja też jestem mocny. I teraz się skończyło. Teraz na nas kolej. My teraz jesteśmy górą.

Matusiak spojrział na niego spod swoich ciemnych, silnie zarysowanych brwi:

- Ale, ale! Dużo jeszcze trzeba zrobić.

- Zrobi się!

- Znałeś Staśka Gawlika?

- Gawlika? Co za jeden?

- Towarzysz. Taki chłopak!

- I co?

- Zastrzelili go dzisiaj.

- Nie martw się. My i tak jesteśmy górą. Będziesz jeszcze dyrektorem, zobaczysz.

Obrócił się do Pieniążka i klepnął go w plecy:

- Pieniążek, mordo jedna.

Ten od dłuższego czasu znów siedział za stołem cichutki i w sobie skulony, jakby najmniej miejsca chciał swoją osobą zajmować.

- Pieniążek, ten chłopak będzie dyrektorem, ja ci mówię. Ja też będę dyrektorem. Wszyscy będziemy dyrektorami. A ty prezesem. Gdzie idziesz, prezes?

Dziennikarz, mrugając mętnymi oczkami, wykonywał pod stołem rękoma i nogami szereg zwolnionych, papkowatych ruchów, obliczonych najwidoczniej na podniesienie się.

- Siedź, prezes! Gdzie chcesz iść?

- Nigdzie - mruknął Pieniążek. - Przemawiać będę. Świecki odsunął się nieco od stołu wraz z krzesłem i poza plecami majora Wrony zawołał w stronę siedzącego o parę miejsc dalej Pawlickiego:

- Panie redaktorze!

Jego krótki i wymowny gest natychmiast zorientował Pawlickiego, o co chodzi. Zawahał się.

- Jednak?

Świecki skinął głową:

- Natychmiast. Najwyższy czas.

- O co chodzi? - zainteresował się Wrona.

- Drobiazg - odpowiedział Świecki.

Tymczasem Pieniążek, podtrzymywany z jednej strony przez rozbawionego Drewnowskiego, zdołał się nareszcie podnieść. Tak był jednak tym wszystkim pochłonięty, że się nie spostrzegł, kiedy obok wyrosła nagle ogromna postać Pawlickiego.

173

- Odsuń się pan - nachylił się do Drewnowskiego. - Już...

Tamten odruchowo się cofnął.

Wtedy Pawlicki ujął Pieniążka pod ramię i nim się ten zdążył połapać w sytuacji, szybko go wyprowadził z sali. Dopiero na korytarzu Pieniążek począł stawiać opór. Ale Pawlicki już się nie potrzebował krępować. Nim stara Jurgeluska zdążyła otworzyć drzwi do toalety, pchnął je ramieniem i szamocącego się jak pajak Pieniążka wkopnął do środka. Stara pośpiesznie za nimi drzwi zamknęła i już wrócić miała na swój stołeczek i zająć się swetrem, gdy z głębi toalety dobiegać zaczęły dziwne odgłosy, krótkie i głośnie kłaśnięcia.

Towarzyszył im stłamszony, całkiem szczurzy pisk. Potem trzasnęły drzwiczki jednej z separarek. Zaległa cisza.

Po chwili Pawlicki wychylił spoza drzwi swoją wielką i bardzo spoconą twarz.

- Pani da ręcznik i mydło.

Pośpiesznie go obsłużyła. Pawlicki podciągnął rękawy marynarki i wolno, systematycznie mył ręce. Wytarł je starannie, potem przejrzał się w lustrze, poprawił przekrzywiony krawat, przygładził włosy.

Jurgeluska daremnie obiegała oczyma toaletę. Tamtego drugiego nigdzie nie było. W obu separatkach cisza panowała. Pawlicki raz jeszcze przejrzał się w lustrze i obciągnął marynarkę. Minę miał zadowoloną.

- W porządku! Wy tu obsługujecie, babciu?

- Tak, proszę pana, ja.

- Świetnie! Dopilnujcie wobec tego, żeby nikt się nie ważył wypuścić tego łobuza. Tu go zamknąłem - wskazał na jedną z separarek. - Ma siedzieć, dopóki nie przyjdę. Minister Świecki tak zarządził.

Zrozumieście?

- Tak, proszę pana. Ale gdyby...

- Co znowu za "gdyby"? Żadnego "gdyby" nie ma. Ma siedzieć i koniec.

- Tak, proszę pana.

- To pamiętajcie.

Sięgnął do kieszeni po pieniądze i wyciągnąwszy zmiętą setkę, dał starej. Jurgeluska nisko się ukloniła.

- Dziękuję, wielmożny panie.

Tymczasem Matusiak siedział nachmurzony, podpartszy się pięścią. Drewnowski, który nad zniknięciem Pieniążka szybko przeszedł do porządku dziennego, trącił go w ramię.

174

- Czego się, bracie, martwisz? Koniec już z biedowaniem. My teraz górą.

Tamten szorstko odtrącił jego rękę:

- Odwal się!

Drewnowski uśmiechnął się głupkowato:

- Napij się, Kazek...

- Odwal się, bo w mordę dam. No! Poderwał się jak do bicia. Drewnowski pobladł. Sąsiedzi Ma-tusiaka poczęli go uspokajać.

- Kazek, daj spokój! Nie róbże wstydu.

- Myślicie, że się upiłem?

- Nie upiłeś się. Ale co będziesz z pętakiem zaczynał? Dał się wreszcie przekonać. Usiadł ciężko i pochyliwszy nad stołem głowę podparł ją ciemnymi spracowanymi dłońmi.

- Kazek! - trącił go towarzyszy.

Ten wzruszył ramionami i naraz niżej jeszcze głowę pochyliwszy, zapłakał nad stołem pijacko, przejmująco.

- Kazek, rany boskie!

- Co ci jest?

- Co ma być? Nic mi nie jest...

Wracając na swoje miejsce Pawlicki zatrzymał się przy Świeckim:

- Załatwione, panie ministrze.

Świecki, nie odwracając się, przyjaźnie uściśnął rękę redaktora:

- Dziękuję, nie zapomnę tego panu.

Obraz redaktorskiego biurka w Warszawie zarysował się w wyobraźni Pawlickiego, gdy z powrotem zajmował swoje miejsce przy stole. "Nawet taki Pieniążek może się czasem przydać" - pomyślał przelotnie.

Tymczasem Weychert raz jeszcze zdecydował się nawiązać z Podgórskim kontakt. Całym sobą przyjaźnie się ku niemu odwrócił:

- Zdaje się, że nie jest pan dzisiaj w najlepszym usposobieniu do zabawy?

- Zmęczony jestem - odparł krótko Podgórski.

- Ja też - podchwycił Weychert ten wąty i nikły temat. - Mieliśmy dzisiaj wyjątkowo pracowity dzień. Wie pan, w związku z odejściem Świeckiego. Trzeba jednak przyznać, że takie zebranie to pewne odprężenie.

Pamiętam w czasie wojny...

175

Podgórski nawet się nie starał rozumieć, co tamten mówi. Już kilkakrotnie chciał przełamać w sobie wewnętrzny opór i dać się wciągnąć w ogólny nastrój przy stole. Ale za każdym razem cofał się natychmiast w siebie, w jątrzące i natarczywe myślenie o tym wszystkim, czego dowiedział się był od Szczuki o Kosseckim. Nie o samego Kosseckiego tu chodziło. Niejedno rozczarowanie przyniosły mu ostatnie lata. Samo życie zdierało brutalnie z wielu prawd powabne złudzenia, zmyślało sztuczną szminkę, odsłaniając próchno w środku i odór zgnilizny. Z ludźmi działo się podobnie. Wszyscy, nawet ci najobojętniejsi, zepchnięci zostali w jedną otchłań i tam, jak gdyby się świat kończył i każda chwila żądała rozstrzygnięć ostatecznych, wybierać musieli losy nie według swoich pragnień i nie ze sztywnych koturnów, lecz według swoich rzeczywistych, już niczym nie maskowanych natur. Ale ten okrutny czas zdawał się należeć do przeszłości. Tak jednak nie było. Pokój, który nadchodził, niczego nie zamykał, niczego nie kończył. Wśród armat milknących, dni oswobodzonych od strachu i nocy, których już nie miał przecinać gwizd bomb ani rozświetlać blask pożarów, w tę wiosnę spełniającą nadzieję zabitych i żyjących, ludzkość dyszała śmiertelnie chora i śmiertelnie znużona. Nie było w Europie skrawka ziemi nie przesiąkniętej krwią. Zamordowano wiele milionów. Tym spokój. Ich potworna śmierć wydawała się teraz prosta i na pewno wzniosła w porównaniu z losami tych, którym pozostawiono życie mordując ich serca i dusze. Pokonani zbrodniarze dalej żyli w swoich ofiarach. I świat dalej do nich należał. Nad czym się wznosił tryumf gorzkiego zwycięstwa? Nad ruinami i grobami, nad pohańbieniem ludzkiej godności, nad rojowiskiem małych, znikczemniałych, okaleczonych gnomów, zatrutych strachem i jadowitym pożądaniem życia... Wiedział, że nie jest to jedyna i wyłączna prawda o świecie. Spomiedzy doświadczeń ostatnich lat iluż ludzi wyniosło wiarę w człowieka, poświadczając ją czynami? Ocalonych było wielu. "Ocaleni są - myślał ociężale. - I wiedzą o sobie. Nie są samotni. Są siłą. Siłą ciągle i walczącą, ponieważ ludzkość jeszcze nie powiedziała swego ostatniego słowa. Walka toczy się dalej". Czuł jednak, że w tej chwili nie potrafi ani tej wiary, ani woli walki potwierdzić całym sobą. Nie było w nim zwątpienia w świat i życie. Tylko sam sobie wydał się nagle człowiekiem słabym, nie dorastającym do trudnych zadań i ofiar, których domagał się świat. O sobie samym gorzko i boleśnie wątpił...

176

Widząc, że go Podgórski nie słucha, Weychert umilkł. "Na pewno musi mieć coś przeciwko mnie" - utwierdził się w poprzednim przekonaniu. Przestał mu smakować rostbef, w żołądku poczuł gniotący uścisk.

"Niepotrzebnie tego węgorka jadłem" - pomyślał.

- Posłuchaj, Stefanie - zaczął półgłosem - znasz mnie ostatecznie od dość dawna, wiesz, jakie było moje życie, chciałbym więc, żebyś mnie zrozumiał...

- Zdaje mi się, że cię rozumiem - mruknął Szczuka.

- Poczekaj! Od najmłodszych lat walczyłem z Rosją.

- Z carską Rosją.

- Miałem szesnaście lat, kiedy dostałem się do więzienia.

- Więc?

- Uraz zostaje na całe życie.

- Co to znaczy uraz? - obruszył się Szczuka. - Ja po raz pierwszy siedziałem w więzieniu polskim. Czy dlatego mam do końca życia pielęgnować w sobie uraz do Polski bez względu na to, jaka jest?

Kalicki potrząsnął głową.

- To nie to samo. Nie wybiera się ojczyzny.

- Historii też się nie wybiera. Ale po to człowiek żyje, żeby przekształcać i ojczyznę, i historię. Nie, wprost wierzyć mi się nie chce, żebyś aż tak daleko zaszedł w swoim rozumowaniu. Jak to się stało? Ty, stary bojowiec, wielkie nazwisko socjalizmu, zaczynasz się posługiwać argumentami... wybac mi, że to powiem,

ale tak ostatecznie jest, posługujesz się argumentami naszych wrogów. Kim będziesz jutro? Kalicki patrzył w stół, kruszył w palcach chleb.

- Jutro? Mam już na szczęście zbyt wiele lat, aby zastanawiać się, kim będę jutro.
- I rzeczywiście nie widzisz różnicy pomiędzy Związkiem Radzieckim i Rosją carską?
- A czyż nie to się właśnie liczy?
- Czemu nie? Widzę różnice. Inny ustrój. Nie przeczę, że istnieją różnice.
- A więc?
- I cóż z tego? Ale imperializm rosyjski, zaborczość rosyjska są te same. Nie, nie! - potrząsnął ręką - wiem, co powiesz, ale oszczędź mi tej waszej propagandy. Ja wiem swoje. Wschód, zawsze wschód. To się nie zmienia. Zobaczysz zresztą za parę lat.

177

Nie będzie już Polski. Przepadnie nasza ojczyzna, nasza kultura, wszystko...

Głos mu się w tym momencie boleśnie załamał. Umilkł. Szczuka też chwilę milczał.

- Żal mi ciebie, Janie - szepnęła wreszcie. - Przegrałeś życie. Kalicki drgnął i wyprostował się.
- Może i tak - powiedział opanowanym głosem. - Ale moje życie należy tylko do mnie. Natomiast wy przegrywacie Polskę.

Spojrząwszy na Kalickiego, Szczuka zrozumiał, że słowa, które mu się cisnęły na wargi, nie trafiają do starego towarzysza. Nic tutaj nie znaczyła dawna przyjaźń, wspólne wspomnienia i wspólna niegdyś walka o podobne cele. Dzieliły ich teraz światy wsparte na innych prawdach, obce sobie i dalekie. Świat, w który tamten człowiek wierzył, należał do nieodwracalnej przeszłości. Dawno minęły czasy, kiedy ów świat służył być wolności. Historia poszła i wielkimi krokami naprzód, lecz tego Kalicki zdawał się nie do-i strzegąc i nie rozumieć. Czas się dla niego zatrzymał, a historia i powtarzała niezmiennie jedno doświadczenie. Więc cóż mu miał mówić? Tłumaczyć, że kraj, który dla rewolucji poświęcił całe [pokolenie, teraz, gdy przyszło mu płacić za wolność krwią najlep-nych synów, walczył o coś nieporównanie większego niż o własne granice? O tym miał Kalickiemu mówić? Albo o tragicznym losie, który by czekał Polskę, gdyby jej nie przyniósł wolności żołnierz radziecki? : - Trudno z tobą dyskutować - powiedział.

-1 nie warto - odparł krótko Kalicki.

W tym momencie osamotniony Weychert otrząsnął się nagle ze złego nastroju. Postanowił przemówić.

Zadzwonił w kieliszek i podniósł się.

Usłyszawszy w hallu kroki pani Alicja uchyliła drzwi od stołowego:

- To ty, Andrzej? Zatrzymał się przy schodach.

-Tak.

Poprosiła go, żeby chwilę zaczekał, i cofnęła się do pokoju. Niebawem wróciła trzymając w ręku pieniądze.

- Cóż to jest? - zdziwił się. Pani Alicja zarumieniła się:

178

- Nie pamiętasz? Pożyczyłam dzisiaj od ciebie.

- Ach to! I po cóż mama oddaje? Mówiłem przecież, że to drobiazg. Niech sobie mama zatrzyma te pieniądze. Nie ma o czym mówić.

- Nie, nie! Proszę cię bardzo, musisz wziąć. Powiedziała to z takim akcentem, że odeszła go ochota, aby dalej matkę przekonywać.

- Jak mama chce - mruknął chowając pieniądze do kieszeni. Czuła, że zrobiła Andrzejowi przykrość, lecz jakże mu mogła

wytłumaczyć, dlaczego tych właśnie nieszczęsnych pieniędzy nie chce i nie może dla siebie zatrzymać.

- Jadłeś kolację? - spytała nieśmiało.

-Tak.

-A jutro...

-Co jutro?

- Jutro jest niedziela. Będziesz chyba na obiedzie w domu? Zawahał się.

- Zobaczę jeszcze. Może.

- Postaraj się. Ojcu byłoby przyjemnie. Wcałe cię właściwie nie widzi.

- Dobrze - odpowiedział z przymusem. - Postaram się. Dobranoc mamie.

- Dobranoc - szepnęła.

W pokoju na górze było ciemno. Okno odemknięte na ościerz otwierało się całą swoją rozległą przestrzenią wprost na rozgwieżdżone niebo. Pachniało w pokoju ziemią wiosenną i czystym, orzeźwiającym chłodem nocy.

Nie zapalił światła. Chciał chwilę jeszcze pozostać w tych uciszonych ciemnościach. Nie zdążył jednak podejść do okna, gdy w jego lekko pod blaskiem gwiazd rozświetlonej ramie dostrzegł sylwetkę brata.

Alek siedział na okiennym parapecie, oburącz objąwszy podkurczone nogi, z czołem opartym o kolana. Był już rozebrany i na sobie miał tylko kąpielówki.

- Jeszcze nie śpisz? - mruknął niechętnie Andrzej. Alek podniósł głowę, lecz nic nie odpowiedział. Jego smagłe, opalone ciało połyskiwało w ciemnościach jak miedź. Andrzej cofnął się w głąb pokoju. Po drodze zawadził o krzesło, na którym ciśnięte na kupę leżały ubrania i bielizna Alka. Odsunął je ze złością na bok. Podeszedł do kontaktu.

179

- Zwiewaj! - powiedział szorstko. - Chcę zapalić. Alek bez słowa zsunął się bezszelestnie z okna. Zamknął je. Spuścił roletę. Gdy Andrzej zaświecił, od razu stało się w pokoju ciasno i duszno. Alek stał przy oknie, mrużąc oślepięte światłem oczy. Był chudy i w tym właśnie okresie rozwoju, kiedy zbyt długie ręce i nogi nadają sylwetce wygląd niezdarnej, trochę śmiesznej. Andrzej niezyczliwym spojrzeniem przesunął się po bracie, odwrócił się od niego i począł się rozbierać.

Oba tapczany pościelone już były na noc. Rzucił na swój marynarkę i usiadł na jego brzegu, żeby ściągnąć buty. Prawy dał się zsunąć łatwo, natomiast z lewym zawsze miał kłopot. Mocując się z nim czuł, że Alek patrzy w jego stronę. Spojrzał na niego. Tamten natychmiast w bok umknął oczyma.

- Czego się, do cholery, czaisz? Idźże wreszcie spać!

Udało mu się na koniec but ściągnąć. Cisnął go pod stół, wstał i w skarpetkach przeszedł do łazienki. Światło się w niej nie paliło, było zepsute. Otworzył więc wąskie okienko.

Najbliższa sąsiednia willa rysowała się w ciemnościach bardzo blisko. Okna w niej na piętrze były pootwierane i z lekka rozjaśnione światłem, które świeciło w głębi domu, w którymś z dalszych pokoi. W willi tej kwaterowali od paru tygodni rosyjscy oficerowie. W ciszy, jaka dokoła trwała, bardzo wyraźnie słychać było ich głosy. Chwilami wydawały się nie dalsze niż na wyciągnięcie ramienia. Obce, śpiewne słowa. Głośny śmiech. Pobrzękiwanie bałałajki. Świeży, czysty tenor zanucił naraz tęskną melodię.

W pewnym momencie jeden z Rosjan ukazał się w oświetlonych drzwiach. Wolno przeszedł przez pokój i stanął w otwartym oknie. Andrzej odruchowo się cofnął w głąb łazienki. Tamten plecami się oparłszy o framugę, zapatrzył się w noc, która bezgłośnie oddychała ciszą i spokojem. Wyglądał na młodego człowieka. Jasna, na piersiach rozpięta koszula wyraźnie obrysowywała jego wysoką i nieruchomą sylwetkę.

Andrzej wpatrywał się w niego z napięciem. Więc to był wróg? Jeden z tych, jak mówił Waga, barbarzyńskich najeźdźców, którzy wielomilionową lawiną wyruszyli na podbój Europy. Lecz wbrew temu, co w tej chwili myślał, silniej go przejął i poruszył nagły odruch sympatii, który tamtego obcego i nieznanego człowieka uczynił mu naraz kimś prawie bliskim. O czym mógł myśleć ten młody Rosjanin, daleko rzucony od swojej ojczyzny, od swego domu, od bliskich swoich, w obcym, nieprzyjaznym mieście? Dla-

180

czego odłączył się od towarzyszy i szukał samotności? Wszystko ich -jego i tamtego - rozdzielało, lecz także wszystko zdawało się łączyć. Co było w tym rzeczywiście ważne i co się miało liczyć? Zawile i dręczące racje, które niosła historia, czy ten prosty odruch zwykłej ludzkiej przyjaźni i jakiejś mglistej solidarności wobec jeszcze mglistszych spraw życia i losu? Nagle ogarnęło go śmiertelne znużenie. Cóż znaczą takie oto chwile? Odruchy serca nic nie znaczą.

Przymknął okno i szybko się po ciemku rozebrawszy wszedł pod prysznic. Gdy wrócił do pokoju, Alek leżał twarzą obrócony do ściany. Zgasił światło i także się położył. Długi czas leżał wyciągnięty na wznak, z otwartymi oczyma i dłońmi wsuniętymi pod głowę. Wtem Alek poruszył się na swoim tapczanie.

- Andrzej! - szepnął.

Przez chwilę była cisza. Alek usiadł na łóżku.

- Andrzej, śpisz?

Ten poderwał się z furją.

- Dasz mi wreszcie spokój, do cholery?

Odwrócił się do ściany i po same uszy przykrył kołdrą. Alek już się nie odezwał. Zamknął więc oczy. Czuł jednak, że nie zaśnie prędko. Tak minął kwadrans, może więcej. Płytki półsen począł go już ogarniać, gdy z głębi pokoju dobiegł naraz cichy, przytłumiony płacz. W pierwszej chwili wydało mu się, że się przesłyszał. Uniósł głowę. Po chwili odrzucił kołdrę i boso, ostrożnie omijając w ciemnościach stół, podeszedł do tapczanu brata.

- Alek! - powiedział łagodnie.

Szloch Alka ścichł. Leżał z twarzą wciśniętą w poduszkę i nogami podkurczonymi pod siebie. Kołdra się z niego zsunęła na podłogę. Andrzej ją podniósł. Chwilę stał niezdecydowany. Wreszcie usiadł na brzegu tapczanu i pochylił się nad bratem.

- Co ci jest? Alek!

Objął go, obrócił ku sobie i przez moment, gdy go tak trzymał w ramionach, na wskroś go przeniknęło drżenie tego wątłego chłopięcego ciała. Tuż przy swojej twarzy poczuł twarz brata rozpaloną i mokrą od łez.

Wzruszenie ścisnęło mu gardło.

- Aleczku!

Chciał go bliżej do siebie przygarnąć, lecz tamten szarpnął się gwałtownie i z całej siły począł go odpychać.

- Idź sobie!

- Alek...

181

- Idź sobie!

Cofnął się w głąb tapczanu, pod samą ścianę, i tam się skulił jak zwierzątko. Oczy mu błyszczały, oddychał pośpiesznie. Andrzej wyciągnął rękę:

-Alek!

Ten go odtrącił.

- Idź sobie, słyszysz?! - krzyknął zdławionym głosem. - Nienawidzę cię, nienawidzę...

Światła przygasły i umieszczony w głębi orkiestry reflektor jaskrawym blaskiem ogarnął pusty parkiet. Gwar na sali przycichł. Siedzący przy dalszych stolikach poczęli się podnosić. Orkiestra zagrała tusz. Nim się skończył, w zatłoczonym przejściu pomiędzy barem i dużą salą rozległy się oklaski.

Hanka Lewicka z trudem przeciskała się przez tłum. Kotowicz torował jej drogę. Wreszcie wydostała się na parkiet. Wtedy ze wszystkich stron huczeć poczęły burzliwe brawa. Stojąc w samym środku jasności, dziękowała za nie dziewczęcym, trochę nieśmiałym i zadziwionym uśmiechem. Sala, zanurzona w półcieniu i szczelnie wypełniona ludzkim mrowiem, z ciężką chmurą dymu zawieszoną ponad stłoczonymi głowami i tylko z tym kręgiem jasności pośrodku, wydawała się teraz rozleglejsza niż w pełnym oświetleniu. Oklaski umilkły. Hanka Lewicka stała chwilę bez ruchu, z rękoma opuszczonymi wzdłuż jasnej, długiej sukni. Gdy ścichły na koniec ostatnie odgłosy gwaru i zupełna cisza zaległa dokoła, skinęła w stronę orkiestry. Ta skrzypcami podjęła pierwsze takty piosenki.

Lekki szmer przeszedł przez natłoczoną salę. Tłum zafalował westchnieniem i znieruchomiał. Któż nie znał tej melodii? Śpiewano tę piosenkę o płaczących wierzbach, które się rozszumiały, wszędzie: na ulicach i podwórkach, w pociągach i lokalach. Urodzona w czasie wojny, krążyła teraz z ust do ust, wywołując tamte minione lata walki, opiewając chwałę chłopców z lasu, dolę i niedolę ich partyzantki, romantyczny urok narodowych wzruszeń i uniesień, które jak niezmienny, nigdy nie milknący refren przewijały się od lat przez tę ziemię nabrzmiałą krwią i łzami. Jak niegdyś żołnierz maszerował borem, lasem, jak kiedyś rozkwiatały ginącym pęki białych róż i jak rozbrzmiewała ponad pobojuwiskami dziarska piosenka o pani wojence, której wszystko z siebie potrafią dać

182

z lekkim sercem chłopcy malowani, a teraz, z głębi najciemniejszej nocy, z samego dna cierpień i poniżeń, znad ziemi udęczonej jak żadna inna i potarganej jak żadna inna, raz się jeszcze niosła sentymentalna melodyjka, łatwa i chwytająca za serce. Białe róże zaszumiały wierzbami, ułani już nie pędzili na swych koniach i nie tratowali upadających na ziemię, leśna piechota maszerowała teraz pod deszczami i w spiekocie, lecz śmierć i miłość dziewczyny pozostały te same, jakby wszystkie kłęski, które przygniotły świat, tu jedynie, w tym kraju łatwych ofiar i łatwych złudzeń, niczego odmienić nie mogły.

Czar padł na salę. Wśród ciszy, której nie maćił najłżejszy oddech, wąty, dziecienny głosik Hanki Łowickiej brzmiał ze wzruszającą prostotą i czystością.

Śpiewała refren:

Nie szumcie, wierzby, nam z żalu, co serce rwie, nie płacz, dziewczyno ma, bo w partyzantce nie jest źle...

Nic nie znaczyła długa, wieczorowa suknia pieśniarki, nie znaczyła nic otaczająca ją sztuczna sceneria parkietu i reflektorów. Była prostą, zwyczajną dziewczyną, jak tysiące innych polskich dziewczyn. Takie jak ona były łączniczkami, wozily tajną prasę i instrukcje, przemycaly broń i pieniądze, kochały swoich chłopców, padały w szeregach rozstrzeliwanych, ginęły na barykadach Warszawy. Dla tych jasnowłosych i smukłych dziewcząt układano słowa piosenek, one były młodziutkimi żonami i kochankami, ich zaledwie rozkwitłe ciała kochali chłopcy, którzy uczyli się życia na miłości i na śmierci. Z głębi lasów, jakby z samego serca tamtych lat, biegły niewymyślne słowa:

Do tańca grają nam,

a pocisk bunkry rwie,

śmierć kosi niby łan,

lecz w partyzantce nie jest źle...

Ciężki, leniwy dur padł na ludzi jak sen. Dokoła, w dymie i półmroku, trwały zastygłe postacie. Głowy pochylone i oparte na pięściach. Zasluchane twarze. Oczy zapatrzone. W niektórych łzy. Inne - szklane i nie widzące. Ludzie, którzy przed chwilą byli pijani, robili wrażenie trzeźwych. Piosenka, którą niósł mały dziew-

183

częcy głos, cofała czas, otwierała przeszłość tragicznie teraz gubioną w niepokojach i w bezsensie, w chamstwie i głupocie, w oparach alkoholu, w łatwej miłości i łatwych pieniądzach, w mglistych złudzeniach i daremnych, ślepych żalach, w całym tym spletanym życiu, które ku czemu zmierzało, dokąd miało zaprowadzić? I co w sobie nosiło: zatrąbę czy nadzieję? Wspomnienia ogarnęły ludzi. Cienie głosów. Cienie nieżyjących. Cienie domów, których już nie było. Cienie pejzaży. Cienie własnych losów. Ale żadna radość nie płynęła z głębi tamtych lat. Życie toczyło się obok. Niżej, wyżej. Obok. Piosenka się skończyła, orkiestra umilkła, lecz czar na sali nie zaraz prysnął. Długą jeszcze chwilę trwała cisza i nikt się nie ruszał. Potem dopiero zerwały się oklaski, z początku wątle i pojedyncze, aż przeszły w ogłuszającą wrzawę. Rozbłysły światła.

VII

Zbudził się z ciężkiego snu, obłany potem, z sercem w krtani. Zrazu nie mógł się zorientować, gdzie jest. Ciemność go zewsząd ogarniała. Cisza była, lecz w nim samym kotłował się i rwał zdławiony, chrapliwy krzyk. Słyszał go tak wyraźnie, jakby obok, w głębi mroku, krzyczał człowiek. Usiadł i głowę pełną jątrzącego wrzasku ścisnął dłońmi. Lecz krzyk nie ścichł. Skowyczał pod czaszką. Cała ciemność nim szczekała. Mocniej, aż do bólu ścisnął czoło. Skronie miał zlepione chłodnym potem, dłonie również zimne i lepkie. Przejmujący dreszcz zatrzęsł nim od wewnątrz. Odruchowo poszukał obok siebie nakrycia. Poczł pod palcami najpierw sztywność świeżego prześcieradła, dalej jedwab kołdry. Naciągnął ją na ramiona. I w tym dopiero momencie zdał sobie sprawę, że jest w domu, w sypialnym pokoju, na poniemieckim tapczanie, który dzielił z żoną.

Alicja spała obok. Jej oddech był równy i cichy. Pochylił się nad nią i poczał się wsłuchiwać w spokój jej snu. Wtem, jakby wyczuła jego bliskość, westchnęła lekko i poruszyła się. Cofnął się. Nie przebudziła się jednak. Spała dalej.

Chłód ciągle w nim dygotał. Głębiej naciągnął na ramiona kołdrę i szczelniej się nią owinął. Na stoliku nocnym kołatał budzik. Teraz go dopiero usłyszał. Przez moment ogarnęło go zdumienie. Jakiż spokój mógł być większy? Noc. Uśpiony dom. Obok śpi żona. Zegar cyka. Oto czas się nagle cofnął i zatrzymał wśród

185

jakiejs bardzo odległej, zagubionej godziny. Nieraz się tak zdarzało, że budząc się w nocy, nie starał się zasnąć natychmiast. Lubił te chwile samotności nie mające nic z osamotnienia. Z większą niż za dnia łatwością mógł wtedy objąć doskonale zrównoważoną harmonię swego życia. Toczyło się bezpieczne i przejrzyste. Cisza nocnej pory, spokój domu, równy oddech Alicji pozwalały mu swobodnie wracać w głąb minionych lat. Wśród ich rozległej przestrzeni nie znajdował ani jednej chwili i ani jednego zdarzenia, których wspomnienie przejąc by mogło niepokojem. Nie pragnął z przeszłości niczego przekreślić i niczego wymazać. Niczego się nie musiał z przeszłości wstydzic i niczego z niej nie potrzebował skrywać.

Lecz te mgliste wspomnienia nie poruszyły go żywiej. Gruba, watowana kołdra rozgrzała mu plecy i ramiona, lecz w sobie wciąż się trząsł. Pomimo znużenia bał się położyć. Przymknął tylko ciężące powieki. Poczł ulgę. Wniknął w mrok jak w bezgłośną pustkę. Przestał nagle drzeć. O niczym nie myślał. Oparł głowę o podkurczone kolana. Spokój. Cisza. Ktoś w ciemnościach krzyknął. Wyprostował się i cały się zamienił w słuch. Koło domu rozległ się ten głos? Na ulicy? Zrazu wydało mu się, że się przesłyszał. Po chwili dopiero się zorientował: to w nim na nowo czaił się i wzrastał ten krzyk. Słyszał go już wszędzie. W piersiach. W gardle. W skroniach. Krzyk bitego człowieka. Skurczył się i zeszywniał, jakby nieruchomością ciała zgłuszyć chciał ten odgłos. "Zaraz przejdzie..." - pomyślał. Zaciśnął pięści tak mocno, że paznokcie wpiły mu się w ciało. Lecz krzyk się w nim nasilał, ogromniał, ciągnął za ramiona. Człł, że jeszcze sekunda - i wszystka ciemność dokoła, cała noc, w której niewidzialnych kleszczach tkwił jak w ogromnej jamie, zawrzasną tym potwornym wyciem. Nie mógł tego znieść. Poderwał się z pośłania. Krzyknął.

Pani Alicja natychmiast się przebudziła. Usiadła i po omacku, jeszcze odurzona snem, poczęła trzęsącymi się dłońmi szukać kontaktu. Znalazła go wreszcie. Zaświeciła.

Antoni klęczał na tapczanie nie opodal. Ciężki. Masywny i kanciasty. Twarz miał pobladłą, zmienioną. W pasiastej piżamie i z niekształtną, ogoloną głową wyglądał w tej chwili na wypuszczonego z więzienia zbrodniarza. Gdy skierował na nią szklane spojrzenie martwych, nienaturalnie rozszerzonych oczu, cofnęła się odruchowo.

- Zgaś! - mruknął niewyraźnie.

186

Usłuchała natychmiast. Ciemność z powrotem zaległa. Antoni nie ruszał się. Skulona przy swojej poduszce widziała wyłaniający się obok z mroku masywny, do kłody podobny zarys jego sylwetki.

- Antoni! Milczał.

- Co ci jest?

-Nic.

Musiała zdobyć się na duży wysiłek, aby opanować drżenie głosu:

- Dlaczego się nie kładziesz? Położył się. Znow się stała cisza.
- Antoni...
- Co?
- Śniło ci się coś?
- Może. Nie pamiętam.
- Krzyknąłeś.
- Czy tak?
- Obudził mnie twój krzyk.
- Bardzo mi przykro.

Mówił spokojnie i wyraźnie. Nie czuł już lęku. Minęło wszystko. Znow spokój. Leżał na wznak, równo wyciągnięty, z zamkniętymi oczyma, usiłując oddechowi nadać rytm zasypiania. Wiedział jednak, że nie zaśnie. Bliskość żony ciążyła mu coraz bardziej. Na cóż jeszcze czekała? Czemu, zamiast się położyć i spać, siedziała bez ruchu w swoim kącie, czujna, wyczekująca? Czego się spodziewała? Nie chciał jej troskliwości. Nie potrzebował jej dobroci ani jej miłości. Niczego od niej nie potrzebował. Tylko ludzie kiedyś najbliżsi mogą się stać tacy obcy, jak obca i daleka była dla niego teraz ta dzieląca z nim małżeńskie łóżko kobieta. Cóż o nim wiedziała? Jak śmieszny był cały jej niepokój! Jej litość. Wszystkie jej najlepsze uczucia i najlepsze chęci trafiały w próżnię, daremne i niepotrzebne. I nagle poczuł, że za to właśnie, że była dobra, łagodna i oddana, może ją znienawidzić. Ledwie to sobie uświadomił, doznał ulgi, radośnie się nieomal tą nienawiścią zachłusnął. Odetchnął głębiej.

Pani Alicja poruszyła się:

- Nie możesz zasnąć?
- Nie.

187

Milczała chwilę. Ale Kossecki był pewien, że Alicja nie poprzestanie na tym jednym pytaniu. Cierpliwie czekał dalszych. Myśli szybkie i śliskie, prawie nieuchwytnie, przemykały mu przez głowę. Jeszcze nie wiedział, w jaki sposób i w którym momencie uda mu się najboleśniej dotknąć i zranić żonę, wiedział jednak, że to uczyni i że sprawi mu to przyjemność. Nie musiał czekać długo.

-Antoni!

-Co?

- Chciałam cię spytać o coś...
- Słucham.
- Może ci przeszkadzam, chcesz spać?
- Nie. Słucham cię.

Zawahała się. Za dnia zabrakłoby jej odwagi, aby rozpocząć podobną rozmowę. Teraz ciemność ją ośmieliła.

- Ciągle o tym myślę.
- O czym?
- Dlaczego tak w sobie wszystko skrywasz, Antoni? Wiem przecież...
- Co rozumiesz przez "wszystko"?
- To, co przeszedłeś...
- Ach, to!
- Wiem przecież. Antoni, że musiało ci być ciężko, że straszne rzeczy przeżyłeś. Ale gdybyś tylko zechciał...
- Co gdybym zechciał?
- Dawniej, kiedy miałeś smartwienia albo kłopoty, zawsze się nimi ze mną dzieliłeś. Przypomnij sobie.
- Tak?
- Nie pamiętasz?
- Możliwe.

Głos jej zadrżał lekko:

- Czy teraz jestem już dla ciebie zupełnie obcym człowiekiem? W niczym ci nie mogę pomóc?
- W czym na przykład?

Znow umilkła. "Zaraz zaczniesz płakać" - pomyślał. Ale nie zaczęła.

- Byliśmy, zdaje się, szczęśliwym małżeństwem. Antoni - powiedziała cicho.

Ach, więc to! Byliśmy, było, dawniej, kiedyś... Czas przeszły na wszystkie sposoby odmieniany. Dla niej życie ciągle posiadało jakąś ciągłość, jakiś jednym, prostym nurtem płynący sens.

188

- Czy nie tak?

-Co?

- Było nam dobrze ze sobą. Dwadzieścia dwa lata, Antoni. Milczał. Dwadzieścia dwa lata? Mogła równie

dobrze powiedziec: dziesięć lat, trzydzieści, nawet czterdzieści. Sens wynikał ten sam. Żaden. Nie pojmowała, że życie może się rozpaść jak zbutwiały łachman. Odeszła go nagle nienawiść. Spłynęła z niego, nawet osadu nie pozostawiając. Wszystko to nie miało żadnego sensu. Nawet nienawiść. Miał przed sobą dwa zaledwie dni. Potem koniec. We wtorek spotka się ze Szczuką i od tej chwili przestanie się nazywać Kossecki. Wszystko, co pod tym nazwiskiem działo w ciągu długich lat, okaże się jak puch lekkie i nikłe w porównaniu z tym ciężarem, którym człowiek nazywający się Rybicki przechyli drugą szalę wagi. Wyobraził sobie salę sądową i siebie na ławie oskarżonych wysłuchującego długiej listy popełnionych przestępstw, potem wygłaszającego ostatnie słowo. Rozległa, wysoka sala, w której codziennie przez kilka lat sądził był ludzkie przewinienia. Cóż mógł powiedziec na własną obronę? Wszystko i nic. Jak sztywne wobec życia wydawały mu się teraz paragrafy kodeksu karnego! Życie niosło upodlenie i strach. Zwyczajny ludzki strach. Lęk człowieka, który powoli się zanurza w śmierdzącą kloakę. Życie uczyło, jak trzeba walczyć o jego zachowanie. Uczyło nienawiści i pogardy. Toczyło się poza prawem. Suche orzeczenia kodeksu przechodziły ponad tą otchłanią z wysoka. Cóż łatwiejszego niż nazywać i osądzać? Ale w imię czego? W imię jakiej sprawiedliwości? Wśród poszarpanych i niespokojnie się tłoczących myśli jedno zdanie zarysowało mu się bardzo wyraźnie. "Wysoki Sądzie..." Tłum ludzi. Sędziowskie togi. Krzyż. Cisza. Słyszał swój własny głos tak dokładnie, jakby zewsząd go otaczająca ciemność posiadała rozległy rezonans sali sądowej. "Są takie skazy na honorze - mówił spokojnie i głośno - i takie przewinienia, które w imię sprawiedliwości należy pozostawić osądowi ludzkiego sumienia..." Pani Alicja bliżej się przysunęła w jego stronę.

- Antoni!

"Cóż to jest sumienie?" - myślał. Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Sumienie? Mglisty kształt. Puste słowo. Jeszcze jedno słowo.

- Nie śpisz?

- Nie.

- Nie gniewaj się...

r

189

- Ależ nie - powiedział prawie łagodnie.

- Gdybyś nie był tak skryty, tak w sobie zamknięty, na pewno by ci było lżej. I mnie także by było lżej - dodała ciszej.

- Myślisz?

- Na pewno. Już tak się staram, żebyś miał spokój, żebyś naprawdę mógł odpocząć. Ale widzę przecie, że się męczysz. Chciałabym ci jakoś pomóc. Antoni. Czasem mi się jednak wydaje, że ci tylko przeszkadzam i wcale mnie nie potrzebujesz.

- Cóż? Chcę być przez jakiś czas sam. Przez pięć prawie lat nigdy nie byłem sam.

- Bili cię? - szepnęła.

- Jak wszystkich - odpowiedział po dłuższej chwili. - Z początku zwłaszcza.

- Potem było lepiej?

- Trochę lepiej. Zresztą, jak dla kogo. Ciemność i cisza zdawały się odejmować słowom ich wagę. Przez moment miał wrażenie, że tego, co mówi, nikt nie słucha.

- Potem można było bić innych - powiedział z namysłem. Nie zrozumiała zrazu.

- Jak to innych, Niemców?

- Ale nie! Współwięźniów. Polaków, Francuzów, Włochów, Rosjan, różni tam byli.

Gdzieś z daleka, z głębi nocy, dobiegło kilka krótkich, echem zgłośnionych strzałów. Uniósł się na łokciu.

- Nie rozumiesz?

- Nie. Jak to można było bić?

"Tylko dobroć może być tak głupia" - pomyślał.

- Zwyczajnie - odpowiedział spokojnym głosem. - Przy dobrych chęciach i szczęśliwym zbiegu okoliczności można było zostać pewnego dnia sztabowym. Wiesz, co to jest sztabowy?

- Tak, słyszałam.

- No więc! Miało się wtedy u Niemców duże fory. A za to... jasne chyba? Wielu się urządzało w taki sposób. Tacy mogli wszystko przetrzymać.

Zaległa cisza. Położył się z powrotem. Ciągłe cisza.

-1 co? - spytał wreszcie.

- To straszne. Antoni! Wprost wierzyć się nie chce.

- Że co?

- Pomyśl, Antoni, jaki okropny los takich ludzi, nawet jeśli ich nie dosięgnie kara.

190

Niczego się nie domyśliła. Cień podejrzenia do niej nie przeniknął. Tym lepiej. Ogarnęło go znużenie i

senność. Czuł, że teraz zaśnie. Lecz przedtem chciał się upewnić.

- Myślałem, że dosłownie zrozumiesz to, co powiedziałem.

- Jak to, dosłownie? - zdziwiła się.

- Że ja się też tak urządziłem.

- Antoni, jak możesz tak myśleć?

- Cóż chcesz? Obóz zmieniał ludzi.

- Więc widzisz! - zawołała wzruszonym głosem. - Możesz być dumny, że przeszedłeś przez te wszystkie potworności i jednak pozostałeś sobą.

Kossecki bez słowa odwrócił się na bok, do ściany. Chciał spać.

- Dobranoc, Antoni - odezwała się po długiej chwili pani Alicja.

- Dobranoc - odpowiedział już zupełnie sennie.

Zamknięty w toalecie Pieniążek nie dawał starej Jurgeluszcze spokoju. Przez dłuższy czas wcale go nie było słycać. Aż naraz począł się w separacie gwałtownie szamotać, pokrzykiwać i dobijać do drzwi. Nie było to przyjemne. Ale cóż na to mogła poradzić? Zaglądała kilka razy do toalety. Tamten bełkotał coś niewyraźnie, paznokciami skrobał w drzwi jak szczur, obijał się o ciasne ściany. Potem przycichał i znów się zaczynał szamotać. Bała się jednak drzwi otworzyć. Ciężko wzdychając wracała na korytarz.

Gwar sali stawał się tymczasem coraz donośniejszy. Po Wey-chercie, który mówił bardzo długo, kilku innych ludzi zabierało głos i po każdym przemówieniu słycać było wrzawę, łomot odsuwanych krzesel i dźwięk kieliszków. Bankiet miał się ku końcowi. Podawano czarną kawę. Gdy kelnerzy uchylali drzwi, przed starą Jurgeluszką otwierał się na moment widok na prawie całą salę. Zadymiona była bardzo. Większość gości nie siedziała już na swoich miejscach. Przysiadali się jedni do drugich, niektórzy krążyli dokoła stołu.

Jurguszką znów przerwała robotę swetra i zajrzała do toalety. Tym razem od samego progu zaniepokoiła ją cisza. Zamknęła pośpiesznie drzwi i podeszła do separatki. Chwilę nasłuchiwała. Nie wytrzymała na koniec i zawołała półgłosem:

- Proszę pana!

191

Nikt nie odezwał się. Najmniejszy szelest nie dochodził z głębi separatki. Zapukała.

- Proszę pana! Proszę pana!

Gdy i tym razem nie dał znaku życia, pełna najgorszych przeczuć odsunęła zastawkę i ostrożnie drzwi uchylwszy zajrzała do środka. W pierwszej chwili zatrzęsło ją ze strachu. Wydało się jej, że nieszczęsny więzień nie żyje. Siedział na podłodze, wciśnięty w najciaśniejszy kąt pomiędzy ścianą i sedesem, z nogami podkulonymi pod siebie i głową na ramieniu wspartym o białą muszlę. Dopiero po jego równym oddechu poznała, że najspokojniej śpi. "Chwała Bogu!" - westchnęła z ulgą. I jednocześnie zdjęła ją litość nad żalosaną dolą człowieka. I to ma być człowiek, ten kłębek skulony, jak obwarzanek zwinięty? I w takim miejscu! "Mój ty Boże - pomyślała - ileż się też człowiek musi umordować i namęczyć, zanim zejdzie z tego świata". Stała chwilę, współczująco kiwając głową, wreszcie cofnęła się po cichu i zamknęła drzwi.

Pawlicki wyciągał z sali ledwie się na nogach trzymającego Drewnowskiego. Ujrawszy Jurguszkę skinął na nią:

- Macie tu, babciu, jeszcze jednego klienta. Jak trochę facet otrzeźwieje, niech smaruje do domu. Nic tu po nim.

Sam też był trochę podпиты, lecz zupełnie jeszcze przytomny. Gdy pchnął Drewnowskiego w kierunku toalety, ten zatoczył się i ciężko przyłgął do ściany. Błady był bardzo, zmierzwione włosy spadały mu na czoło, głowa leciała w dół.

Jurguszka od razu go poznała. Ze starą Drewnowską były sąsiadkami od wielu lat i Franka, który od jej Felka był nieco starszy, pamiętała jeszcze jako całkiem młodego chłopca. Teraz zresztą, gdy począł robić karierę i wszedł pomiędzy ludzi z innego środowiska, nie mieszkał już z matką, a w domu przy ulicy Gar-bamej zjawiał się bardzo rzadko.

- A co tamten? - spytał Pawlicki. - Cicho tam jakoś. Nie awanturuje się?

- Zasnął, proszę pana - odpowiedziała Jurguszka. Pawlicki z zadowoleniem zatarł dłonie:

- To świetnie! Niech sobie pośpi.

Podszedł do Drewnowskiego i bez żadnych ceregieli pięść mu podsunął pod brodę:

-No?

Drewnowski spojrzał na niego przymglonymi oczami.

- Doigrałeś się, co? Z karierą możesz się pożegnać...

192

- Poszedł! - mruknął Drewnowski. Pawlicki zaśmiał się na głos:

- Poczekaj, jutro inaczej będziesz śpiewać. Adieu! Drewnowski nic nie odpowiedział. Głowa mu z powrotem na piersi opadła. Robił takie wrażenie, jakby kości w nim zmiękły

i nie miały dosyć siły, aby podtrzymywać ciało. Jurgeluska przysunęła się do niego:

- Panie Franku!

Nie poznał jej. Ale gdy go wzięła pod ramię, bez oporu dał się zaprowadzić do toalety. Ciężył jej strasznie. Po paru krokach oddech ledwie mogła złapać. Czując, że go dłużej nie utrzyma, bezradnie się dokoła rozejrzała. Stołka w toalecie nie było żadnego. Otworzyła więc jedną z separatek, następną za uśpionym Pieniążkiem. Drewnowski posłusznie pozwolił się umieścić na sedesie. Po chwili Jurgeluska przyniosła mu szklankę wody.

- Niech się pan napije, dobrze panu zrobi. Nie mógł jednak szklanki utrzymać. Poczęła go więc sama poić. Kilka łyków wypił chciwie. Wtem otrząsnął się ze wstrętem.

- Nie chce pan?

-Nie.

I znów zwiesił głowę. Potrząsnęła go za ramię.

- Panie Franku! Nie poznaje mnie pan?

- Pani Jurgeluska - zamruczał. - Co pani tu robi?

- Jak to, co robię? Pracuję tu przecież.

Z macierzyńską czułością pogładziła go po głowie.

-1 po co było tyle pić, panie Franku! Nie szkoda zdrowia? Drewnowski machnął ręką:

- Mnie już nic nie zaszkodzi. Koniec.

- Co też pan opowiada? Jaki koniec?

- Koniec. Podchodzę do Świeckiego i coś do niego zaczynam mówić, a on jak na mnie spojrzy... Wie pani, co powiedział? "Obawiam się, panie Drewnowski - powiada - że nie będziemy mieli więcej okazji ze sobą współpracować". I co? Nie będziemy mieli okazji... Widzi pani, pani Jurgeluska, wszystko na nic. Poszło! Domek z kart. Znowu jestem zero. - Wyprostował się i chwycił Jurgeluskę za rękę. - Pani Jurgeluska, ale matce niech pani nic nie mówi...

- Co mam mówić?

- Po co się ma stara martwić? Nie powie pani?

- Pewnie, że nie. Jutro wszystko się ułoży, zobaczy pan.

193

Drewnowski potrząsnął głową:

- Nic się nie ułoży. Ja go znam. Mściwy łobuz. Wszystko zrobi, żeby mnie zniszczyć. Ale nie powie pani matce? Da pani słowo, że pani nie powie? Pani Jurgeluska...

- Powiedziałam przecie, że nie powiem.

- To wszystko przez tego Pieniążka. Drań przekłętą! Żeby nie on, tobym się tak nie urznął.

- No widzi pan! I potrzebne to było?

- Ale teraz już nie jestem napity, co? Pani Jurgeluska, nie jestem pijany?

- Pewnie, że nie.

Znów ją chwycił za rękę. Dłonie miał gorące i spocone. Oczy mu błyszczały.

- Pani mnie zna, pani Jurgeluska, prawda? Czy ja chciałem czego złego? Wydobyć się z biedy, jak człowiek żyć. Nie mam może prawa? Gorszy jestem od innych? Jak taki Świecki może być ministrem, to ja nie mogę? Moja matka, pani wie, pani Jurgeluska, przez całe życie pierze brudne gacie bogatym burżujom. A ja ! nienawidzę biedy. Dość się w życiu nabadowałem. Coś mi się teraz za to należy, nie?

Jurgeluska pokiwała głową:

- Pieniądze, panie Franku, to jeszcze nie wszystko. Szczęścia pan za pieniądze nie kupi.

- Ale! Opowiada pani. Szczęście też kupię, pani Jurgeluska. | Wielka rzecz szczęście. Za forszę wszystko można kupić. Nawet po ; tańszej cenie. Raz tylko zacząć. Potem samo idzie.

Podniósł się i dłoń przesunął po czole:

- Cholera! Jeszcze mi się w głowie kręci.

- Niech pan siada, panie Franku. Oparł się o ścianę.

- Zaraz, za chwilę przejdzie. Ja jestem twardy chłopak, pani Jurgeluska. Pani mnie zna, nie? Nie dam się tak łatwo skrzywdzić.

- Gdzie pan idzie? - zaniepokoiła się Jurgeluska.

- W świat.

Na próżno usiłowała go zatrzymać. Zataczając się podszedł do lustra i wyciągnawszy z kieszeni grzebyk przeczesał nim włosy. Potem poprawił krawat.

- Fajnie! Przystojny ze mnie chłopak, pani Jurgeluska, nie?

- Ech, panie Franku, panie Franku... - westchnęła.

- Niby co?

194

- Bieda z panem.
 - Nie szkodzi. Raz na wozie, raz pod wozem. Wyjedziemy jeszcze. Nie tak, to inaczej. Przytrzymując się ściany wyszedł z toalety i rozejrzał się po korytarzu.
 - Pani Jurgeluska?
 - Co?
 - Którędy tu wyjście?
 Kręciła się koło niego strapiona.
 - Zostałby pan lepiej, panie Franku. Gdzie pan pójdzie o tej godzinie?
 - Zobaczę. A z tamtymi - wskazał ręką w kierunku sali -koniec. Szlus. Tym lepiej. Tędy wyjście, pani Jurgeluska? Co tam jest?
 - Kuchnia. Z kuchni na prawo pan skręci. Podprowadzę pana...
 - Nie trzeba! Do zobaczenia, pani Jurgeluska. Wyprostował się, obciągnął marynarkę i poszedł przed siebie prawie równym krokiem. Wtem, już z głębi korytarza, zawrócił.
 - Zaraz, pani Jurgeluska - sięgnął do kieszeni spodni - o pani zapomniałem.
 - Co też, panie Franku! - oburzyła się. Wyjął pięćsetkę.
 - Bierz pani i nie gadaj. Pieniądz jest pieniądz. Zawahała się. Za pięćset złotych mogła kupić Felkowi nową koszulę i dwie pary skarpetek. Bielizna Felka była w bardzo złym stanie. Koszuli zwłaszcza potrzebował.
 - No, bierzże, pani Jurgeluska! Za dużo ma pani pieniędzy? Wcisnął jej banknot do rąk.
 - Co pan wyprawia, panie Franku - mruknęła zawstydzona. -Jak tak można?
 - Że co? Nie należy się pani?
 - Ale to za dużo. Drewnowski roześmiał się:
 - Pani zmartwienie?
 - Żeby od obcego chociaż człowieka...
 - To co? Obcy jest lepszy? Bierz pani, bo się rozłoszczę. Taką jeszcze forszę będę miał, pani Jurgeluska, zobaczy pani!
 Gdy została sama, usiadła na swoim wyplatany krzeselku i wzięwszy druty zamyśliła się. Te niespodziewane pieniądze spadły jak z nieba. Bóg świadkiem, że ich nie chciała przyjąć. Ale tak

195

już widocznie musi być na świecie: jednemu smutek, drugiemu radość. Któż zresztą może przewidzieć, co i kiedy jest komu przeznaczone? Zdawało się - kto jak kto, ale Franek Drewnowski wysoko zajdzie. Szczęściło mu się ostatnio jak mało komu. I naraz... Właśnie Felek od dawna marzył o nowej koszuli. Chciał, żeby była żółta...

Te rozmyślenia nad dziwnością różnych wydarzeń przerwał jej znów do toalety zdążający Pawlicki. Tym razem był sam. Podniosła się natychmiast. Tamten przystanął.

- Cóż nasz klient?
 - Który, proszę pana?
 - Ten drugi.
 - Poszedł, proszę pana.
 - Co, już? A to świetnie! Widzę, babciu, że nie najgorzej umiecie sobie radzić z gośćmi. Pomarszczoną, króliczą twarz Jurgeluski rozjaśnił uśmiech zadowolenia. Ceniła swój wieloletni zawód i lubiła otrzymywać za pracę słowo uznania.
 - Bo trzeba wiedzieć, proszę pana - powiedziała z przekonaniem -jak z człowiekiem postępować.
 - Na przykład!
 - Z każdym inaczej, proszę pana. Z jednymi jak z dziećmi, z przeproszeniem...
 Nie słuchając dalej, Pawlicki zniknął w toalecie. Ledwie zdążyła za nim zamknąć drzwi, z sali bankietowej dyskretnie się za nim wyniknął bardzo już różowy na twarzy Weychert. "Zaczyna się ruch" - pomyślała z zadowoleniem Jurgeluska.
 Ujrawszy rozkraczanego przy pisuarze Pawlickiego Weychert zatarał dłonie.
 - Prasa ma zawsze dobre pomysły! Pawlicki roześmiał się:
 - Prawda?
 Tamten stanął obok.
 - Spławiliście Drewnowskiego?
 -Aha!
 | - Co on takiego nagadał Świeckiemu? Urzęnięty był, zdaje się, zupełnie.
 - Gówniarz - stwierdził lakonicznie Pawlicki i odszedł w stronę lustra, zapinając spodnie.

196

Tymczasem Weychert, wpatrzony w wilgotną ścianę pisuaru, zastanawiał się, w jaki sposób najzręczniejszy

powinien wykorzystać przypadkowe i dalekie od oficjalności sam na sam z Pawlickim. Nie wiedział niestety, że redaktora «Głosu Ostrowieckiego», pochłoniętego nadzieją przeniesienia się do stolicy, mało już w tej chwili interesują lokalne rozgrywki personalne.

Spojrzał na zegarek.

- Wcześniej jeszcze.

- Która? - spytał Pawlicki.

- Dwunasta dochodzi. Dziecinna pora. Trzeba by coś zrobić z tak przyjemnie zaczęłym wieczorem.

Pawlicki nie miał ochoty wracać do domu, ale nie lubił wydawać pieniędzy.

- Ba! - mruknął.

Weychert starannie począł przed lustrem poprawiać krawat.

- Można by się przenieść na ogólną salę albo do baru. Co pan sądzi, redaktorze? Namówimy Świeckiego.

Szczuka nie zechce pewnie...

- Szczuka? - skrzywił się Pawlicki. - Nudziarz straszliwy. Wielkiego odstawia.

- Może Wrona?

- Nieźle chłopak pije, ale za dużo gada o rewolucji. Małe miasto, panie prezydencie. Na palcach jednej ręki zliczy pan ludzi, z którymi przyjemnie można spędzić wieczór. Świecki, owszem, porządny chłop, dobrze ma umeblowaną głowę. Ale reszta?

Gdy wrócili na salę, Świecki wstawał od stołu. Rumor odsuwanych krzeseł zmieszał się z ogólnym gwarem.

Po bokach sali tworzyły się grupki głośno rozmawiających. Nikt na razie nie wychodził.

Weychert z Pawlickim podeszli do wiceministra.

- Rozejście się? - spytał Weychert. Świecki ziewnął:

- Dostać tego dobrego. Wynudziłem się jak mops.

- Ja też - stwierdził Weychert. - Nie wiesz, co się stało z Podgórskim?

Podgórski stał po drugiej stronie stołu i rozmawiał z Wroną.

- Bo co? - spytał obojętnie Świecki.

- Słowem się cały czas nie odezwał... Świecki wzruszył ramionami:

- Pojęcia nie mam. Może go brzuch bolał? Za to mój sąsiad z lewej strony gadał o wiele za dużo.

197

- Wrona?

- Właśnie. Ale, jak myślisz - wziął Weycherta pod ramię - jak to wszystko razem wypadło, dobrze?

- Doskonale!

- A w przemówieniach nie za dużo było o mnie mowy?

- Masz zmartwienie? O kim miano mówić? Świecki się zaśmiał:

- Nie przesadzajmy, ostatecznie ten Szczuka jest kimś.

- Podobno. Ale przyszłość należy do ludzi nowych.

- To inna sprawa. Gdzież on jest?

- Szczuka? Ze starym Kalickim rozmawia.

Kalicki i Szczuka stali w głębi sali, w milczeniu paląc papierosy. Spotkanie, na które ze wzruszeniem czekali, nie dało im nic prócz wzajemnych rozczarowań. Obaj to czuli i obaj wiedzieli, że krótkie zetknięcie, pierwsze po wielu latach, oddaliło ich na zawsze, kładąc pomiędzy nimi przepaść nie do przebycia. Nic już sobie nie mieli do powiedzenia. Czuli przecież, że wraz z zamierającą przyjaźnią tracą obaj coś z samych siebie, ponieważ gorycz rozstania czyni nieraz ludzi bardziej umarłymi niż śmierć prawdziwa.

Szczuka spojrzał na zegarek. Tamten dostrzegł to.

-Która?

- Dwunasta dochodzi. Trzeba iść. Daleko mieszkasz?

- Nie. Auto mnie zresztą jakieś podwiezie.

- Do zobaczenia zatem. Trzymaj się.

-Ity.

Uścisnęli sobie dłonie trochę niezręcznie, odruchowo unikając spojrzenia w oczy. Kalicki stał jeszcze chwilę, jakby chciał coś powiedzieć. Nic jednak nie powiedział, wyprostował się tylko, skinął głową i wolno począł iść ku drzwiom wyjściowym. Szczuka odprowadził go wzrokiem, aż tamten zniknął. I wtedy dopiero zdał sobie sprawę, że przy pożegnaniu obaj zupełnym milczeniem pominęli umówione na wtorek spotkanie. "Tym lepiej" - pomyślał.

Krystyna poruszyła się. Poczł na policzku jej włosy.

- Myślałem, że śpisz - powiedział cicho.

-Nie.

Uniósł się na łokciu. Oczy miała otwarte. Były większe niż przy świetle. Wilgotne i ciepłe. Włosy jej delikatnym, złotawym

198

poblaskiem rozjaśniały ciemność. Leżała tak cicha, jakby wcale nie oddychała. Maciek też się nie ruszał. Przez moment wszystko to wydawało się mu nierzeczywiste. Ta ciemność poza czasem i przestrzenią. Cisza. Spokój, który miał w sobie nieogarnioną rozległość snu. Przejmującą przejrzystość snu. Niebo rozgwieżdżone w głębi. I przede wszystkim to ciało, które trzymał w ramionach. Nikły jego zarys mógł dojrzeć wśród mroku. Posiadł je prędzej, niż zdążył poznać. Ale nie było obce. Wydawało się łagodną i nieruchomą falą blasków i cieni. Wystarczyło z jego strony ruch ręki, aby odnaleźć mógł dłonią gładkość skóry i owym, jakby ze snu wywołanym, blaskom i ceniom przywrócić ich żywy, cielesny kształt. Ale nie uczynił tego ruchu. Doskonałość tej chwili wnikała w niego spokojem tak wielkim, jakiego ani przeczuć do tej pory nie umiał, ani wyobrazić sobie w przybliżeniu nawet nie potrafił. Z wieloma dziewczynami leżał tak jak z tą teraz. Ale wszystkie te łatwe historie były pośpiesznie kradzione pomiędzy innymi ważniejszymi sprawami. Trwały krótko, nie pozostawiając żadnych prawie wspomnień. Były prostackie, gwałtowne i niecierpliwie, kończyły się wraz z nasyceniem zmysłów. Tu nie było końca. Nie pragnął niczego poza tym, co było teraz. Nie istniało wczoraj, nie istniało jutro. Przy piersi czuł równe pulsowanie serca Krystyny. Całym sobą wsłuchiwał się w ten niewidzialny ruch. Na koniec stracił orientację, gdzie serce bije: w nim, czy w niej. Ogarnęła go naraz ogromna, oddech zatykająca tkliwość, nieznane wzruszenie. Pomyślał przez moment, że powinien to wszystko, co w tej chwili czuje i przeżywa, wyrazić - wypowiedzieć jakoś. Ale nie znalazł w sobie żadnych słów. Pochylił się tylko nad Krystyną i wolno, bardzo delikatnie, jakby się bał zmaćć spokój i ciszę, całował począł jej włosy, skronie, policzki. Żadnej dziewczyny do tej pory w ten sposób nie całował. Nie przypuszczał nawet, że można tak całować. I nagle doznał dziwnego wrażenia, że w tych pocałunkach, we własnych wargach, które pragnął uczynić lżejszymi od powietrza, odnajduje w ciemnościach nie tylko Krystynę, lecz i siebie samego. Chciał szepnąć: kochanie, najdroższa moja... lecz nie pozwolił mu na to odruch wstydu. Krystyna też milczała. Oczy miała otwarte. Była zamyślona, wydawała się nieobecna myślami. Patrzyła w ciemność ponad sobą. O czym mogła myśleć? Co w tej chwili czuła? Maciek mocniej ją ogarnął ramieniem.

- Zmęczona?

199

Zaprzeczyła ruchem głowy. Położył się. Zamknął oczy. W zupełnych ciemnościach ciało Krystyny wydawało mu się jeszcze bliższe. Wchłaniał w siebie jego ciepło, jego nieruchomość. Ciągłe czuł przy piersi szelest jej serca. Powoli zatracił świadomość czasu. Mogło to trwać chwilę krótką, mogło trwać wieczność. Aż wreszcie szczęście, w które wnikał i które go zalewało, wstrząsnęło nim tak gwałtownie, że zdjął go lęk. Otworzył oczy i podniósł się, jak wpiersz się na łokciu. Słyszał teraz tylko własne serce. Pulsowało w nim pod samą skórą.

Krystyna spojrzała na niego.

-Co?

Zawahał się. Nie, tego, co w tej chwili czuł, nie mógł powiedzieć.

- Nic, głupstwo.

- Jakie?

- Jakie? Tak mi przyszło do głowy... Znamy się od kilku zaledwie godzin, a wydaje mi się, jakbyśmy się znali od bardzo dawna...

Chwilę milczała.

- Nie wiem - powiedziała wreszcie. - Nie myślałam o tym. Była pewna, że odpowie jej cynicznie, tym samym stylem, jakim rozmawiał z nią był do tej pory. Milczał jednak. Mimo to czekała rjeszcie chwilę. Nic. Poczowała tylko, że ramię jego zadrzało lekko, tjakby krótki dreszcz przez nie przeszedł. Pochylony, nie patrzył na nią w tej chwili. Tuż ponad sobą widziała zarys jego twarzy i szyi. [Przez moment zapragnęła objąć go i przyciągnąć do siebie. Ale [Stłumiła natychmiast to pragnienie. Po raz pierwszy od chwili, kiedy i tu przyszła, ogarnął ją niepokój. Zgodziła się łatwo na tę całą (historię tylko dlatego, że skusił ją kaprys krótkiej, nic nie znaczącej przygody. Chciała przespaać się przez jedną noc z przystojnym, i obcym chłopcem. To wszystko. Wydawał się tak dobrym partne-; rem! Sądziła, że będzie cyniczny, pewny siebie i w miarę wulgarny. , Spodziewała się, że potraktuje ją trochę jak uliczną dziewczynę. ; Okazał się tymczasem nieśmiały w swojej młodzieńczej namięt-; ności, delikatny i tklivy.

I Cisza, która się przedłużała, poczęła coraz bardziej Krysty-^ nie dokuczać. Wiedziała z doświadczenia, że w pewnych chwilach | milczenie bywa wymowniejsze od wszelkich słów. Postanowiła »przerwać je natychmiast. ; - Ciekawa jestem, czy rzeczywiście był pan pewien, że przyjdę?

200

Pochylił się nad nią tak nisko, że poczuła na twarzy jego oddech.

-Pan? Roześmiała się:

- Więc ty...
 - Nie, wcale nie byłem pewien.
 - A wie pan... przepraszam, wiesz, dlaczego przyszedłem?
 - Dlaczego?
 - Nie domyślasz się?
 - Nie.
 - Ależ to proste! Dlatego, że nie mogłabym się w tobie zakochać. Milczał.
 - Halo! - odezwała się po chwili.
 - Co?
 - Mogę dostać papierosa?
- Stolik nocny stał obok, przy łóżku. Wyciągnął rękę. Pudełko z papierosami leżało na samym brzegu.
- Masz?
 - Tak.

Włożył jej papierosa do ust. Drugiego wziął dla siebie. Potem sięgnął po zapalki. Musiał jednak cofnąć ramię, którym obejmował Krystynę, aby zapalić. Skorzystała z tego i odsunęła się w głąb łóżka. Błysk zapalki rozjaśnił ciemność. Nie spojrzeli jednak na siebie w ciągu tej krótkiej chwili światła. Zresztą Chełmicki szybko zapalkę zgasił. Sięgnął jeszcze po popielniczkę i postawił ją na łóżku pomiędzy sobą a Krystyną. Rozdzielała ich teraz jak nagle wzniesiona przegroda.

Dłuższy czas palili w milczeniu. Dwa ogieńki jarzyły się w ciemnościach.

- Co to za papierosy? - spytała Krystyna.
 - Węgierskie.
 - Mocne.
 - Tak. Nie smakują ci?
 - Owszem, dobre.
- Znów stała się cisza. Nagle spytał:
- Nie chcesz się zakochać?
 - W tobie?

W głosie jej zabrzmiał wyraźny akcent ironii. Lecz i tym razem nie odpowiedział tak, jak się spodziewała i jak chciała.

201

- Ależ nie, nie o sobie myślę! W ogóle.
- Raczej nie.
- To jako zasada?
- Powiedzmy. Po co sobie komplikować życie?
- Samo się komplikuje.
- Więc tym bardziej. Po co dodawać nowe komplikacje? Żar papierosa wydobywał z mroku zarys jej dłoni i ramienia.
- Powiedz mi coś o sobie - poprosił niespodziewanie.
- O sobie? Po co? Cóż za pomysł! Nic nie odpowiedział.
- Zresztą, mogę powiedzieć - odezwała się po chwili. - Ale to ic ciekawego. Do wojny mieszkałam na wsi.
- Gdzie?
- W Poznańskim. Niedaleko Mogilna.
- A potem?
- Potem? Przenieśliśmy się do Warszawy.
- My?
- Matka i ja. Ojca zaraz na początku aresztowali Niemcy.
- Zginął?
- Tak. W Dachau. Cóż jeszcze? To chyba wszystko.
- Matka twoja żyje?
- Nie. Zginęła w czasie powstania.
- Moja także. A rodzeństwa nie masz?
- Na szczęście nie.
- Na szczęście?
- Cóż, mniej przynajmniej bliskich zginęło.
- Ach to! - mruknął. - To prawda. Ja miałem brata. Zginął akcji. Jeszcze w czterdziestym trzecim.
- Więc widzisz.
- Ojciec mój jest w Anglii. Wątpię jednak, czy wróci teraz.
- Żadnej rodziny?
- Bliskiej żadnej. Zostajesz w Ostrowcu?

- Nie wiem. Na razie tak.

- A dalej?

- Nie myślę, co dalej.

Zgasiła papierosa. Zaciągnął się głęboko i uczynił to samo. opielniczkę odstawił na stolik. Przez dłuższą chwilę leżeli w mil-eeniu. Obrócił się wreszcie ku niej i głowę podparł dłonią.

- Śpiąca?

-Nie.

202

Znowu uczuł się aż do bólu przepelniony tym samym wzruszeniem, które ogarnęło go po raz pierwszy przed kilku minutami, gdy trzymał Krystynę w ramionach.

- Naprawdę, nie byłem pewny, że przyjdiesz - powiedział cicho.

Głos jej dotarł jakby z bardzo daleka:

- Powiedziałeś to już przecież.

- Ale wierzysz mi?

- Czemuż bym miała nie wierzyć?

- Nie znasz mnie wcale.

-1 ty mnie.

- O nie! Ja ciebie znam.

- Czyżby?

- Naprawdę.

Wydało mu się, że ciało jej lekko drży. Przysunął się bliżej.

- Zimno?

- Trochę.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Teraz dobrze?

- W każdym razie cieplej.

Leżała w jego ramionach i znów czuł przy piersi pulsowanie jej serca. Naraz podniosła głowę.

- Powiedz...

-Co?

- Jaki ty właściwie jesteś?

- Jak to, jaki?

- Zupełnie inny teraz niż przedtem.

- Inny?

- Nie zauważyłeś sam? Zamyślił się na moment.

- Może... Czy to źle?

- Mój Boże! - odpowiedziała cicho. - Chyba bez znaczenia. Lecz oczy jej, bardzo teraz rozszerzone i w niego wpatrzone, zdawały się mówić co innego.

- Rzeczywiście bez znaczenia? Nic nie dopowiedziała.

- Powiedz...

- Nie wiem! - szepnęła. - Obejmij mnie mocniej. Uczynił to. Teraz było jej dobrze. To wszystko. Lekko rozchylonymi wargami całował jej wółprzymknięte powieki.

203

- Wiesz - szepnął ~ nawet nie przypuszczałem...

-Że co?

- Nie, nic. - Umilkł, jakby mu zabrakło tchu. I jeszcze ciszej powiedział: - Dzięki tobie jestem inny.

- To chciałeś powiedzieć?

- Nie. Ale to także.

- A tamto?

Z korytarza dobiegł naraz odgłos ciężkich, przytłumionych chodnikiem kroków. Chełmicki podniósł głowę i począł nasłuchiwać. W drzwiach obok zazgrzytał klucz. Człowiek wszedł do sąsiedniego pokoju. Zamknął drzwi za sobą. Przekreślił kontakt. Wśród ciszy, która panowała dokoła, odgłosy dochodziły tak wyraźnie, jakby wcale od nich nie odgradzała ściana. Słysząc było nawet skrzywienie podłogi.

Krystyna też podniosła głowę.

- Co się stało?

- Nasz sąsiad wrócił.

- Ktoś znajomy?

-Nie.

Położył się z powrotem, lecz nie mógł się od tamtych odgłosów oderwać. Teraz dopiero zdał sobie sprawę,

że w ciągu ostatniej godziny, od chwili kiedy przysła tu Krystyna, ani razu nie pomyślał, dlaczego się znalazł w tym obcym pokoju hotelowym. Ta godzina, którą przeżył jak jedną krótką chwilę, zdawała się spoczywać poza całym jego życiem, oderwana od wszystkiego, co było i co miało być. Nagle wszystko wróciło. Słychać było, że Szczuka otwiera okno. Przez chwilę trwała cisza. Stał zapewne w oknie. Potem kroki. Odgłos przesuwanego krzesła.

- Strasznie wszystko słychać - szepnęła Krystyna.

- Tak. Co robisz jutro?

- Jutro?

- Właściwie dzisiaj. Już jest dzisiaj.

- Wieczorem, jak zwykle. W barze.

- A w dzień?

- Nic. Puciatyccy zaprosili mnie na obiad.

- Ach, ci! To twoi krewni?

- Bardzo dalecy. Przez Freda Teleżyńskiego. Dzisiaj ich zresztą dopiero poznałam. I ciebie przy tej okazji oficjalnie.

- Byłem śmieszny?

204

- Trochę. Ale to tylko ja mogłam ocenić. Po co się do nich przysiadłeś?

- Nie domyślasz się?

- Głuptas jesteś - szepnęła.

Szczuka chodził za ścianą. Tam i z powrotem. Uporczywie - tam i z powrotem po tej samej linii. W jednym miejscu, mniej więcej pośrodku pokoju, stale pod jego ciężkimi krokami skrzypiała podłoga. Maciek usiłował nie słyszeć tego. Zaciśnął powieki i mocniej objął Krystynę, aby całym sobą skupić się na pieszczocie jej palców. Ręka jej zatrzymała się nagle. Na lewym boku poniżej żeber miał długą, szorstką szramę.

- Co to jest?

- Głupstwo! Blizna.

- Byłeś ranny!

- Coś w tym rodzaju.

- Kiedy?

- Jeszcze przed powstaniem. W jednej takiej historii.

- Jak do ciebie w domu mówili?

- W domu? Różnie. Ojciec: Maciej, matka i brat: Maciek.

- A koledzy?

- Maciek.

Poczuł, że się uśmiechnęła.

- Z czego się śmiejesz?

- Tak mi się przypomniało. Ojciec wołał na mnie, kiedy byłam mała: Tynia.

- Tynia - powtórzył miękko. - To ładnie.

Dotknął wargami jej ust. Rozchyliły się natychmiast. Były wilgotne, pełne jątrzącego gorąca. Głębiej się w nie wcisnął i tak gwałtownie, jakby w tym pocałunku nie tylko wyrazić chciał wszystko, co czuł, lecz i znaleźć w nim pragnął ucieczkę, ratunek jedyny i bezpieczny. Ale poprzez szum krwi, która w nim szybko zaczęła pulsować, ciągle słyszał tamte kroki - tam i z powrotem, tam i z powrotem - a pod powiekami, z ciemności, którymi były po brzeg przepelnione, wyłaniała się do zjawy sennej podobna sylwetka Szczuki, taka sama, jaką ją dobrze zapamiętał, gdy tamten, przygarbiony i ciężko wspierając się na lasce, wchodził był na górę po schodach. Cóż złego uczynił mu ten człowiek? Dlaczego go musiał zabić? Zabić. To słowo po raz pierwszy zabrzmiało w nim groźnie i niepokojąco. Tyle razy zabija! To było tak proste. Życie i śmierć toczyły się obok. Ginęli wrogowie, ginęli przyjaciele. Życie

205

jednych i drugich wisiało nad stromą otchłanią. Śmierć jednych i drugich rozptywała się jak dym. Ale ten obcy człowiek, który w tej chwili, przed udaniem się na spoczynek, odbywał samotną wędrówkę wśród samotnych czterech ścian, ten nieznan i jednocześnie tak bliski człowiek, jeszcze żył, jeszcze się poruszał, miał jakieś swoje plany, pragnienia, nadzieje, swoje własne życie. Czy miał bliskich? Jaką wartością mogło być dla niego życie? Komu był potrzebny? Kto go kochał, jaka kobieta, jaki przyjaciel?

Wstrząsnął nim dreszcz niepokoju. Podniósł głowę. Wargi, które przed chwilą pełne były ust Krystyny, wydawały mu się suche i sztywne.

- Pójdiesz na ten obiad? - spytał stłumionym głosem. W pierwszej chwili nie zorientowała się, o co mu chodzi.

- Na jaki obiad?

- Do tych...
 - Ach, to! Skąd ci to przyszło do głowy?
 - Nie pójdziesz?
 - Nie wiem jeszcze.
 - Nie idź! - szepnął błagalnie. Milczała.
 - Nie idź. Spędzimy ten dzień razem. Przy tobie...
 - Co?
 - Wiesz przecież.
- Oczy mu błyszczwały, ciemne włosy zsunęły się na czoło.
- Krystyno! Cofnęła się nagle:
 - Nie, nie!
 - Co, nie?
 - Nie chcę. To nie ma sensu. Chciał ją objąć, lecz trafił na opór.
 - Nie chcę, nie chcę... Głos jej drżał i łamał się.
 - Dlaczego?
 - Dlaczego? Nie rozumiesz? To takie proste. Wyjedziesz stąd... Nie mógł zaprzeczyć.
 - Tak. Muszę.
 - Więc po co to wszystko, po co? Rano powiemy sobie: do widzenia...
 - Nie wyjeżdżam zaraz. Potrząsnęła głową:

206

- To wszystko jedno. Już nie chcę żadnych rozstań, żadnych wspomnień. Niczego, co trzeba poza sobą zostawiać. Żadnych bagażów.
 - Nawet wspomnień przyjemnych?
 - Jeśli muszą być tylko wspomnieniami?
- Szczuka ciągle chodził po swoim pokoju. Wtem przystanął. Cisza się rozwarła jak w głębokiej studni. Maciek położył się. Po chwili Krystyna pochyliła się nad nim i gładzić go poczęła po włosach.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Chciał powiedzieć: za tydzień. Lecz nie mógł się na to zdobyć.
- We wtorek.
 - Wrócisz?
 - Nie wiem. Ale może mógłbym jeszcze wszystko zmienić.
 - Co wszystko?
 - Różne rzeczy. Jedną przede wszystkim. Najważniejszą.
 - Mógłbyś?
 - Może...
 - Ale po co?
- Położyła się przy nim i dalej gładziła go po włosach. Dotknięcia jej palców miały delikatność pocałunków.
- Widzisz - powiedziała patrząc w ciemność ponad sobą - ja mam swoje życie, ty masz swoje. Przypadkiem się spotkaliśmy. Jest przyjemnie. Czego więcej trzeba?
 - Nic?
- Za ścianą skrzypnęło łóżko. Stuknął rzucony na podłogę but. Po chwili drugi.
- Obejmij mnie - szepnęła.
- Serce jej biło bardzo mocno. Nagle poczuł na szyi jej gorące wargi. Tuż przy ścianie zaszumiała woda w umywalce.
- Kochanie.
- I uczył naraz taką ulgę, tak ogromne szczęście i tak pełny, oszalamiający zachwyt, jakby tym jednym małym słowem wyraził nie tylko siebie, lecz odgrodził się owym zaklęciem od wszystkiego, co wyrastało obok i było groźne, bolesne, splątane trudnymi sprzecznościami.
- Kochanie - powtórzył najtkliwiej, jak potrafił.
- Ostatni goście opuścili "Monopol". Był już ranek. Na sali przygaszono światła. Kelnerzy porządkowali stoliki. Słomka, sapiąc

207

- i po swojemu wiosłując przy piersiach dłońmi, przynaglał ich do pośpiechu. Mrok szarzał po kątach, lecz przez zasłony w oknach przedzieriała się nieśmiało jasność dnia. Muzykanci z orkiestry chowali instrumenty. Młody pianista wybrzdąkiwał na fortepianie jednym palcem Kompanię szturmową.
- Aa! - ziewnął gruby skrzypek i usiadł na krześle. - Nóg nie czuję. Przestań, Julek, uszy puchną...
- Pianista zaśmiał się i z trzaskiem zamknąwszy fortepian gwizdać począł tę samą melodię. Z baru dobiegał głośny pijacki tumult. Zabawa tam jeszcze trwała.

- No, panowie! - podniósł się skrzypek. - Trzeba pomieszkać trochę. Zszedł z estrady. Za nim leniwie i sennie zbierać się poczeli pozostali. Wtem skrzypek zatrzymał się na skraju parkietu.

- Słyszycie?

W barze śpiewano "Sto lat". Niezgodne głosy, męskie i kobiece, zlewały się w bełkotliwą wrzawę. "Jeszcze raz, jeszcze raz, niech żyje, żyje nam"...

- Wesoło im! - mruknał rudy saksofonista.

W pewnej chwili, zataczając się i szeroko, jakby powietrze chwytał, gestykulując, wypadł z baru Kotowicz. Przystanął, rozejrzał się po sali i ruszył ku muzykantom. Głowa jego nie utraciła nic ze swojej wspaniałości. Z włosami rozwianymi nad wysoko sklepionym czołem wydawała się samym natchnieniem.

Podniósł rękę:

- Chwilę, panowie! Un moment! Ani słowa. Jesteście, panowie, artystami czy nie jesteście?

- O tej godzinie, panie dyrektorze? - mruknał skrzypek. Kotowicz groźnie zmarszczył brwi:

- Dla artysty nie ma pory, mój panie. Ani słowa! Żądam bezwzględnej posłuszeństwa. Absolutnego posłuszeństwa.

Z głębi sali przytoczył się zaspany Słomka. Kotowicz z daleka go zatrzymał rozkazującym wyciągnięciem dłoni:

- Stać! Stać, dobry człowieku. Ani kroku. Jako ubogi duchem, może się pan tylko przypatrywać. Ani słowa.

Wspaniały wygląd Kotowicza i siła jego głosu były tak sugestywne, że Słomka bez słowa protestu wycofał się pomiędzy stoliki. Kilku kelnerów podeszło bliżej. Najdalej wysunął się ów młody, zniechęcony przez Słomkę. W barze przycichły tym-

208

czasem wycia. Dobiegał teraz charakterystyczny harmider zbierających się do opuszczenia lokalu pijaków. Kotowicz, dopomagając sobie gestami, tajemniczym szeptem przekładał coś muzykantom. Ci spoglądali po sobie niezdecydowanie. Kotowicz cofnął się i spojrzał na nich, jakby chciał ocenić wrażenie swoich słów.

- Więc? Panowie!

- Kiedy to nie wyjdzie, panie dyrektorze - mruknał gruby skrzypek.

- Ta nie graliśmy tego nigdy, panie - przeciągnął z lwowska saksofonista.

Najwspanialsze oburzenie odmalowało się na twarzy Kotowicza. Cofnął się jeszcze o krok i z tej odległości zmierzył skrzypka i saksofonistę spojrzeniem tak straszliwym, że grubas, który stał bliżej, szybko zaczął się tłumaczyć.

- Proszę nas zrozumieć, panie dyrektorze...

- Żadnych wyjaśnień nie przyjmuję.

- Coś ze swego repertuaru możemy zagrać - odezwał się pojednawczo saksofonista - owszem, czemu nie? Marsza jakiegoś, czardasza...

- Ha! - wykrzyknął Kotowicz. - Ani słowa więcej! Ani słowa.

Młody pianista, który do tej pory trzymał się na uboczu, przysunął się do kolegów.

- Wspaniały facet - szepnął skrzypkowi do ucha. - Co chce, żebyśmy grali?

Skrzypek wzruszył ramionami:

- Poloneza Chopina!

- Którego?

- Czort go wie! Jak my to możemy grać? Pianista podszedł do Kotowicza.

- Którego poloneza szanowny pan sobie życzy? Ten z wysoka zmierzył go pogardliwym spojrzeniem.

- A-dur, młody człowieku. A-dur.

- Świetnie! - zatarł dłonie pianista. - Tam-ta-tam... Ta-ra-tata--tata-tatam... Czy tego?

Kotowicz rozpromienił się:

- Wspaniale! Nadzwyczajnie! Jestem szczęśliwy, że pana poznaję, młody człowieku. Dziękuję. Słyszeliście panowie? Macie wśród siebie wielkiego artystę. A więc? Śmiało! Ani słowa więcej.

209

Żadnych dalszych wyjaśnień. Chwila jest historyczna. Un moment ustorique!

Pianista naradzał się tymczasem z kolegami. Gruby skrzypek lajwięcej z początku protestował, ale wreszcie dali się widocznie wszyscy przekonać, bo ciągle jeszcze między sobą dyskutując zaczęli wracać na estradę i wyjmować instrumenty. Kotowicz przy-)atrywał się ich przygotowaniom, skrzyżowawszy ramiona na)iersi.

- Wspaniale, panowie! - wykrzyknął. - Tylko śmiało. I kiedy łam znak.

Zniechęcony przez Słomkę kelner trącił swego towarzysza:

- Z fantazją gość, co?

Jeszcze kilku kelnerów zbliżyło się do parkietu. Natomiast v głębi sali, w drzwiach prowadzących do kuchni, tłoczyły się saciekawione pomywaczki. Jeden z boyów wylazł na stolik. Ze-piał go jednak stamtąd, jak kota,

starszy kelner.

Kotowicz cofnął się akurat na środek parkietu, gdy z baru ru-łął na salę zgiełk wychodzących. Słomka poderwał się, chcąc laprzeciw pośpieszyć, lecz Kotowicz i tym razem wstrzymał go latychmiast.

- Stać! Stać, dobry człowieku. Ani kroku. W tył zwrot. I już się nim nie interesując obrócił się ku całemu towarzystwu. Było tam kilkanaście osób. Hanka Lewicka, która tańczyła liedawno na stole kankana, śmiała się pijacko i powyżej kolan odniósłszy swoją długą wieczorową suknię, naśladowała murzyński taniec.

Otaczający ją mężczyźni - Świecki, Puciatycki i Paw-icki - przyklaskiwali rytmicznie ruchom jej nóg i bioder. Weychert s cygarem w zębach bełkotał coś do ucha Róży Puciatyckiej. Ta, s ceglastymi wypiekami na swej wydłużonej, końskiej twarzy, słu-;hała go z uwagą, wybuchając co chwila krótkim, urywanym śmiechem.

Staniewiczowa i Kochańska przytulały się zgodnie do ra-nion przystojnego doktora Drozdowskiego.

Natomiast zaniedbaną przez niego platynową blondynką, całkiem już zresztą nieprzytomną, zajmował się mecenas Krajewski. Kędzierzawą Liili Hańską obejmował Seiffert. Miał na sobie jasne, nienagannie zaprasowa-le spodnie i również jasną, w ramionach wywatowaną, luźną marynarkę.

Stojący na środku parkietu Kotowicz potrząsnął bujną czupryną i szerokim gestem rozkrzyżował ramiona:

- Proszę państwa!

210

Wszyscy się zatrzymali, zaskoczeni i jak gdyby trochę zaniepokojeni. Nawet Hanka Lewicka znieruchomiła z podniesioną sukienką. Ale już po chwili rozległy się szmery. Nadzwyczajny Kotowicz natychmiast je uciszył.

- Ani słowa! - wykonał rękoma kilka magicznych ruchów. -Un moment. Proszę bliżej.

Słótczeni w ciasną gromadę, posłuszni i już w zupełnym milczeniu przysunęli się do parkietu. W tej części sali mroczno było, więc gdy się zatrzymali wśród cienia i zastygli w bezruchu, wydawali się jednym ciałem o wielu dziwnych i poplątanych członkach. Za oknami słyhać było ranny świergot ptaków. Przez szpary w kotarach padały w głębi na salę nikle smugi światła.

Ośmielone pomywaczki wysuwały się jedna po drugiej z kuchennego korytarza. Wyrzwał i kucharz w białej czapeczce. Za nim wychyliła się stara Jurgeluska. Mały boy znowu wdrapał się na stolik. Tym razem nikt go nie spędził.

Przez dłuższą chwilę Kotowicz nasyczał się wywołanym nastrojem. Czuł się teraz samą doskonałością.

Zachwyt w nim grał jak organy. Wyprostował się, wyogromniał dzięki temu i naraz nowym, jeszcze nie użytym gestem wyciągnął przed siebie ramiona.

- Wspaniale! Nadzwyczajnie! A teraz wielkie odkrycie. Une grandę decouverte. Olśniewający finał. Powitanie dnia. Panie i panowie! Genialny pomysł. Poprowadzimy poloneza. Voila!

Wśród słótczonych wszczął się ruch. Pomysł się spodobał.

- Sama wielkość! - podniósł gromko głos Kotowicz. - Ani słowa. Polonez parami. Gigantyczny korowód. Narodowa feeria. Kto się sprzeciwia? Nikt się nie sprzeciwia. Ogłaszam jednomyślną zgodę. Niech żyje zgoda!

- Brawo! Brawo! - zabrzmiały oklaski.

Kotowicz kilkoma gwałtownymi półobrotami całego ciała wycofał się na skraj parkietu. Spojrzał na muzykantów. Byli gotowi. Młody pianista patrzył na niego z zachwytem.

Jedna Hanka Lewicka nie bardzo wiedziała, o co chodzi. Chciała dalej tańczyć. Ciągłe, z poddartą suknią, przebiegała niespokojnie nogami i przeginała się w półobrotach. Jej dziewczęca twarzyczka napięta była tym pragnieniem tańca aż do bólu.

- Dlaczego nie klaskacie? - spojrzała nieprzytomnymi oczami na towarzyszy. - Klaskajcie, do cholery!

Puciatycki objął ją wpół.

211

- Przy polonezie, moja dziecinko - przeciągnął nosowo - nie klaszcze się.

- A co się robi?

- Zobaczysz.

- Ja chcę tańczyć - poskarżyła się dziecinnie. Świecki począł jej szeptać do ucha.

- Naprawdę? - ucieszyła się. - I płyty masz?

-Tss!

- A zatem zaczynamy! - wykrzyknął Kotowicz. - Kurtyna do góry. Wspaniale, znakomicie. Mistrza Seifferta proszę do siebie!

Tamten niezupełnie pewnym, lecz tanecznym krokiem wybiegł na parkiet. Rozległy się oklaski. Począł się kłaniać jak przed występem.

- Mistrz Seiffert i ja - podniósł głos Kotowicz - poprowadzimy poloneza. Mistrzu, proszę do mnie. Wspaniale! A teraz będę wywoływać pary. Un moment. Panie i panowie! Nieprawdopodobne, olśniewające błyski.

Błyskawice natchnienia. Pierwsza para:

pan minister Świecki, pani hrabina Róża Puciatycka.

- Z Chwalibogi! - wykrzyknął Weychert. Stojąca w głębi sali Stefka weszła na krzesło.
 - Chodź - skinęła na towarzyszkę - trzeba zobaczyć tę hrabinę. To ci heca! Popatrz, popatrz, jaka gidia...
 Gdy wywołani ukazali się na parkiecie, reszta towarzystwa powitała ich brawami. Słomka też z zapalem klaskała. Świecki złożył przed Puciatycka dworski ukłon:
 - Pani, jestem zaszczycony...
 - Następna para! - wołał Kotowicz. - Pan hrabia Puciatycki, królowa piosenki, pani Hanka Lewicka.
 - Lodę trzeba było - wybełkotał Seiffert.
 - Trzecia para: pan wiceprezydent Weychert, najznakomitsza z tancerek, Loda Kochańska.
 Wywołani, chichocząc i zataczając się, wstępowali na parkiet wśród braw tych, którzy oczekiwali swojej kolejki.
 - Następna: pan major Wrona...
 - Nie ma go! - rozległy się głosy. - Został.
 Rzeczywiście, Wrona i Teleżyński byli jedynymi, którzy nie przyłączyli się do towarzystwa i pozostali w barze.
 | Wrona podniósł kieliszek:
 | - Twoje zdrowie. Edek mi na imię. | - A mnie Fred. Zdrowie.

212

Wrona objął Teleżyńskiego za szyję:
 - Ty jeden z tej całej hołoty jesteś swój chłopak. Arystokrata, bo arystokrata, ale możesz być swój.
 - W dupie mam arystokrację.
 - To daj pyska. Szkoda, że nie było ciebie z nami w lesie.
 - Byłem, ale nie z wami.
 - Byłeś?
 - A coś myślał?
 - To w porządku. A tamto wszystko padlina - pokazał w kierunku sali.
 Kotowicz wywoływał dalsze pary. Przez moment chciał Pawlickiemu dać za towarzyszkę Staniewiczową, lecz ujrawszy ją przytuloną do doktora Drozdowskiego, zmienił zamiar. Pawlickiemu przypadła w udziale Liia Hańska. Za nimi znaleźli się na parkiecie mecenas Krajewski z mrużącą nieprzytomnie platynową blondynką i na koniec Drozdowski ze Staniewiczową. Zachwyt chwycił Kotowicza za ramiona. Cóż za nazwiska! Jaki polonez!
 - Zygzaki i błyskawice! - zagrzmiął najpotężniejszym głosem. - Orkiestra! En avant! Powitać dzień!
 Przy huczących dźwiękach poloneza, w półmroku, w ślad za wspaniałym gestykulującym Kotowiczem i Seiffertem ruszyły pary pomiędzy stolikami w kierunku wyjścia. Za nimi w pewnej odległości tłoczyli się poczęli kelnerzy oraz podniecone i rozchichotane pomywaczki. Słomka też się potoczył.
 Orkiestra grzmiała fałszywie wszystkimi instrumentami. Jeden pianista walił w fortepian nieomylnie i z taką siłą, jakby go chciał rozwalić. Rytm, rytm. Rytm robił swoje. Pary wyciągnęły się w długi korowód i sztywno, jak kukiełki podrygując i przeginając się, sunęły jedna za drugą, jednakowe w ruchach, zapatrzone przed siebie szklanymi, nie widzącymi oczami.
 Powoli, w miarę jak polonezowy pochód wraz z pośpieszającym za nim tłumem zbliżał się do wyjścia, sala pustoszała. Gdy już była całkiem pusta, pomiędzy stolików wyłonił się naraz Pieniążek, pomięty i potargany, całkiem jeszcze pomimo kilku godzin snu pijany. Na płaczących się nogach, gestykulując w rytm poloneza, podrygując i wykrzywiając się, przemaszerał przez opustoszały parkiet i dalej podążył za wszystkimi. Tamci już byli w hallu. Pełny blask dnia tam jaśniał. Stary, ledwie się na nogach trzymający ze zmęczenia szatniarz pośpiesz-

213

e otwierał drzwi na rościerz. Taneczny korowód, w rytm coraz Ueglejszej orkiestry, sztywno i ospale wysuwać się począł na wór.
 Dzień zapowiadał się piękny. Niebo było przejrzyste, nie-estkie, na horyzoncie z lekka zasnutę różowością świtu. Powiet-e czyste i chłodne. Rynek pusty.
 Kotowicz trwał chwilę w zachwycie.
 - Wspaniałe, niebywałe - zamruczał. I naraz na cały głos wrzasnął:
 - Niech żyje Polska!
 Przez sekundę trwała cisza. Parę gołębi sfrunęło z hotelowe-) dachu. Potem, bardzo odległe, gdzieś pomiędzy wypalonymi linami zabłąkane echo głucho odkrzyknęło: Polska.

VIII

Pod datą niedzieli, 6 maja, Jerzy Szreter pisał w swoim notatniku:
 "Od dawna wiem, na czym polega idea wodzostwa i jakie trzeba posiadać cechy charakteru, aby móc być wodzem. Ale dopiero od wczoraj mogę tę świadomość skonfrontować ze samym sobą. Przedtem tylko

przypuszczałem, dzisiaj wiem na pewno. Wczorajszy wieczór był dla mnie próbą decydującą. Egzamin zdałem. Nie mam już żadnych wątpliwości.

Spostrzeżenia: nie na wszystkich moich chłopców mogę liczyć w jednakowy sposób. Marcin B. nie nadaje się. Dla niego jeden znaczy jeden. Dla mnie jeden jest tylko liczbą arytmetycznego postępu, niczym więcej. Każda liczba źle zapisana może być zastąpiona inną. Z Alka K. można zrobić wszystko. Jest miękki jak glina. To dobrze i źle. Najgorzej, że jego odwaga wypływa z tchórzostwa. Ale tacy są też potrzebni. Wiem zresztą, że mnie bezgranicznie i ślepo uwielbia. Śmieszy mnie to i bawi. Cóż za rozkosz móc kształtować ludzi według swojej woli! Natomiast jeśli chodzi o Felka S., obawiam się trochę jego samodzielności..."

Przerwał nagle pisanie, chcąc ostatnie zdanie przekreślić. Rozmyślił się jednak. Po chwili zastanowienia pisał dalej od nowego wiersza:

"Uwaga: słowo 'obawiam się' zostało przeze mnie niewłaściwie użyte. Powinno być: nie ufam jego samodzielności. Za zbyt

215

owolną kontrolę nawyków myślowych zapisuję sobie punkt karny.)o południa nie wypalę ani jednego papierosa. Zdradzać się rzed ludźmi oznacza głupotę. Zdradzać się przed samym sobą -^abość i niedostateczną dyscyplinę. Trzeba samemu być w pan-erzu, żeby drugich móc w pancerze zakuć. Pewne myśli, uczucia odruchy należy w sobie bezwzględnie i bezlitośnie zabijać. Trze-a być pewnym siebie jak precyzyjnego instrumentu.

Wracając do Felka S. - nie jestem pewien, czy pomiędzy mną nim nie dojdzie pewnego dnia do poważnego konfliktu. Tym orzej dla niego. Potrafię..."

Dźwięk dzwonka przy drzwiach wejściowych przerwał mu f połowie zdania. Spojrzał na zegarek. Godzina była wczesna, po smej zaledwie. Chwilę nasłuchiwał. Nikt nie otwierał. Rodzice, ik zwykle przy święcie, dłużej leżeli w łóżkach w swoim pokoju, tory dzielili ostatnio z chorą ciotką Ireną. Natomiast kuzynki łatki, dwie stare panny Dąbrowskie z Warszawy, wstały już i sły-hać było ich hałaśliwe krzątanie się po kuchni. Ale na żadną z nich ie można było liczyć. Wsunął więc notes do teczki z książkami zkolnymi i przeszedł do przedpokoju.

Mroczny był i tak zawalony różnymi gratami, że z trudem lozna się w nim było poruszać. Ogromna szafa zabierała miejsca ajwięcej. Przy niej piętrzyły się różnych rozmiarów kufry, kosze walizki. Pod drugą ścianą stało składane i w tej chwili jeszcze lie posłane żelazne łóżko. Spały na nim ciotki Dąbrowskie.

Jedna z nich, ciotka Fela, niska i gruba, wychylała właśnie poza drzwi kuchennych kwadratową głowę w papilotach. Robiła ważenie bardzo wystraszonej. Ujrzawszy Jerzego poczęła mu da-yać na migi do zrozumienia, żeby nie otwierał. Obie siostry Dąb-owskie ciągle jeszcze żyły nastrojami lat okupacyjnych i każdy Izwonek wzniecał w nich odruchy paniki. Udał, że nie dostrzega ych wymownych znaków. Ta zaś widząc, że Jerzy, precisnąwszy ię pomiędzy szafą i łóżkiem, zmierza wprost ku drzwiom, szepnęli przerażonym głosem:

- Na miłość boską, nie otwieraj, Jureczku!

- Bo co? - rzucił ostro.

Ciotka Fela w popłochu cofnęła się pośpiesznie do kuchni. Rannym gościem okazał się Kotowicz. W jasnym garniturze w jasnym kapeluszu, miał rękawiczki również jasne, zamsszowe. V prawej dłoni trzymał staroświecką laskę zakończoną gałką z koś-1 słoniowej.

216

- O, jakże się cieszę, że to pan mi otwiera, drogi panie Jerzy! - zawołał. - Mały interes, jeśli pan pozwoli.

Przepraszam za tak wczesne najście...

Szretter uprzejmie się uśmiechnął:

- Proszę bardzo, pan pozwoli, panie dyrektorze. Ojciec jeszcze leży, ale zaraz mu powiem.

Kotowicz zdjął kapelusz i ostrożnie się wsunął do środka.

- Broń Boże, broń Boże! - zatrzymał Szrettera. - Nigdy bym się o tej porze nie odważył niepokoić pana profesora. Mój interes jest, że się tak wyrażę, osobisty i do pana, mój złoty.

- Ach tak? - ucieszył się Szretter. - Proszę bardzo. Pozwoli pan, że pójdę pierwszy, strasznie tu ciasno.

W pokoju z ujmującym szacunkiem podsunął Kotowiczowi krzesło.

- Proszę, niech pan siada, panie dyrektorze.

Kotowicz rozejrzał się, gdzie położyć kapelusz. Umieścił go wreszcie na brzegu stołu, rękawiczki położył obok i zatrzymując w dłoniach laskę znów się dokoła począł rozglądać. Skromne, typowo mieszczańskie umeblowanie wskazywało, że pokój służył za jadalnię. Ale pod jedną ścianą stał z nie uprzątniętą jeszcze pościelą tapczan, w kącie zwykły stół do pracy i etażerka z książkami.

Kotowicz wywołał życzliwy półuśmiech na swojej wspaniałej, choć trochę przybladłej twarzy:

- Więc tutaj pan, że się tak wyrażę, rezyduje?

- Tak. Niestety. Mamy, jak pan widzi, bardzo ciasne mieszkanie.

- Wiem, wiem - skinął głową Kotowicz. - Wspominał mi kiedyś Janusz. To bardzo przykre. Ile pokoi, jeśli można być nie-dyskretnym.

-Dwa.

- O, to okropne! I osób?

- Teraz sześć.

- To straszne - oburzył się Kotowicz - żeby taki człowiek jak pański ojciec, zasłużony profesor, uczony... niewiarygodne. Trzeba poruszyć gdzie należy tę sprawę. Koniecznie.

Wyjął srebrną papierośnicę i poczęstował Jerzego. Ten odmówił.

- Nie pali pan?

- Owszem, palę. Ale na razie dziękuję.

r

217

Podał usłudze Kotowiczowi ogień i przyniósł ze stołu popielniczkę. Kotowicz zaciągnął się dymem:

-A propos Janusza! Właśnie w tej sprawie przychodzę. Chwileczkę! Jesteście ze sobą w przyjaźni, prawda? Może pan nie potwierdzać. Wiem i bardzo, bardzo się z tego cieszę. Janusz nie mógł sobie wybrać lepszego przyjaciela. A nie, niech pan nie zaprzecza! Zbytek skromności. Ja się znam na ludziach, proszę zawierzyć memu doświadczeniu. A zatem... - odłożył papierosa i poprawił się na krześle - drogi panie, powiem panu szczerze, co mnie tutaj do pana tak niespodziewanie sprowadziło. Niepokój, drogi panie. Ojcowski niepokój. Ale dlaczego pan stoi, mój złoty? Proszę, niech pan siada. O tak! Teraz proszę mi szczerze powiedzieć, jak mężczyzna mężczyźnie...

Urwał i gestem poufałej przyjaźni pochyliwszy się ku Szret-terowi położył mu dłoń na kolanie:

- Drogi przyjacielu, ja wszystko rozumiem. Wszystko. Jestem, pochlebiam sobie, najbardziej wyrozumiałym ojcem i zawsze traktuję swego syna jak człowieka dojrzałego. Zawieruszy się gdzieś, zabawi, popije sobie... proszę bardzo, jego sprawa. Nie wtrącam się. Nie ingeruję. Mnie w jego wieku też się niejedno przytrafiło. Ale, drogi panie Jerzy, proszę zrozumieć w tym wypadku mój niepokój, chłopak miał przy sobie masę pieniędzy. No, masę to może przesada, ale w każdym razie sporo. I nie swoje, co najważniejsze. Depozyt! Pan rozumie? Umówił się ze mną wczoraj na pół do dziesiątej w "Monopolu". Pół do dziesiątej... nie ma go. Dziesiąta, nie ma. Nie przyszedł. To jeszcze nic. Wszystko się może zdarzyć. Rozumiem. Sam dość późno wróciłem dzisiaj do domu. Ale jego do tej pory, drogi panie, nie ma. W ogóle nie wrócił. Pojmuje pan? Szretter, który słuchał z wielką uwagą, bezradnie rozłożył ręce:

- Cóż ja mogę panu powiedzieć? Musiał się gdzieś zawieruszyć.

- Ba! To ja wiem. Ale gdzie? Gdzie? U kogo? Unefemme9 Szretter się uśmiechnął:

- Czy ja wiem! Może. Mnie o niczym Janusz nie wspominał. Na ogół rzeczywiście mówimy sobie wiele rzeczy. Ale gdzie się tym razem mógł podziąć, pojęcia nie mam. Widziałem go wprawdzie wczoraj wieczorem...

- Więc widział pan?! - wykrzyknął Kotowicz.

- Owszem.

- O której?

218

Szretter zastanowił się chwilę:

- Zaraz, przed dziewiątą chyba? Tak, na pewno przed dziewiątą, bo to było przed samą prawie burzą.

- I co mówił? Gdzie go pan spotkał?

- Na Trzeciego Maja. Szedłem z kolegami, z Kosseckim, Szy-mańskim.

Kotowicz machnął niecierpliwie ręką:

- To nieważne! Ale co mówił, co mówił?

- Nic. Wcale ze sobą nie rozmawialiśmy. Szedł z jakimiś obcymi ludźmi.

- Z kobietami?

- Nie, z mężczyznami. Dwóch chyba było. Nie wiem nawet, czy nas zauważył. Raczej nie. Pan wie, jak jest wieczorem na Trzeciego Maja. Tłok, ciemno...

Kotowicz wpatrywał się w niego badawczym, sondującym spojrzeniem. Ufał sile i wymowie swego wzroku. Był pewien, że żadne kłamstwo, żaden fałsz nie zdołają się przed nim zataić. Ale ten chłopak mówił niewątpliwie prawdę. Ze swoją śmiałą, sympatyczną twarzą, jasnymi włosami, pełen ujmującej świeżości i prostoty, był uosobieniem rzetelnej, szczerzej młodości.

Ciężko westchnął i oparł się o łaskę.

- Gdzież on polazł, do diaska? Tyle godzin! Polazł, rozumiem! Ale z takimi pieniędzmi!

- Niech się pan nie martwi - pocieszył go serdecznie Szretter. -Na pewno się zjawi.

- Ba! Mam nadzieję. Ale kiedy, kiedy, pytam? Do południa obiecałem pieniądze oddać. Słowo Kotowicza, drogi panie! Pan rozumie? I co ja mam teraz zrobić?

- To rzeczywiście - zafrasował się tamten. - Nie powinien był tego zrobić!
- Prawda?
- Już ja mu powiem kilka słów przy okazji. Kotowicz spojrział na niego z rozrzewnieniem i gorąco uściśnął za rękę:
- Dziękuję panu. Z głębi serca dziękuję. Szretter zaśmiał się pokazując białe, równe zęby:
- Nie ma za co! My sobie przecież często mówimy prawdę w oczy.
- Ach, młodość, młodość! - znowu westchnął Kotowicz i podniósł się z krzesła. - Dodał mi pan jednak otuchy, drogi przyjaciel-

219

lu. Zmartwił, ale i otuchy dodał. A teraz muszę pana pożegnać. Ukłony rodzicom. Proszę ich ode mnie przeprosić za tak wczesną wizytę. A Januszowi niech pan rzeczywiście porządnie nagada. Z takimi pieniędzmi wałęsać się Bóg wie gdzie...

Ledwie zamknął za Kotowiczem drzwi, z kuchni wyjrzała ciotka Fela.

- Co to było, Jureczku? - zaszepiała. - Kto to był?

- Do mnie - odparł szorstko.

Znalazłszy się w pokoju, zamyślił się i machinalnie sięgnął po papierosa. Zaraz go jednak odłożył. Przez otwarte okno widział idącego podwórzem Kotowicza. Szedł wolno, przygarbiony, wspierając się na lasce. Gdy zniknął w głębi bramy, Szretter wyjął z teczki notes, przez moment się zastanowił i potem pod ostatnim, nie skończonym zdaniem szybko zaczął pisać:

"Niespodziewana rozmowa z tym starym błaznem K. poszła jak należy. Jedno zastrzeżenie: na samym początku niepotrzebnie wspominałem, że mamy małe mieszkanie. Użyłem nawet wyrażenia 'niestety'. Niedopuszczalne. Nie chodzi mi o żaden wstyd. Gwiżdżę na to. Ale dałem w ten sposób staremu durniowi okazję do wypowiedzenia współczujących frazesów. Wstrętne. Jest rzeczą poniżej godności pozwalając litować się nad sobą".

Felek Szymański mieszkał niedaleko rynku, na trzecim piętrze starej kamienicy. Ale Szretterowi nie chciało się po krętych i stromych schodach wdrapywać na górę, zajrzał więc najpierw na podwórze. Było mroczne i ciasne, pełne ciężkiego odoru dawno nie wywożonego śmietnika. Zagwizdał. Po chwili z otwartego na ostatnim piętrze okna wychylił się Felek, goły do pasa, z ręcznikiem.

- Serwus! - krzyknął. - Zaraz schodzę.

Szretter wyszedł przez bramę. Ulica była pusta. Żadnych przechodniów. Po drugiej stronie ciągnął się niski ceglasty mur. Za nim kwitły kasztany. Pod nim czterech małych obdartusów grało w orła i reszkę. Klócili się przy tej grze głośno. Od strony rynku niosły się z radiowych głośników skoczne dźwięki kujawiaków.

W trzy minuty, nie dłużej, Felek był na dole. W rękę trzymał dwie bułki z szynką.

- Serwus - przywitał się. - Jadłeś śniadanie?

-Nie.

220

- To masz - podał jedną bułkę. - Fajna szynka, babka z "Monopolu" przyniosła.

Przez jakiś czas szli w milczeniu, jedząc.

- Klasa szynka, nie? - odezwał się wreszcie Felek pełnymi ustami.

Szretter skinął głową. Po chwili tamten spojrział na niego z ukosa:

- Do Marcina?

-Aha!

-I co?

- Z czym?

- Dobrze spałeś?

Szretter wzruszył ramionami:

- Niby dlaczego miałem źle spać?

- Tak pytam, ja spałem dobrze. A Alek?

-Co?

- Poszedł do domu?

- A jak myślałeś?

Do Marcina Boguckiego nie mieli daleko. Mieszkał w dolnej części Ostrowca, na Rzecznej, w pobliżu Śreniawy. Dopiero na rynku Szretter nagle się odezwał:

- Wiesz, rozmawiałem ze starym Kotowiczem. Felek poczerwieniał i przystanął:

- Kiedy?

- Przed pół godziną. Był u mnie.

- Nieee! I co?

- Nic. W porządku.

- Szukał Janusza?
- Raczej forsy, którą miał Janusz. Myślał, że ja wiem, gdzie nocował.
- 1 co powiedziałeś?
- Zwyczajnie. Że widzieliśmy go wczoraj wieczorem. Ty, Alek...
- Zwariowałeś, Jurek? Powiedziałeś, że widzieliśmy go? Szretter pobłażliwie się uśmiechnął:
- Osiół jesteś. Nic nie rozumiesz. Należało tak powiedzieć. Spotkaliśmy Janusza na Trzeciego Maja, gdzieś przed dziewiątą. Szedł z jakimiś dwoma obcymi facetami. Jeden tak pod czterdziestkę, wysoki, chudy, w ciemnym ubraniu... Jeszcze nie kapujesz?
- Kapuję - mruknął Felek. - I nie zająknąłeś się?

221

- Ja? Mogłeś, zdaje się, zauważyć wczoraj, że nie mam zwyczaju jękać się.
- Tamten nic nie odpowiedział. W milczeniu skręcili za rynkiem w długą i wąską Rzeczną. Szretter pogwizdywał przez zęby.
- O cholera! - zaklął naraz Franek. - Wiesz co? | -No?
- I - Nie chciałbym z tobą zaczynać. • - Ba! - odparł obojętnie Szretter. f Bogucki mieszkał na końcu ulicy, w jednopiętrowym, drewnianym domku. Za rozległym, pełnym teraz słońca podwórzem i zielenią gęsta, młoda olszyna. Niżej, prześwitując pomiędzy drzewami, płynęła Śreniawa.
- Drewniak był długi jak barak, z dachem pociemniałym i z lekka omszałym, że starośći nieco w ziemię wrośnięty. Wzdłuż pierwszego piętra biegła wąska, na wątych kolumnkach wsparta galeryjka. Na jej balustradzie wygrzewał się w słońcu duży, rudawy kocur. W głębi, rozwieszona na sznurach, suszyła się kolorowa bielizna. Cicho tu było i spokojnie jak na wsi.
- Strome i skrzypiące, z chwiejącą się poręczą schodki prowadziły na piętro. W połowie ich Szretter przystanął i obejrzał się na Felka.
- Ty!
- Co?
- Nie gadaj tylko za wiele.
- O rany! Za kogo mnie masz.
- Szretter przyglądał włosy i zapukał do pierwszych drzwi z brzegu. Przybita do nich była mosiężna tabliczka z zatartym prawie całkiem napisem: Stefania Bugucka. Niżej: Krawcowa.
- Przez długą chwilę nikt nie otwierał.
- Może nie ma nikogo? - szepnął Felek wycierając o spodnie spocone dłonie.
- Szretter zastukał mocniej. Tym razem skrzypnęły w głębi mieszkania drzwi.
- W porządku - mruknął.
- Otworzyła im matka Marcina, drobna i wątła kobieta. Obaj znali ją od wielu lat.
- Dzień dobry pani - ukłonił się Szretter. - Jest Marcin?
- Jest - szepnęła. - Dzień dobry panu. Proszę bardzo. A, i Felek! - teraz dopiero spostrzegła stojącego z tyłu Szymańskiego. -Jak to dobrze, że panowie przyszli...

222

- Weszli do pokoju.
- Śpi może jeszcze? - spytał Szretter. Pani Bogucka potrząsnęła głową.
- Nie, nie śpi...
- Chciała jeszcze coś powiedzieć, lecz głos jej się nagle załamał i cicho się rozplakała. Chłopcy szybko po sobie spojrzeli.
- Co się stało? - spytał Szretter z niepokojem. Przez dłuższą chwilę pani Bogucka nie mogła przemówić. Gdy się wreszcie uspokoiła trochę, zaczęła przerywanym głosem:
- Takie straszne nieszczęście, proszę panów... Marcin się rozchorował. Dostał wczoraj krwotoku. Głowę już tracę...
- Krwotoku? - szepnął Szretter. Bogucka obtarła łzy.
- Proszę, niech panowie pozwolą do kuchni. Opowiem wszystko.
- Kuchnia była jasna, duża i bardzo czysta. Pośrodku stał przykryty ceratą stół. Pod jedną ścianą zasłane pluszową kapą łóżko. Przy oknie siedziała na niskim stołeczku jasnowłosa, mizerna i wątła ośmioletnia może dziewczynka. Na kolanach trzymała dużą lalkę.
- Bogucka zamknęła drzwi do przedpokoju.
- Proszę, niech panowie siadają. Szretter podszedł do małej.
- Jak się masz, Halinko? Dawno się nie widzieliśmy. Bledziutka buzia małej pokryła się lekkim rumieńcem.
- Spuściła oczy i siedziała cichutko jak mysz.
- Halinko - odezwała się pani Bogucka - przywitaj się z panami. Znasz przecież pana Szrettera i pana Szymańskiego. Felek też do niej podszedł i przykucnął obok.

- O, masz nową lalkę!
 - Aha! - szepnęła zawstydzona.
 - Kto ci kupił? Mama?
 - Marcin.
 - A jak ma na imię?
- Mała leciutko się uśmiechnęła:
- Basia.

Gdy wrócili do pani Boguckiej, zaczęła opowiadać. Okazało się, że Marcin wrócił wczoraj wieczorem do domu straszliwie zmęczony, nie chciał nic jeść i zaraz się chciał położyć.

- Panowie wiecie, jaki on jest wąty i przepracowany tymi lekcjami. Myślałam z początku, że to nic takiego, że tak się tylko

223

zmęczył. Wysłałam na chwilę z pokoju, herbatę mu chciałam zrobić, wracam, a on siedzi przy swoim stoliku z głową pochyloną. Coś mnie od razu tknęło. Zawołałam: Marcin! On nic. Nawet się nie poruszył, jakby nie słyszał. Pobiegłam i dopiero widzę, że ma oczy zamknięte i z ust mu leci krew...

Znów zaczęła popłakiwać. Pod oknem Halinka szeptała coś do swojej lalki. Obaj chłopcy śledzili z pochylonymi głowami.

- Był doktor? - spytał Szretter.

- Ale gdzie? O tej porze? Żaden nie chciał przyjść. Prosiłam, błagałam. Nic. Każdy, jak się dowiedział, że tak daleko, to nawet słuchać nie chciał. Rano dopiero przyszedł jeden.

- I co?

- Cóż? Pocieszał. Jak to doktor. A ja przecież sama wiem. Żebyśmy chociaż byli zamożni... A tak? - Nagle podniosła się. - Chwileczkę, proszę panów, zdaje się, że woła.

Gdy wyszła z kuchni, Felek po swojemu z ukosa spojrzął na Jerzego. Ten siedział zamyślony. Przez wpółotwarte okno słychać było niecierpliwe stukanie gołębi wydziubujących okrucy na parapecie.

Po chwili pani Bogucka wróciła. Podnieśli się obaj.

- I co? - spytał Szretter.

- Marcin prosi panów. Chce się koniecznie zobaczyć z panami. Ale, moi kochani, nie pozwólcie mu dużo mówić. Doktor zabronił.

W pokoju panował chłodny półmrok. Rolety w obu oknach spuszczone były do samego prawie dołu. Wąskie tylko smugi światła pod nimi prześwitywały. W tych smugach czerwieniały prymul-ki. Na ścianach wisały, w złoczone, cienkie ramy oprawne, obrazy religijne. Pod jednym oknem stał stolik z maszyną do szycia. Pod drugim stół nieco większy z książkami i przyborami do pisania.

Marcin leżał na łóżku, wsparty o wysoko spiętrzone poduszki. Twarz miał białości pościeli, zapadnięte policzki i skronie. Nos mu się zaostrzył, wydłużył, oczy błyszczwały niespokojnym, gorączkowym blaskiem.

Ujrawszy wchodzących usiłował podźwignąć głowę.

- Leż! - zawołał z daleka Szretter. - Serwus! I co ty wyrabiasz najlepszego?

Marcin w milczeniu patrzył na swoich przyjaciół.

- Siadajcie - szepnął wreszcie.

- Nie szkodzi - mruknął Felek. - Postoimy.

224

Dłonie coraz bardziej mu się pociły. Ciągłe je obcierał o spodnie. Szretter przysunął sobie krzesło do łóżka.

- Siadaj - spojrzął na Felka.

I już się nim więcej nie interesując zwrócił się do Marcina.

- Nic się nie martw, stary - powiedział przyjaźnie swoim jasnym głosem. - Krwotok to jeszcze nic strasznego. Poleżysz sobie, wypoczniesz i wszystko będzie dobrze. Do lata na pewno wyzdrowiejesz.

Marcin wpatrywał się w niego błyszczącymi oczyma. Wtem poruszył wargami. Tamten dostrzegł to i pochylił się ku niemu:

- Nie gadaj lepiej. Nie powinienes się męczyć. Chory potrząsnął głową.

- Coście z nim zrobili? - szepnął.

Felek niespokojnie się poruszył na krześle. Przez chwilę trwało milczenie.

- Nie myśl o tym - rzekł na koniec spokojnie Szretter. - To nasza sprawa. Wszystko w porządku.

Marcin przymknął powieki. Z zamkniętymi oczyma robił wrażenie umarłego. Nie oddychał prawie. Mimo przysłoniętych okien bardzo wyraźnie słychać było w pokoju stukające dziobami o parapet gołębie. Nad łóżkiem Marcina wisi duży oleodruk przedstawiający świętego Krzysztofa z małym Jezusem na plecach. Szretter przypatrywał się chwilę temu obrazowi. Był to kicz wyjątkowej brzydoty i nieudolności.

- Zasnął - odezwał się półgłosem Felek. Ale Marcin nie spał. Otworzył oczy i spojrzął najpierw na Jerzego, potem na Felka:

- Chcę wiedzieć. Coście z nim zrobili? Szretter wzruszył ramionami:
- Po co ci to? Powiedziałem ci, że to nasza sprawa.
- Moja też.
- Szarpnął niecierpliwie kołdrę i usiłował się podnieść, zabrakło mu jednak sił. Opadł z powrotem na poduszki. Chwilę leżał bez ruchu.
- Chcę wiedzieć - powiedział ledwie dosłyszalnym szeptem. -To jedno.
- Felek nie wytrzymał:
- Powiedzże, Jurek! Co szkodzi? Jak chce... Szretter siedział zamyślony.
- Jurek!

225

Ten wyprostował się nagle.

- Nie! - powiedział twardo i podniósł się. - Idziemy. Trzymaj się, Marcin, wszystko będzie dobrze. Za parę dni zajrzemy do ciebie.

Marcin znów miał oczy zamknięte. Felek pochylił się nad nim i niezręcznie uściśnął mu leżącą bezwładnie na kołdrze rękę.

- Serwus, Marcin.

- Nie przychodźcie - szepnął chory.

Powiedział to do Felka, lecz stojący obok Jerzy dosłyszał.

- Jak chcesz - powiedział chłodno. - Trzymaj się. Pani Bogucka czekała na nich we drzwiach kuchni. Ledwie weszli, ogarnęła ich niespokojnym, badawczym spojrzeniem.

-1 jak? Jak go panowie znaleźli?

- Niech się pani nie martwi - powiedział Szretter. - Jest bardzo osłabiony, ale to zawsze po krwotoku.

Wyrzecie się.

Stała z dłońmi przyciśniętymi do piersi, wpatrzona zmęczonymi oczyma w Szrettera, jakby z jego zdrowej, młodzieńczej i ujmującej twarzy zaczerpnąć chciała pokrzepienia.

- Myśli pan? Dałby Bóg. Bo gdybym go miała stracić...

- Niech pani nie myśli o tym. Łzy ją dławiły, skinęła tylko głową.

- Pójdziemy? - bąknął Felek.

Szretter sięgnął do kieszeni i wyjąwszy dwie pięćsetki podał je pani Boguckiej.

- Proszę - powiedział serdecznie - niech pani to weźmie od nas. Na lekarstwa, doktora. Spojrzała z przestrachem.

- Co to jest?

- Pieniądze. Niech pani weźmie. My z Marcinem mamy swoje różne rozrachunki. Zawahała się:

- Nie wiem doprawdy, czy mogę...

- Ależ tak! Tylko Marcinowi niech pani na razie nic nie mówi. Potem się z nim obliczymy, jak wyzdrowieje. Nie trzeba mu teraz tym głowy zawracać.

Była bardzo wzruszona:

- Bóg zapłać, moi złoci.

Z pokoju dobiegł naraz słaby głos Marcina. Szretter chciał się pożegnać, zatrzymała go jednak.

- Zaczekajcie, panowie, tylko zajrzę do niego.

226

Wróciła prawie natychmiast.

- Pana jeszcze prosi - skinęła na Jerzego.

- Mnie?

- Na chwileczkę.

Od progu spotkał się z wzrokiem Marcina. Podeszedł do łóżka.

- Słucham cię?

Ten poruszył ręką, aby bliżej się przysunął.

- Dalesz matce pieniądze? Jerzy się zawahał.

- Dalesz?

- Tak. Więc co z tego? Przestań histeryzować.

Marcin nic nie odpowiedział. Nagle uniósł głowę i zawołał:

- Mamo!

Przybiegła natychmiast.

- Co, syneczku? Wołałeś mnie?

- Niech mama te pieniądze... wie mama... Pani Bogucka zmieszała się:

- Jakie pieniądze, synku?

- Wie mama. Proszę je dać... położyć na stole...

Stała bezradna, nie wiedząc, co zrobić. Marcin uniósł głowę.

- Mamo!

Spojrzała na Szrettera, jakby u niego chciała poszukać ratunku.

Patrzył w podłogę. Jeszcze chwilę się wahała, wreszcie wyjęła pieniądze z za spódnicy i położyła na stole.

Marcin, który przez cały czas wpatrywał się w nią z natężeniem, osunął się na poduszki.

- Dziękuję mamie. I niech już mama idzie. Gdy wyszła, Szretter wybuchnął:

- Co za historie wyprawiasz? Zwariowałaś? Musisz się za coś leczyć.

- Nie chcę tych pieniędzy.

Czoło miał zlepione potem, oczy mu zapadły w głąb twarzy. Bledszy się jeszcze teraz wydawał niż przedtem.

- Zabierz je...

- Jak chcesz - mruknął Szretter.

Schował pieniądze do kieszeni i już się odwrócił, aby wyjść, gdy Marcin szepnął:

- Jerzy!

-Co?

227

Domyślił się raczej, niż dosłyszał, że tamten chce, aby się nad nim nachylił. Uczynił to opanowując odrazę.

- Nie gniewaj się na mnie, Jerzy. Nie umiem być inny. Ale bardzo w ciebie wierzyłem, byłeś najlepszym moim przyjacielem...

Zabrakło mu tchu. Przymknął oczy. Po chwili znów je otworzył:

-Jerzy!

Stał bez ruchu, chłodny, z obojętnym wyrazem twarzy.

- Co takiego?

- Nie chciałem, żebyś sobie z mego powodu robił jakieś wyrzuty sumienia...

- Ja? Nie bój się.

- Wierz mi, mnie już teraz nic na życiu nie zależy.

- Czy tak? Cóż, to twoja rzecz. To wszystko, co mi chciałeś powiedzieć?

- Wszystko.

- Trzymaj się wobec tego. Serwus.

Odwrócił się i wyszedł. Gdy w chwilę później, nieco zbyt pośpiesznie pożegnawszy panią Bogucką, znaleźli się na schodach, Felek spytał półgłosem:

- Czego od ciebie chciał?

- Nic ważnego.

Szybko i nie oglądając się na Felka zszedł na dół. Tamten dogonił go na ulicy dopiero.

- Rany boskie! - mruknął obcierając chustką twarz i szyję. -A to heca! Jak myśz się spocilem.

Szretter milczał idąc długim, wyciągniętym krokiem, z rękoma w spodniach, pogwizdując. Szli olszynowym

zaroślakiem, ścieżką, która poprzez nierówny, dziki teren biegła przy brzegu Śreniawy. Cień tu panował.

Pachniało wilgocią. W niektórych miejscach ścieżka rozmiękła była jeszcze po wczorajszej wieczornej ulewie.

W zaroślach głośno świergotały ptaki. Na drugim brzegu kąpało się kilku nagich wyrostków. Krzycząc i popychając wdrapywali się na rozłożystą wierzbę i stamtąd skakali do wody.

- Jurek! - odezwał się Felek.

Szretter szedł ścieżką pierwszy, ciągle przez zęby pogwizd-ł dując.

| - Czego?

| - Jak myślisz, wykituje? | - Nie wiem.

228

- Szkoda by chłopaka. Ale go wzięło! Ułamał po drodze olszynową witkę i odarłszy liście uderzał nią począł po niskich przy ścieżce gałęziach.

- Przyznaj się, Jurek - odezwał się po chwili - ciebie też wzięło. Strach cię trochę obleciał, nie?

Szretter zatrzymał się nagle i odwrócił:

- Coś powiedział?

Felek ze zdumieniem spojrzał na jego zmienioną twarz.

- Coś ty...

- Powtórz, coś powiedział!

Przysunął się do niego bliżej. Wyższy był o głowę prawie. Przez skośne oczy Felka przeleciał lęk. Próbował jednak nadrobić miną.

- Nie wygłupiaj się. Coś się zrobił taki nietykalny? Myślisz, że się ciebie boję?

Szretter patrzył na niego chwilę przymrużonymi oczami. Nagle się cofnął, zdjął marynarkę, cisnął ją na ziemię i wyprostowawszy się przyglądał włosy.

-No!

Felek spojrzął spode łba:

- Chcesz się bić?

- Prędeży! Nie gadaj tyle.

Felek jeszcze się namyślał. Wreszcie powoli począł zdejmować marynarkę. Przez chwilę zastanowił się, co z nią zrobić. Było to jego jedyne porządne, świąteczne ubranie. Wreszcie ułożył ją starannie na najbliższym krzaku. Potem z flegmą zabrał się do zakasania rękawów. Szretter przyglądał mu się spokojnie;

-Już?

- Wolnego! Tak ci się śpieszy? Mamy czas.

I dalej podwijał rękawy. Ramiona miał mocne i grube, napięte mięskami. Był już gotów, gdy nagle gwałtownym szarpnięciem zsunął zawinięty powyżej łokcia rękaw.

- Nie! Nie będę się z tobą bić.

- Boisz się?

- Nie, nie boję się. Ale nie chcę.

Ściągnął z krzaka marynarkę i z powrotem na siebie nałożył.

- Tchórz! - powiedział swoim jasnym głosem Szretter. Felek poczerwieniał:

- Nie jestem tchórz.

-Tylko?

229

- Nie chcę się z tobą bić, kapujesz? Mogę z każdym, tylko nie z tobą.

- Dlaczego nie ze mną?

- Bo nie.

- Pomyślałeś o wczorajszym?

- Coś ty! - oburzył się Felek. - Z byka spadłeś?

-Więc?

- O rany, Jurek, czyś ty zupełnie zgłupiał? Na głowę upadłeś? Przymknij się, ja teraz mam głos. Jesteś, do cholery, naszym dowódcą, czy nie? Może nie? To proszę, mogę się z tobą bić, proszę bardzo, choćby zaraz...

- Nie chcesz mnie pobić? Taki jesteś pewny, żebyś mnie zwyciężył?

Felek kopnął leżący na ścieżce kamień.

- Wcale nie. Nie chcę po prostu próbować, no! Wolno mi, nie? Stał nachmurzony, bokiem do Jerzego, zawzięcie kopiąc obcasem wilgotną ziemię. Szretter nagle się rozpogodził.

- Felek!

-Co?

- Daj łapę. Rozumiem. Masz słuszność. Felek żywo się obrócił. Oczy mu się zaśmiały.

- I przepraszam cię - powiedział prosto Szretter.

- Nie ma za co - burknął tamten. - Idziemy.

Niebawem, ścinając drogę skrótami, doszli do szosy prowadzącej na Osiedle. Alek już na nich czekał i gdy go wywołali, natychmiast zszedł do ogrodu. Był blejszy niż zwykle, lecz w doskonałym humorze.

- Patrzaj! - obejrzał go z podziwem Felek. - Nowe spodnie?

- Podobają ci się?

- Niezgorsze. Ale na mojej dupie jeszcze lepiej by mi się podobały. O, koszula też nowa? - dotknął cienkiego, Inianego płótna.

-Aha!

- Dobrze ci się powodzi, chłopie! - westchnął Felek. - Rajskie życie masz. Ale ja też będę miał nową koszulę. Jutro, chłopcy, idę kupować. Taką sobie, powiadam wam, koszulę kupię!

Mimo wczesnego przedpołudnia słońce mocno przygrzewało. Na plaży, która poniżej mostu na Śreniawie ciągnęła się na dość znacznej przestrzeni piaszczystego wybrzeża, roilo się od ludzi. Cienia na niej nie było zupełnie. Sam skwar. Wybudowana przed

230

samą wojną weranda kawiarniana czerniała spalonymi szczątkami. Kabiny do przechowywania ubrań także były wypalone. Na ubogiej trawie, która pokrywała zbiegające ku plaży zbocze, leżało kilku rosyjskich żołnierzy. Drogą bezustannie przejeżdżały ciężarówki i wojskowe platformy. Tumany białego kurzu zwiewał podmuch wiatru wprost na plażę.

Z mostu, oparci o balustradę, przyglądali się chwilę plażującym i kąpiącym się.

- Patrzcie! - odezwał się nagle Felek. - Jakie fajne dziewczynki. Może byśmy jednak tu zostali, co?

- Nie bój się - uspokoił go Alek. - Na naszą plażę też dziewczynki zachodzą. Nie dalej jak wczoraj spotkałem dwie, wcale, wcale...

- To walaj! - zdecydował się Felek.

Kupili od ulicznego sprzedawcy lodów trzy porcje owocowych i przeszli na staroostrowiecki brzeg Śreniawy. Miejsce, które jeszcze przed wojną upatrzili sobie jako najlepiej się nadające do kąpieli i plażowania, znajdowało się za miastem, w bliskości łąk graniczących z parkiem Kościuszki.

Po drodze, gdy szli nadbrzeżnym wałem, Szretter począł opowiadać Alkowi o Kotowiczu i wizycie u Marcina. Ten słuchał obojętnie, bez śladu zdziwienia lub poruszenia, nie przerywając i żadnych nie zadając pytań. Na wargach błędził mu pogodny półuśmiech, głowę miał przechyloną do tyłu i roztargnionym wzrokiem prześlizgiwał się po wysokich nadbrzeżnych topolach.

Szretter nie był pewien, ile z tego, co mówił, dotarło do Alka.

- Ty! - odezwał się wreszcie z akcentem zniecierpliwienia. Alek ścigał oczami mały, wolno po niebie płynący pierzasty obłoczek.

-Co?

- Żebyś tylko nie pokręcił czego. Musimy wszyscy jednakowo mówić.

Alek beztrąsko się zaśmiał:

- Nie bój się! Ale wiesz co?

-No?

- Że spotkaliśmy Janusza, to niezły pomysł. Wcale dobra taktyka. Ale z tymi dwoma facetami, to już mniej mi się podoba. Posłuchaj, to że z facetami szedł, to w porządku. Tylko nie możemy tych facetów za dokładnie opisywać. Jakiego wzrostu, jak u-brani, i takie tam szczegóły. Po co? To na lipę wygląda. Jakbyśmy

231

zmówili. Za ciemno było o tej porze. I co nas ostatecznie mogło obchodzić, z kim idzie? Idzie, to idzie. Gdyby w dzień jeszcze, to co innego, ale tak?

- Stusznie - odezwał się Felek. - Ma chłopak rację. Dwóch facetów i szlus. Nie, Jurek?

Ten milczał. Alek spojrział na niego z trochę pobłażliwym uśmiechem:

- Nie opisywałeś chyba staremu tych facetów?

- Nie - mruknął Szretter. - Powiedziałem tylko, że było dwóch.

I w tym dopiero momencie zdał sobie sprawę, że się właściwie przed Alkiem tłumaczy. Przygryzł wargi.

- To fajnie! - pochwalił go Alek. - Ja uważam, że w takich wypadkach najlepiej mówić jak najmniej. I nic pewnego. Może, zdaje się, chyba... o tak!

Felek z uznaniem klepnął go po plecach:

- Dobrze gada. Ma rację, Jurek, nie? Ja też nie lubię za dużo pyskować. Ale swoją drogą miałeś szczęście, że nie byłeś z nami u Marcina. Umrzyk, powiadam ci.

- Sam sobie winien - wzruszył ramionami Alek. - Po co się bierze do nie swoich rzeczy? Nie nadaje się i teraz ma za swoje.

- Też prawda - mruknął Felek. - Ale swoją drogą szkoda chłopaka. Dobry był kolega.

Szretter słowem się nie odzywał. Szedł brzegiem nasypu, zamyślony, zmarszczywszy ciemne brwi i ręce założony do tyłu.

- Czego się martwisz? - zagadnął go nagle Alek.

-Ja?

- A co, nie martwisz się?

- Zdaje ci się.

Tamten nie uznał sprawy za wyczerpaną i zwrócił się do Felka:

- Sam powiedz, nie wygląda, jakby się martwił?

- Daj mu spokój - mruknął Felek.

Wał przeciwpowodziowy skręcał w tym miejscu na lewo, biegnąc dalej skrajem rozległej, wilgotnawej łąki.

Żółta była od kaczęńców. U jej końca bardzo wyraźnie, poprzez przejrzyste powietrze rysowały się na tle niebieskiego nieba ogromne drzewa parku Kościuszki. Alek z Felkiem pędem zbiegli ze stromego zbocza. Szretter, nie śpiesząc się, szedł za nimi powoli małymi zakosami.

232

- To gdzieś tutaj? - rozejrzał się Felek.

- Dalej trochę - odparł Alek. - Już zapomniałeś?

Szli teraz niskim brzegiem, przy samej rzece. Po lewej stronie rosła gęsta wiklina. Pusto było i cicho. Słońce coraz silniej przypiekało. Powietrze ponad zaroślami grało bzykaniem much. Spomiędzy trawy wyskakiwały żaby. Raz po raz pluskała woda. Na przeciwległym, urwistym brzegu Śreniawy jaskrawo czerwieniały dachy ostatnich domów Osiedla.

Jedynym człowiekiem, na którego się po drodze natknęli, był starszy, gruby jegomość, amator łowienia ryb. Siedział na małym składanym krzeselku, całą czujność swego okrągłego ciała skupiając na wędce, której pływak spokojnie się kołysał na wodzie nie opodal brzegu. Obok grubasa leżała starannie złożona na trawie marynarka. Na niej niedzielny numer «Głosu Ostrowieckiego». Z drugiej strony nieduży kubełek z wodą.

Felek przechodząc zerknął do wiaderka. Zapatrzony w wędkę grubas nie poruszył się nawet.

-1 co? - spytał Alek, gdy odeszli kawałek. - Złowił co? Felek skrzywił się z politowaniem:

- Iii, dwie nędzne płotki. Że się takiemu grubasowi chce męczyć! Popatrz tylko - obejrzał się - jak sobie facet brzuch na kolanach trzyma. Pocieszny okaz.

Alek odwrócił się i roześmiał. Z daleka grubas wyglądał bardzo zabawnie. Jeden Szretter nie okazał żadnego zainteresowania. Ciągłe był milczący, o parę kroków wyprzedzał przyjaciół. Nagle się zatrzymał. Miał wyraźnie niezadowoloną minę.

- Co się stało? - spytał Felek.

- Nie widzisz? Hołota jakaś zajęła nasze miejsce. Rzeczywiście, w odległości kilkudziesięciu kroków, w miejscu, które z daleka zieleniało bujniejszą niż gdzie indziej świeżą trawą i nad samym brzegiem ocienione było gęstowiem wierzby, plażowało już dwoje ludzi, kobieta i mężczyzna.

- Szlag ich trafił! - burknął Felek. - Ale co się mamy przejmować? Dawaj, chłopcy, walimy i robieramy się.

Alek go zatrzymał:

- Poczekaj, co ci tak pilno?

- Bo rozebrać się wreszcie chcę, do cholery, i spokojnie po-leżeć.

- Pójdziemy dalej. Tam też jest dobrze, zaraz za zakrętem.

- Ale po co? Rany boskie, jacy wy jesteście! Ludzi się boją...

233

- Głupi jesteście. Przy tych patałachach nawet swobodnie porozmawiać nie będzie można.

- To co? Możemy nie gadać. Ja się chcę opalać. Szretter krótko i zdecydowanie przeciął spór:

- Nie gadajcie tyle. Idziemy!

- Ale ja na nasze miejsce - zastrzegł się Felek.

- Jak chcesz. Ja pójdę dalej. Felek westchnął:

- Rany, co z was za dziwni ludzie...

Chwilę szli razem w milczeniu. Wtem Felek się zatrzymał:

- Patrzcie tylko, co za fajna dziewczyna. Pierwsza klasa, jak Boga kocham. Róbcie co chcecie, ja zostaję.

Udając, że poprawia coś koło buta, pozostał w tyle. Po chwili dopiero, ociągając się, ruszył za towarzyszymi.

Gdy jednak dostrzegł, że Alek, mijając leżących na trawie, uklonił się im, zmienił zamiar. Szedł mimo to dość wolno, aby tamtej parze uważnie się przyjrzeć. Oboje byli młodzi, ona jasna blondynka, opalona na delikatny złotawy kolor, on dobrze zbudowany, smagły brunet. Uczucie zazdrości szarpnęło Felkiem.

- Cholera! - mruknął do siebie. - Tym jest dobrze. I dogonił towarzystwo.

- Ty, Alek? Znasz ich? Co za jedni?

- Kolega mego brata.

- Ten bubek? A ona. Alek wzruszył ramionami:

- Nie wiem. Kurwa pewnie jakaś.

- Ale? Nie gadaj. Wcale na kurwę nie wygląda.

- Musi wyglądać?

- A co? Łatwo poznać.

- Ech, gadanie! - roześmiał się kpiąco Alek. - A my wyglądamy?

Felek poczerwieniał lekko:

i - My? Że co? Co my? ; Tamten protekcyjnie poklepał go po ramieniu.

- Wiesz, Felek, porządny jesteś chłop, tylko czasami ciężko myślisz. Niech ci Jurek wytłumaczy, na kogo my nie wyglądamy - damy.

Wszedł ze ścieżki i rozejrzał się po wybrzeżu. Trawa tu rosła i dość bujna. Przysadzista, o dziwacznie poskręcanych konarach i wierzba rzucała na ziemię trochę cienia. Nikogo w pobliżu nie

234

było. Widok stąd otwierał się rozległy na płaskie łąki i pola - aż po widniejące na horyzoncie kominy cementowni w Białej.

- Chodźcie! - skinął na kolegów. - Doskonałe miejsce. Szybko zaczął się rozbierać i po chwili wyprostował się w swoich czerwonych kąpielowych spodenkach. Tamci dalej stali na ścieżce. Raz jeszcze na nich skinął, a gdy i to nie poskutkowało, wzruszył ramionami, obrócił się na pięcie i lekko podbiegłszy na brzeg, skoczył do wody. Przez dobrych kilkanaście sekund nie widać go było wcale. Wreszcie wynurzył się na środku rzeki, potrząsnął głową, mokre włosy odgarnął do tyłu i szybkim czałmem płynąc zaczął ku przeciwnemu brzegowi.

- Fajnie pływa - mruknął z uznaniem Felek. - Robieramy się, co?

Szretter zgodził się bez słowa. Pierwszy był gotów Felek. Ukrył w butach podarte, przepocone skarpetki i podciągając swoje luźne bawełniane majtki, niezdecydowanie spojrzawszy na Szrettera, który siedząc na trawie powoli rozsznurowywał buty.

- Idziesz do wody? Jurek!

- Idź. Polezę trochę.

Felek ciągle się wahał. Przeształ z nogi na nogę i rozcierał rękoma owłosione piersi.

- Idźże! - zniecierpliwiał się Szretter. - Niańki potrzebujesz? Alek wylazł tymczasem na drugi brzeg i podskakując otrząsał z siebie wodę.

- Felek! - krzyknął. - Chodź, fajna woda. Ciepła! Gdy tamten na koniec popłynął, Szretter się rozebrał i dłonie podłożywszy pod głowę, wyciągnął się na trawie. Słońce padało z tyłu, mógł więc mieć oczy otwarte. Niebo rozciągało się ponad nim bardzo wysoko, nieskazitelnie niebieskie, nieruchome i bez jednej chmurki. O niczym nie myślał. Ogarnęły go nagłe znużenie i senność. W górze śmigły z przenikliwym ćwirem jaskółki. Świerszcz gdzieś nie opodał kłaskał. W wiklinach pogwizdywały kosy. Nagle wszystko ścichło i cisza się stała równie bezmierna i nieruchoma, jak rozległe i nieruchome było rozpostarte nad nią niebo. Zamknął oczy i z napięciem, które go całego przeniknęło, czekał, aż dźwięk jakiś roztrąci ten przytłaczający spokój. Trwało to bardzo długo, tak mu się przynajmniej wydawało. Już chciał usiąść, gdy dobiegł go bliski szelest trawy. Otworzył oczy. Obok stał Alek. Krople wody błyszcząły na jego ciemnej skórze. Mokra włosy zsunęły mu się na czoło. Odgarnął je, lecz zaraz opadły mu

235

z powrotem. Dał im więc spokój i leniwie przeciągnął się w ramionach.

- Nie idziesz do wody?

- Na razie nie. Gdzie Felek?

- Został na tamtym brzegu, bo tam silniejsze jest słońce. Lepiej się opalać.

- To po co wróciłeś?

- Ja? Bo chciałem z tobą porozmawiać.

Dłuższą chwilę Szretter milczał. Obojętnie, trochę sennie patrzył na ciągle to samo niebieskie, bezchmurne niebo. Kosy w wiklinach gwizdały bardzo głośno.

- Słucham cię? - powiedział wreszcie. Alek usiadł obok i oparłszy brodę o podkurczone kolana objął je oburącz.

- Kiedy się masz spotkać z tym facetem?

- Z jakim facetem?

- Wiesz, tym od broni.

- Ach to! Nie twoja sprawa. Sam to załatwię.

- Myślisz?

- Nawet jestem pewien.

- To się mylisz, bo będziemy tę historię razem załatwiać.

- Z tobą?

- Ze mną.

- Proszę cię. W fantazji możesz sobie robić wszystko, co ci się podoba. I skończmy z tym już, dobrze?

- Chętnie. Jeżeli ci to tylko dogadza. Ale...

- Jeszcze ale?

| - Na mnie od tej chwili możesz więcej nie liczyć. Lojalnie ci to mówię. Żeby nie było żadnych nieporozumień.

- Dziękuję za szczerość.

- Nie ma za co! Sobie raczej pogratuluj zdolności. W dwanaście godzin z czterech ludzi stracić trzech... to wcale niezłe.

Szretter poderwał się gwałtownie, blady, ze zmienioną twarzą. Alek spojrzał na niego z drwiącym uśmiechem.

- Tylko proszę cię, Jurek, bez żadnych historii. Zostaw swoje sztuki dla innych. Bardzo są dobre, ale na mnie nie robią wrażenia.

Przez moment zdawało się, że Jerzy wybuchnie. Opanował się jednak i z powrotem wyciągnął na trawie.

- Czego ty właściwie chcesz?

- Niczego nie chcę.

236

-Tylko?

- Żądam.

- O, coraz lepiej!

-Właśnie.

- Tak ci chodzi o słowa?

!

- W tym wypadku tak.

- Niech ci będzie! Więc czego, jak powiadasz, żądasz? ;
 - Posłuchaj, od wczoraj sytuacja nasza się zmieniła. Było nasi pięciu, zostało trzech. To za mało. Lipa. Trzeba to jak najprędzej;
 - zmienić. Mamy teraz trochę pieniędzy, broń...
 - Jeszcze jej nie mamy.
 - Ale będziemy mieć. Musi nas być więcej.
 - Powiedzmy. Więc?
 - Ty zorganizujesz jedną piątkę, ja drugą. Na równych prawach.
 - Powiedzmy. I dalej?
 - Dalej? Wszystkie nasze działania będziemy uzgadniać. My dwaj stanowić będziemy ośrodek dyspozycyjny. Pozostali - wykonawcy. Jeśli chodzi o naszą akcję, musimy przede wszystkim zdobyć dużo pieniędzy. Obojętnie, w jaki sposób. W każdy. Pieniądze muszą być. Zorganizujemy normalne dwa tajne oddziały wojskowe. Z takich historii powstają wielkie rzeczy. Szretter przewrócił się na bok i oparł głowę na rękę.
 - Nic nowego nie wymyśliłeś.
 - Wiem.
 - Powtarzasz moje własne plany.
 - Owszem. Ale ty chciałeś kierować wszystkim sam. A mnie to nie odpowiada.
 - Od kiedy?
 - Od zaraz.
 - 1 chcesz zapewne, żebym ci zaraz dał odpowiedź? Alek podniósł się i po swojemu leniwie się przeciągnął w ramionach:
 - Nie, nie zaraz. Poczekam. Kwadrans, powiedzmy. Popłynę tymczasem do Felka i za kwadrans wrócę. Namyśl się przez ten czas.
- Szretter odprowadził go spojrzeniem. Szedł lekko, po chłopięcemu stawiając stopy. Jego zbyt wyciągnięte nogi wydawały się z tyłu dłuższe jeszcze i chudsze. Przy brzegu obejrzał się na Jerzego i przekornie uśmiechnął:

237

- Tylko nie złość się, stary. Złość piękności szkodzi! Szretter wyciągnął się na wznak. Znów miał ponad sobą pogodne, bezgłośnie niebo. Ale słońce wyżej się nieco wzniosło i oślepiający blask począł go razić w oczy. Zamknął więc powieki. Nagrzane powietrze wibrowało delikatnym bzykaniem much. W wiklinie kos krótko zagwizdał. Ścichł. Z daleka odpowiedział mu drugi.

Wiosną i latem w świąteczne popołudnia, od czwartej, piątej poczawszy, tradycyjnie ściągali do kawiarni Bałabanowicza tłumy ludzi. Od lat słynął Bałabanowicz z doskonałej kawy mrozonej i świetnych lodów. W czasie okupacji kawiarnia dostępna była, podobnie jak "Monopol", tylko dla Niemców i teraz dopiero, gdy od paru tygodni otwarto letnią werandę - odzyskała swój przedwojenny, tak charakterystyczny dla początku Alei Trzeciego Maja wygląd. Położona przy ruchliwym zbiegu Alei i placu Czerwonej Armii, miała taras ogrodzony na czerwono pomalowanymi sztachetkami, od strony Alei i od strony placu. Część wychodząca na Aleję była rozleglejsza i zawsze większym się cieszyła powodzeniem. Kwitnące kasztany ocieniały ją teraz przed słońcem. Szósta już dochodziła, upał zelżał. Wszystkie stoliki na werandzie były pozaj-mowane. Wiele ludzi odchodziło nie mogąc znaleźć wolnych miejsc. W głąb alei płynął nieprzerwany i gwarny tłum spacerujących. Maciek Chełmicki z Krystyną siedzieli na końcu tarasu od strony alei, tuż przy czerwonych, świeżym pokostem pachnących sztachetkach. Przez głośniki radiowe na placu nadawano ostatnie komunikaty. Potęga niemiecka kruszyła się i rozpadała. W Moskwie na cześć zwycięstw wojsk II frontu białoruskiego oddano 20 salw ze 124 dział. Oddziały brytyjskie II Armii zajmowały Danię. Duńskie siły oporu objęły zarząd miasta Kopenhagi. Od chwili wylądowania wojsk sojusznicznych w Normandii liczba jeńców niemieckich przekroczyła 5 milionów. Po masowej kapitulacji wojsk niemieckich na północy - nastąpiła kapitulacja grupy austriacko--bawarskiej. Trzy armie niemieckie poddały się VII Armii amerykańskiej i francuskiej. Generał Patton przystąpił do ataku w Czechosłowacji. W Pradze w sobotę po południu wybuchło powstanie. Wieczorem większa część Pragi znajdowała się w rękach powstańców. Żołnierze VII Armii amerykańskiej ujęli koło Berch-tesgaden byłego generalnego gubernatora, drą Hansa Franka...

238

Przy ostatniej wiadomości głośnie szmery rozległy się na werandzie. Ludzie żywiej się poruszyli przy stolikach. Maciek pochylił się ku Krystynie:

- Słyszałaś?

Teraz dopiero, na jego bliski głos, ocknęła się z zamyślenia.

- Co?
- Franka złapali.

- Tak?
- Jak myślisz, powiesz go?
- Chyba.
- Przyjrzał się jej uważnie, z czułym niepokojem:
- O czym myślałaś?
- Ja?
- Nie chcesz powiedzieć?
- Ależ owszem - uśmiechnęła się trochę smutnie. - Tak się zamyśliłam o tym, o czym właściwie nie powinnam myśleć. Ale już nie myślę, koniec. Nie patrz na mnie z takim strasznym wyrzutem...
- Wcale nie z wyrzutem.
- Tylko?
- Jeszcze nie wiesz? - spytał cicho.
- Popatrz! - wskazała palcem na talerzyk przed sobą. - Zupełnie się lody rozpuściły...
- To za karę.
- Za myślenie?
- A za co?
- Słuszna kara.
- Jeszcze jak!
- Przez chwilę patrzyli na siebie. Ciepły poblask słoneczny naświetlał Krystynę. Chwilami, gdy wiatr poruszał kasztanami, bezszelestne i lekkie cienie przepływały przez jej twarz, włosy, ramiona.
- Opaliłaś się - powiedział przytłumionym głosem Maciek.
- Tak?
- Przesunęła się wzrokiem nieco roztargnionym po stłoczonych dokoła ludziach, potem popatrzyła na tłum zapełniający chodnik, na kasztany naświetlone słońcem.
- Co? - spytał.
- Wiesz, chwilami wydaje mi się to wszystko nierealne...
- Ludzie?

239

- Nie, cały dzień. A chwilami aż zanedo realne.
- Znowu?
- Widzisz, jaka jestem...
- A powiedz - oparł szeroko łokcie o stolik - nie było)brze?
- Za dobrze.
- I ukradkiem zerknęła na zegarek. Dostrzegł to.
- Masz czas.
- Nie tak wiele. Muszę jeszcze zajść do domu przebrać się.
- Odprowadzę cię. Tak? Skinęła głową.
- Ale do baru nie przychodź.
- Nie chcesz? Dlaczego?
- Nie. Wolę cię tam nie widzieć. Zjedz gdzie indziej kolację,)brze?
- Ale przyjdiesz później? - spytał z niepokojem. Przez twarz jej ciągle przepływały światła i cienie, oczy miała isycone tym samym ciepłem i tą samą wilgocia co w nocy.
- Na pewno? - szepnął.
- Ależ tak! Masz jeszcze wątpliwości?
- Większe niż wczoraj.
- Głuptas jesteś.
- Bo widzisz...
- Co?
- Jeżeli bardzo się czegoś pragnie, jak można być pewnym? Nic nie odpowiedziała.
- Czy nie? Nie jest tak?
- Nie powinno być tak.
- Ale skąd wziąć pewność, spokój?
- Mnie się o to pytasz! Skąd ja to mogę wiedzieć? Oparł czoło o pięść i patrzył chwilę na stół. Nagle podniósł ;zy:
- Zdaje mi się, że wiem, skąd by można wziąć spokój... Wtem dobiegło ich głośne wołanie:
- Halo, Krystyna!
- Obejrzeni się oboje. Nie opodał, tuż przy czerwonych sztache-;ach, stała kędzierzawa Liii Hańska, w białej bluzce, białej spor-;wej spódnicy, z rakietą pod pachą. Wolną ręką kiwała radośnie stronę Krystyny.
- Kto to? - spytał szeptem.

240

Nim zdążyła odpowiedzieć, Liii Hańska precyzyjnie się do ich kąta.

- Ale nakryłam was! Krystyna uśmiechnęła się:

- Wcale się, jak widzisz, nie kryjemy. Nie znacie się, prawda? Pan Chełmicki... moja przyjaciółka. Liii Hańska. Lilka ruchem wysportowanego chłopaka wyciągnęła do Chełmickiego rękę ponad sztachetami. Przyglądała mu się z natarczywym i nie ukrywanym zainteresowaniem.

- Ja pana znam z widzenia. Był pan wczoraj u nas w barze, prawda?

- Byłem.

- Ale nie jest pan tutejszy?

-Nie.

- Za parę dni wyjeżdża - odezwała się Krystyna.

- Jak to? Już? Ale przyjedzie pan jeszcze?

- Prawdopodobnie.

- Nie na pewno?

- Liii! - skarciła ją Krystyna.

Ta roześmiała się, przechyliła się przez sztachety i objawszy Krystynę pocałowała w policzek.

- Nie gniewaj się, kochanie. Winszuję - szepnęła jej do ucha. - Bardzo ładny chłopiec.

I znów spojrzała na Chełmickiego.

- Niech pan nie słucha, bo właśnie o panu mówię.

- Z tenisa wracasz? - spytała Krystyna.

- Aha! Ale grałam jak ostatni patałach. Masz szczęście, że się wczoraj wcześniej ulotniłaś. Wiesz, do której ta zabawa trwała?

- Do rana, domyślałam się.

- Ale co się działo, nie wyobrażasz sobie nawet! I szybko, bardzo chaotycznie opowiadać zaczęła o ostatniej nocy. Że Weychert klęczał przed Różą Puciatycką, że Hanka Le-wicka uczyła Świeckiego swinga, że Seiffert za okazywanie zbyt żywej czułości dostał w toalecie od jakiegoś młodego człowieka po twarzy, że Puciatycki zaprosił całe towarzystwo za rok do Chwa-libogi, że platynowa blondynka urządziła doktorowi Drozdowskiemu histeryczną scenę, a Staniewiczowa i Drozdowski... - w parę minut wszystko i wszystkich gruntownie oplotkowała.

Chełmicki i Krystyna słuchali, nie bardzo się orientując w ludziach i w sytuacjach.

241

- A Fred? - spytała Krystyna.

- Fred? Zaraz, niech sobie przypomnę... Aha, też się upił. Pokłócił się ze starym Puciatyckim. A potem zaprzyjaźnił się z Wroną, wiesz, komendantem Bezpieki... - Nagle wspięła się na palce i zamrużyła swymi okrągłymi oczami. - Popatrzcie, popatrzcie! Spójrzcie tylko, Staniewiczowa ze swoim doktorkiem.

- Gdzie? - obejrzał się Chełmicki.

- Tam siedzą, w głębi. Widzicie, w tym dużym słomkowym kapeluszu. A to heca! Oszalała za nim. Ten jej da szkołę! No, bawcie się dobrze, muszę uciekać do domu. Do widzenia panu - po swojemu wyciągnęła rękę do Chełmickiego - zobaczymy się pewnie jeszcze. Bardzo przyjemny z pana chłopak. Pa, kochanie...

Pocałowała Krystynę w policzek i szepnęła:

- Dzisiaj też możesz chorować. Nie martw się, ja cię zastąpię.

- Naprawdę? - spojrzała na nią ze zdumieniem Krystyna. - Żartujesz.

Liii potrząsnęła kędzierzawą główką:

- Ależ serio! Pa!

- Poczekaj. Jak ci mam podziękować. Lilka zabawnie przewróciła oczami:

- Czego się nie robi dla miłości! Pa! Maciek z ulgą odetchnął, gdy odeszła.

- Nie podoba ci się? - spytała Krystyna.

- Czy ja wiem? Taka jakaś... narwana, nie?

- Trochę. Ale to bardzo dzielna dziewczyna. Wiesz, całą rodzinę utrzymuje.

-Ona?

- Dwoje rodzeństwa, chorą matkę.

- Co ty powiesz...

-1 wiesz co?

-Co?

- Nie domyślasz się, co mi na ostatek powiedziała? Potrząsnął głową.

- To nachyl się.

- Cóż to za tajemnica?

- Bliżej - szepnęła. - Więc... mamy cały wieczór wolny.

- Jak to?
 - Po prostu. Nie muszę iść do pracy. Lilka mnie zastąpi.
 - Nieee, to wspaniale!
- Patrzyła na niego, obu dłońmi podparwszy brodę.

242

- 1 wiesz co jeszcze? Jest mi bardzo dobrze.
 - Kochanie - szepnął z zachwytem.
 - 1 chciałabym cię... zgadnij...
- Ledwie to powiedziała, pochylił się ku niej i mocno pocałował w usta.
- Smacznego! - wykrzyknął przechodzący obok wyrostek. Roześmieli się oboje. Nagle Maciek spowaźniał.
 - Co się stało? - zaniepokoiła się.
 - Posłuchaj... chciałem ci coś powiedzieć...
 - Ale nic smutnego?
 - Nie. Zresztą, nie wiem. Myślałem o tym już dzisiaj w nocy. I w ciągu dnia. Tylko nie śmiej się ze mnie...
 - Powiedz najpierw.
 - Chciałbym zmienić pewne rzeczy. Inaczej urządzić życie. Trudno mi o wszystkim mówić...
 - Nie potrzebujesz - powiedziała cicho. - Ja się przecież domyślam.
 - Naprawdę?
 - Czy to tak trudno?
 - Widzisz, nie zastanawiałem się dotychczas nad tymi rzeczami, samo się jakoś wszystko układało.
- Rozumiesz?
- Tak.
 - Ale teraz te sprawy wydają mi się trochę inne. Chciałbym zwyczajnie żyć. Uczyć się. Mam zrobioną maturę. Mógłbym się na politechnikę zapisać. Posłuchaj!
- Słuchała go w zamyśleniu, jakby w samą siebie zapatrzona.
- Co?
 - A ty?
 - Widzisz - spojrzała na niego z wyrzutem - miałeś nie mówić nic smutnego.
 - Czy to smutne?
 - Może się to wszystko nie stać. Nie zależysz od siebie.
 - Wiem. Ale postaram się. Zrobię wszystko, co tylko można. Mam tu przyjaciela, od którego dużo zależy.
 - Ten, z którym wczoraj byłeś?
 - Tak. Wyłumaczę mu, on mnie na pewno zrozumie. - Przypomniała mu się nagle wczorajsza rozmowa z Andrzejem. - Kochanie - powiedział z żalem - gdybym wczoraj wiedział to, co wiem teraz!
 - Nie przyszedłabyś wówczas do ciebie - szepnęła.

243

- Środkiem alei maszerował, śpiewając, oddział żołnierzy. Za nimi ciągnęła gromada wyrostków. Wiatr w pewnej chwili powiał lekki i ciepły. Z naświetlonych słońcem kasztanów sypać się począł na werandę biały pył kwiatów. Do czerwonych sztachet podszedł umorusany malec z koszykiem fiołków.
- Pan kupi, panie dyrektorze - podsunął małą wiązankę. Maciek wziął kwiaty i podał Krystynie. Podniosła je do ust.
 - Ślicznie pachną...
 - Powiedz - odezwał się po chwili - wyjechałabyś stąd? Skinęła głową.
 - Na pewno?
 - Ależ tak. Nic mnie tu przecież nie trzyma. Zawahał się przez moment. Potem nieśmiałym ruchem położył rękę na jej dłoni.
 - Pomyśl - głos mu zadrżał, jak gdyby jednym strumieniem przepływały przez niego nadzieja i niepokój - pomyśl, nie wiedziałem dotychczas, co to jest miłość...
 - A teraz?
 - To ty! - szepnął żarliwie. - Ty jesteś miłość.
 - Jest? - spytał Alek.
- Szretter uważnie rozglądał się po werandzie.
- Nie widzę.
 - Może po tamtej stronie siedzi, od placu.
 - Może. Chodź!
- Gdy przechodzili obok kawiarnianego ogrodzenia, Chełmic-ki z Krystyną opuszczali werandę.
- O, mały Kossecki! - ucieszył się Maciek. - Poczekaj, kochanie, chwilę.
- Zostawił Krystynę i przyspieszywszy kroku dogonił chłopca.

-Alek!

Ten szybko się odwrócił.

- Jak się masz? - przywitał się z nim Chelmicki. - Słuchaj, powiedz Andrzejowi, że mam do niego ważny interes i zajdę jutro do niego pod wieczór. Będziesz pamiętać? Jutro przed ósmą.

- W porządku - odparł Alek. - Powiem.

- Dziękuję ci. Jak tam było nad rzeką? Alek się uśmiechnął:

- Fajnie!

244

Szretter czekał na niego nie opodal. Gdy Alek podszedł, spojrzął pytająco.

- Nic ważnego - powiedział tamten. - I co, jest?

- Jest.

- Gdzie?

- Przy ostatnim stoliku. Blondyn. Z drugim siedzi. Alek spojrzął w tamtą stronę.

- Poczekaj, ja go znam przecież skądś.

- Przypuszczam - mruknął Szretter. Alek pośpiesznie zaczął szukać w pamięci. Znalazł wreszcie.

- Klimczak, nie? Z naszej budy. Maturę zdał przed samą wojną i twój stary uważał go zawsze za najlepszego historyka w całej budzie. Ten sam?

- Zgadza się.

- Więc to stąd znajomość! A ten drugi?

- Nie wiem. Nie znam go.

- To walmy.

- Poczekaj - zatrzymał go Szretter. - Ten drugi nie wiadomo co za jeden.

- A nas co to obchodzi? Jeżeli twój gość jest pewny?

- Pewny jest. Za dużo ma różnych spraw, żeby nie był pewny.

- No więc?

Tamten spostrzegł ich już zresztą i przywoływać zaczął skinieniem ręki. Był to młody człowiek średniego wzrostu, drobny i nikły, o ruchliwej, sprytniej twarzy i gładko ulizanych jasnych włosach. Towarzysz, z którym siedział, wyglądał na jego rówieśnika. Był postawnym i przystojnym dość prostaczą urodą, dobrze zbudowanym blondynem. Na stoliku stała karafka wódki. W wysokich szklankach woda sodowa.

- Serwus - przywitał się przyjacielsko ze Szretterem Klimczak. Przez moment przyglądał się bystro stojącemu obok Kos-seckiemu.

- Znamy się?

- Oczywiście - odparł swobodnie Alek.

- Z Batorego?

-Aha!

- Byczo jest! Siadajcie. To jest mój przyjaciel - wskazał na towarzysza. - Możecie przy nim swobodnie mówić. Swój chłopak. Nie od dawna, co prawda, bo od dzisiaj, ale nie szkodzi. Z każdego

245

nawróconego zawsze radość na ziemi. Naraził się, proszę ja was, facet wysokim władzom...

- Dajże spokój, Edek! - mruknął tamten. - Co rozgadujesz?

- A co, wstyd ci? Swoi goście przecież, eleganccy chłopcy, koledzy z budy. To morowy gość, powiadam wam, tylko jeszcze nie wszedł we właściwy dryg. Karierę na urzędach chciał koniecznie robić. Powiadam ci.

Franek, zmarnowałbyś się, chłopie, jak nic, gdybyś się nie urznął i nie narobił tego całego bałaganu. Zdrowy instynkt się w tobie odezwał. Żałujesz może?

Tamten wzruszył ramionami:

- Czego mam żałować? Ale nie gadaj tyle.

- Już! Poczekajcie, kieliszków tylko trzeba dla chłopaków. Nic się nie bójcie, jakby was kto zobaczył. Ze starym kolegą siedzicie, no? Nie wolno wam? Panie starszy - zawołał na stojącego w drzwiach kawiarni kelnera - dwa kieliszki! I dwie wody sodowe.

Po chwili wprawnym ruchem rozlewał wódkę.

- Zdrowie! Wodą popijcie. Przy upale sodowa najlepiej idzie pod wódkę.

- Byczo jest! - zatarł dłonie, gdy wypili. - A teraz interesy. Forsiczka jest?

- Jest - powiedział Alek.

-Ile?

- Dziesięć kawałków. Reszta przy odbiorze.

- W porządeczku. Jutro towar może być. Gdzie chcecie? Tym razem Alek lojalnie pozostawił Jerzemu odpowiedź.

- W parku - powiedział Szretter. - Szósta po południu. Przy drugim stawie.

- Daleko, cholera! - skrzywił się Klimczak. - Wózek z lodami dojedzie tam?
- Pewnie, że dojedzie - zapewnił Alek. Tamten namyślał się chwilę.
- W porządku! - zdecydował wreszcie. - Ale sprytne chłopaczki, co. Franek? Nieźle to sobie wszystko obmyślił. No, to klasa! - łyknął trochę wody. - Kończymy ten interes i pojutrze możemy wyrwać. Jedziemy we dwójkę rozglądać się trochę po wybrzeżu. Trzeba zmienić powietrze, jemu też tutejszy klimat nie odpowiada. Prawda, Franek?
- Ależ gadasz! - nachmurzył się tamten.
- Już! Skończyłem. Jeszcze tylko forszyczka i do jutra.

246

Szretter sięgnął do kieszeni po kopertę z pieniędzmi, gdy nagle Alek trącił go pod stołem.

- Uważaj! - mruknął. - Stary idzie. Szretter spojrział na ulicę i wyprostował się.
- Chwileczkę, panowie - powiedział spokojnie. Środkiem trotuaru, w tym samym co z rana jasnym ubraniu, młodzieńczo wyprostowany i z laską w ręku, szedł Kotowicz. Rzucając ze swej wysokości krótkie spojrzenia dokoła, wyraźnie zmierzał w kierunku werandy. Szretter szybko się podniósł. Spotkali się przy wejściu na taras.
- O! - ucieszył się Kotowicz. - Kogo widzę? Dobry wieczór, mój złoty.
- Z wylaniem potrząsał chwilę jego dłonią.
- Wrócił Janusz? - spytał Szretter. Kotowicz spochmurniał:
- Łobuz!
- Nie wrócił?
- I może nie wracać. Panie drogi, czy pan pojmuje, na co on mnie naraził? Na jaki wstyd? Jakie nieprzyjemności?
- Rozumiem, oczywiście. Ale nie pojmuję doprawdy...
- Nie ma co pojmować. Jasne. Niestety jasne jak słońce. Łobuz!
- A może mu się coś stało?

Kotowicz ze zdumieniem uniósł krzaczaste brwi:

- Jemu? Drogi panie, to pan go nie zna. Nie ma o czym mówić. Łajdaczy się gdzieś albo po prostu zwiął z pieniędzmi z jakąś dziwką. Znam, kochany panie, mego syna. Niestety z innej ulepił gliny niż pan. Trudno. Nie każdego Pan Bóg błogosławi dobrymi dziećmi. W najlepszym gnieździe, drogi panie, przytrafić się może kukulcze jajo. Cóż? Nie, niech pan krzyżyk postawi nad swoim przyjacielem, niewart pana, ja to panu mówię, ojciec!

Pożegnawszy Szrettera skierował się w głąb werandy, raz po raz z pogodnym uśmiechem oddając komuś przy stoliku szeroki ukłon kapeluszem. Znał wszystkich wybitniejszych ludzi w mieście i sam był szeroko znaną postacią.

Siedząca z doktorem Drozdowskim pani Kasia Staniewiczowa z daleka dojrzała jego wspaniałą sylwetkę. Ucieszona, poczęła w jego stronę dawać znaki ręką. Po chwili, ciągle po drodze rozdając ukłony, dotarł do ich stolika.

247

- Moje uszanowanie drogiej pani. Doktorze, cześć! Cóż za przyjemne spotkanie. Jakie, że tak powiem, samopoczucie?
- Ależ znakomite! - zaśmiała się pani Kasia. - Po tak wspaniałej zabawie, jaką pan nam urządził. W słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i w barwnej sukni wiosennej w kwiaty nie wyglądała na więcej niż na lat trzydzieści parę. Była ożywiona, trochę podniecona, oczy jej błyszczały. Drozdowski w białym płóciennym ubraniu, ze swymi czarnymi włosami i oliwkową cerą bardziej niż kiedykolwiek robił wrażenie południowca, Hiszpana albo Włocha.
- Kotowicz spojrział na wolne obok krzesło:
- Można?
- Ależ tak, błagam pana, niech pan siada. Marzyłam, żeby pana spotkać.
- Pani!
- A wie pan, dlaczego? Mam do pana, kochany dyrektorze, wielką prośbę.
- Zawsze do usług - przyłożył rękę do serca. - Dla pani wszystko.
- Ale to bardzo materialna sprawa. Niestety.
- Trudno. Nie samym duchem człowiek żyje.
- Słusznie - wtrącił Drozdowski. - Jako lekarz mogę coś o tym powiedzieć. Pozwoli pani, że ją wyręcę i zreferuję sprawę dyrektorowi?
- Och, świetnie - ucieszyła się. - Ja tak nie umiem o podobnych rzeczach rozmawiać. Nic się na tym zupełnie nie rozumiem. Drozdowski przysunął się z krzesłem do Kotowicza.
- Chodzi o taką rzecz, proszę pana. Pani Staniewiczowa posiada pewne oszczędności w złocie i biżuterii.

- Rozumiem, rozumiem - przytaknął Kotowicz.
- Chciałaby to teraz spieniężyć.
- Bardzo słusznie! Pochwalam. Pieniądz powinien żyć, obracać się, ruszać. Wszystko rozumiem. Załatwione. Służę ze swej strony wszelką pomocą. Kiedy się mam u drogiej pani zjawić?
- Pani Kasia spojrzała na Drozdowskiego:
- Jutro chyba?
- Tak, najlepiej jutro - potwierdził z czarującym uśmiechem. -W południe, powiedzmy.
- Słusznie! - pochylił głowę Kotowicz. - Szybkość decyzji jest połową wygranej. Jutro w południe melduję się u pani. Załatwione.

248

Oparł się swoimi wielkimi plecami o wątlą poręcz krzesła i głęboko odetchnął.

- A cóż za wspaniały dzień! Spójrzcie tylko państwo na naświetlenie słońca na tych kasztanach. Jaka delikatność, ile w tym życia i piękna! Pomyśleć tylko, że najgenialniejszy malarz nie potrafiłby oddać wiernie takiego oto małego cudu natury...

Głęboka już była noc, gdy po paru bezsennych godzinach podniósł się wreszcie, zapalił małą lampkę i wyjąwszy z teczki notatnik zapisał w nim tych kilka zdań:

"Przegrałem. Uderzenie przyszło ze strony najmniej oczekiwanej. Trudno. Aby zwyciężyć, trzeba nauczyć się przegrywać. Alek K. nienawidzi mnie. Ale ja nienawidzę go silnie. Zobaczymy!"

K

W dni powszednie, z wyjątkiem sobót, ze względu na godzinę policyjną atrakcje artystyczne w "Monopolu" zaczynały się o ósmej. Krystyna na siódmą musiała być w barze. Chełmicki odprowadził ją pod restaurację. Dzień był ciepły, lecz nie tak niezmaczenie pięknej wiosennej pogody jak wczoraj. Niebo coraz częściej się zaciągało płowymi chmurami, wiatr się zrywał i wyglądało, że w nocy może spaść deszcz. W mieście skwar panował dokuczliwy. Na rynku pulsował jeszcze ożywiony ruch i gwar. Krzykliwi uliczni przekupnie i handlarze złotem i walutami kręcili się po placu, przy straganach z żywnością ścisk był i tumult, co chwila zajeżdżały i odjeżdżały dudniące ciężarówki. Kurz unosił się ponad tym wszystkim i ciężki odór benzyny. Przez radio nadawano jakieś przemówienie.

Od dwóch dni rozstawali się po raz pierwszy. Krystyna chciała się pożegnać przy drzwiach wejściowych.

- Chwilę jeszcze - przytrzymał jej rękę.
- Późno już.
- Chwileczkę. Jak myślisz, długo się to dzisiaj przeciągnie?
- Pojęcia nie mam. Przy poniedziałku nieduży zwykle bywa ruch.
- Przed dziesiątą?
- Może.

250

Trzech głośno rozmawiających mężczyzn weszło do lokalu. Maciek ciągle trzymał Krystynę za rękę.

- Będę czekać.
- Pójdiesz teraz na górę?
- Na chwilę.
- A potem?
- Wiesz, ta rozmowa. Jak wrócę, zajdę do ciebie, powiedzieć. Dobrze?

Skinęła głową.

- Ale tylko na chwilę.
- Tylko. I nic się nie niepokój. Wszystko będzie dobrze.
- Myślisz?

Obok przejechał biały od kurzu wojskowy jeep. Zgrzytając hamulcami zatrzymał się o kilka kroków dalej, przed hotelem. Odruchowo spojrzeli oboje w tamtą stronę. Chełmicki drgnął. Czuł, jak mu krew nabiega do serca i nogi stają się odrętwiałymi kłodami. W zakurzonej płaszczu podróżnym, powoli i ciężko, w jednej ręce przytrzymując laskę, wysiadł z jeepa Szczuka. Prowadzący wóz młody, wysoki mężczyzna w skórzanej kurtce i długich butach stał już na trotuarze. Dwaj milicjanci, chłopcy po lat dwadzieścia, siedzieli z pepeszami w tyle samochodu.

Maciek poczuł nagle, że Krystyna ciągnie go za rękaw.

- Co się tak zagapiłeś?

Obrócił się powolnym i ociężałym, zupełnie nie swoim ruchem. Teraz dopiero spostrzegła, że jest straszliwie blady.

- Maciek! - przestraszyła się.

Usiłował się uśmiechnąć, lecz tylko grymas wykrzywił mu wargi. Jak przez cienką ścianę słyszał niski,

stłumiony głos Szczuki i stuk podkutych butów jego towarzysza. Wchodzili, jak się mógł domyślić, do hotelu.

- Maciek! - szepnęła znowu. - Co się stało? Tym razem udało mu się uśmiechnąć naturalnie.
- Nic. Głupstwo. Nic ważnego. Ależ naprawdę! - uściśnął jej rękę. - Tak mi się coś przywidziało.
- Co?
- Zupełne głupstwo. Nie ma o czym mówić.
- Tak dziwnie wyglądałeś.
- Tak? Teraz już chyba nie?
- Teraz nie.
- No widzisz! Rzeczywiście musisz już iść?

251

- Muszę.
- Raz jeszcze badawczo mu się przyjrzała i jednak z cieniem zaniepokojenia.
- Co to byli za ludzie? Udał zdziwienie:
 - Którzy ludzie?
 - Ci, co wysiadali z auta przed chwilą.
- Obejrzał się. Szczuka i tamten drugi weszli już do hotelu. Przy wozie pozostali tylko dwaj milicjanci. Stojąc na chodniku, zapalali papierosy.
- Pojęcia nie mam, jacyś przyjezdni pewnie.
 - Nie znasz ich?
 - Ale skądże!
- Powiedział to z tak szczerą obojętnością, że uwierzyła.
- Do zobaczenia zatem - uśmiechnęła się.
- Odprowadził ją spojrzeniem, aż zniknęła w drzwiach restauracji. I wtedy dopiero poczuł gwałtowne odprężenie, wraz z nim przyplływ znużenia. Nawet nie zauważył, że go ktoś szybko wchodzący do "Monopolu" potrafił. Znowu ktoś inny, mijając go, rzucił w jego stronę zaciekawione spojrzenie i obejrzał się raz i drugi. Stał pochyliwszy głowę i z tak śmiertelną w sobie pustką, jak gdyby nagle oślepl, ogłuchł i wniknął w najciemniejszą samotność. Ocknął się dopiero na odgłos zapuszczanego motoru. Podniósł głowę. Towarzysz Szczuki siedział przy kierownicy, milicjanci za nim. Wóz ruszył. Niebawem zniknął w głębi rynku. Chełmicki cofnął się spod drzwi restauracyjnych i powoli poszedł przed siebie. Po kilkunastu krokach zorientował się, że zamiast do hotelu idzie w kierunku przeciwnym. Zawrócił. I ujrzał idącego naprzeciw Andrzeja. Zaskoczony tym niespodziewanym spotkaniem, zatrzymał się.
- Serwus! - przywitał się z nim Andrzej. - Gdzie ty się podziewasz?
 - Ja? Miałem iść właśnie do ciebie. Mówił ci mały?
 - Mówił. Nie dostałeś mego listu?
 - Jakiego listu?
- Andrzej uważnie mu się przyjrzał.
- U portiera zostawiłem. Trzy razy zachodziłem dzisiaj do ciebie i nigdy cię nie było. Gdzie ty latasz?
 - Mówię ci przecież, że wybierałem się do ciebie. Andrzej zniecierpliwił się:

252

- Dogadać się z tobą nie można. A ja właśnie napisałem, żebyś do mnie nie przychodził i że ja do ciebie przyjdę o siódmej. Jest właśnie siódma.
 - Stało się coś?
 - Nic się nie stało. Wyniosłem się po prostu z domu. U Sroki nocuję.
 - Cóż znowu? - zaniepokoił się Maciek.
 - Mniejsza z tym. Nic ciekawego. Ale chodźmy, nie będziemy wystawać na ulicy. Dokąd pójdziemy? Do "Monopolu"?
 - Nie, dajże spokój!
- Poczuł, że się zaczerwienił. Andrzej zauważył to i ironicznie się uśmiechnął:
- Już dość masz tego lokalu?
 - Nie. Ale po co? Orkiestra będzie nam przeszkadzać. Chodź do mnie na górę.
 - Jak chcesz. Widzę, że dalekie spacerowałyś.
 - Bo co?
 - Po twoich butach poznać.
- Wszedłszy za Maćkiem do pokoju, od razu zauważył stojący na nocnym stoliku bukietek fiołków.
- Cóż to jest? Maciek otwierał okno.
 - Co takiego?
 - To!
- Tamten się obejrzał.

- Nie widzisz? Fiołki.
 - Poznają.
 - No więc?
 - Kupujesz sobie kwiaty?
- Zdjął marynarkę, usiadł na łóżku i palcem wskazał na ścianę:
- Tam?
- Maciek skinął głową.
- Jest u siebie?
 - Jest. Przed chwilą wrócił.
 - Przyjemne sąsiedztwo. Chełmicki milczał.
 - Dlaczego się wyniosłeś z domu? - spytał po chwili. - Pokłóciłeś się?
 - Coś w tym rodzaju.
 - O cóż znowu?

253

- Ach, szkoda gadać! Rodzinna rozmowa o mojej przyszłości, o nauce i tak dalej, domyślasz się? Dla mego ojca świat się zatrzymał w trzydziestym dziewiątym roku. Nic w ogóle nie rozumie, chociaż przesiedział tyle lat w obozie. Pozycja, przyszłość, solidność i tym podobne rzeczy. A ja znów jestem w głupiej sytuacji wobec tego rodzaju historii. Nie mogę przecież wyłożyć wszystkiego jasno i otwarcie.
- Wiedzą, że wyjeżdżasz?
 - Wiedzą. Od tego się zaczęło. Nie wiedzą oczywiście, dokąd i po co. Zresztą mniejsza z tym, nieciekawym tematem. Chełmicki stał zamyślony.
 - Ach, człowieku, człowieku - powiedział nagle - mieć rodzinę i kłócić się z nią. Gdybym ja miał matkę albo ojca tutaj...
 - Ty? - zdziwił się Andrzej. - A cóż to znowu. Przecież ty gwizdzesz na wszystko. Masz zresztą pewnie rację. Człowiek nie powinien się do niczego przywiązywać. Po co? Żeby się potem odrywać? Ale o co innego teraz chodzi. Posłuchaj...
 - No?
 - Usiądź! Nie będę przecież krzychał na cały pokój. Co z tobą? Wyglądasz, jakbyś po łbie dostał.
 - Ja? Dlaczego?
 - To ja mam wiedzieć dlaczego? Siadaj!
 - Więc? - spytał Maciek usiadłszy.
 - Chodzi o jutrzejszy dzień. Florian przed wyjazdem...
 - Wyjechał?
 - Tak, wczoraj pojechał w teren. Otóż przysłał mi kartkę z kilkoma wskazówkami. Po pierwsze, mam się jutro przed południem stawić w Kalinówce. Chłopcy mają już tam na mnie czekać. Muszę więc wyjechać najwcześniejszym autobusem z rana. Słuchasz, czy nie.
- Maciek siedział pochylony, łokcie wsparłszy o szeroko rozstawione kolana.
- Słucham.
 - Bo wyglądasz, jakbyś nic nie słyszał.
 - Ależ słyszę! Musisz wyjechać z rana...
 - To jedno. Zasadniczo Florian wyraził życzenie, aby Sroka, Świder i Tadeusz pojechali również z rana, ponieważ zdecydowałeś się całą tę jutrzejszą historię załatwić sam. Nic jednak nie wiem, jak to myślisz urządzić, gdzie i kiedy. I czy mam ci ostatecznie zostawić paru chłopców do pomocy, czy nie? Zastanów się. Tak się

254

- w każdym razie urządz, żebyś jutro przed wczorajszym mógł przyjechać do Kalinówki. Papiery dla ciebie mam. Bardzo ładnie się nazywasz. Masz! - rzucił na stół nową kenkartę. - Cieszkowski Stanisław. Akurat jutro twoje nowe imieniny, pięknie się składa. Ale żarty na bok. Jeśli mam być szczerzy, to muszę ci powiedzieć, że nie bardzo mi się podoba ani to twoje tutaj mieszkanie, ani włóczenie się po mieście. Sto osób już pewnie poznałeś i z widzenia co drugi przechodzień cię pamięta. Urzynałeś się? Maciek potrząsnął głową.
- Nie? Więc coś ty robił przez te dwa dni? Za dziewczynami goniełeś?
- Chełmicki podniósł się nagle i począł chodzić po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przed Kosseckim:
- Słuchaj, Andrzej, chcę z tobą na serio porozmawiać. Tamten wygodnie oparł się o ścianę.
 - Na nic innego nie czekam.
 - Chcę...
 - Czego?
 - Zrozum mnie tylko dobrze. Chcę skończyć z tym wszystkim. Inaczej ułożę sobie życie. Wiesz, że nie jestem tchórzem, że nie o to chodzi. Wierzysz mi chyba?

Andrzej badawczo mu się przyglądał. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony.

- Mów dalej, słucham cię.

- Po prostu już nie mogę tak dłużej. I nie chcę. To beznadziejne wszystko. Jak długo mamy tak żyć? Co dalej? Muszę przecież wreszcie zacząć jakąś normalną egzystencję. Ja wiem, że ci się trochę dziwne wydaje, że to właśnie ja w ten sposób mówię, ale... - Usiadł i położył dłoń na kolanie Andrzeja. - Posłuchaj, Andrzej, będę z tobą zupełnie szczerzy. Widzisz... poznałem dziewczynę. Pokochałem ją. Ona też mnie kocha. Chcemy razem ułożyć sobie życie. Zrozum mnie, Andrzej, ja już nie chcę zabijać, niszczyć, strzelać, ukrywać się. Chcę prostego, zwyczajnego, życia, tylko tyle, niczego więcej. Musisz to zrozumieć.

Andrzej wyprostował się i ściągnął ciemne brwi:

- Wybacz, ale nic nie muszę. Chwilę! Możesz mi powiedzieć, w jakim charakterze wszystko to mówisz? Jako mój przyjaciel czy jako mój podkomendny?

Chelmicki zmieszał się i lekko poczerwieniał:

- Nie rozumiem cię...

255

- Chyba jasne? Bo jeśli chodzi o mnie, to z góry muszę ci oświadczyć, że w tej chwili mogę być tylko twoim zwierzchnikiem. To wszystko. Więc?

Maciek spojrzał na niego bezradnie:

- Nie wiem, co ci mam powiedzieć... Mówiłem do ciebie jak do najbliższego przyjaciela. Sądziłem, że właśnie ty powinieneś mnie zrozumieć.

- Zostawmy te czułości - przerwał szorstko Andrzej. Wstał z łóżka i podszedł do okna. W głębi podwórza rosła, mocno zbudowana dziewczyna rozmawiała z młodym kelnerem. Z dołu dobiegał brzęk naczyń. W ogrodzie świergotały wróble. Przypomniała mu się naraz sobotnia, decydująca rozmowa z Wagą. Wydała mu się tak odległa, jakby go miesiące od niej dzieliły. Odwrócił się.

- Kto ci powiedział, idioto, że cię nie rozumiem? Ale o co chodzi? Zastanów się tylko trzeźwo. Zakochałeś się. Dobrze. Twoja sprawa. Ta dziewczyna cię kocha. Też twoja sprawa. Wasza, powiedzmy, sprawa. Ale jeśli się chcesz z dnia na dzień uwolnić od przyjętych obowiązków, to przepraszam cię, to już nie jest twoja sprawa prywatna. Wiesz, jak się to nazywa?

Ciemny rumieniec oblał twarz Chelmickiego.

- Andrzej, przecież ja nie uciekam. Do ciebie ze wszystkim przyszedłem.

- Ale z czym? Że chcesz uciec. I żądasz ode mnie, abym cię przyjacielsko uściskał, pobłogosławił i powiedział: "Świetnie, mój drogi, zakochałeś się, rób, co ci się podoba". Poczekaj! Ile razy byliśmy ze sobą w akcji? Czy gdybyś się wówczas zakochał, przyszedłbyś do mnie i powiedział: "Słuchaj, Andrzej, zakochałem się, chcę wreszcie spokojnie żyć, więc nie możecie na mnie liczyć". Powiedziałbyś tak? A kiedy byliśmy na Starówce, wtedy też byś tak powiedział?

- To było co innego.

- Mylisz się. Jesteś tak samo żołnierzem jak wtedy. Chelmicki gwałtownym ruchem obrócił się ku niemu:

- Ale w imię czego mam wszystko poświęcać? Wtedy wiedziałem. A teraz? Powiedz! W imię czego mam tego człowieka zabić? I innych zabijać. Ciągłe zabijać. W imię czego?

- Nie unosz się. Do tej pory nie wiedziałeś, w imię czego? I w sobotę, kiedy omawialiśmy całą tę historię, też nie wiedziałeś? Chelmicki milczał.

256

- Nie - powiedział wreszcie. - Nie zastanawiałem się nad tym.

- Szkoda.

- Wiesz, jak było.

- To żadne usprawiedliwienie.

- Czy ja się usprawiedliwiam, Andrzej? Zastanów się!

- Tylko co robisz?

- Przeciwnie. Oskarżam się.

-1 oskarżywszy siebie chcesz się spokojnie kochać, tak? Chelmicki pochylił głowę.

- Andrzej - powiedział po chwili cicho - czy nie rozumiesz, że można się zmienić?

- Rozumiem. Ale pozostaje jeszcze coś, co nie ulega zmianom i o czym zupełnie zapominasz.

- Dyscyplina?

- Coś więcej. Honor.

- Honor wbrew samemu sobie?

- Nie bądź śmieszny. Zostaw te frazesy. Nie jesteśmy romantykami. Honor to nie jest wierność samemu sobie. Cóż ty, trzeci, dziesiąty? Sam się zastanów. Kimże ty jesteś? Powiedziałeś, że się zmienięs.

Przedwczoraj byłeś innym człowiekiem. Za tydzień możesz być jeszcze kimś innym. Któremu sobie chcesz być wiernym? Kolejno każdemu? Nie, mój stary, to nie jest tak. Wierność jest poza nami. Zapominasz, że

przez wiele lat byłeś i nadal jesteś jednym z nas. To się właśnie liczy. Wtedy jesteś wierny solidarności. To jest honor. Rozumiesz? A czy się zmieniasz, czy nie zmieniasz, to nikogo nie obchodzi.

Chełmicki słuchał, ciągle pochylony, z dłońmi splecionymi pomiędzy kolanami.

- Więc co mam robić? - spytał wreszcie głuchym, ociężałym głosem.

- Przede wszystkim wziąć się w kupę i nie rozklejać. Po drugie...

- Wiem. Tak ci chodzi o tego jednego człowieka?

- Nie o niego, głupcze! Chodzi mi o rozkaz. I albo ty go wykonasz, albo ja to zrobię za ciebie. Maciek wyprostował się.

- Ty?

- Oczywiście, to jasne. A coś ty myślał? Od początku chciałem tę historię wziąć na siebie. Przypomnij sobie. Nie proszę

mnie, żebym tobie to zostawił i Florianowi tak całą rzecz przedstawił?

Z sąsiedniego pokoju wyszedł ktoś na korytarz. Stuknęły drzwi i zgrzytnął w zamku klucz.

Andrzej nasłuchiwał chwilę.

- To on?

- Zdaje się.

- Wyszedł?

- Przypuszczam.

- Pilnują go?

- Nie wiem. Przed chwilą wrócił dopiero, mówiłem ci przecież.

- A co jutro robi, nic nie wiesz?

Maciek powolnym i znużonym ruchem przesunął dłoń po czole:

- O dziesiątej jest pogrzeb... wiesz, tych dwóch...

- Jakich dwóch?

- No tych! Nie wiesz?

- Ach to! Dobrze. A dalej?

- Nie wiem. Andrzej wybuchnął:

- Więc jak ty sobie to wszystko wyobrażałeś właściwie? Gdzie, kiedy? Wiesz, Maciek, nie chcę już mówić, jak się nazywa taka robota. Po coś się w ogóle do tego brał? Widziałeś się z Kacprem?

W pierwszej chwili Chełmicki nie mógł sobie przypomnieć, o kogo chodzi.

- Jakim Kacprem?

- Nie wiesz, kto to jest Kacper?

- Aha! Ten mały z Bezpieki? Nie, nie widziałem go.

- Pewnie się nawet nie starałeś zobaczyć? Wsunął rękę w kieszenie spodni i rozdrażnionymi krokami przemierzać począł pokój.

- Co to za dziewczyna? - spytał nagle.

- Mniejsza z tym.

- Wie o tobie?

- Domyśla się.

- I co?

- Nic.

Andrzej wzruszył ramionami:

- Mógłbyś przynajmniej jak człowiek odpowiadać.

258

- Po co? Sam powiedziałeś, że to moja sprawa. Przez chwilę milczeli. Andrzej znowu począł chodzić po pokoju. Wtem Chełmicki się podniósł:

- Więc dobrze!

Andrzej zatrzymał się przed nim.

- Co dobrze?

- Załatwię to.

- Jutro?

- Tak.

- Ale w jaki sposób?

- To już moja rzecz. Nikogo mi nie zostawiaj, sam to zrobię.

- Na wariata?

- Nie bój się. Nie zrobię żadnego głupstwa. Zależy mi na życiu, więc od tej strony możesz być spokojny. Ale na tym koniec.

Andrzej spojrział na niego badawczo i nagle, bez słowa się odwróciwszy, podszedł do okna. Stał tam dłuższą chwilę. Wreszcie spytał:

- Więc mam nie czekać na ciebie w Kalinówce?

-Nie.

Teraz dopiero się odwrócił i oparł dłońmi o parapet.

- Cóż? - powiedział spokojnie. - Nasze drogi rozchodzą się wobec tego. Przechodzisz na drugą stronę.

Wątpię, czy się kiedy zejdziemy. Tylko jednemu z nas może być przyznana słuszność.

Stał chwilę zamyślony. Na koniec wyprostował się. Podszedł do Maćka i wyciągnął rękę:

- Bywaj.

Chełmicki z trudem wy dobył ze ściśniętego gardła głos.

- Bywaj - powiedział cicho.

Cała przeszłość, pełna cieni zmarłych przyjaciół i towarzyszy, ogarnęła go naraz przejmującym blaskiem tamtej nadziei i tamtego braterstwa.

- Andrzej! - zawołał za odchodzącym. Kossecki zatrzymał się przy drzwiach. Był blady, usta miał zaciśnięte.

-Co?

- Powiedz... czy ty, ty sam... wierzysz w swoją słuszność?

- Ja? - powtórzył tamten z akcentem zdziwienia. - Nie. Ale to jest bez znaczenia. Bywaj.

W kwadrans później Chełmicki zszedł na dół. Kupił od znajomego pulchnego portiera papier listowy i w hallu, przy sto-

259

jącym z boku stoliku, skreślił pośpiesznie ołówkiem następujący list:

"Kochana, jestem wolny, ale dopiero jutro wieczorem. Nie mogę inaczej. Nie przychodź dzisiaj. Wszystko ci potem wytłumaczę i błagam, nie niepokój się. Jutro muszę jechać do Warszawy. Pociąg przychodzi tu o dziewiątej wieczorem. Jeżeli możesz pojechać ze mną, napisz mi: tak. Spotkamy się na dworcu. Jeżeli nie będziesz mogła, postaram się albo przyjść do ciebie przed odjazdem, albo zaraz z Warszawy napiszę, podając adres.

Kochana, bądź dobrej myśli. Tylko do jutra. Jeszcze tylko jeden dzień. Nic się nie niepokój!"

Nie przeczytawszy, co napisał, włożył papier do koperty, za-kleił ją i oddał ją małemu boyowi, wytłumaczywszy, gdzie i komu ma list wręczyć. Potem usiadł w głębokim fotelu.

W hallu było pusto. Z sali restauracyjnej dobiegały przytłumione dźwięki orkiestry. Był tak zamyślony, że nawet nie zauważył wymownych gestów portiera usiłującego z nim nawiązać rozmowę. Wreszcie ten nie wytrzymał i bokiem spoglądając zza okularów, wprost go zagadnął:

- Jakże tam pański pokój, wygodny?

Chełmicki siłą przymusił się do wesołego uśmiechu.

- Fajny! - I po chwili dodał, żeby okazać swoją życzliwość: -Przyjemny ten wasz Ostrowiec. Portier skrzywił się:

- Ech, to nie to co Warszawa. Pan szanowny do Warszawy wraca?

- Do Krakowa na razie.

- Owszem - zastanowił się stary - niebrzydkie miasto. Byłem przed wojną. "Francuski" tam jest najlepszy hotel. Ale też nie to co Warszawa.

Mały boy wrócił z odpowiedzią prędeej, niż Chełmicki przypuszczał. Ręce mu drżały, gdy niecierpliwie rozrywać począł kopertę. W środku była mała, z notatnika wydarta kartka. Na niej drobnymi literkami: "Tak. Kocham cię".

- Dobra wiadomość? - zagadnął poufale portier. Skinął głową.

- Doskonala.

Raz jeszcze przeczytał te trzy słowa. Długą chwilę się w nie wpatrywał. I nie czuł żadnej radości, nawet ulgi.

x

Po ulewnym deszczu, który padał całą noc, bardzo się ochłodziło i dzień był chmurny i wietrzny. Chełmicki o wiele za wcześniej przyszedł na cmentarz. Po licznych przemówieniach na rynku kondukt pogrzebowy wyruszyć mógł sprzed Domu Partyjnego nie wcześniej niż o jedenastej, a droga na cmentarz dość odległa, bo prowadząca całym miastem przez plac Czerwonej Armii i Aleją Trzeciego Maja, musiała trwać co najmniej godzinę. Sądząc z tłumów, które już przed dziesiątą zbierać się poczęły na rynku, pogrzeb zabitych robotników zapowiadał się na wielką manifestację. Teraz natomiast był kwadrans zaledwie po jedenastej.

Miał więc dużo jeszcze przed sobą czasu

Szeroka, wysokimi lipami ocieniona aleja prowadziła w głąb cmentarza. Było pusto. Rozłożyste lipy szeleściły na wietrze młodziutkimi, jasnozielonymi Usteczkami. Szarość bezsłoneczna i mglista nasycala powietrze. Z daleka, gdzieś z krańca cmentarza, dobiegał zgiełkliwy wrzask wron. Mimo to pierwszym wrażeniem, jakiego doznał, gdy podniósłszy kołnierz płaszczka iść począł wolno aleją, była ogromna i niezwykłym spokojem

nasycona cisza.

Cmentarz był stary, bardzo zapuszczony. Po obu stronach alei ciągnęły się omszałe kamienne nagrobki, krzyże pokryte rudawą rdzą, inne drewniane, poczerńnięte i chylące ku ziemi zbutwiałe ramiona. Gęsta trawa, żółciejąca gdzieśgdzieś młodym mleczem; porastała wiele grobów. Tu musiała być najstarsza część cmentarza,

261

Lecz gdy skręcił w jedną z bocznych, wąskich alejek, samotność i zaniedbanie mogiłek wydały mu się bardziej jeszcze przejmujące. Groby tu były ubogie, przeważnie prostymi tylko krzyżami oznaczone, stłoczone ciasno, chłodnym cieniem szumiących drzew ogarnięte i gęstewiem zieleni pokryte. Zatrzymał się w pewnym momencie. Mogiła płaska, ze starości w ziemię zapadnięta, zwróciła jego uwagę. Podszedł do niej. Bez krzyża, dużym tylko i niekształtnie ociosanym kamieniem była przygnieciona. Na nim widniał niewyraźny, zatarty napis. Musiał pochylić się, żeby go odczytać.

Przechodniu

Byłem kim jesteś

Będziesz kim jestem

Módlmy się za siebie nawzajem

Nazwiska na kamieniu nie było żadnego. Daty również. Stał wpatrzony w ten napis i już chciał odmówić "Ojczy nasz", gdy powstrzymał go odruch wstydu. Po chwili dalej poszedł pomiędzy grobami. Z czarnych blaszanych tabliczek odczytywał po drodze imiona i nazwiska, daty, krótkie objaśnienia, które w utartych, szablonowych zwrotach zamykały ostatecznie czyjeś nieznanie istnienie. Cisza niezmienna trwała ponad tym wszystkim. Mała wiewiórka przemknęła bezszelestnie pomiędzy mogiłami i dopadłszy najbliższego drzewa chyżyło się na nie wdrapała. Gdy mijał drzewo, przycupnięta wysoko, spoglądała z góry bystrymi ślepkami. Nieco dalej znów się zatrzymał.

Grób, przy którym stanął, różnił się od innych. Ze złotych liter wrytych na czarnej marmurowej płycie dowiedział się, że leży tu strzelec I. pułku Legionów, Juliusz Sadzewicz, urodzony w roku 1893 i poległy śmiercią żołnierską w roku 1915. Obliczył lata. Zmarły był w chwili zgonu jego rówieśnikiem. Pod nazwiskiem i datami wryty był wiersz. Począł go odczytywać:

Coraz to z ciebie, jako z drzazgi smolnej, Wokoło lecą szmaty zapalone;

Gorejąc nie wiesz, czy stawasz się wolny, Czy to, co twoje, ma być zatracone? Czy popiół tylko zostanie i zamęt, Co idzie w przepaść z burzą? - czy zostanie Na dnie popiołu gwiazdzisty dyjament, Wiekuistego zwycięstwa zaranie...

262

Domyślił się od razu, że musi to być cytat z jakiegoś znanego poety, lecz pojęcia nie miał, kto ten wiersz mógł napisać. Raz jeszcze go przeczytał i półgłosem powtórzył: "czy popiół tylko zostanie i zamęt, co idzie w przepaść z burzą?" Cóż zostało z tego młodego, nieznanego chłopca? Tylko popiół i zamęt?

Stał z pochyloną głową, zmarznięte dłonie wcisnąwszy w kieszenie płaszcza, i po długiej dopiero chwili zdał sobie sprawę, że myśląc o spoczywającym pod tą płytą człowieku myśli o samych sobie. "Czy popiół tylko zostanie i zamęt, co idzie w przepaść;

z burzą?" Nie mógł się od tych słów oderwać. Odszedł wreszcie od grobu i dalej idąc pomiędzy stłoczonymi dokoła krzyżami powtarzał półgłosem dwuwiersz. Aż wreszcie wyszedł na podobną do poprzedniej wąską alejkę. U jej końca widniał czerwony mur. Cmentarz kończył się w tej stronie. Więcej tu było wolnej, nie zadrzewionej przestrzeni. Ale wiatr ściszył ostatnio i spokój panował równie rozległy jak wśród drzew. Ziemia po nocnym deszczu mocno pachniała świeżą wilgocią. A powietrze, szare do tej pory, rozjaśniać się powoli poczyniło. Niebo było jeszcze zachmurzone, lecz już tu i ówdzie przetarte jaśniejszymi poblaskami. Spostrzegłszy stojącą z boku małą ławeczkę, usiadł. Zaraz za czerwonym murem cmentarnym, w lekko przymglonym powietrzu rysowały się do zielonych obłoków podobne trzy oddalone od siebie grupy ogromnych kasztanów. Wśród nich skrzeczały głośno wrony. Musiał je akurat ktoś spłoszyć, bo zgiełkliwym stadem poderwały się nagle do góry. Chwilę łopotały w powietrzu i czarną, jazgocącą chmurą opadły na najdalszą grupę drzew.

Mimo znużenia nie mógł długo usiedzieć na ławce. Poderwał go niepokój. Wstał i poszedł w głąb alejki. Gdy zawrócił spod muru, dochodziła dwunasta. Przyśpieszył kroku. Po chwili znalazł się w głównej alei. Pusta była. Przeszedł więc na drugą stronę cmentarza. Wtem zatrzymał się. Chciał machinalnie powtórzyć tamten dwuwiersz. I oto zagubił się w nim. Kilka zaledwie oderwanych wyrazów pozostało mu w pamięci. Popiół, zamęt, przepaść... Powtarzał je szeptem, nie mógł ich jednak połączyć właściwym sensem. Błąkały się w nim samotne i odarte z rytmu. Już chciał zawrócić, aby grób odszukać, gdy z daleka dobiegły przytłumione dźwięki orkiestry. Dłuższy czas stał bez ruchu, przytłoczony tą samą ociężałością ciała, jaka ogarnęła go wczoraj, gdy żegnając się z Krystyną ujrzał był wysiadającego z auta Szczukę. Po chwili wyraźnie mógł uchwycić wolną i uroczystą melodię marsza

263

żałobnego. Z wysiłkiem, uginając w kolanach zdrętwiałe nogi, poszedł wolno w stronę alei. U wylotu jej, przy bramie cmentarnej, gromadzili się ludzie. Od razu zauważył wśród nich mundury milicjantów. Oparł się o pień lipy i zsunął z czoła kapelusz. Pod palcami poczuł chłodny pot. Orkiestra zbliżała się powoli i w ciszę, która na cmentarzu panowała, coraz pełniejszym brzmieniem wlewał się narastający rytm marsza. Przymknął oczy i już się nie bronił przed uporczywą i natrętą myślą, którą do tej pory usiłował zepchnąć w niepamięć. Tych oto dwóch ludzi zamordował własnymi rękoma. Nie ich chciał zabić. Chciał zabić innego człowieka. Lecz cóż to znaczyło? Bezsens i przypadkowość tej zbrodni czyniły ją jeszcze potworniej szą. Nie znajdował w sobie żadnego usprawiedliwienia. Wszystko przemawiało przeciw niemu. Ślepa solidarność, o której mówił Andrzej? Honor i wierność do ostatka, nawet wbrew sobie? Czuł, że ponad wszystkimi tymi prawami i więzami spoczywa w człowieku prawda jeszcze czulszą i trwalszą miarą sprawiedliwości obdarzona. I nagle targnęło nim przejmujące zdumienie. Jak się to stało, że w ciągu dwóch nocy mógł bez wstrząsu przerażenia trzymać w ramionach ciało Krystyny? Za dnia mógł patrzeć jej śmiało w oczy, rozmawiać z nią, być szczęśliwym? Jak się odważył wyznać jej miłość? Wszystko w jego życiu toczyło się dotychczas oddzielnymi drogami. Na jednej zabijał, na drugiej był przyjacielem i towarzyszem, na jeszcze innej kochankiem przygodnych dziewcząt. Nowe życie? Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że życie jest tylko jedno. Nie ma życia starego i nie ma życia nowego. Nic w życiu nie zapada w niepamięć i żaden czyn nie daje się wymazać. I A zatem? Nawet w chwilach niepokoju, w który tyle razy w ciągu ostatnich dni popadał, nie wydała mu się Krystyna tak odległa i nieosiągalna, jak odległa i nieosiągalna stała się teraz. Po co więc pokochał, aby utracić dzięki miłości wszystko, co miłości zawdzięczał? Czuł, że się gubi w tych zawiłościach, że wyslizguje mu się jakieś ważne, najważniejsze ogniwo łączące sprzeczności i że głos wewnętrzny, któremu zawierzył, nie rozbrzmiewa w nim ani dość jasno, ani dość mocno. Czoło konduktu podchodzić musiało pod cmentarz, bo dźwięki marsza rozbrzmiewały wielką, majestatyczną pełnią. Zgro-nadzeni przy bramie ludzie poczuli się rozstępować. Wówczas w głębi, pomiędzy szeregami wolno i równo postępujących kole-arzy, zamigotały srebrzyste instrumenty. W tej samej chwili orkie-

264

stra przestała grać. Cisza się stała dokoła. Gdzieś nie opodal ptaszek jakiś samotnie i cienko półwierkiwał. Wśród tej ciszy kondukt pogrzebowy ogromnym, ciemnym tłumem wolno wchodził w główną aleję. Ukazały się pierwsze czerwone sztandary. Za nimi dalsze. I jeszcze dalsze. Niebawem gęszcz sztandarów wyrósł ponad czarnym ludzkim mrowiem i płynął w górze bezgłośnym blaskiem czerwieni. Chełmicki cofnął się pomiędzy groby. Machinalnie zdjął kapelusz. Kondukt bardzo wolno posuwał się w głąb alei. Słychać było | miarowy odgłos rozlicznych kroków. Pierwsza szła orkiestra kole-' jarzy. Za nią delegacje robotnicze z wieńcami. Delegacje młodzieżowe. Potem sztandary. Las sztandarów. Pod ich czerwienią milczący, skupiony tłum. Twarde, spracowane twarze. Starzy. Młodzi. I wreszcie, poprzedzane przez samotnego księdza, dwie ciężkie czerwone trumny wsparte na ramionach robotników. Gromadka ludzi, kobiet i mężczyzn, postępowała za trumnami. I dopiero za rodzinami zabitych tłum płynął ogromny. Mimo odległości dość znacznej od razu spomiędzy obcych, nieznanych ludzi wychwyił barczystą, masywną sylwetkę Szczuki. Szedł w pierwszym szeregu, przygarbiony nieco, z opuszczonymi powiekami, ciężko się wspierając na lasce. Zaraz zresztą przeslonili go inni. Czoło pochodu skręcało tymczasem w boczną aleję. Nie czekając, aż tłum się przesunie do końca, poszedł na przełaj pomiędzy grobami w tamtą stronę. Miejsce, w którym mieli być pochowani zabici, znajdowało się na krańcu cmentarza. Gdy wyszedł spomiędzy drzew i przystanął na skraju rozległej przestrzeni, obie trumny, wysoko wzniesione ponad stłoczonymi głowami, zbliżały się do przygotowanej mogiły. Dokoła niej ustawiły się szerokim półkolem czerwone sztandary. Trzymając w ręku kapelusz podszedł bliżej. Z głębi cmentarza nieprzerwanie napływali nowi ludzie. Większość z nich nie mogła się już pomieścić na ścieżce. Schodzili więc pomiędzy sąsiednie groby, milczącym i skupionym tłumem otaczając tamtą świeżą mogiłę. Szczuki nie mógł teraz nigdzie dojrzeć. Ciągle za to widział obie trumny bardzo powoli posuwające się naprzód. Z daleka wyglądało, jakby wspierał je cały zebrany dokoła tłum. Już się chciał wmieszać pomiędzy ludzi, gdy uchwycił skierowane w swoją stronę badawcze spojrzenie stojącego nie opodal milicjanta.

265

Zawahał się nie dłużej niż sekundę. Podszedł do niego.

- Czyj to pogrzeb? - spytał półgłosem.

Tamten, z wyglądu prosty, młody robotciarz, przyjrzał mu się uważnie i wzięwszy go zapewne za przyjezdnego, odpowiedział chropawym nieco głosem:

- Ofiar zbrodniarzy faszystowskich.

Chełmicki skinął głową i przysunął się ku ostatnim z tłumy ludziom. Byli to sami prawie robotnicy, ciężcy,

kancjaści, nędznie ubrani. Ich prostacze, szare mimo opalenizny, utrudzone twarze wydawały się w masie tak do siebie podobne, jak gdyby samo życie, niosące wspólność pracy i wspólność trudów, żłobiło je w ciągu lat tymi samymi rysami siły i uporu. Stojąc jeden przy drugim, ciasno stłoczeni ramię przy ramieniu, skupieni i milczący, nie różnili się od siebie wiekiem, wzrostem, ubraniem. Byli jedną zwartą i ogromną masą.

Kilku najbliższych stojących robotników spojrzęło w pewnej chwili na Chełmickiego. Chociaż nie wyczytał w ich oczach, że jest intruzem, poczuł się nim. Akurat dalekie trumny zatrzymały się i niewidzialne ramiona zsuwać je poczęły na ziemię. Tłum się poruszył, zakołysał. Skorzystał z tego i cofnął się parę kroków do tyłu. Na świeżej, młodziutkiej trawie leżał delikatny, wąty poblask słoneczny. Podniósł głowę. Niebo rzeczywiście się rozjaśniało i poprzez jego szarość, przymglone jeszcze i bardzo odległe, przebłyskiwać poczęło słońce. Wiatr ścisł zupełnie. Wśród tej niczym nie zmałowanej ciszy dojrzał naraz Szczukę.

Wszedł zapewne na wykopaną z dołu mogilnego ziemię, górował bowiem ponad tłumem. Chwilę stał bez ruchu, ciężki i ogromny. Wreszcie podniósł głowę.

- Towarzysze! - zawołał.

Głos jego poniósł się ponad stłoczonymi głowami silnie i wyraźnie.

- Przed trzema dniami - zaczął mówić swoim twardym, trochę przyciężkim, lecz bardzo donośnym mimo to głosem - przy ciałach tych oto zamordowanych towarzyszy jeden z was spytał mnie: jak długo w Polsce będą ginąć tacy ludzie? Nie umiałem dać mu ścisłej odpowiedzi. I spytałem: czy to was przestrasza?

Mówił wolno, jakby z trudem znajdował w sobie słowa. Ale słuchano go w tym większym skupieniu. Głębszej ciszy nie można było sobie wyobrazić. Chełmicki, chociaż stał daleko, bardzo wyraźnie widział ponad mrowiem głów barczystą sylwetkę. Na pamięć

266

znał tę dużą, grubo ociosaną twarz o ciężkich, na wpół przymkniętych powiekach. Mógł oczy zamknąć i widzieć tego człowieka. Pochylił głowę. Malutka biedronka wędrowała po cienkiej łądźce mleczu. Nie czuł w tej chwili żadnego niepokoju. Znużenie tylko. I pragnienie snu. Donośny głos Szczuki wnikał w niego jak odległe wołanie ze snu.

- Towarzysze! Jedna tylko rzecz pozbawić może człowieka ostatecznie ludzkiej godności i prawa do szacunku. Jest to śmierć w imię tych fałszywych prawd, które niosą niewolę, niesprawiedliwość, gwałt i upodlenie. Gdy padają tak wielkie słowa, jak bohaterstwo, solidarność i braterstwo, to my, którzy przeszliśmy przez lata najstraszliwszych zbrodni, pytamy natychmiast: w imię czego jesteś bohaterem? W imię czego jesteś solidarny i jaki sens nadajesz braterstwu? Gdybyśmy takich pytań nie zadawali, musielibyśmy wówczas znak równania postawić pomiędzy bohaterstwem żołnierzy faszystowskich i bohaterstwem ludzi walczących o wolność. Czyniliśmy inaczej. Potępialiśmy w ciągu ostatnich lat wszystkie czyny, które służyły gwałtom i przemocy, niosąc krzywdę i poniżenie. Potępialiśmy ludzi, aby ocalić ludzkość, której groziła zagłada. Potępialiśmy bez litości, płacąc milionami pomordowanych ofiar, miastami zniszczonymi, spalonymi wsiami, cierpieniem i męczeństwem milionów. I dzisiaj - na moment zawiesił głos i dokończył twardo: - musimy czynić to samo. W tej chwili dogorywa nasz wróg. Wróg ludzkości. Hańba ludzkości. Potęgę hitlerowskich Niemiec przestaje istnieć. Wojna się kończy. Ale niech się nikt z was nie łudzi, że koniec wojny oznacza dla nas koniec walki. Walka o Polskę dopiero się zaczęła. Więcej, walka o oblicze świata. Dzisiaj, jutro, pojutrze każdy z nas może w tej walce zginąć. I w imię praw historii, w imię wyrównania na tej ziemi krzywd i niesprawiedliwości, w imię wypracowania takich form współżycia społecznego, jakie masom pozwolą brać udział w tworzeniu historii, a jednostkę umocnią węzłami ofiarnej solidarności, w imię tych prawd, broniąc ich i torując im trudną drogę, musimy potępić tych wszystkich, którzy nie chcą lub nie mogą zrozumieć wielkiego przełomu naszych czasów. I znów jak w ciągu minionych lat, chociaż w obliczu innego wroga, musimy za naszą wiarę płacić ofiarami. Niech was to nie przestrasza, towarzysze! Nie jesteśmy samotni w walce i ci, którzy w walce padają, też nie są samotni. Ich wiara jest naszą wiarą, a ich śmierci nadajemy żarliwy sens życia. Bowiem naprawdę umierają ci tylko, którzy wierzą samotnie lub służą prawdom

267

złudnym i sprzecznym z wielką i jedyną prawdą swego czasu. Tymi tylko przyszłość pogardzi i obciąży potępieniem albo niepamięcią. Ci zaś, którzy zrozumieli wymowę historii i wiarę swoją solidarnie podzielili z towarzyszami, znajdą w przyszłości, jeśli nie ostateczne zwycięstwo, to chwałę żołnierzy walczących o człowieka, o własną ojczyznę i ludzkość, o porządek świata. W imię wiary w człowieka i w świat, w imię braterstwa ludzkiego uczcijmy, towarzysze, w tych dwu zamordowanych naszych braciach takich właśnie żołnierzy prawdy i pokoju. Sława im i życie!...

Gdy umilkł, głos jego chwilę jeszcze wibrował w powietrzu. Potem nad nieruchomym tłumem rozpostarła się cisza. Chełmicki teraz dopiero zdał sobie sprawę, że nic z tego, co tamten mówił, nie dotarło do jego świadomości. Słyszał głos tylko i myślał... nie mógł sobie nawet przypomnieć, o czym myślał. Podniósł głowę i jak przez mgłę ujrzał pochylające się czerwone sztandary.

Świecki, który bardzo się śpieszył i narzekał, że pogrzeb długo trwał, odjechał z cmentarza pierwszy,

zabierając ze sobą Weycher-ta i Pawlickiego. Wkrótce za nimi ruszyły dalsze auta: majora Wrony, pułkownika Bagińskiego i kilku innych miejscowych dygnitarzy. Paru milicjantów regulowało przy bramie ruch. Robotnicy pojedynczymi grupkami opuszczali cmentarz. Na koniec jeden tylko wóz został: jeep Podgórskiego. Ten ze Szczuką i Kalickim szedł na ostatku prawie. Szczuką był zamyślony, Kalicki wyglądał na bardzo znużonego. Szli wolno i w milczeniu. Dopiero przy bramie Podgórski zwrócił się do Szczuki:

- Dokąd was odwieźć, do hotelu? Szczuką przystanął:

- Chwileczkę. Powiedzcie mi, gdzie jest ulica Zielona? Daleko stąd?

- Będzie kawałek. Przedostatnia przecznica przed placem Czerwonej Armii. Zaraz za gimnazjum Batorego. Macie coś na Zielonej do załatwienia?

-Tak.

- W jedną stronę zatem jedziemy. Wy do siebie? - zwrócił się do Kalickiego.

- Do siebie - odpowiedział.

Wszyscy trzej podeszli do auta. Kalicki wsiadł pierwszy. Szczuką postawił już nogę na stopniu, gdy nagle się cofnął. Podgórski spojrzał na niego pytająco.

268

- Jedźcie - powiedział Szczuka.

-A wy?

- Piechotą przejdę.

- Dajcież spokój! Zmęczeni przecież jesteście po tym wszystkim.

- Właśnie dlatego. Wolę się przejść. Poza tym, wybaczenie mi obaj, ale chciałbym być trochę sam. Do widzenia, Janie - wyciągnął do Kalickiego rękę.

Podgórski był wyraźnie zmartwiony.

- Może jednak?

Tamten uśmiechnął się prawie dobrodusznie i przyjaźnie poklepał Podgórskiego po ramieniu.

- Wasz jeep jest doskonały, ale lubię czasem zawierzyć własnym nogom, nawet gdy jedna jest kulawa. Do zobaczenia!

Wsiadając do auta Podgórski przypomniał sobie Kosseckiego.

- Halo! - zawołał za odchodzącym. Szczuka zatrzymał się.

- Pamiętajcie o popołudniu?

- Oczywiście.

-1 co zamierzacie? Szczuka zastanowił się:

- Zobaczymy.

Po chwili znalazł się na skraju Alei Trzeciego Maja. Gdy skręcał w nią, minął go jeep z Podgórskim i Kalickim. Skinął ku nim ręką i dalej poszedł wolno, zamyślony. Za nim, w odległości kilkudziesięciu co najmniej kroków, podążył Chelmiński.

Dom nr 7 przy ulicy Zielonej był trzy piętrową kamienicą czynszową z płaskim, licznymi śladami pocisków oznaczonym frontem i długim podwórzem w głębi. Ponieważ w bramie nie było listy lokatorów, Szczuka musiał odszukać dozorcę. Rozkudłany i mrugający czerwonymi z przepicia oczami drab poinformował go, że profesor Szretter mieszka na drugim piętrze ostatniej oficyny. Środkowa część domu leżała w gruzach, zwalona bombami.

Schody były drewniane, brudne i mroczne. Okna na półpiętrach bez futryn. Ściany odarte z tynku. Gęsty odór kapusty pomieszany z cierpkim zapachem mydlin wypełniał szczelnie klatkę schodową. Do drzwi mieszkania Szretterów przybity był pineską bilet wizytowy profesora.

Zadzwoił raz i drugi. Nikt nie otwierał. Mieszkanie robiło wrażenie pustego. Dopiero po trzecim dzwonku rozległy się za

269

drzwiami przytłumione i zaniepokojone poszeptywania. Na koniec odezwał się wystraszony głos kobiety:

- Kto tam?

- Do profesora Szrettera - odpowiedział. Zaległa cisza. Ktoś powoli wchodził na schody. Zatrzymał się na pierwszym piętrze. Za drzwiami znów zaszemrały szepty.

- Jest profesor w domu? - spytał trochę już zniecierpliwiony. Okazało się, że Szrettera nie ma.

- A pani Szretterowa?

- Wyszła - odpowiedział ten sam wystraszony głos. - Nikogo nie ma.

- I siostry profesora też nie ma?

Szepty trwały tym razem dłuższą chwilę. Zaczęła go bawić ta historia.

- Więc co? - zagadnął przyjaźnie. - Jest?

- Jest - odpowiedziano na koniec. - Ale leży.

- To wiem - skinął głową, jakby prowadził normalną, w cztery oczy rozmowę. - Właśnie z siostrą profesora

chciałem się zobaczyć. Proszę jej powiedzieć, że przyszedł ktoś, komu chodzi o pewne informacje o Ravensbruck.

- Skąd?

- Z Ravensbruck. Z obozu w Ravensbruck.

Jego wyjaśnienia musiały wzbudzić pewne zaufanie, bo po krótkiej szeptanej naradzie jedna z kobiet poczłapała w głąb mieszkania. Pogodzony z tymi domowymi obyczajami, cierpliwie czekał, aż mu otworzą. Nie miał zresztą większej nadziei, aby mógł się czegokolwiek dowiedzieć. Był przygotowany na jeszcze jeden zawód.

Na pierwszym piętrze otworzył ktoś drzwi i silniejszy niż do tej pory buchnął z dołu zapach mydlin.

- Pan do kogo? - rozległ się donośny głos kobiety.

- Do nikogo - odpowiedział stojący na schodach mężczyzna. - Na znajomego czekam.

Odgłosy dochodzące z mieszkania Szretterów umocniły Szczukę w nadziei, że już nie będzie długo czekać. Rzeczywiście zgrzytnął po chwili raz i drugi przekreślony w zamku klucz, łańcuch brzęknął i drzwi się na koniec otworzyły.

Przedpokój, w którym się znalazł, był mroczny i zatłoczony różnymi gratami. Niska i gruba kobieta, w szlafroku z wypłowiałej niebieskiej białej, poczęła go przepraszać, że tak długo musiał czekać.

270

Chwilę pozwolił jej się rozgadać o potrzebie zachowywania jak najdalej posuniętych ostrożności, wreszcie przerwał:

- Można się zobaczyć z siostrą profesora? Umiłkła w połowie zawilego zdania i jej kwadratowa, o obwisłych policzkach twarz przyoblekła się urazą.

- Proszę! - wskazała drzwi w głębi korytarza. - Tam. Pokój był mroczny i tak meblami zatłoczony, że Szczuka trochę niezdecydowanie zatrzymał się na progu. Dwa duże, obok siebie stojące łóżka. Szafa. Komoda. Staroświecka toaleta z lustrem...

- Proszę pana - dobiegł go z głębi cichy głos. Teraz dopiero spostrzegł, że pod równoległą do drzwi ścianą stoi wąska kozetka. Siedziała na niej chuda i bardzo wymizowana kobieta o gładko zaczesanych, siwych włosach. W pierwszej chwili zrobiła na nim wrażenie staruszki. Gdy jednak podszedł bliżej, od razu się zorientował, że nie musiała mieć więcej ponad czterdziestkę. Łagodne spojrzenie jej niewątpliwie pięknych kiedyś oczu życzliwie spoczęło na Szczuce.

- Dzień dobry panu - wyciągnęła do niego wychudzoną, o przezroczyściej nieomal skórze dłoń. - Cieszę się, że pan przyszedł.

Trochę go zaskoczyła ta serdeczność.

- Proszę mi wybaczyć to najście - powiedział z niechcianą szorstkością. - Czy brat pani wspominał o mnie? Spotkaliśmy się w sobotę przypadkiem...

- Wiem. Proszę, niech pan siada.

Rozejrzał się za krzesłem. Stało przy toalecie, przysunął je więc bliżej kozetki i ciężko usiadł. Ogromne znużenie nagle go ogarnęło. Po co tu właściwie przyszedł? Badawcze i przyjazne spojrzenie tej obcej, nieznanej kobiety poczęło go drażnić. Nie znosił klikiwości i obawiał się, że w podobnej atmosferze upłynąć może ta niepotrzebna wizyta.

- Tak sobie właśnie pana wyobrażałam - powiedziała naraz kobieta.

Podniósł dokuczliwie ciężące mu powieki:

- Nie rozumiem.

- Maria dużo o panu opowiadała. Widzi pan, co za dziwny zbieg okoliczności, że pan mnie tu odnalazł.

Milczał długą chwilę.

- Znała pani moją żonę? - spytał wreszcie cicho.

271

Skinęła głową.

- Byłyśmy na jednym bloku. Dwa prawie lata.

- Ach tak!

I jeszcze nie mógł uwierzyć, że gdy już całkiem zwątpił, zwykły zbieg okoliczności pozwolił mu spotkać człowieka, którego tak bardzo pragnął odnaleźć. Więc ta kobieta później niż on widziała Marię, dzieliła z nią tamto życie, słyszała jej głos?

Musiała odgadnąć jego myśli, bo spytała:

- Nie spodziewał się pan, idąc tutaj, takiego spotkania?

- Nie. Więc pani była z moją żoną...

Czuł, że powinien zadać jakieś pytanie. Lecz chociaż tyle ich zadawał samemu sobie w samotności, teraz nie znalazł żadnego. O cóż miał najpierw pytać: jak żyła, jak umierała?

- Maria była bardzo dzielna - powiedziała kobieta. I znów nie znalazł w sobie żadnych słów.

- Tak? - rzekł tylko.

Musiał zdobyć się na duży wysiłek, aby zrozumieć, co mówi leżąca. Widział jej znużoną, dziecinnie drobną twarz, widział jej łagodne, dobre oczy, słyszał głos i przez dłuższy czas nie mógł ani jednego słowa uchwycić. Po chwili dopiero zorientował się, że opowiada o Marii. Słuchał nie przerywając, przymknąwszy powieki i o kolana oparłszy swoje duże, ciężkie dłonie. Więc nie omylił się. Wszystko było tak właśnie, jak przypuszczał. Lecz przypuszczenia wnikały w niego teraz pewnością. Jak gdyby z najodleglejszego świata, z głębi zagubionej przeszłości powracała do niego kobieta, którą kochał był i której człowieczeństwo tyle razy wspierało go w ciężkich chwilach i przywracało mu nadkruszoną wiarę w ludzi. Powracała nie zmieniona, taka sama, jaką pewnego dnia pożegnał na zawsze. Była błogosławieństwem dla swoich współ-towarzyszek. Podtrzymywała je na duchu i dzięki niej, dzięki jej spokojowi, dobroci i ofiarności, dzięki jej wierze w zwycięstwo wiele kobiet uratowało się od załamania. Kochano ją.

Już chciał w pewnej chwili spytać o to, co go tak uporczywie ostatnio dręczyło, zapytać o śmierć Marii, gdy w tym samym momencie rozmyślił się. Umarła. Cóż znaczyło, jak umarła? Żyła w pamięci tych, z którymi dzieliła wspólne i najtrudniejsze losy. Żyła w kobietach, które uratowała od zwątpienia i rozpacz. To miało znaczenie. A jak umarła i co w swoich samotnych ostatnich chwilach przeżywała? Poczul w sobie nagle od dawna nie zaznany spokój i pomyślał, że przemawiając na cmentarzu nie powiedział

272

i

!

ani jednego słowa, które by nie znajdowało w nim najgłębszej wiary i nie było ożywione gorącą nadzieją. Oparłszy się plecami o poręcz schodów postanowił wolno liczyć do sześćdziesięciu. Każdą cyfrę starał się akcentować w myśli wyraźnie i dobitnie... pięć, sześć, siedem... Drzwi jednego z mieszkań na pierwszym piętrze ciągle były otwarte. Dobiało stamtąd plaskanie pranej bielizny... jedenaście, dwanaście, trzynaście... Spostrzegł, że przyspiesza odruchowo liczenie. Zwolnił natychmiast. Na schodach czerniał węglowy miał. Skrajem szeroko pękniętego tynku pełzał po murze pająk... dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć... Pod palcami prawej ręki czuł chłodny i gładki metal rewolweru. Pająk zatrzymał się nagle w miejscu, z którego tynk całkiem opadł. Znow się przychwycił na zbyt pośpiesznym i nie dość dokładnym wymawianiu bezgłosnych liczb... trzydzieści jeden, trzydzieści dwa... Poprzez ten monotony, mechaniczny rytm wnikał w coraz większy spokój. W głębi podwórza odezwał się gramofon... czterdzieści trzy, czterdzieści cztery... Jakiś znany walc. Płyta była stara. Sentymentalny walc chrypiał i zaciął się... czterdzieści osiem... Pająk gdzieś się podział. Ale gdzie? Nie mógł go znaleźć. "Jeżeli go nie znajdę, nie powiesz się" - pomyślał... pięćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt trzy... Uważnie przesunął spojrzeniem po ścianie. Nie ma go. Gdzie mógł poleżeć?... pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć... Nagle dojrzał pająka. Spętał z powrotem na dół... sześćdziesiąt!

Zwilżył językiem suche wargi i począł wchodzić na schody. Siedem stopni naliczył. Siedem dni w tygodniu. Nie mógł sobie jednak przypomnieć, czego jeszcze jest siedem. Zadzwonił. Oczywiście! Siedem lat tłustych i siedem lat chudych. Siedem grzechów głównych. I siedem sakramentów!...

Za drzwiami rozległy się kroki.

- Kto tam? - spytał kobiecy głos.

- Z elektrowni - odpowiedział.

Słyszając z dołu, jak długo musiał pertraktować Szczuka, zanim mu otworzono, przygotowany był na podobną historię. Ale okazało się, że udzielił szczęśliwego wyjaśnienia. W uchylonych, lecz jeszcze łańcuchem chronionych drzwiach ukazała się twarz starej kobiety.

- Znowu z elektrowni? W piątek byli z rachunkiem.

273

Chełm icki uprzejmie się uśmiechnął:

- Chodzi, proszę pani, tylko o kontrolę licznika.

- Fela! - posłyszał z głębi mieszkania drugi kobiecy głos. - Kto to?

- Z elektrowni - odpowiedziała.

Musiał swoim wyglądem wzbudzić zaufanie, bo spuściła łańcuch. Chełmicki bez pośpiechu rozejrzał się dokoła. Mroczny, ciasny korytarzyk. Szafa. Kufry. W głębi drzwi. Zaraz na prawo od wejścia otwarte drzwi od kuchni. Tamta druga kobieta trzymała nad zlewem duże sito. Tylko spokój teraz. I żeby nikt z pozostałych domowników nie nadszedł. Skłamał pająk, czy powiedział prawdę?

- Tam jest licznik - odezwał się kobieta. Naraz jej szeroka twarz z równo nad czołem przyciętą grzywką stała się szarożółta.

- Tylko bez krzyku - mruknął półgłosem.

Ręką dał znak, żeby się cofnęła do kuchni. Nim się jednak ruszyła, tamta druga, również niska i przysadzista, postawiwszy sito na rondlu, stanęła w drzwiach.

- Co ty... - zaczęła i urwała w połowie zdania.

- Prędejj! - syknął.

Cofnęły się w popłochu obie. I jednej, i drugiej strach odebrał mowę. Z poszarzałymi twarzami, oczami wytrzeszczonymi i w podobny sposób poruszające wargami wyglądały tak zabawnie, że Chełmicki uśmiechnął się.

- Niech się panie niczego nie obawiają - powiedział uprzejmie. - Nic się paniom nie stanie. Chodzi tylko o człowieka, który tu wszedł przed chwilą. O nic więcej.

Rozejrzał się po kuchni. W jednej ścianie były drzwi. Otworzył je. Spizarnia. Świetnie!

- Panie pozwolą. Tylko prędko.

Posłusznie i pośpiesznie podreptały. Wepchną do środka jedną, potem drugą. Ledwie się zmieściły w ciasnym schowku. Stały przytulone do siebie jak dwa snopki i w ich sowich, okrągłych oczach widniało niezmiennie osłupienie. Tuż ponad ich głowami leżał na półce cienki kawałek słoniny. Zamknął drzwi i przekręcił klucz. Cisza. Nic tu już nie miał do roboty. Przeszedł do przedpokoju. Kufry. Walizy. Szafa. Skąd taką ogromną lan-darę wytrzasnęli? Jedne drzwi. Drugie. Spoza tych drugich słychać było głos kobiety. Dla pewności otworzył najpierw pierwsze.

274

Pokój był pusty. W porządku! "Wszystko przez tego pajaka" pomyślał.

Dopiero podwórzem przechodząc, usłyszał poza sobą słaby krzyk kobiety. Raczej się domyślił wołania: "na pomoc!", niż to słowo wyraźnie uchwycił. Podwórko było puste. Brama pusta. Wyszedł na ulicę i równym, niespiesznym krokiem skierował się w stronę Alei Trzeciego Maja. Po wyboistym bruku turkotała dorożka. Pociępało. Słońce świeciło. Wróble głośno ćwierkały na jezdni dokoła końskiego łąjna. Młoda kobieta szła z wózkiem dziecięcym. Przed narożnym domem stał furgon z meblami. W owalnym lustrze opartym o ścianę domu ujrzał swoje buty. Na Alei Trzeciego Maja roito się od sztubaków. Spojrzał na zegarek. Było sześć po drugiej.

Po chwili znalazł się na placu Czerwonej Armii. Na werandzie kawiarni Bałabanowicza kilka tylko osób siedziało. Przeszedł placem na przełaj i skręcił w jedną z bocznych ulic. Minął jeden dom, drugi, trzeci. Były to porządne, murowane kamienice. Dalej ciągnęła się nie zabudowana i oparkaniona parcela. Za nią stał parterowy, długi drewniak. Zajrzał do bramy. Otwierała się na rozległe podwórze z ogrodem po jednej stronie i zabudowaniami fabrycznymi w głębi. Na podwórzu bez trudu odnalazł stojący na uboczu drewniany, pobielany ustęp. Wszedł do niego, zamknął drzwi na haczyk, załatwił się, potem wyjął z kieszeni pałta rewolwer i rzucił go w głąb kloaczego dołu.

Znalazłszy się z powrotem na ulicy, poczuł gwałtowne pragnienie. Gardło miał wyschnięte. Wargi spieczone. Wrócił więc na plac Czerwonej Armii i w narożnym barze wypił przy bufecie jednym tchem duże piwo. Potem najkrótszą drogą skierował się w stronę rynku. Gdy znalazł się na nim, ujrzał ogromny tłum zapelniający znaczną część placu.

Przeszedł pomiędzy straganami i pierwszego z brzegu człowieka spytał:

- Co się stało?

Starszy pan z bródką, w słomkowym kapeluszu, wzruszył ramionami. Nie wiedział. Stał, ponieważ stali inni. Ale pytanie Chełmickiego dosłyszał oparty nie opodal o rower wyrostek.

- Komunikat mają nadzwyczajny nadawać - wyjaśnił. - Pewno wojna się skończyła.

275

Mężczyzna w słomkowym kapeluszu skrzywił się, machnął ogardliwie ręką i odszedł.

- Zaraz będą mówić - powiedział chłopak do Chełmickiego. Tłum rósł. Nowi przechodnie zatrzymywali się. Nagle w głosikach zachrobotało.

Halo! halo! - rozległ się wysoko ponad stłoczonymi ludźmi donośny głos spikera. - Polskie Radio Warszawa i wszystkie rozgłośnie polskie. Nadajemy nadzwyczajny komunikat. Dzisiaj, 8 maja, na gruzach stolicy Niemiec, Berlina, podpisany został przez Naczelne Dowództwo Niemieckie akt bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. W imieniu Naczelnego Dowództwa Niemieckiego akt kapitulacji podpisali: Keitel, Frie-deburg i Strumpf.

Z upoważnienia Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej złożył swój podpis marszałek Związku Radzieckiego, Żuków. Z upoważnienia Naczelnego Dowódcy Ekspedycyjnych Sił Sprzymierzonych - marszałek lotnictwa, Tedder. Przy podpisaniu aktu byli obecni w charakterze świadków: Dowódca Strategicznych Sił Powietrznych USA, generał Spaats, oraz Naczelny Dowódca Armii Francuskiej, generał Delattre de Tassigny...

Tłum słuchał w milczeniu. Nikt się nie ruszał. Każdy z prze-hodniów stał w miejscu, gdzie go dobiegły pierwsze słowa komu-ikatu. Przejeżdżające auta też się zatrzymywały. Krótki klakson atrąbił w ciszy. Dzień jutrzejszy - mówił dalej spiker - będzie pierwszym dniem pokoju w Europie. Polska, a z nią razem wszystkie narody świata uroczą obchodzić będą rozgromienie Niemiec hitlerowskich, upadek naj okrutniejszej tyranii świata, zwycięskie zakończenie najstraszliwszej z wszystkich wojen i rozpoczęcie trwałej epoki

pokoju, wolności i szczęścia. Celem upamiętnienia po wsze czasy zwycięstwa Narodu Polskiego i jego wielkich sprzymierzeńców nad najeźdźcą germańskim, demokracji nad hitleryzmem i faszyzmem, wolności i sprawiedliwości nad niewolą i bezprawiem, Rada Ministrów wydała w dniu dzisiejszym dekret ustanawiający dzień 9 maja 1945 roku narodowym świętem zwycięstwa i wolności.

276

Ledwie głos spikera umilkł, w ciszy, która zaległa na placu, zabrzmiały dźwięki hymnu narodowego. Ludzie odkryli głowy. Gdy hymn się skończył, długą chwilę nikt się nie ruszał. Wreszcie powoli i ciągle w milczeniu poczęto się rozchodzić.

We drzwiach "Monopolu" stał pulchny portier.

- Cóż? - zagadnął go Chelmicki. - Wojna się skończyła. Tamten głośno pociągnął nosem. Oczy za okularami miał zaczerwienione.

- Ech, panie! Żeby człowiek słuchał tego w nie zburzonej Warszawie...

- Ba! - powiedział Chelmicki.

Wziął klucz od swego numeru i poszedł na górę. Najpierw wstąpił do toalety. Tam wyjął z marynarki fałszywy dokument na nazwisko Cieszkowskiego, podarł go i drobne strzępki wrzuciwszy do muszli, spuścił wodę. Nie wszystkie papiery spłynęły od razu. Począł więc chwilę i znowu pociągnął za łańcuch. Tym razem resztę skrawków porwał pęd wody.

Znalazłszy się w pokoju zamknął drzwi na klucz. Zdjął płaszcz, kapelusz i w ubraniu rzucił się na łóżko.

Zasnął natychmiast.

Wychodząc zajrzał do kuchni.

- Rozalio - spytał we drzwiach - nie wie Rozalia, gdzie jest pani.

- Jestem, jestem - odezwała się z głębi kuchni. Cofnął się do hallu. Pani Alicja z miną bardzo zaaferowaną zaraz za nim wyszła. Ujrawszy Antoniego w płaszczu i w kapeluszu, zdumiała się.

- Co, wychodzisz?

- Właśnie - powiedział pogodnie. - Dość tego siedzenia w domu. Trzeba odetchnąć świeżym powietrzem.

- No, nareszcie! - ucieszyła się. - Zobaczysz, jak ci to dobrze zrobi. Ale wrócisz na kolację?

- Oczywiście! Która teraz jest? Piąta przecież dopiero dochodzi.

Odprowadziła go do drzwi.

- Wyobraź sobie, co za historia... Zawołałam wczoraj montera, żeby naprawił kran przy zlewie, bo ciągle kapał. I popatrz, wziął sto złotych, wszystko niby miało być w porządku, i teraz przychodzę do kuchni, a z kranu znowu kapie. Co za ludzie! Nikomu już zaufać nie można.

277

Kossecki zastanowił się:

- Zawołaj go jeszcze raz.

- Montera? I co, znowu weźmie sto złotych...

- Zobaczymy. Ja z nim porozmawiam.

-Ty?

- Oczywiście.

Ogarnęło ją takie zdumienie, że umilkła. Tymczasem Kossecki otworzył drzwi i wyszedł przed dom. Po rannym zachmurzeniu niebo całkiem się przetało i słońce delikatną jasnością ogarniało ziemię. Powietrze było przejrzyste i świeże.

- Co za piękna pogoda! Tylko patrzeć, bzy zaczną kwitnąć. Odwrócił się i uważnym spojrzeniem przesunął się po zniszczonych ścianach willi. Pani Alicja od razu to zauważyła.

- Widzisz, co się z naszego domu zrobiło...

- Nie przejmuj się. Wszystko się powoli doprowadzi do porządku.

Nie mogła pojąć, co się z nim stało i co go tak niespodzianie odmieniło. Naraz ogarnął ją smutek.

- Wiesz co?

-No?

- Myślę ciągle o Andrzeju...

- Ach! - machnął ręką Kossecki.

- Czy dobrze zrobiliśmy, że mu pozwoliliśmy odejść?

- Moja droga, chłopak nie jest dzieckiem. Dorosły człowiek. Wie, co robi. Ja w jego wieku od dawna byłem samodzielny i ciężko pracowałem. Jeśli do tej pory nie nauczył się szanować pracy, to my go już tego nie nauczymy.

- Ale widzisz - próbowała bronić Andrzeja - zapominasz, w jakich on nienormalnych warunkach się wychowywał...

- Tym bardziej. Właśnie warunki powinny go były zahartować i nauczyć odpowiedzialności. Ja też nie miałem łatwych warunków. Nie trzeba zresztą przesadzać. Co było, minęło, i nie należy do tego wracać. A jeśli chce

łatwych, podejrzanych zarobków, woli życie niebieskiego ptaka od nauki i pracy, trudno. Ma swoje rozeznanie.

- Czy je ma? - szepnęła. - Taki dziwny był ostatnio.

- Moja droga Alicjo - uścisnął ją za rękę - każdy człowiek, który ma nieczyste sumienie, jest trochę dziwny. Przy furtce zatrzymał się i wrócił.

- Nie zapomnij posłać Rozalię po tego montera.

278

I wyprostowany, swoim dawnym sprężystym krokiem poszedł wzdłuż ulicy. A więc wojna się skończyła! Świat wracał do normalnych obowiązków i zasad. Ludzie odzyskiwali prawo do unormowanego życia. Przeszłość? Należało ją zostawić od dzisiaj własnemu losowi. Ze wszystkim. Z cierpieniami ludzkimi i z błędami ludzkimi. Pierwszy dzień pokoju przekreślał automatycznie wszystkie tamte dni minione. Nie to jest ważne, kim wtedy był człowiek, lecz to jedynie, kim jest obecnie. Wojna narzuca jedno kryteria, pokój - drugie. W tym duchu zamierzał przeprowadzić rozmowę ze Szczuką i przekonany był, że jeśli jest to człowiek rozsądny i z realnym poczuciem rzeczywistości, zdania okaże się podobnego.

Po drodze spotkał kilku znajomych. Czuł, że gdyby ujrzeli go na ulicy przed dwoma dniami, większość z nich najprawdopodobniej mogłaby go nie poznać. Dzisiaj kłaniano mu się natychmiast i z takim samym szacunkiem jak dawniej. Nie był tym zdziwiony. Gdy przed wyjściem z domu, już w płaszczu i kapeluszu stanął przed lustrem, po raz pierwszy we własnym odbiciu ujrzął siebie takim, jakim był przed obozem: postawnym, dobrze się trzymającym mężczyzną w średnim wieku, o wysoko sklepionym czole, męskiej twarzy i śmiałym wyrazie oczu. "Kto wie, czy przywiązanie do życia nie jest podstawą moralności" - pomyślał wtedy.

Rynek, którego od tylu lat nie widział, zdumiał go ruchem, ilością ludzi i aut. W porównaniu z latami przedwojennymi różnica była uderzająca. Ludzie wyglądali biednie i szaro, domy zaniedbane, wojna pozostawiła na nich liczne ślady, samochody były tylko wojskowe, dobrze wysłużone, pokryte kurzem, śmiecie walały się na chodnikach, lecz przy tym całym niechlujstwie nędzy bujne, zgiełkliwe życie kipiało dokoła. Na domach powiewały biało--czerwone flagi. Stary marsz "Pod gwiazdzistym sztandarem" rozbrzmiewał z głośników radiowych.

Na "Monopolu" także wisiła wielka chorągiew. Niski, pulchny portier spojrzął zza okularów na wchodzącego Kosseckiego. Przedwojenny gość! - ocenił z miejsca.

- Inżynier Szczuką - spytał Kossecki - pod którym mieszka? Osiemnasty, zdaje się?

Wyraźny zawód odmalował się na twarzy portiera.

- Mieszkał - mruknął.

- Jak to? Wyjechał?

Tamten wymownie machnął ręką.

279

- Co? - nie zrozumiał Kossecki.

- Sprzątnęli go.

I uważając sprawę za skończoną, rozdzielać począł leżące na kontuarze listy. Kossecki dłuższą chwilę przyglądał się kopertom różnego koloru i formatu.

- Kiedy? - spytał.

Portier poprawił zsuwające mu się na nos okulary.

- Dzisiaj.

Kossecki chwilę stał zamyślony, wreszcie odwrócił się i wolno począł iść ku wyjściu. Naraz w podnoszącym się z fotela w głębi hallu mężczyźnie poznał Podgórskiego. Szybko do niego podszedł.

- Co się stało? Czy to prawda?

- Prawda - rzekł Podgórski.

- Ale kto? Gdzie?

- Kto? Zawsze ci sami.

I badawczo patrząc na Kosseckiego powiedział:

- Czekalem na pana.

-Na mnie?

- Tak. Chciałem z panem porozmawiać.

- Proszę bardzo. Gdzie, tutaj?

- Nie. Może przejdziemy do Komitetu, niedaleko, zaraz po drugiej stronie rynku.

- Doskonale!

Przeszli rynkiem w milczeniu. W bramie minęli milicjantów z pepeszami.

Na pierwszym piętrze Podgórski przeprowadził Kosseckiego przez kilka ogromnych i wysokich pokoi w amfiladzie. Pełne były ludzi, cywilów i wojskowych. Stuk maszyn do pisania mieszał się z gwarem głosów.

Dopiero ostatni pokój, również rozległy, był pusty. Mebli w nim nie było prawie wcale. Biurko tylko, kilka krzesel. Okna wychodziły na rynek.

- Co tu było przed wojną? - nie mógł sobie przypomnieć Kossecki.
- Podgórski zamykał otwarte okno.
- Tu? Muzeum Miejskie. Za Niemców żandarmeria.
- Prawda - skinął głową Kossecki. - Zbiory oczywiście zniszczone.
- Zniszczone.

280

Kossecki przysunął krzesło do biurka, usiadł i pytająco spojrzął na Podgórskiego. Stał pod oknem. Wyglądał na znużonego i przygnębionego.

- Słucham zatem.
- Nie domyśla się pan, o czym chcę z panem rozmawiać?
- Owszem - odpowiedział spokojnie Kossecki. - Nie tylko się domyślam, ale wiem.
- Więc?
- Cóż panu naopowiadał inżynier Szczuka?
- O panu wszystko.
- To znaczy?

Podgórski poruszył się gwałtownie.

- Nie wie pan, co to znaczy? Mam panu tłumaczyć? Że też ma pan jeszcze odwagę patrzeć ludziom w oczy... Pan? Co za ohyda! Przez chwilę trwała cisza. Nagle Podgórski podszedł bliżej.
- Zresztą to pańska sprawa - powiedział już spokojnie. - Jeśli o mnie chodzi, mogę panu tylko tyle zakomunikować: opierając się na oświadczeniu towarzysza Szczuki, dzisiaj jeszcze oddaję pańską sprawę Urzędowi Bezpieczeństwa.

Kossecki milczał.

- To wszystko? - spytał wreszcie.
- Wszystko.

Odwrócił się i podszedł do okna.

- Zatem nic więcej nie ma mi pan do powiedzenia? - spytał Kossecki.

Tamten milczał. Kossecki się podniósł.

- Więc dobrze. Wobec tego może mnie pan pozwoli powiedzieć kilka słów?
- Słucham - mruknął Podgórski.
- Czy rzeczywiście musi pan patrzeć w okno? Nie jestem przyzwyczajony do mówienia do czyichś pleców.
- Podgórski odwrócił się.
- Ale do bicia w plecy przyzwyczaiał się pan? Kossecki wytrzymał jego spojrzenie.
- Owszem - odpowiedział spokojnie. - Nawet wyobrażenia pan nie ma, do czego człowiek może się przyzwyczaiać. Zdaje się, że pan nie może albo nie chce jednego zrozumieć. Wojna, a szczególnie taka, jaką przeżyliśmy ostatnio, wydobywa z ludzi najróżniejsze rzeczy. Jednych czyni bohaterami, innych przestępcami. Tak, czy nie?

281

Podgórski milczał. Stał za biurkiem, wsparty o nie oburącz, nieco pochylony.

- Nie chce mi pan odpowiedzieć? - spytał Kossecki. Tamten podniósł głowę.
- Zdaje się, że pan nie zdaje sobie jeszcze sprawy - powiedział przytłumionym głosem - w jakim celu wezwałem tutaj pana. Otóż nie dla dyskusowania z panem, kto i z jakich powodów był w czasie wojny bohaterem czy nim nie był. Jasne?

Kossecki lekko się skłonił.

- Najzupełniej. Toteż muszę wyjaśnić, że źle mnie pan zrozumiał. Wcale nie zamierzam z panem dyskutować. Chciałbym jednak, aby znając pewne fakty mnie osobiście dotyczące, poznał pan i mój punkt widzenia.
- Sądowi go pan przedstawi.
- A czyż pan mnie nie osądza już teraz? - zawołał Kossecki. - Nie, powinien mnie pan wysłuchać. Nie chcę się odwoływać do naszej dawnej znajomości, ale po prostu jako człowiekowi powinien pan pozwolić mi mówić.
- Podgórski zawahał się przez moment.
- Dobrze - powiedział wreszcie. - Ale krótko.
- Postaram się - odparł Kossecki. - Otóż stwierdziłem, że w specyficznych warunkach wojennych wydobywają się z ludzi najróżniejsze instynkty. Ale teraz wojna się skończyła. Wojny już nie ma. Sądzę więc, że wraz z powrotem normalnych stosunków ludzkich przyszłości obecnie kolej na nowe, normalne wartościowanie społeczeństwa. Pewni ludzie w ten czy inny sposób załamali się w czasie wojny. Nie wytrzymali tego koszmaru. Nie analizuję już w tej chwili, czyja wina większa: tych, których do przestępstw zmuszają, czy tych,

kórtzy przestępstwa popełniają. Fakt przestępstwa pozostaje. Ale czy ma to znaczyć, że w normalnych warunkach wielu z tych ludzi nie może się na nowo stać uczciwymi i społecznie pożytecznymi jednostkami? Sądzi pan, że X, który okradł w obozie towarzyszy, będzie kradł i teraz, gdy powróci do swego dawnego zawodu i nie będzie głodny? Albo Y, który stał się biernym narzędziem w rękach zbrodniarzy, będzie teraz potworem społecznym? Chwilę jeszcze - powstrzymał niecierpliwy gest Podgórskiego. - Mówiłem do tej pory teoretycznie, zastanawiając się nad samym tylko zagadnieniem. Teraz, jeśli o mnie chodzi. Nie wiem, co panu inżynier Szczuka opowiadał. Być może, przejawskrawił nieco pewne fakty. Mniejsza z tym. Ja się niczego nie wypie-

282

ram. Zna mnie pan chyba od dość dawna, aby wiedzieć, co myślę o odpowiedzialności. Rzeczywiście popełniłem niejedną ciężki błąd. Ale czy sądzi pan, że w tej chwili jestem innym człowiekiem niż dawniej? Że dalej nie mogę być jednostką równie pożyteczną i szanowaną, jak przed wojną? I kto ostatecznie zyska na tym, że zostanę, dajmy na to, wplątany w proces? Pomijam już w tej chwili formalną stronę takiego procesu. Pańskie oskarżenie - to mało. Muszą być świadkowie naoczni. Znajdą się, powiedzmy. Zostanę skazany. I co z tego? Jaka korzyść? Ta chyba, że o jednego człowieka będzie mniej, i to teraz właśnie, gdy tak bardzo ludzi nam brakuje. I co jeszcze? Kilkudziesięciu ludzi, którzy znali mnie dobrze, powie: jeśli podobny człowiek mógł upaść tak nisko, to czego można wymagać od innych? Zapewniam pana, to nie będzie proces budujący. I nikomu nie pomoże do umocnienia się w ufności w człowieka. Więc taka ma być z tego procesu korzyść społeczna? Nie, panie Franku - podniósł trochę oratorskim ruchem rękę - pan wie równie dobrze jak i ja, że godny potępienia w obozie, to przyznaję, teraz, gdy wojna się skończyła, mogę dać z siebie społeczeństwu tyle, ile dawałem przed wojną. Jeśli nie więcej. I jeszcze jedno panu powiem. Mówię w tej chwili jako jednostka. Ale w taki właśnie, nie inny sposób rozumują mądre i doświadczzone politycznie głowy. Jest wojna, jest pokój. Pomiędzy nimi - przepaść. Jedna ocena wartości na okres wojny, druga na okres pokoju. Pierwszy dzień wojny przekreśla pokój i pierwszy dzień pokoju przekreśla wojnę. Co miało znaczenie w czasie wojny, może nie liczyć się w czasie pokoju. I odwrotnie. Wczorajszy wróg może być dzisiaj przyjacielem. To jest życie, proszę pana. Dwa różne oblicza życia. Oblicze wojny i oblicze pokoju. Nie trzeba ich na siebie nakładać. I także, zapewniam pana, nie należy stawiać obok siebie dwóch różnych ludzi. Ten jest prawdziwy, który w danej chwili, w danych warunkach jest społecznie użyteczny. To wszystko. Wyjął z kieszeni papierosnicę i otwartą podsunął Podgórskiemu.

- Dziękuję - odmówił tamten. Zapalił więc sam, głęboko zaciągając się dymem, i usiadł.

- A teraz może pan postąpić, jak pan uważa za właściwe. Ja ze swej strony nie mam nic więcej do dodania. Podgórski milczał dłuższą chwilę. Więc takim w ostatecznym rozrachunku okazał się człowiek, którego kiedyś szanował był i uważał za nieposzlakowanie uczciwego? Nędza tego człowieka

283

była przerażająca. Mógł być katem obozowym, posłusznym narzędziem w rękach zbrodniarzy. Mógł być również porządnym człowiekiem. Jednego tylko pragnął: zachować siebie. Za wszelką cenę. Za cenę zła i za cenę dobra. Życie żądało podłości - był podły. Życie wymagało obywatelskich cnót - miał je. Kim był właściwie? Kto go uczynił niewolnikiem? Jak to powiedział Szczu-ka? Bankructwo drobnomieszczucha? Przez moment Podgórski poczuł w sobie takie znużenie, iż jednego tylko zapragnął: skończyć tę rozmowę zaraz, natychmiast i nic więcej nie mieć wspólnego z tym wszystkim, z całą tą ohydłą sprawą. Machinalnie przesunął dłoń po czole. Pod palcami poczuł chłodny pot. Co uczynić? Pozostawić tego człowieka na wolności? Puścić jego zbrodnie w niepamięć? Nie przykładając ręki do tych brudów? Już chciał wstać zza biurka i powiedzieć: niech pan idzie, gdy naraz krew gwałtownym, gorącym uderzeniem napłynęła mu do skroni. "Cóż ja chciałem zrobić? - pomyślał ze zdumieniem. - Stać się milczącym współnikiem przestępcy? Zgodzić się na jego zakłamanie, tchórzliwe racje? Ja?" Natychmiast wstąpił w niego spokój. Jeszcze tylko w sercu czuł przyspieszone pulsowanie, lecz i ono szybko ucichło. Pewnym też ruchem ręki sięgnął po słuchawkę telefoniczną i począł nakręcać numer Bezpieczeństwa. Czuł, że siedzący po tamtej stronie biurka Kossecki przygląda mu się z napiętą uwagą. Nie spojrział jednak na niego zdjęty naraz niepokojem, że może Wrony nie zastać.

- To ja - powiedział Podgórski. - Cześć! Znajdziesz dla mnie chwilę czasu?

- Kiedy? - spytał Wrona. - Teraz?

- Raczej tak.

- U mnie?

- Jasne! To sprawa, która ciebie zainteresuje.

- Czekam - zakończył krótką rozmowę Wrona. Podgórski odłożył słuchawkę i teraz dopiero obrócił się ku Kosseckiemu. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Z sąsiedniego pokoju dobiegał gwar głosów i stuk maszyn do pisania. Ale w miarę, jak tu, w tym rozległym i pustawym pokoju, przedłużała się cisza - twarz Kosseckiego coraz bardziej bladła, zdawało się, że wszystka krew z niej ucieka, na koniec stała się ziemista.

284

"Dość tego! - pomyślał Podgórski. Odsunawszy się razem z krzesłem od biurka, podniósł się i powiedział cokolwiek za głośno:

- Jedziemy zatem!

Kossecki nie poruszył się. A więc wszystko skończone? Nie mógł jeszcze tego wszystkiego, co się stało w ciągu ostatniej minuty, pojąć ani ogarnąć. Wiedział tylko jedno, to mianowicie, że musi się podnieść i od tego momentu, kiedy wstanie, zacznie się powoli, krok za krokiem, osuwać w przepaść. "Przegrałem" - pomyślał. Ale równocześnie odczuł to mgliste stwierdzenie w taki sposób, że ogrom klęski znajduje się jeszcze daleko poza nim, jak gdyby była ona cudza, nie jego własna. "Przypuszczam, że proszków nasennych na noc nie będą mi mogli odmówić" - pomyślał trochę niespodziewanie dla samego siebie.

I w tym momencie odetchnął głęboko i podniósł się.

Zbudził się z ciężkiego snu przekonany, że przespał wiele godzin i jest noc. Natychmiast wytrzeźwiał. W pokoju zmierzch szarzał, lecz na dworze był jeszcze dzień. Spojrzał na zegarek: pół do ósmej dochodziło. Zerwał się szybko z łóżka, przetarł ręcznikiem spoconą twarz, włosy przecesał i ciągle w pośpiechu wkładać począł do teczek swoje rzeczy: piżamę, ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów, brudną koszulę. Potem nałożył płaszcz, kapelusz. To wszystko. Od drzwi zawrócił i wyjął ze szklanki przywiewły bukiet fiołków.

Pachniały jeszcze. Otrząsnął je z wody i schował do płaszcza.

Portier zdziwił się, gdy mu powiedział, że zwalnia pokój.

- Ma pan czas. Pociąg krakowski po północy dopiero odchodzi.

- Nie szkodzi - odpowiedział Chelmiński. - Muszę przedtem jeszcze różne rzeczy pozalatawać.

Stary poprawił okulary i zabrał się do wypisywania rachunku.

- Trzy doby - obliczył. Chelmiński skinął głową.

- Równo trzy.

I wydało mu się, że całe lata dzieli go od tej chwili, gdy przyszedł tu był po raz pierwszy szukać pokoju.

Portier pisał wolno, a dodawał jeszcze wolniej. Chelmiński ledwie mógł zapanować nad zniecierpliwieniem. Na koniec rachunek był gotów. Zapłacił go i staremu dał duży napiwek.

285

- Aha! - przypomniał sobie. - Papierosów niech mi pan jeszcze da. Węgierskie pan ma?

Były. Te same, które pierwszej nocy palił z Krystyną. Schował paczkę do kieszeni. Portier żegnał go z taką wylewnością, jakby rozstawał się z kimś bardzo bliskim.

- Niech pan pamięta - mówił ściskając rękę Chelmińskiego - dopóki ja tu jestem, na najlepszy pokój w "Monopolu" zawsze może pan liczyć.

- Świetnie - uśmiechnął się Chelmiński.

Był już we drzwiach, gdy tamten zawołał za nim:

- A jak wróci pan do Warszawy, to niech pan pozdrowi Aleje Ujazdowskie od starego portiera z "Savoyu".

Na rynku opadł z Chelmińskiego gorączkowy pośpiech. Stał chwilę niezdecydowany, wreszcie wolno począł iść chodnikiem. Wejście do restauracji "Monopolu" było już oświetlone, coraz to ktoś wchodził do środka. Pod radiowym głośnikiem stała gromada ludzi słuchających komunikatów. Głos tego samego co w południe spikera rozbrzmiewał donośnie. Na domach czerwieniły się i białe flagi. Na środku rynku wznoszono z desek trybunę. Obok niej wbijano w ziemię wysokie maszty.

Doszedł do rogu i nagle zawrócił. W głębi rynku, skąd odchodziły autobusy pasażerskie, stały dwie ciężarówki. Podeszedł do tablicy z rozkładem jazdy. Ostatni autobus w stronę Kalinówki odjechał przed godziną. Pierwszy ranny odchodził o siódmej rano. Spytał szoferów, w jakim kierunku jadą. Jeden nie jechał nigdzie, drugi do Warszawy.

- A pan gdzie ma życzenie? - spytał ten pierwszy. Chelmiński wymienił nazwę pierwszego większego miasteczka za Kalinówką. Szofer wzruszył ramionami.

- Panie, coś pan... Na noc w te lasy jechać?

Chciał coś odpowiedzieć, gdy dostrzegł idący chodnikiem patrol dwóch żołnierzy. Wydało mu się, że zamierzają skręcić na plac. Dotknął więc ręką runda kapelusza i odszedł powoli w przeciwnym kierunku. Na końcu placu, nie opodal słuchających radia ludzi, znów dostrzegł stojący na rogu patrol. I tym razem skręcił w przeciwną stronę. Po chwili znalazł się na jakiejś bocznej, wąskiej uliczce.

Cisza była dokoła. Kilku zaledwie przechodniów. Na domach po jednej stronie, powyżej pierwszych pięter, leżał delikatny złotawy poblask słońca. Dół domów i całą ulicę wraz z kamieniczkami

286

po drugiej stronie cień ogarniał. Minął mały sklepik, w którego otwartych drzwiach stał kosz pełen młodych różowych rzodkiewek. Wysoka, chuda kobieta grzebała w koszu, szukając najlepszego pęczka. Dalej, z ciemnej sutereny dobiegał stuk młotka. Jeszcze dalej szedł drobnymi kroczkami mały staruszek zaczytany w

gazecie. Za nim dreptał na krzywych nogach jamnik. Gołębie gruchały na lśniącej krawędzi nasłonecznionego dachu. A jeszcze dalej, z głębi podwórza dobiegały dźwięki harmonii. Szedł jakiś czas tą uliczką, potem skręcił w poprzeczną, równie jak tamta wąską i cichą. Wtem zatrzymał się. Czego tu właściwie szukał? Po co tu zaszedł? Czy rzeczywiście zdecydował się pojechać do Kalinówki? Dworzec kolejowy znajdował się w zupełnie innej części miasta. Godzina dzieliła go od odejścia pociągu. Jedna godzina. Krystyna mogła już czekać. Ogarnął go nagle niepokój, aby zdążyć na czas. Szybko zawrócił z powrotem. Doszedł do rogu, z pośpiechem skręcił i nagle, w odległości kilkudziesięciu kroków przed sobą, ujrzał idących środkiem jezdni trzech żołnierzy z pepeszami. Drgnął i błyskawicznie się odwrócił. Posłyszał za sobą krzyk: "Stać!" Od rogu krok go zaledwie dzielił. Mocniej objąwszy jedną ręką teczkę, drugą odruchowo sięgnął do płaszcza po rewolwer. I w tym momencie, gdy uświadomił sobie, że broni nie ma, silne uderzenie w plecy ścięło w nim oddech. Szarpnął się. Jak przez mgłę usłyszał płaskie, przytłumione strzały. Wypuszczając teczkę runął na ziemię. Nad sobą ujrzał wielką białą-czerwoną flagę. Wyżej niebieskie, bardzo odległe niebo. Skąd ta chorągiew? - zdziwił się. - Co się stało? Jeden z żołnierzy podniósł z ziemi teczkę. Drugi ukląkł przy leżącym i pośpiesznie począł przeszukiwać kieszenie płaszcza. W jednej znalazł zwiędłe fiołki. Rzucił je na bok. Potem rozpiął płaszcz. - I co? - spytał trzeci, który stał nie opodal z pepeszą. Klęczący wyjął z kieszeni marynarki kenkartę i podał koledze. Ten przejrzał ją i włożył do kieszeni. Pierwszy z żołnierzy wyrzucił tymczasem kolejno na bruk zawartość teczek: piżamę, brudną koszulę, mydło... Wszyscy trzej spojrzeli po sobie. - Cholera! - mruknął ten, który klęczał. Nachylił się nad leżącym. Żył jeszcze. Oczy miał otwarte, lecz już umykające w głąb, mgłą zasnutę. - Człowieku! - zawołał z zalem. - Człowieku, po coś uciekał?

ANEKS

PRZEDMOWA

Jerzego Andrzejewskiego do wydania Popiołu i diamentu z 1954 roku

Zacząłem pisać Popioł i diament w grudniu roku czterdziestego szóstego. W połowie czerwca roku następnego powieść była ukończona. Pisałem ją zatem, jak to się mówi, "jednym tchem", co bynajmniej nie znaczy, że praca szła mi lekko. Owszem, przeżyłem w ciągu owego półrocza sporo wzruszeń umacniających mnie w zaufaniu do własnych umiejętności pisarskich, lecz w ogólnym rozrachunku chwile owe gubiły się w godzinach dręczących zwątpień, gdy pośród stworzonych przez siebie postaci, konfliktów, myśli, uczuć i pejzaży, czułem się jak ślepiec stojący pod murem.

Pamiętam dobrze, gdzieś mniej więcej w połowie powieści wydało mi się, że nie zdołam się już dalej przebić poprzez otaczające mnie zewsząd gruzowiska i mroki. "Patrz - powiedziałem sobie wówczas - przegrywasz książkę, przegrywasz życie". Życie? Czy to przypadkiem nie za wiele? Chyba nie. Nie sądzicie, że podobne myśli podszeptywane bywają pisarzowi przez słabość, histeryczną egzaltację lub krótkowzroczność. Jeśli człowiek, bodaj przez moment, przegrywa w swym poczuciu to, co prawdziwe i całym sobą kocha - niepodobna mu wtedy obronić się przed myślą, że przegrywa również i część własnego życia, że zagasa w nim nieodwołalnie jakieś jedno wewnętrzne światło i milknie raz na zawsze jakiś jeden niezbędny ton.

Szczęście i rozpacz, chociaż tak odmiennie nas doświadczające, w tym się ku sobie zbliżają, iż zarówno w szczęściu, jak w rozpaczach człowiek nie potrafi wyjść poza siebie i spojrzeć na własną historię z rozsądnej perspektywy, z lotu ptaka niejako. Kto w głębi swojego zwątpienia dostrzeże bodaj wążutką błysk nadziei, ten na pewno nie powie: przegrałem. Ale jeśli w chwili szczęścia pomyślimy, że nie będzie ono trwać zawsze - gdzież się nasze szczęście podziewa, gdzie jest czysta niezmaconność?

Od pracy nad Popiołem i diamentem dzieli mnie akurat okrągłych siedem lat - i to lat tak nieprawdopodobnie rozległych wszcz i w głąb - a przecież jeszcze i teraz myśl o tym, jak blisko przeszedłem wówczas obok zgody na klęskę, przyprawia mnie o skurcz serca.

290

W ciągu minionych lat pisarskiej pracy porzucałem wiele podjętych projektów i zamierzeń, z większym lub mniejszym zalem;

czasem nawet w ogóle bez żalu rozstawałem się ze stronicami urwanymi w połowie zdania, wyrzucałem do kosza lub na spód szuflady mnóstwo okaleczonych braków i nieużytków, martwych ułomków i niedonosków, sądzę nawet, że w sumie biorąc utwory, porzucone i nie dokończone, wielokrotnie swoimi rozmiarami przewyższyłyby to wszystko, co zdołałem do tej pory opublikować w książkach. Muszę jednak wyznać, że nie odczuwam tego stanu rzeczy w sposób szczególnie przykry lub niepokojący. Czemu więc w wypadku Popiołu i diamentu myślę inaczej? Czy dlatego może, że gdybym się w swoim czasie poddał zwątpieniu i powieść w połowie porzucił - ominąłby mnie tym samym sukces, który później stał się udziałem książki? Ba! Któż z

lekkim sercem odwraca się plecami do rozgłosu i popularności? Któryż pisarz nie pragnie, aby jego utwór był szeroko czytany i dyskutowany i aby na miarę rozumu i piękna, jakie w sobie niesie, służył ludziom pomocą w niełatwym trudzie poznawania i oceniania ludzkich spraw tego świata? Lecz czy rzeczywiście tylko o to chodzi?

Nie ukrywam, że spośród wszystkich utworów, jakie napisałem, z Popiołem i diamentem wiązały mnie i do dzisiaj wiążą uczucia najbardziej chyba żywe. Słyszysz się nieraz, że pisarze myślą się częstokroć w ocenie własnych dzieł i obdarzają sentymentem te właśnie utwory, które w ich twórczości bynajmniej nie należą do najlepszych. Zapewne, zdarza się i tak. Nie jest też moją intencją narzucać się z osobistą oceną Popiołu i diamentu. Wystarczy, jeśli powiem, że owe szczególne uczucia, jakie żywię dla tej powieści, nie są bynajmniej bezkrytyczne i zamknięte na jej braki i skazy. Nie karmię również tych uczuć wyłącznie pocztynością Popiołu i diamentu ani nawet świadomością, że w tamtym okresie książka ta, w pewnym sensie pionierska, jeśli chodzi o podjęcie tematyki współczesnej, dopomogła wielu młodym i zagubionym ludziom w odnalezieniu właściwej drogi życia, a niejednego czytelnika uczyniła przyjacielem mego pisarstwa. Wszystko to są sprawy bardzo ważne i pisarza zobowiązujące, lecz nie one ukształtowały w sposób ostateczny mój stosunek do książki.

Przygotowując do druku nowe wydanie Popiołu i diamentu musiałem z konieczności sięgnąć po egzemplarz nie czytany od dobrych kilku lat i właśnie w trakcie lektury, dokonując drobnych poprawek stylistycznych, a również wprowadzając w kilkunastu

291

fragmentach korekty istotniejsze, poczęłem się zastanawiać, między innymi, i nad owymi racjami, które sprawiają, że jestem do tej książki tyloma złożonymi uczuciami przywiązany.

Myślę, że te racje - i dlatego ośmielam się o nich mówić - gdzieś w swej warstwie najgłębszej sięgają do pewnych trwałych i koniecznych podstaw pisarstwa rozumianego jako odkrywczy wysiłek poznawczy artysty, wyrażony poprzez odkrywczosć piękna. Wolałbym, rzecz jasna, móc dojrzeć w mojej powieści siłę poznania mądrzejszą i bardziej wyostrzoną od tej, która została utrwalona. Wolałbym, na przykład, aby "diament" promieniał ze stronic tego utworu prawdziwszym i pełniejszym blaskiem. I oczywiście bym wolał, aby stać mnie było w tamtym czasie na większy rozmach piękna. Nie w tym jednak rzecz, co ja bym wolał teraz, po latach. Nie w tym również rzecz, że pisałem Popiół i diament w okresie, gdy kryteria realizmu socjalistycznego nie poczęły jeszcze kształtować naszej literatury. Dałem w Popiole i diamencie akurat tyle, na ile mnie wówczas było stać, i z ręką na sercu mogę powiedzieć, że w stosunku do swoich możliwości nie dałem ani mniej, ani więcej. Kto choć raz jeden w życiu przestraszył się granicy własnych możliwości i mówił szeptem zamiast pełnym głosem lub odwrotnie: kto niebacznie skuszony niecierpliwymi ambicjami przekroczył ową granicę i począł poza nią wspinać się na palce i krzyżeć jak paw - ten dobrze wie, ile krzepiących wartości kryje się w tworzeniu dzieł może niedoskonałych, lecz rzetelnie skrojonych na własną miarę. Otóż to - na własną miarę, na miarę swego umysłu, serca i sumienia.

Żyjemy w czasach, których trudność można odmierzać tylko ich wielkością. Co krok, tuż obok nas, nie dalej niż na wyciągnięcie ramienia, nędza ludzka i kłamstwo staczają się w niziny tak głębokie, jak niezmiernie w swej wysokości potrafią być perspektywy heroizmu naszych lat. Każdego dnia dotykamy dłonią wielkich miłości i wielkich nienawiści. Więcej, w naszych własnych miłościach wciąż i wciąż toczy się jeszcze walka. W naszych nienawiściach również ścierają się sprzeczności. Człowiek myślący nie uniknie dzisiaj ani uskrzydłych porywów tryumfu i nadziei, ani szarpiących boleśnie wahań i zwątpień. Żyjemy jak w burzy, jak w ogniu, jak w huraganie. Żyjemy pełnią, od której mąci się nieraz w głowie i dech, jak na wicherze, zatyka. Ale ponad tym wszystkim jedna prawda wznosi niezmiennie swój czysty płomień, ta mianowicie, że nigdy chyba w dziejach nie zależało tak wiele od czło-

292

wieka, od każdego człowieka, ile zależy teraz, dzisiaj, i ile zależeć będzie jutro.

Lecz właśnie owa wielkość naszych czasów i wysoka wśród nich miara ludzkiej osobowości sprawiają, że w tym ogromnym moralnym napięciu opuszcza niekiedy artystę odwaga mówienia własnej prawdy lub dla odmiany ogarnia go gorączkowa pokusa głoszenia prawd przeżytych niedostatecznie, bo przyjętych tylko powierzchownie. Myślę, że w złożonych i wielowarstwowych pokładach takiego właśnie twórczego rozdarcia znaleźć można odpowiedź, która wyjaśni, czemu to, w przeciwieństwie do niewyczerpanych bogactw naszego życia, mamy w literaturze tak wiele dzieł sztywnych i nudnych jak patyki.

Pisząc Popiół i diament nie miałem jasnego obrazu dni, które będą jutro i pojutrze. Myślę jednak, że jakkolwiek nie dostrzegałem wówczas pełnych perspektyw rozpoczynającego się w naszej historii przełomu, to przecież jako pisarz uczyniłem rzecz jedynie słuszną, jaką mogłem uczynić: powiedziałem tyle, ile powiedzieć potrafiłem. Jeśli się zaś przy tym uwzględni, że był to okres o wyjątkowej sile dramatycznej, że porywający i bolesny przełom dziejowy stawał się również przełomem dla wielu tysięcy ludzkich istnień, gdy, jednym słowem, cofniemy się w tamte, już historyczne lata, aby wywołać ich niepowtarzalny patos - to

wówczas jasne chyba staną się raczej wiążące mnie po dziś dzień z książką pisaną w owych latach i sprawiające, że oddając do druku nowe wydanie Popiołu i diamentu doznaję nieomal takich samych uczuć, jakich doznawałbym wydając książkę dopiero co napisaną.
Marzec, 1954

ODMIANY TEKSTU

W przedmowie do wydania Popiołu i diamentu z 1954 roku Jerzy Andrzejewski wspomina o "poprawkach stylistycznych" oraz "istotniejszych korektach", które wprowadził do tekstu powieści. Na podstawie pierwszego wydania z roku 1948 podajemy poniżej najważniejsze fragmenty, które Autor usunął bądź przeredagował w roku 1954. Niektóre z tych poprawek w znaczący sposób zmieniają wymowę książki.

ROZDZIAŁ I

s. 12*:

[Szczuka:] - Z Warszawy. Stąd musiał uciekać jeszcze z końcem czterdziestego. Po pierwszej większej wyspie. Ja, jak wiecie, zostałem wtedy w terenie, a Kossecki przeniósł się do Warszawy.

- Tam wpadł?

- Głupi przypadek. Ale i tak miał szczęście, że nie pod swoim nazwiskiem.

- Razem pracowaliście?

s. 15:

[Robociarz:] - Mnie? Każdy chce żyć. Ale nie jestem znów taki strachliwy...

s. 16:

[Szczuka] Zaprzeczył z przyzwyczajenia i natychmiast podniósł powieki:

- Czy nie sądzicie, że jeśli się już zdecydowałem tego człowieka polecić boskiej opiece, to powinienem był jeszcze dodać:

miej, Boże, litość nad mordercami?

Podgórski spojrzał niepewnie na Szczukę, nie bardzo się orientując, czy ten poważnie mówi, czy żartuje. Ale tamten nie czekał na odpowiedź.

niniejszego wydania

294

- Myśleliście kiedy o tym?

-Nie.

- Nigdy?

- Nigdy. Nie chcę się litować nad ludźmi, których nienawidzę. Pogardzam nimi, to wszystko.

Szczuka oparł się obu rękoma o łaskę i pochylił nad wodą.

- Ach, tak! Nienawiść, pogarda... wiem, wiem, to też. Ale to nie wszystko.

- Dla mnie wszystko.

Akurat ogromna ryba zwróciła jego uwagę.

ROZDZIAŁ IV

s. 46:

Portier wzruszył ramionami.

-ZPPR-u.

- Tak? - powiedział tamten obojętnie i równie niezaintere-sowanym ruchem obejrzał się za siebie.

ROZDZIAŁ V

s.88-89:

Kossecki zastanowił się.

- Nie przypuszczałem, że to tak wygląda - odezwał się po chwili. - Dochodziły wprawdzie do mnie różne wiadomości, ale trudno było na ich podstawie wyrobić sobie pełny obraz.

- Nie jest taki prosty - mruknął Podgórski. - Chociaż nie, źle się wyraziłem. Nasza obecna sytuacja wewnętrzna nie jest tak skomplikowana, jak się to może wydawać. Oczywiście, jeśli się na nią spojrzy odrzucając całą stronę uczuciową. Cóż ostatecznie? Jakikolwiek zmiany tutaj zachodzą, jakiegokolwiek kataklizmy wstrząsają życiem, pewne elementy istotne, pewien styl ustosunkowania się do życia pozostają u nas te same. Niech pan weźmie obecną sytuację... Mówi się, że jest rewolucja. Jest rzeczywiście. Ale sądzi pan, że wystrzały skierowane przeciw ludziom partii, przeciw milicjantom, żołnierzom i działaczom politycznym, to są strzały protestujące przeciw reformom rewolucji? Że kryjący się po lasach partyzanci, ci młodzi chłopcy z AK, to są faszyci? Na pewno nie wszyscy. Tak zwana reakcja polska jest w sensie społecznym o wiele mniej reakcyjna, niż się to głosi. Nie w tym leży

295

konflikt. Chodzi o coś zupełnie innego. Wie pan, nad czym się nieraz w ciągu tych ostatnich lat zastanawiałem?

Kossecki podniósł znad biurka głowę.

- Na jakich właściwie racjach przeciętny Polak opierał swoją niezachwianą wiarę w klęskę hitleryzmu? Rozumowych? Te na pewno nie były wystarczające, aby z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc podtrzymywać mogły w milionach ludzi wiarę tak ślepią i niezachwianą. Bo to właśnie była wiara, tak to tylko można nazwać. Wierzyli wszyscy. I ta wiara pozwalała przetrwać. Więcej, to była siła, która pozwalała walczyć. Ale to mało. Z taką samą wiarą, z jaką wierzone w ostateczną klęskę Niemiec, wierzyli również Polacy w wolność, która musi przyjść z Zachodu. I owszem, przyszła, lecz ze strony całkiem innej, właśnie ze Wschodu. Pojmuje pan, co to znaczy? Wschód, Rosja... tysiące zadawnionych urazów, zdrażnień. Pogmatwane odruchy uczuciowe i pogmatwane racje rozumowe. Nie kontrolowane racje. Poza tym lęk przed siłą, która mogłaby nas wchłonąć. I co? Wraz z tą wolnością przyszedł do władzy nowi ludzie, o których ogół nie chce wiedzieć nic więcej ponad to, że reprezentują politykę prosowiecką. Wystarczy. Przeciętny Polak nie może im przebaczyć, że swoją koncepcją polityczną, której sam oprócz negacji nie umiałby przeciwstawić nic konkretnego, przekreślili obraz Polski, jaki uczuciowo, we wszystkich nadziejach i pragnieniach, towarzyszył Polakom przez najcięższe lata wojny. Zapewniam pana, że tu nie tylko o rewolucję chodzi. Gdyby ten sam społeczny program, który się teraz u nas realizuje, przyszedł z Zachodu, cieszyłby się prawdopodobnie uznaniem i popularnością. Prawdziwi reakjoniści, ci z głębokiego przekonania i uwarunkowani swoimi osobistymi interesami, nie liczą się. To garstka. Gdzie indziej należy szukać przyczyn rozdzwiewu. Do świadomości ogółu Polaków jedna sprawa całkiem nie dotarła. Przeczyli ją już wśród własnych poświęceń i bohaterstw. Taka niezależność polityczna, o jakiej myśleli i nadal myślą Polacy, już nie istnieje. Walczyli o coś, co właśnie wtedy, gdy składali temu największe ofiary, zapadło się niepowrotnie w przeszłość. Historia wyprzedziła ich. Chodzi teraz o coś więcej niż o Polskę. I żadne strzały z lasów nie odwrócą biegu historii. To wszystko daremne. Walka o fikcję, o zagubiony i niepowrotny cień... Zawsze, widzi pan, jakaś magia, zawsze jakieś idealistyczne złudzenia, wywoływanie przeszłości, wiele szlachetnych uczuć i pragnień, wiele wierności, poświęceń i ofiarnego patriotyzmu, i wszystko to się toczy jakby

296

obok historii, gdzieś na jej marginesie. A rezultaty? Już są. Gorycz, rozczarowanie, żal do wszystkich, znużenie, tysiące młodych chłopców wykolejonych, tysiące żałosnych emigrantów, ślepy zaulek... Podeszedł do biurka i rozgniół w popielniczce niedopałek.

s. 90:

Podgórski stał w głębi pokoju pod piecem. Z rozłargnieniem spojrzął na zapalone światło.

- Jeszcze jedno - powiedział po chwili, jakby dalej ciągnął myśl prowadzoną w milczeniu. - Jeśli o mnie chodzi, nie mam żadnych złudzeń. Wiem doskonale, że wielu ludzi, choćby stąd, z Ostrowca, takich, którzy przed wojną uważali mnie za tak zwanego porządnego człowieka, teraz myśli o mnie jak najgorzej. Wystarczy, że należę do Partii, że reprezentuję pewien określony kierunek myślenia.

- Czy nie przesadza pan? - rzekł Kossecki, żeby coś powiedzieć.

Podgórski potrząsnął głową.

- Niestety nie. Zrobić w Polsce z człowieka łajdaka... to rzecz bardzo łatwa. Tylko fantaści i idealści potrafią tak bezapelacyjnie i bezkrytycznie potępiać drugich. Wiem, że po naszej stronie jest wielu karierowiczów i łobuzów. Ale w Polsce nie ma właściwie nienawiści do występków. Nie zauważył pan tego z własnej praktyki?

Kossecki siedział z pochyloną głową i dłońmi splecionymi na kolanach:

- Mój zawód wykluczał nienawiść...

- Ale zgodzi się pan, coś jest w tym, że w Polsce najgwałtowniej i najbezwzględniej potępia się ludzi nie za to, że źle czynią, lecz za to, że inaczej myślą. Zaręczam panu, tysiące ludzi łatwiej u nas znajdzie usprawiedliwienie dla złodzieja niż dla najuczciwszego człowieka wrogiej idei. Tamtemu darują, zapomną wreszcie, lecz temu ani nie darują, że myśli inaczej, ani mu tego nie zapomną.

Kossecki słuchał w milczeniu. Tamten nadal prowadził swój głośny monolog.

- Staram się o tych rzeczach jak najrzadziej myśleć. Po co się poddawać niepotrzebnej goryczy? Wie pan, czego mnie przede wszystkim wojna nauczyła? Marksizmu i miłości do Polski. Kimże ostatecznie byłem przed wojną? Przeciętnym inteligentem z mieszczańskiej rodziny, trochę, jak pan pewnie pamięta, lewicowcem z prze-

297

konań, lecz nie na tyle, aby te przekonania mogły mi w ówczesnej sytuacji politycznej utrudnić karierę. Gdyby wojna nie była wybuchła, byłbym teraz prawdopodobnie początkującym adwokatem, tutaj czy w jakimś innym mieście. Tak przypuszczam. Polska, cóż? Oczywiście... byłbym poprawnym obywatelem, lojalnym, skłonny do przyjmowania efektywnych, lecz nic nie znaczących frazesów, trochę, jak myślę, szowinistą o swoistym zabarwieniu uczuciowym... i co więcej? To wszystko chyba. Nie byłbym w każdym razie ani dla otoczenia, ani dla samego siebie żadną niespodzianką, to pewne.

- Cóż pan chce? - mruknął Kossecki. - To już jest coś.
 - Może. Nie pogardzam przeciętnością. Muszę jednak panu wyznać, że bez lekkiego zdumienia i jednak bez pewnej pogardy nie umiem myśleć o sobie z tamtych lat. Nie chcę przez to powiedzieć, że warto żyć tylko dla wielkich rzeczy, lecz jeśli się w nie wierzy, życie ma większy sens. A coż przez te lata wojny można było robić, jeśli nie bronić sensu życia? Pozwolić się zniszczyć, tak. Albo właśnie nadać życiu sens, godność jakąś, która by przerastała mnie samego i mogła trwać bez względu na to, czy będę żył jutro, czy zginę choćby za godzinę. Jedna rzecz przeraziła mnie w pewnym momencie... Było takie zdarzenie, mniejsza jakie, to nieważne... wie pan: śmierć, która jest końcem świata. To zbyt upokarzające.

Kossecki milczał chwilę.

- Tak, zapewne - powiedział wreszcie roztargnionym głosem. - Nie jestem jednak pewien, czy w momencie zagrożenia człowiek jest zdolny myśleć podobnymi kategoriami...

- Mnie nie chodzi o to, co się wówczas myśli. To nie jest najważniejsze.

- Tylko?

- Jaki sens nadaje się życiu. To się łączy jedno z drugim. Jeśli życie posiada sens, śmierć nie może być końcem świata. Kossecki podniósł się nagle.

s. 93:

[Kossecki:] - Jak w każdej pierwotnej walce. Cała groza, widzi pan, obozowego systemu na tym właśnie polegała. Złamać ludzi, podeptać ich, odebrać im wszelką godność, wszelkie człowieczeństwo, wydobyć z nich najgorsze instynkty.

[Podgórski:] - Mimo to nie wszyscy się poddali.

298

s. 96:

[Podgórski:] - Inżynier Szczuka, sekretarz partii na województwo. Wspaniały człowiek, zobaczy pan.

ROZDZIAŁ VI

s.135-138:

[Wrona:] - Ja wiem jedno... Gdy byłem w lesie, i ja, i moi chłopcy inaczej sobie to wszystko wyobrażaliśmy. Zawracanie głowy. Przegrywamy rewolucję. Ciąkanie się w rękawiczkach do niczego nie doprowadzi. Tu trzeba wszystkim o, tak potrząsnąć! - pokazał zaciśniętymi pięściami. - A nie krok naprzód, krok w tył. Daleko w ten sposób nie zajedziemy.

- To się jeszcze okaże, majorze. Polityka nie jest rzeczą tak prostą.

- O właśnie! - zachmurzył się Wrona. - Dla was wszystko jest niesłychanie złożone. Ja wam powiem, dlaczego. Bo się boicie, nie macie odwagi uderzyć pięścią. Za wcześniej staliście się wszyscy oswojeni. I chcecie być oswojeni, to jest wasz ideał.

- Majorze, majorze - starał się go zmiętygować Świecki - musimy przede wszystkim unikać niepotrzebnego rozlewu krwi.

- Nie ma rewolucji bez ofiar. To trudno. To nie jest zabawa.

- Ja uważam - ciągnął swoje Świecki - że nasze obecne zadanie na czym innym polega. Musimy wyrównać rozdział pomiędzy nami i społeczeństwem. Skończyć z zadrażnieniami. Zjednywać, łagodzić, oto nasza misja!

- Kogo zjednywać?

- Jak to, kogo? Społeczeństwo.

- Za wcześniej - mruknął Wrona. - Nie zaczyna się rewolucji od kokietowania i ugłaskiwania. Wiecie, czym to pachnie? Wszystko się, jak zwykle u nas, rozejdzie po kościach. Zobaczycie! Poza-klejacie wszystko frazesami. Polska zgoda narodowa, silni, zwarci...

- Majorze, majorze...

- Bo to nie są żadne racje, żadna polityka rewolucyjna.

- Tylko co?

- Bezsilność.

Szczuka zwrócił się do Kalickiego:

- Jak z twoimi planami na przyszłość? Masz zamiar dłużej zostać w Ostrowcu?

299

- Nie wiem jeszcze - odparł Kalicki. - Ciągną mnie do Warszawy.

- Słusznie chyba.

- Myślisz? I co tam po mnie? Coż ja tam będę robić?

- Jak to, co? Mało jest roboty? Taki człowiek jak ty... Kalicki machnął ręką.

- Mój drogi, ludzie mojego pokroju nie są teraz ani potrzebni, ani dobrze widziani.

Szczuka spojrział na niego niedowierzająco:

- Janie, nie poznaję cię. Ty mówisz w ten sposób?

- Cóż, tak jest niestety. Jestem starej daty. Mam za cienką skórę, za dużo skrupułów i wątpliwości. I zbyt lubię mówić prawdę w oczy.

- Więc tym bardziej.

-Co?

- Potrzeba takich właśnie jak ty ludzi.

- Nie! - potrząsnął głową Kalicki. - W teorii może tak, ale inaczej to wygląda w praktyce. Wiem, na co się mogę jeszcze przydać. Można moje nazwisko wygrać politycznie. I to wszystko.

Szczuka zamyślił się:

- Sądzę, że się mylisz.

- Chciałbym. Ale nie myślę się, wierz mi.

- Jesteś zmęczony po prostu. Wszyscy jesteśmy na swój sposób pomęczeni.

Kalicki milczał chwilę.

- Owszem - powiedział wreszcie cicho. - Jestem zmęczony. Ale mylisz się, że wszyscy. Tacy Świeccy bynajmniej nie są zmęczeni. Przeciwnie, tryskają energią. Wszędzie są.

Szczuka spojrzał na lśniąca zadowoleniem, gładką, lekko alkoholem zaróżowioną twarz prezydenta.

- To cię martwi? Dajże spokój! Oni są zawsze. Mało ich było przed wojną?

- Ale po drugiej stronie. Z nami nie robiło się łatwej kariery. Świeccy byli przeciw nam i można z nimi było walczyć. A teraz?

- I na to przyjdzie czas.

- Obawiam się, czy nie za późno. Zgnilizna jest zaraźliwa.

- Cóż chcesz? To każdej opozycji grozi z chwilą, gdy przychodzi do władzy. Dlatego mamy się usuwać, umywać ręce? I ty to mówisz, człowiek, który przez całe życie walczył?

300

Kalicki wyprostował się. Przez moment ciemne oczy błysnęły mu dawnym blaskiem.

- Nie chcę, żeby moje nazwisko służyło za parawan. Szczuka lekko się uśmiechnął:

- Daruj, Janie...

- Proszę cię, słucham.

- Wydaje mi się, że przemówił przez ciebie stary kresowy szlachcic. Nie chcę! I co z tego? Sam pomyśl, czemu to ma służyć?

Kalicki nie odpowiedział. Siedział zamyślony. Wtem Weychert nachylił się do Szczuki.

s.176-177

- Powinieneś mnie zrozumieć, Stefanie - mówił Kalicki półgłosem - znasz mnie ostatecznie od dość dawna, wiesz, jakie było moje życie...

- Wiem. Ale...

- Poczekaj! Od najmłodszych lat walczyłem z Rosją. Miałem szesnaście lat, kiedy dostałem się do więzienia...

- Więc?

- To coś znaczy. Uraz zostaje na całe życie.

- Uraz!... - powtórzył Szczuka. -Ja po raz pierwszy siedziałem w więzieniu polskim. Czy dlatego mam w sobie do końca życia nosić uraz do Polski bez względu na to, jaka jest?

Kalicki potrząsnął głową:

-To nie to samo. Własną ojczyznę musi się znosić. Nie wybiera się ojczyzny.

- Historii też się nie wybiera.

- Ale mam nie tylko prawo, lecz i obowiązek przeciwstawiać się historii, jeśli widzę, że niesie zagładę.

Szczuka przyjrzał się staremu przyjacielowi uważnie.

- Ty rzeczywiście myślisz o zagładzie? Dzisiejsza Rosja nie różni się dla ciebie w niczym od wczorajszej?

Kalicki zasępił się.

- Owszem, różni się. Ale to są tylko różnice ustroju.

- A czyż nie to się właśnie liczy?

- Dla mnie nie. Czy imperializm rosyjski nie pozostał ten sam?

- Więc według ciebie Rosja walczyła tylko za siebie?

- A za kogo? Za nas może? Za Bałkany? Szczuka milczał chwilę. Kalicki pochylił głowę.

301

- Trudno - powiedział po chwili znużonym głosem - tak myślę. I jestem już za stary, żeby zmienić zdanie.

Chciał odpowiedzieć, lecz gdy spojrzał na Kalickiego, zrozumiał [...] Tłumaczyć, że kraj, który dla rewolucji poświęcił całe pokolenie, teraz, gdy przyszło mu płacić za wolność krwią najlepszych synów, walczył o coś więcej jednak niż o własne granice? Siła, w której ludzie zagubieni jak Kalicki dostrzegali tylko zaborczy i brutalny imperializm, dla niego była wzniosłym symbolem światowej walki o lepszy i sprawiedliwszy porządek. Jak na najdalej wysuniętym pod czas wojny przyczółku mostowym żądano w tym kraju od ludzi

bezwzględne wypełniania najtrudniejszych zadań. Żądano heroizmu, pokory i posłuszeństwa. Jeśli więc słabi i wątpiacy odpadali, inaczej być nie mogło. Na przyczółku mostowym nie ma miejsca dla słabych i wątpiacych. Gdy toczy się walka, trzeba nieraz poświęcać wielu ludzi, aby uratować życie milionom. Na przedpolach Moskwy i Leningradu, wśród ruin Stalingradu uczyniono to. Uratowano miliony żyjących. Czy o tym miał mówić Kalickiemu? Wśród gwałtownych i krwawych przemian wstrząsających światem od dziesiątków lat, Związkowi Radzieckiemu przypadła w udziale służba najcięższa i domagająca się największych ofiar. Ten kolos, oskarżony o imperializm i zaborczość, służył w istocie wszystkim uciemżonym i skrzywdzonym, służył ludziom i narodom. Czy tę swoją i swoich towarzyszy prawdę miał powiedzieć Kalickiemu, który kiedyś także służył był uciemżonym i skrzywdzonym?

- Trudno z tobą dyskutować - powiedział.

ROZDZIAŁ X

s. 280-284:

[Podgórski:] - ... dzisiaj jeszcze oddaję pańską sprawę prokuratorowi.

[i dalej, Kossecki:] - To wszystko? - spytał wreszcie.

- Wszystko. I trudno mi wyrazić, jak wszystko to jest dla mnie wstrętne i nikczemne.

- Ale co wszystko?

- Pan! Pan i mój cały szacunek dla pana, moja głupota, wszystko razem.

Odwrócił się i podszedł do okna.

302

- Skończył pan? - spytał Kossecki.

-Tak.-<

Kossecki się podniósł.

-Więc dobrze. Teraz mnie może pan pozwoli powiedzieć kilka stów?

- Słucham - mruknął Podgórski.

- Może jednak zechce pan nie patrzeć w okno. Nie jestem przyzwyczajony mówić do pleców. Podgórski odwrócił się.

- Ale do bicia w plecy przyzwyczał się pan?

- Owszem - odpowiedział spokojnie Kossecki. - Nawet wyobrażenia pan nie ma, do czego się można przyzwycząić. Przepraszam, nie skończyłem. Otóż! Kiedy odwiedził mnie pan w sobotę, odniosłem wrażenie, że wojna pogłębiła pana. Zdaje się, że to nawet panu powiedziałem. Niestety, omyliłem się. Niech się pan nie uśmiecha ironicznie. Ja pana słuchałem bez komentarzy, proszę więc o to samo. Omyliłem się, przynaję. Jest pan w większym jeszcze niż przed wojnę stopniu egzaltowanym i narwanym młokosem. Tak. Nie może pan jednego zrozumieć. Wojna wydobywa z ludzi najróżniejsze rzeczy. Jednych czyni bohaterami, innych przestępcami. Tak czy nie.

- Więc co z tego? - mruknął Podgórski nie orientując się, do czego tamten zmierza.

- Bardzo wiele. I szkoda, że pan tego nie widzi. Teraz wojna się skończyła. Wojny nie ma. I razem z powrotem normalnych stosunków, wraz ze zniknięciem gwałtu i okrucieństwa, gdy ludzi już się nie zamyka w obozach i nie poddaje torturom albo do męczenia innych nie zmusza, przychodzi kolej na nowe, normalne wartościowanie społeczeństwa. Kto według pana zamordował inżyniera Szczukę? Czy nie jeden z tych młodych, o których sam mi pan opowiadał? A co ci ludzie robili w czasie wojny? Ilu z nich było bohaterami? A teraz? I czy ich bohaterstwa wojenne mogą w jakimkolwiek stopniu usprawiedliwić ich zbrodnie obecne? Nie, prawda? A -odwrotny bieg rzeczy... Pewni ludzie w ten czy inny sposób załamali się w czasie wojny. Nie wytrzymali tego koszmaru. Nie analizuję już w tej chwili, czyja wina większa: tych, których do przestępstw zmuszają, czy tych, którzy przestępstwa popełniają. Fakt przestępstwa pozostaje. Ale czy ma to znaczyć, że w normalnych warunkach wielu z tych ludzi nie może się na nowo stać ucz-

303

ciwymi i społecznie pożytecznymi jednostkami? Sądzi pan, że X, który okradł w obozie towarzyszy, będzie kradł i teraz, gdy powróci do swego dawnego zawodu i nie będzie głodny? Albo Y, który stał się biernym narzędziem w rękach zbrodniarzy, będzie teraz potworem społecznym? Chwilę jeszcze - powstrzymał Podgórskiego. -Mówiłem do tej pory teoretycznie, zastanawiając się nad samym tylko zagadnieniem. Teraz, jeśli o mnie chodzi. Nie wiem, co panu inżynier Szczuka opowiadał. Być może, przejawiał nieco pewne fakty. Mniejsza z tym. Ja się niczego nie wypieram. Zna mnie pan chyba od dość dawna, aby wiedzieć, co myślę o odpowiedzialności. Rzeczywiście popełniłem niejeden bład. Ale, czy sądzi pan, że w tej chwili jestem innym człowiekiem niż dawniej? Że dalej nie mogę być jednostką równie pożyteczną i szanowaną, jak przed wojnę? I kto ostatecznie zyska na tym, że zostanę, dajmy na to, wplątany w skandaliczny proces? Pomijam już w tej chwili formalną stronę takiego procesu. Pańskie oskarżenie... to mało. Muszą być świadkowie naoczni. Znajdą się, powiedzmy. Zostanę skazany. I co z tego? Jaka korzyść? Ta chyba, że o jednego człowieka będzie mniej, i to teraz właśnie, gdy tak bardzo ludzi nam brakuje. I co jeszcze? Kilkudziesięciu

ludzi, którzy znali mnie dobrze, powie: jeśli podobny człowiek mógł upaść tak nisko, to czego można wymagać od innych? Zapewniam pana, to nie będzie proces budujący. I nikomu nie pomoże do umocnienia się w wierze w człowieka. Więc taka ma być z tego procesu korzyść społeczna? Nie, panie Franku -podniósł trochę oratorskim ruchem rękę - pan wie równie dobrze jak i ja, że godny potępienia w obozie, to przyznaję, teraz, gdy wojna się skończyła, mogę dać z siebie społeczeństwu tyle, ile dawałem przed wojną. Jeśli nie więcej. I jeszcze jedno panu powiem. Mówię w tej chwili jako jednostka. Ale w taki właśnie, nie inny sposób rozumują mądre i doświadczone politycznie głowy. Jest wojna, jest pokój. Pomiedzy nimi - przepaść. Jedna ocena wartości na okres wojny, druga na okres pokoju. Pierwszy dzień wojny przekreśla pokój i pierwszy dzień pokoju przekreśla wojnę. Co miało znaczenie w czasie wojny, może nie liczyć się w czasie pokoju. I odwrotnie. Wczorajszy wróg może być dzisiaj przyjacielem. To jest życie, proszę pana. Dwa różne oblicza życia. Oblicze wojny i oblicze pokoju. Nie trzeba ich na siebie nakładać. I także, zapewniam pana, nie należy stawiać obok siebie dwóch różnych ludzi. Ten jest prawdziwy, który w danej chwili, w danych warunkach jest społecznie użyteczny.

304

Wyjął z kieszeni papierośnicę i otwartą podsunął Podgórskiemu.

- Dziękuję - odmówił tamten.

Zapalił więc sam, głęboko zaciągając się dymem, i usiadł.

- A teraz może pan robić, co pan uważa za właściwe. Nie mam nic więcej do dodania.

Podgórski milczał dłuższą chwilę. Więc taki był człowiek, który kiedyś wydawał mu się najwartościowszym ze wszystkich w życiu spotkanych ludzi, człowiek, którego szanował bardziej niż własnego ojca i o którym przez tyle lat myślał zawsze z największym wzruszeniem? Nędza tego człowieka była lepka jak błoto. Mógł być dozorcą obozowym. Mógł być porządnym człowiekiem. Jednego tylko pragnął: zachować siebie. Za wszelką cenę. Za cenę zła i za cenę dobra. Życie żądało podłości - był podły. Życie wymagało cnót obywatelskich - miał je. Kim był właściwie? I kto go uczynił niewolnikiem?

- Więc dobrze - powiedział wreszcie trochę głuchym głosem. - Niech pan idzie.

Kossecki badawczo na niego spojrział.

- Jak mam to rozumieć?

- Dosłownie. Niech pan idzie. Naszą rozmowę może pan uważać za niebyłą.

- Więc przekonałem pana jednak? - uśmiechnął się Kossecki. Podgórski zacisnął pięści.

- Niech pan idzie! - powtórzył zmienionym głosem. - Ale zaraz, już.

Kossecki wolno zaczął gasić papierosa w popielniczce. Gdy to uczynił, podniósł się i sięgnął po leżący na biurku kapelusz. Podgórski stał pod oknem z głową pochyloną i rękami założonymi do tyłu.

- Do widzenia - skinął z daleka dłonią Kossecki. - Mam nadzieję, że nie będzie pan miał okazji żałować, jeśli tę rozmowę rzeczywiście uznamy za niebyłą. A jednak pozostał pan w głębi serca idealistą. Niepoprawni Polacy! Zawsze gesty.

Po chwili znalazł się na Rynku. Szósta dopiero dochodziła. Postanowił przed powrotem do domu na kolację wstąpić na małą czarną do cukierni Bałabanowicza.